



# *Edith Wharton*



## *Rafa*

*Tytuł oryginalny: The reef*

# *Część pierwsza*

## *1*

„Niespodziewana przeszkoda. Proszę nie przyjeżdżać przed trzydziestym. Anna”.

Przez całą drogę z Charing Cross do Dovru pociąg wystukiwał słowa tej depeszy, ubierając zwykłe sylaby w najróżniejsze odcienie ironii. To wystrzeliwał je jak salwy z muszkietów, to sączył powoli, kropla po kropli, do jego mózgu, to znów brzęczał nimi, podrzucał je i turlał niczym kości, którymi grają złośliwe chochliki. Kiedy George Darrow wysiadł ze swego wagonu i stał patrząc na smagany wiatrem peron i wzburzone morze w oddali, słowa te rzuciły się na niego z grzbietów fal, tnąc i oślepiając, w nowym wściekłym przypiływie szyderstwa.

„Niespodziewana przeszkoda. Proszę nie przyjeżdżać przed trzydziestym. Anna”.

Zbyła go w ostatniej chwili, i to nie po raz pierwszy, uprzejmie i rozsądnie, znajdując jak zwykle „powód”. Był pewny, że i ten, jak wszystkie poprzednie (wizyta owdowiałej kuzynki męża), musiał być „ważny”. Jej rozważa zaprawiła lekką ironią wspomnienie niezwyklej serdeczności, z jaką go witała, kiedy się spotkali po dwunastu latach rozłąki.

Było to w Londynie, trzy lata temu, na obiedzie w amerykańskiej ambasadzie. Gdy go spostrzegła, jej uśmiech rozbłysnął jak purpurowa róża przypięta do wdowich szat. Dotąd pamięta dreszcz zaskoczenia, kiedy wśród

pospolitych twarzy oficjalnych gości niespodziewanie napotkał wzrokiem jej oblicze, wysoko upięte ciemne włosy, poważne oczy; rozpoznał ich kształt, każde zmrużenie, tak jak rozpoznaje się, przeżywszy pół życia, szczegóły swego dzieciennego pokoju. Ale podobnie jak ona odcinała się w jego oczach od wyelegantowanego tłumu, smukła, zamknięta w sobie, inna, tak i on wyróżniał się dla niej spośród reszty gości. Wyczuł to, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Co więcej, jej uśmiech powiedział mu nie tylko „pamiętam”, lecz „pamiętam wszystko to, co i ty”; tak jak gdyby jej pamięć, spiesząc z pomocą jego pamięci, odbiła w tej odzyskanej chwili jasność poranka. Kiedy roztargniona ambasadorowa, z okrzykiem: „Och, pan zna panią Leath? To świetnie, bo generał Farnhan mnie zawiódł” – skinęła na nich, żeby razem przeszli do jadalni, Darrow poczuł uścisk jej ręki na ramieniu, lekki, lecz podkreślający jej okrzyk: „Czy to nie wspaniałe?! W Londynie, w sezonie, w tłumie?”

W ustach większości kobiet niewiele by to znaczyło. Ale pani Leath rzadko czyniła błahe uwagi czy gesty. Spotkawszy ją ponownie, Darrow natychmiast wyczuł, że nabrała jeszcze większej precyzji i subtelności w wyrażaniu swoich myśli.

Spędzony wspólnie wieczór dobitnie potwierdził to odczucie. Opowiedziała mu, nieśmiało, ale szczerze, o tym, co się z nią działo przez te lata, kiedy nie mieli okazji się spotkać, o swoim małżeństwie z Fraserem Leathem i o późniejszym życiu we Francji, gdzie jej mąż osiedlił się jeszcze w dzieciństwie – po śmierci ojca i powtórnym zamążpójściu matki, która poślubiła markiza de Chantelle. Mówiła z wielkim uczuciem o dziewięcioletniej córeczce Effie i nie mniej czułym tonem o swym pasierbie Owenie, czarującym i mądrym młodym człowieku, nad którym roztoczyła opiekę po śmierci męża...

Tragarz, potknąwszy się o walizkę Darrowa, uprzytomnił mu fakt, że blokuje peron.

– Do przeprawy, sir?

Czy chciał pan przeprowić? Sam nie wiedział, mimo to poszedł za tragarzem do wagonu bagażowego, odszukał swoje rzeczy, po czym wspiał się za nim po schodach. Silny wiatr popychał go, dając mu ponownie odczuć śmieszność sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Paskudna pogoda na przeprawę, sir – rzucił tragarz, kiedy przedzierali się wąskim przejściem na przystań.

Rzeczywiście, paskudna. Na szczęście Darrow nie miał najmniejszego powodu, żeby się przeprować.

Kiedy tak przepychał się za swoim bagażem, jego myśli powróciły w starą koleinę. Człowieka, którego Anna Summers wołała od niego, widział raz czy dwa, a odkąd spotkał ją ponownie, wysiłał wyobraźnię, aby odtworzyć obraz ich małżeństwa. Jej mąż wydawał się charakterystycznym okazem Amerykanina, co do którego nie sposób mieć pewności, czy osiedlił się w Europie, aby uprawiać jakąś dziedzinę sztuki, czy też zajął się sztuką, aby mieć pretekst do zamieszkania w Europie. Malował akwarele, ale robił to potajemnie, ukradkiem, z pogardą światowca dla wszystkiego, co graniczy z profesjonalizmem, natomiast otwarcie i z nabożną powagą kolekcjonował emaliowane tabakierki. Był blondynem o dystyngowanej powierzchowności i wyprostowanej postawie. Dobrze się ubierał. Starał się zawsze wyglądać na lekko zde gustowanego, ale czyż mógł przyjąć inną postawę w świecie, w którym coraz trudniej o autentyczne tabakierki, a rynek zalewają ohydne falsyfikaty?

Darrow nieraz się dziwił, czy mogło istnieć jakieś porozumienie między panem Leathem a jego małżonką. Teraz doszedł do wniosku, że

prawdopodobnie żadne. Słowa pani Leath nie zawierały najmniejszej aluzji, jakoby mąż zawiódł jej oczekiwania, ale właśnie ta powściągliwość ją zdradzała. Mówiła o nim z jakąś bezosobową powagą, jak o postaci z powieści lub historii, a to, co mówiła, brzmiało niby wyuczone na pamięć i lekko stępione od powtarzania. Darrow nabierał coraz silniejszego przekonania, że to spotkanie wymazało dzielące ich lata. Ona, zawsze taka niedostępna, stała się nagle rozmowna i miła; otworzyła drzwi do swojej przeszłości i milcząco przyzwoliła mu wyciągnąć własne wnioski. Rozstając się z nią czuł, że został wybrany i uprzywilejowany, że powierzyła mu coś cennego do przechowania. Radość okazana podczas spotkania utwierdziła go w tym przekonaniu, szczerłość gestu zaś wzmogła piękno daru.

Parę dni później znowu znaleźli się razem w starym wiejskim domostwie, pełnym książek i obrazów, w łagodnym krajobrazie południowej Anglii. Obecność licznych gości, ożywionych i snujących się bez celu, pomogła im tylko, spełniając nareszcie marzenia Darrowa, odizolować się i pogłębić uczucie wspólnoty. Dni tam spędzone były jak preludium, kiedy instrumenty cichym brzmieniem jakby powstrzymują napierające na nie fale dźwięków.

Pani Leath przy tej okazji była nie mniej miła niż poprzednio, ale zdołała dać mu do zrozumienia, że to, co miało nieodwołalnie nadejść, nie nastąpi tak szybko. Nie żeby okazywała jakiegokolwiek wahanie. Wyglądało raczej na to, że nie chce ominąć ani jednego szczebla w stopniowym, ponownym rozkwicie ich zażyłości.

Ze swej strony Darrow nie miał nic przeciw czekaniu, skoro ona sobie tego życzyła. Pamiętał, jak pewnego razu w Ameryce, kiedy była jeszcze młodą dziewczyną, przyjechał do Summersów na wieś i nie zastał jej w domu. Matka powiedziała, żeby poszukał Anny w ogrodzie. Tam też jej nie

było, ale zobaczył, jak wraca z pól długą cienistą alejką. Nie przyspieszając kroku, uśmiechnęła się i dała mu znak, żeby zaczekał, on zaś, oczarowany światłocieniami igrającymi wokół niej, z przyjemnością przyglądając się jej powolnym krokom, usłuchał i stał bez ruchu. Tak i teraz, jakby szła ku niemu poprzez lata, a światłocienie dawnych wspomnień i nowych nadziei igrały na jej postaci, każdy zaś krok przywoływał na pamięć tamto zauroczenie. Nie wahała się, nie odwracała. Wiedział, że podejdzie do niego, ale coś w jej oczach mówiło: „Zaczekaj”, więc on znów posłusznie czekał.

Na czwarty dzień niespodziewane zajście przekreśliło jego kalkulację. Wezwana przez teściową, która przybyła do Anglii, wyjechała nie dając mu szansy, na którą liczył. Wymyślał sobie od opieszłych gamoniów. Rozczarowanie łagodziła tylko pewność, że zobaczy ją znowu, zanim ona wyjedzie do Francji. I rzeczywiście, spotkali się w Londynie. Jednakże tutaj atmosfera zmieniła się wraz z warunkami. Nie mógł powiedzieć, żeby go unikała czy że była mniej rada ze spotkania, ale absorbowały ją obowiązki rodzinne, którym według niego trochę zanadto się poświęcała.

Darrow niebawem zauważył, że markiza de Chantelle odznaczała się tą samą łagodną władczością co jej zmarły syn. Może to cień obecności tej damy zamykał usta pani Leath. Była ponadto zaabsorbowana pasierbem, którego – ledwo otrzymał dyplom Uniwersytetu Harvarda – trzeba było ratować z burzliwego romansu, aż wreszcie, po kilku miesiącach bezsensownego dryfowania, posłuchał rady swojej macochy i wrócił do Oksfordu na dodatkowy rok studiów. Pani Leath odwiedziła go tam raz czy dwa, resztę dni wypełniły jej rodzinne obowiązki: wyszukiwanie, jak to określiła, ubrań i guwernantek dla pozostawionej we Francji córeczki oraz długie wyprawy po zakupy z teściową. Niemniej jednak – podczas jej



krótkich ucieczek od obowiązków – Darrow odniósł wrażenie, że czuje się ona bezpieczna pod jego przyjazną opieką. Ostatniego wieczoru, siedząc w teatrze pomiędzy zaćmiewającą wszystkich markizą a nic nie podejrzewającym Owenem, dokonali prawie decydującej wymiany słów.

Teraz w poświstach wiatru Darrow nadal słyszał drwiące echo jej przesłania: „Niespodziewana przeszkoda”. Przy takim trybie życia, jakie wiodła pani Leath, zarazem uporządkowanym i eksponowanym, najmniejsza komplikacja mogła zwiększyć wagę „przeszkody”. Jednakże nawet zakładając w sposób najbardziej bezstronny, na jaki pozwalał jego nastrój, iż przebywając pod jednym dachem z teściową i od czasu do czasu z pasierbem, była zmuszona przez los do setek drobnych kompromisów na ogół obcych swobodzie wdowieństwa – nie mógł pozbyć się myśli, że właśnie takie skomplikowane warunki mogłyby jej pomóc w znalezieniu drogi wyjścia. Nie, ten „powód”, jakikolwiek był, w tym wypadku stanowił tylko pretekst, nic innego. Chyba że każdy powód wydawał jej się dostatecznie dobry, aby odwlec spotkanie...

„Proszę nie przyjeżdżać przed trzydziestym”. A przecież był dopiero piętnasty! Dorzuciła te dwa tygodnie, jakby był jakimś próżniakiem polującym na randki, a nie "czynnym młodym dyplomatą, który aby przyjąć jej zaproszenie, musiał utorować sobie drogę wśród całej dżungli zobowiązań! „Proszę nie przyjeżdżać przed trzydziestym”. Tylko tyle. Bez słowa przeprosin czy żalu, bez dodania formułki „list w drodze”, którą zazwyczaj się łagodzi tego rodzaju ciosy. Nie chciała go i obrała najkrótszą drogę, żeby mu to powiedzieć. Już od pierwszych chwil, pomimo rozpacz, uderzyło go, że nie ubrała tego odroczenia w jakieś kłamstwo.

„Gdybym poprosił ją o rękę, odmówiłaby w tym samym tonie. Dzięki Bogu, że tego nie zrobiłem” – pomyślał.

Te ironiczne rozważania towarzyszyły mu przez całą drogę z Londynu i osiągnęły szczyt, kiedy wchłonął go tłum na przystani. Jego emocji bynajmniej nie łagodziła myśl, że gdyby nie jej humory, mógłby pod koniec przykrego majowego dnia siedzieć przed kominkiem w swoim londyńskim klubie, zamiast drzeć z zimna wśród mokrego tłumu. Uwzględniając tradycyjne prawo do zmienności przynależne jej płci, mogłaby przynajmniej zawiadomić go o tej zmianie depeszując bezpośrednio do jego mieszkania. Ale choć wymienili listy, zapewne nie zanotowała jego adresu, więc zdyszany goniec wybiegł z ambasady, żeby cisnąć telegram do jego przedziału w chwili, kiedy pociąg ruszał ze stacji.

Tak, dał jej dosyć sposobności, żeby znała jego adres, toteż ten błahy dowód jej obojętności stał się teraz, kiedy torował sobie drogę przez tłum, podstawą jego pretensji. Obwinał ją, zdając sobie sprawę z własnej śmieszności. W połowie drogi ku nabrzeżu ktoś go trącił parasolem, co wzmogło jego wściekłość. Uświadomił sobie, że pada deszcz. W jednej chwili skraj przystani stał się polem bitwy poszturchujących się, odparowujących ciosy, uchylających się kopuł parasoli. Wiatr wzmagał się wraz z ulewą i udęczeni nieszczęśnicy, wystawieni na ten podwójny atak, wywierali na swoich sąsiadach zemstę, jakiej nie mogli wyrzucić na żywiołach.

Darrow, którego zdrowa radość życia czyniła na ogół dobrym podróżnikiem, tolerancyjnym wobec ludzkiego kłębowiska, poczuł się dziwnie znieważony tymi przypadkowymi kontaktami. Czuł, jak gdyby wszyscy dookoła przejrzeni jego kłopoty; pogardliwie szturchali go i popychali. „Ona cię nie chce, nie chce, nie chce” – zdały się mówić ich parasole i łokcie.

Kiedy depesza wpadła przez okno, solennie sobie przyrzekł, że za



żadne skarby nie wróci – jakby nadawcy mogło sprawić złośliwą radość, gdyby się cofnął i nie pojechał do Paryża! Nagle zdał sobie sprawę z absurdalności tej przysięgi i podziękował swoim gwiazdom, że nie musi się jak głupiec zanurzyć we wściekłe fale za przystanią.

Z tą myślą zaczął się rozglądać za tragarzem, ale szczelna zasłona z ociekających wodą parasoli uniemożliwiała porozumienie się gestem, toteż utraciwszy tego człowieka z oczu, ponownie wgramolił się na peron. Nagle schodząca z góry parasolka szturchnęła go w obojczyk i w następnej chwili, wykręcona podmuchem wiatru, wzbija się jak latawiec przyczepiony do bezradnego kobiecego ramienia.

Darrow chwycił parasolkę, ściągnął na miejsce pręty i spojrzał w twarz, która mu się teraz ukazała.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział. – Pani nie może tu stać.

Kiedy to mówił, napierający tłum nagle rzucił właścicielkę parasolki na niego. Darrow przytrzymał ją wyciągniętymi ramionami, ona zaś patrząc pod nogi wykrzyknęła:

– O Boże! Cała w strzępach!

Jej uniesiona twarz, świeża i zarumieniona w zacinającym deszczu, przypomniła mu, że już ją kiedyś, dawno temu widział, i to w jakimś niezbyt przyjemnym otoczeniu. Ale chwila nie była odpowiednia do dociekań, twarz zaś należała do tych, które torują sobie drogę własnymi zaletami.

Pasażerka upuściła torbę i tobołki. Kurczowo trzymała postrzępioną parasolkę.

– Dopiero wczoraj kupiłam ją w magazynie, no i teraz, tak, teraz jest do niczego – lamentowała.

Darrow uśmiechnął się, ubawiła go intensywność jej rozpacz. Co za

temat dla psychologa! Że też natura ludzka potrafi się przejmować takimi mikroskopijnymi kłopotami!

– Proszę, tu jest mój parasol, jeżeli sobie pani życzy! – zawołał w odpowiedzi, przekrzykując wycie wiatru.

Ta propozycja sprawiła, że młoda kobieta spojrzała na niego uważniej.

– To przecież pan Darrow – stwierdziła i dodała promieniejąc radością: – Och, dziękuję! Podzielimy się nim, jeśli pan ma ochotę!

A więc знаła go, on ją także. Ale jak i gdzie się spotkali? Odłożył ten problem na później i wcisnąwszy ją w bardziej osłonięty kąt, poprosił, żeby zaczekała, aż odnajdzie swego tragarza.

Kiedy po paru minutach wrócił z odzyskanym dobytkiem i z wiadomością, że statek nie odpłynie, dopóki fala się nie odwróci – nie okazała zmartwienia.

– Najwcześniej za dwie godziny? Doskonale, będę mogła odnaleźć swój kufer!

Normalnie Darrow niezbyt chętnie wdałby się w przygodę z młodą kobietą, która zgubiła bagaż, ale w tym momencie cieszył go jakikolwiek pretekst do działania. Nawet gdyby się zdecydował wsiąść do następnego pociągu i wracać, i tak miał nudną godzinę do wypełnienia i najlepszym lekarstwem było poświęcenie jej tej uroczej, zrozpaczonej osobce pod parasolem.

– Zgubiła pani jakiś kufer? Spróbuję go odnaleźć.

Podobało mu się, że nie odpowiedziała konwencjonalnym: „Doprawdy?” Zamiast tego skorygowała z uśmiechem:

– Nie jakiś kufer, tylko mój kufer. Nie mam innego. – Po czym dodała ostro: – Lepiej niech pan przypilnuje, żeby pana własne rzeczy trafiły na statek.

Odpowiedział, jakby rozmową o swoich planach chciał wypełnić je treścią.

– Właściwie nie jestem pewien, czy popłynę.

– Pan nie zamierza płynąć?

– Cóż... może nie tym statkiem. – Znowu poczuł, że ogarnia go niezdecydowanie. – Prawdopodobnie będę musiał wrócić do Londynu. Czekam... Czekam na list... – Pomyślał, że weźmie go za krętacza. – Ale mamy na razie mnóstwo czasu na odszukanie pani kufra.

Chwycił pakunki swojej towarzyszkę, ofiarował jej ramię, umożliwiając drobnej osobie mocniejsze wtulenie się pod parasol. Kiedy tak szli z powrotem do wagonu bagażowego, a podmuchy wiatru to rzucały ich na siebie, to rozdzielały, wciąż zastanawiał się, gdzie mógł ją spotkać. Natychmiast sklasyfikował ją jako rodaczkę: mały nosek, jasna cera, delikatny zarys twarzy jakby lekko pociągniętej akwarelą, do tego miły wysoki głos i ogromna ruchliwość. Była najwyraźniej Amerykanką, ale jej wrodzoną swobodę utemperowały narzucone maniery.

Niemożności zidentyfikowania jej towarzyszyło nie ustępujące wrażenie, że kojarzy mu się ona z czymś nieprzyjemnym i w złym guście. Miła twarz, spoglądająca ku niemu spomiędzy mokrych kasztanowych włosów i brązowego boa, powinna była wywołać równie miłe odczucie, ale wszelkie wysiłki, żeby wpasować jej obraz w przeszłość, kończyły się wspomnieniem czegoś męczącego i przykrego...

Czy pan mnie sobie nie przypomina? Poznaliśmy się u pani Murrett.

Rzuciła mu to pytanie przez stół w zacisznej kawiarni, do której po długim i daremnym poszukiwaniu kufra zaprosił ją na filiżankę herbaty.

W tym staroświeckim lokalu zdjęła ociekający wodą kapelusz, powiesiła go na kracie przed kominkiem, po czym przeciągnęła się przed okrągłym lustrem, ozdobionym wazonami z barwionymi nieśmiertelnikami, i przeczesła palcami włosy. Ten gest podziałał na odrętwiałe uczucia Darrowa jak żar kominka na krążenie krwi i kiedy zapytał „Czy nie ma pani mokrych nóg? ”, a ona bez żenady sprawdziła grube podeszwy i odpowiedziała wesoło: „Nie, na szczęście włożyłam nowe buty” – stwierdził, że kontakty między ludźmi byłyby do zniesienia, gdyby zawsze mogły być równie wolne od konwenansów.

Zdejmując kapelusz, nie tylko pobudziła go do tej refleksji. Jej odsłonięta twarz prezentowała się tak korzystnie, że nazwisko, które wymieniła, spadło na niego wywołując nadmierną konsternację.

– Och, u pani Murrett. Więc to było tam?

Teraz ją sobie przypominał, oczywiście, jako jeden z cieni snujących się po tym okropnym domu w Chelsea, jeden z niemych dodatków do rozwrzeszczanej pani Murrett, w której pazury wpadł goniąc na oślep za lady Ulriką Crispin. Och, ten smak zwietrzałych szaleństw! Jakież bezsensowny, a jak mocno przywarł!

– Mijaliśmy się na schodach – przypomniła mu.

Tak, widział, jak przemykała – teraz sobie przypominał – kiedy pędził do bawialni w poszukiwaniu lady Ulriki.

Przyjrzał się jej lepiej. Jak taka twarz mogła się wtopić w tłum wokół

pani Murrett? Jej delikatne linie, idealne do wszelkiego rodzaju ujęć i skrótów, odznaczały się kapryśnym wdziękiem młodej dziewczyny z włoskiej opery. Włosy sterczały nad czołem jak zwichrzony chłopięcy czub, harmonizując barwą z piwnymi oczami i brązowym pieprzykiem w pobliżu ucha, które aż się prosiło, by zatknąć za nie różę, tak jak podbródek domagał się oparcia na krezie. Jej uśmiech zaczynał się w oczach i zbiegał dwiema liniami światła ku ustom, których lewy kącik unosił się nieco wyżej niż prawy.

I on mijał w biegu to wszystko, pędząc do lady Crispin!

– Ależ pan nie może mnie pamiętać! – powiedziała. – Nazywam się Viner. Sophy Viner.

Nie pamiętał jej? Ależ tak! Teraz był tego pewien.

– Pani jest siostrzenicą pani Murrett – stwierdził.

Pokręciła głową.

– Nie, nawet nie to. Byłam jej lektorką.

– Lektorką? Chce pani powiedzieć, że jej się zdarzało czytać?

Pannę Viner uradowało jego zdziwienie.

– Och, nie. Robiłam notatki i układałam listę gości, wyprowadzałam psy i przyjmowałam za nią nudziarzy.

Darrow mruknął:

– To musiało być raczej przykre.

– Tak, ale nie tak przykre, jak być jej siostrzenicą.

– Chętnie wierzę. Cieszę się słysząc – dodał – że mówi pani o tym wszystkim w czasie przeszłym.

Ta aluzja jak gdyby ją ubodła, ale zaraz uniosła wyzywająco brodę.

– Tak, wszystko między nami skończone. Właśnie rozstałyśmy się we łzach, ale nie w milczeniu.

– Dopiero teraz panie się rozstały? Chce pani powiedzieć, że wytrwała tam tyle czasu?

– Tak, odkąd zaczął pan tam bywać, żeby się spotykać z lady Ulriką. Czy według pana to tak strasznie długo?

Nieoczekiwane zwierzenie ostudziło rosnącą przyjemność słuchania jej paplaniny. Już zaczynał odzyskiwać świadomość własnej atrakcyjności, ze wszystkimi jej przywilejami, tracąc targające nim na przystani odczucie, że jest tylko anonimowym strzępem ludzkości. W tym momencie jednak zrobiło mu się przykro, gdyż uświadomił sobie, że naturalność nie zawsze idzie w parze z dobrym smakiem.

Ona jak gdyby odgadła jego myśli.

– Nie podobało się panu, gdy powiedziałam, że przychodził pan z powodu lady Ulriki? – zapytała pochylając się nad stołem, żeby nalać sobie drugą filiżankę herbaty.

W każdym razie przypadła mu do gustu jej bystrość.

– Wolę to – roześmiał się – niż gdyby pani myślała, że przychodziłem z powodu pani Murrett!

– Och, myśmy nigdy nie myśleli, że ktokolwiek przychodzi z powodu pani Murrett. Powody bywały różne: muzyka czy kucharz – kiedy zdarzał się dobry – czy inne osoby; zazwyczaj jedna z innych osób.

– Rozumiem.

Była zabawna, a w swych obecnym nastroju uznał to za ważniejsze od dokładnej oceny jej gustu. Dziwne też było odkrycie, że rozmazana tapeta, stanowiąca tło dla pani Murrett, była przez cały czas żywa, że patrzyły z niej czyjeś oczy. Teraz, kiedy jego wzrok napotkał parę takich oczu, zdał sobie sprawę z dziwnego odwrócenia się perspektywy.

– Kto to „my”? Bezimienni świadkowie?



Uśmiechnęła się.

– Było nas tam niemało. Niech pomyślę, kto bywał za pana czasów.

Pani Bolt i mademoiselle, i profesor Didymus, i polska hrabina. Nie pamięta pan polskiej hrabiny! Wróżyła z kuli i akompaniowała na fortepianie, ale musiała odejść, gdy pani Didymus oskarżyła ją o hipnotyzowanie jej męża. Ale oczywiście pan nie pamięta. Byliśmy wszyscy dla pana niewidoczni, ale umieliśmy patrzeć. I wszyscy zastanawialiśmy się...

Darrow znów poczuł, że krew uderza mu do głowy.

– Nad czym?

– No, czy to ona, czy pan...

Nie mrugnął okiem, ukrył dezaprobatę. Czas szybciej mu schodził na słuchaniu.

– I jakaż była, jeśli wolno, wasza konkluzja?

– No cóż, pani Bolt, mademoiselle i hrabina myślały oczywiście, że to ona, ale profesor Didymus i Jimmy Brance – szczególnie Jimmy...

– Chwileczkę, któż to taki, u Boga Ojca, ten Jimmy Brance?

Wykrzyknęła zdziwiona:

– Ale musiał pan być zaabsorbowany, żeby nie zauważyć Jimmy’ego Brance’a! Wszak ocierał się o pana! – Spojrzała na niego uważnie i z rozbawieniem. – Jak pan mógł? Ona była fałszywa od stóp do głów!

– Fałszywa? – Pomimo upływu czasu i nasycenia się nią męski instynkt posiadacza zbudził się odrzucając oskarżenie.

Panna Viner przechwyciła jego spojrzenie.

– Och, sztuczna – odparła ze śmiechem – ale tylko zewnętrznie! Widzi pan, ona często wpadała do mojego pokoju po tenisie albo wieczorem, żeby poprawić wygląd przed wyjściem, i mogę pana zapewnić,

że rozlatywała się jak układanka. Faktycznie nieraz mówiłam do Jimmy'ego, żeby go rozwścieczyć: „Założę się, o co pan chce, że nie ma w tym nic złego, bo ona nigdy by się nie odważyła na nie...” – Przerwała w pół słowa, a nagły rumieniec upodobił jej twarz do rozwiniętej róży z czerwieńszymi płatkami pośrodku.

Dzięki nagłemu napływowi wspomnień Darrow poczuł się lepiej; roześmiał się. Zawtórowała mu szczerze.

– Oczywiście – przyznała ze śmiechem – powiedziałam to tylko, żeby podrażnić Jimmy'ego.

Jej rozbawienie nie sprawiło mu przyjemności.

– Wszystkie jesteście takie same! – stwierdził pod wpływem niewytłumaczalnego rozczarowania.

Odparowała w okamgnieniu – nie dawała się zaskoczyć!

– Tak pan mówi, bo myśli, że jestem złośliwa i zazdrosna? Owszem, byłam zazdrosna o lady Ulrikę... O nie, nie z powodu pana czy Jimmy'ego Brance'a. Po prostu dlatego, że ona miała prawie wszystko to, czego ja zawsze pragnęłam: stroje, bale i auta, i podziw, i jachty, i Paryż! Przecież sam Paryż to już tak wiele! Czy sądzi pan, że dziewczyna, która ogląda cały ten przepych dzień po dniu, nigdy się nie zastanawia, dlaczego pewne kobiety, które chyba nie mają do tego większych praw, otrzymują to wszystko na srebrnej tacy, gdy tymczasem inne wypisują zaproszenia na obiady, sprawdzają rachunki, przepisują listy gości, wykańczają odpowiednią tasiemką pończochy do golfa i pilnują, żeby psy otrzymywały swoje porcje? A przecież nie są ślepe!

Cisnęła mu w twarz te ostatnie słowa krzykiem, który wzniósł się ponad podrażnioną próżność, ale wczuć się w jej słowa przeszkodziła mu niespodzianka, jaką sprawiła jej twarz. Pod sunącymi chmurami podniecenia

nie wyglądała już jak płytki kielich kwiatu, lecz jak przydymione lustro, które odbija dziwną głębię uczuć. Dziewczyna miała zalety, zauważył je, ona zaś wyczytała tę ocenę z jego oczu.

– To jest właśnie ten rodzaj edukacji, jaką otrzymałam u pani Murrett. Nigdy żadnej innej – stwierdziła ze wzruszeniem ramion.

– Boże wielki, była tam pani aż tak długo?

– Pięć lat. Wytrzymałam dłużej od wszystkich innych – powiedziała, jakby to było coś, czym się może chlubić.

– Teraz, chwała Bogu, ma to pani za sobą.

Znów ledwo uchwytny cień przemknął przez jej twarz.

– Tak, uporałam się z tym.

– I co jeśli wolno zamierza pani robić?

Przez chwilę namyślała się ze spuszczonej powiekami, po czym z odcieniem wyższości oznajmiła:

– Jadę do Paryża studiować aktorstwo.

– Aktorstwo? – Darrow popatrzył na nią stropiony. Wszystkie przeciwstawne, niejasne wrażenia zyskały nowy aspekt, więc żeby ukryć zaskoczenie, powiedział lekkim tonem: – A więc będzie pani miała w końcu swój Paryż.

– Chyba nie będzie to jednak Paryż lady Ulriki. Nie będzie usłany różami.

– Pewno nie. – Pod wpływem prawdziwego współczucia zapytał:

– Czy ma pani jakieś „plecy”, na które mogłaby liczyć?

Uśmiechnęła się trochę nonszalancko.

– Żadnych prócz własnych. Nigdy nie miałam innych, na które mogłabym liczyć.

Pominał tę oczywistą odpowiedź milczeniem.

– Ale czy ma pani pojęcie, jak tłoczno jest w tym zawodzie? Wiem, że mówię banały.

– Mam dokładne pojęcie. Ale dłużej nie mogę tak żyć.

– Oczywiście. Ale ponieważ, jak sama pani mówi, wytrzymała pani dłużej od innych, to czy nie mogła pani przynajmniej wytrwać, dopóki nie znajdzie jakiegoś oparcia?

Przez chwilę milczała, po czym zwróciła apatyczny wzrok w stronę okna, o które siekł deszcz.

– Czy nie pora ruszać? – zapytała przybierając pozę wyniosłej obojętności, podpatrzoną zapewne u lady Ulriki.

Darrow, zaskoczony zmianą, ale akceptujący tę odprawę, która – jak rozumiał – wynikała z niepokoju i złego nastroju, podniósł się z krzesła i zdjął jej żakiet z oparcia, na którym się suszył. Kiedy go jej podawał, rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Prawda jest taka, żeśmy się pokłócili – wybuchnęła – i ja odeszłam wczoraj wieczorem bez obiadu i bez wynagrodzenia.

– Ach – jęknął zdając sobie dokładnie sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw, które mogły wyniknąć z nagłego zerwania z panią Murrett.

– I bez świadectwa – dodała wkładając ręce w rękawy żakietu.

– I chyba także bez kufra. Ale czy pan nie mówił, że przed odjazdem będzie jeszcze dość czasu, żeby zajrzeć na stację?

Tak, czasu było dość, ale nastąpiło nowe rozczarowanie, ponieważ nie mogli znaleźć jej kufra w stosie bagaży wyładowanych z ekspresu londyńskiego, który właśnie przybył. Ten fakt wprowadził pannę Viner w chwilowe zakłopotanie, ale szybko poddała się konieczności kontynuowania podróży, a jej decyzja umocniła niejasne postanowienie Darrowa, żeby udać

się do Paryża zamiast w drogę powrotną do Londynu.

Perspektywa dalszego przebywania w jego towarzystwie dodała panie Viner otuchy. Podtrzymała ją na duchu propozycja, żeby zatelegrafować na Charing Cross w sprawie zaginionego bagażu. Kazał jej czekać w dorożce, a sam pobiegł do telegrafu. Kiedy wysłał depezę i odchodził od okienka, nowa myśl wpadła mu do głowy. Zawrócił i zredagował jeszcze jeden telegram do swojego służącego w Londynie. Jeżeli po moim odjeździe nadszedł list z francuskim znaczkiem, przesłać natychmiast do hotelu «Terminus», Gare du Nord, Paryż”.

Powrócił do panny Vinter i nie zważając na ulewę udali się na przystań.

### 3

Ledwo pociąg ruszył z Calais, a już panna Viner odchyliła głowę do tyłu i zasnęła.

Siedząc naprzeciw niej w przedziale, z którego udało mu się pozbyć innych pasażerów, Darrow przyglądał się jej z zaciekawieniem. Nigdy jeszcze nie widział twarzy, która by się tak szybko zmieniała. Przed chwilą ruchliwa jak łan stokrotek owiewany letnim wietrzykiem, teraz – w słabym, chybotliwym świetle lampki pod sufitem – nosiła piętno twardego doświadczenia, jakby zastygła, zanim się ukształtowała. Ze wzruszeniem spostrzegł, że czujność nie opuszcza jej nawet we śnie.

Historia, którą się z nim podzieliła w trzeszczącej kabinie i w bufecie w Calais – nalegał, żeby dała się zaprosić na obiad, którego nie zdążyła zjeść u pani Murrett – nadała jej postaci wyrazisty kształt.

Po śmierci rodziców znalazła się w internacie w Nowym Jorku, gdzie

umieścił ją wiecznie zapracowany opiekun. Od tej chwili żyła samotna w obojętnym świecie. Historię jej młodości można by zamknąć w stwierdzeniu, że wszyscy byli zbyt zaabsorbowani, żeby się o nią troszczyć. Jej opiekuna, urzędniczyne w dużym banku, pochłaniało „biuro”, jego żonę zaś – własne zdrowie i religia. Starsza siostra Laura, to się rozwodząca, to ponownie wychodząca za męża, nieustannie goniła za jakimś niejasnym „artystycznym” ideałem, na który opiekun i jego żona patrzyli krzywo. Uznała tę ich dezaprobatę – jak wywnioskował Darrow – za pretekst, aby się nie martwić o biedną Sophy, dla której pozostała wcieleniem nieosiągalnych romantycznych ciągót.

Po pewnym czasie nagły udar zabrał opiekuna, ujawniając w jego osobistych finansach taki mętlik, że po głośno opłakiwanej śmierci stało się jasne, iż w żaden sposób nie da się uratować spadku podopiecznej. Nikt nie ubolewał nad tym bardziej od jego żony, która widziała w tym jeszcze jeden dowód, iż mąż poświęcił całe życie niezliczonym ciężkim obowiązkom, i gdyby nie nakazy religii, z trudem umiałyby przebaczyć dziewczynie pośredni udział w przyspieszeniu jego końca. Sophy nie miała jej tego za złe. Była bardziej zmartwiona śmiercią opiekuna niż utratą niewielkiego majątku, stanowił on bowiem jedynie pretekst do trzymania jej w niewoli, toteż jego zniknięcie stało się okazją do bezzwłocznego zanurzenia się w jasnym morzu życia otaczającym wyspę jej niewolnictwa. Dzięki wstawiennictwu pań, które kierowały jej edukacją, najpierw wylądowała w pokoju szkolnym przy Piątej Alei, gdzie przez kilka miesięcy pełniła rolę bufora między trójką arystokratycznych dzieci a ich strażą przyboczną złożoną z nianiek i nauczycieli. Zbyt natarczywe zainteresowanie okazywane przez lokaja pana domu sprawiło, iż uciekła z tego zacisznego miejsca wbrew kategorycznym radom opiekunek, które twierdziły, że jeśli



chodzi o nie, to dystynkcja i szacunek dla siebie samej zawsze wystarczały do trzymania w ryzach najbardziej nieokiełznanej namiętności. Ich opinię podzielała wdowa po opiekunie, a pożałowania godny precedens kariery Laury był dotąd żywy w umysłach wszystkich tych pań, toteż przestały one poczuwać się do obowiązku dalszego zajmowania się sprawami Sophy, pozostawiając ją własnemu losowi.

Pochodząca z Gór Skalistych koleżanka szkolna, która wybierała się z rodzicami do Europy, zaproponowała Sophy, żeby jej towarzyszyła w „wycieczkach”, gdy rodziciele pod opieką biura turystycznego będą leczyć swoje dolegliwości w jakimś modnym kurorcie. Darrow zrozumiał, że „wycieczki” z Mamie Hoke były urozmaicone i pełne rozrywek. Jednakże ta stosunkowo jasna karta kariery Sophy została nagle przekreślona ucieczką lekkomyślnej Mamie z „idolem muzycznych poranków”, który jechał za nią od Nowego Jorku, i pospiesznym powrotem jej rodziców w celu negocjowania wykupu swego dziecka.

To właśnie wtedy – po krótkim wypoczynku ze współczującymi, lecz pozbawionymi pieniędzy amerykańskimi przyjaciółmi w Paryżu – panna Viner została wciągnięta w mętny nurt kariery pani Murrett. Ubodzy rodacy znaleźli dla niej tę panią i częściowo z ich powodu (gdyż byli tacy kochani, tacy nieświadomi, w co ją wpakowali, ufne biedaczyska) Sophy tak długo wytrzymała w okropnym domu w Chelsea. Państwo Farlow – tłumaczyła Darrowowi – byli najlepszymi przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek miała (i jedynymi, którzy okazali się „przyzwoici” w stosunku do Laury, widzieli ją bowiem raz jeden i gorąco podziwiali), ale nawet po dwudziestu latach spędzonych w Paryżu pozostali niedoświadczonymi aniołami, żywiąc głębokie przekonanie, że pani Murrett to kobieta o niespotykanym intelekcie, a jej dom w Chelsea to „ostatni z salonów”. Sophy nie chciała

wyprowadzać ich z błędu, wiedząc, że gdyby tak postąpiła, faktycznie znów stałaby się dla nich ciężarem. Po poprzednich doświadczeniach odczuwała pilną potrzebę zdobycia za wszelką cenę prawa do stabilności. Przez te wszystkie lata – dodała z lekkim uśmieszkiem – nie trafiła jej się żadna okazja prócz tej.

Lekкими, szybkimi muśnięciami naszkicowała swoją epopeję, dziwnie nie zabarwioną goryczą. Darrow zauważył, że Sophy klasyfikuje ludzi według ich większego czy mniejszego „szczęścia” w życiu, ale raczej nie żywiąc urazy do nieokreślonych mocy, które tak nierówno rozdzielają dary. Albo się coś komuś udaje, albo nie, a tymczasem można się tylko przyglądać i zadowalać małymi kompensatami, jak obserwowanie przepychu u pani Murrett czy plotkowanie o lady Ulrice lub innych osobach na świeczniku. No i oczywiście w każdej chwili jeden obrót kalejdoskopu mógł nagle przesunąć skrzącą błyskotkę, pogrążając ją w szarzyźnie codzienności.

Ta niefrasobliwa filozofia nie była pozbawiona uroku w oczach młodego mężczyzny, przyzwyczajonego do bardziej tradycyjnych poglądów. George Darrow miał dość urozmaicone doświadczenie z kobietami, ale te, u których bywał, albo należały zdecydowanie do dam, albo zdecydowanie nimi nie były. Wdzięczny obu tym typom za to, że dbały o skomplikowaną męską naturę, i skłonny przypuszczać, że zostały wręcz przeznaczone do tego celu, instynktownie rozdzielał w swoim umyśle obie grupy, unikając pośredniego towarzystwa, które pretenduje do godzenia obu życiowych postaw. Cyganeria wydawała mu się tańszą konwencją; lubił swoje damy i ich rywalki za to, że były jednakowo bezwstydne i nie stroiły się w cudze piórka. Co prawda, nie brakło mu także doświadczenia z trzecim rodzajem, lecz spotkanie z lady Ulriką pozostawiło w nim zabarwiony

pogardą niesmak, jaki wywołuje kobieta korzystająca z przywilejów jednej sfery, żeby ukryć obyczaje innej.

Młodym dziewczynom nie poświęcał wiele myśli od czasu swojej wczesnej miłości do tej, która została potem panią Leath. Kiedy patrzył wstecz na ten epizod, wydawało mu się, że ma się on tak do rzeczywistości, jak blady dekoracyjny rysunek do bogactwa letniego krajobrazu. Nie rozumiał, czemu wtedy jego młode serce to gwałtownie biło, to zamierało, nie rozumiał jej napadów rezygnacji czy niechęci. Tracąc ją doznał udręki – otrzymał wściekły cios przy nagłym zetknięciu się młodocianych instynktów z barierą losu. Ale pierwsza fala silniejszych doznań zmyła wszystko, pozostawiając jedynie kontury ich przygody. Pamięć o Annie Summers sprawiła, że obraz tej dziewczyny stał się świętością, jednakże otaczająca go aura pozostała mało ciekawa.

Takie uogólnienia należały do wcześniejszego etapu jego doświadczeń. Im bliżej poznawał życie, tym bardziej uważał je za nieobliczalne. Nauczył się odbierać wrażenia, nie odczuwając młodocianej potrzeby opowiadania o nich komukolwiek. Dopiero siedząca naprzeciw niego dziewczyna zbudziła drzemający w nim nawyk porównań. Różniła się od bogatych panien ujawnioną znajomością prawdziwych problemów życia – całkowicie odmienną od ich teoretycznej wiedzy. Darrowowi wydawało się, że doświadczenie uczyniło ją wolną, lecz nie zatwardziałą, pewną siebie, lecz nie apodyktyczną.

Pociąg wpadł ze stukotem do Amiens i światła stacyjne rozjaśniły przedział, budząc ze snu pannę Viner. Nie zmieniając pozycji uniosła powieki i spojrzała na Darrowa. W jej spojrzeniu nie było ani zdziwienia, ani zakłopotania... Jakby natychmiast odzyskała świadomość nie tyle tego, gdzie się znajduje, ile faktu, że jest z nim, a to wystarczyło, żeby ją

uspokoić. Nawet nie odwróciła głowy, żeby wyjrzeć przez okno. Oczy jej nadal spoczywały na nim, lekki uśmieszek rozjaśniał twarz od wewnątrz, wargi zachowały senną miękkość.

Okrzyki i bieganina podróżnych docierały do nich poprzez krzyżujące się światła peronu. W oknie ukazała się czyjaś twarz i Darrow już się zerwał, żeby bronić ich odosobnienia, ale intruzem okazał się tylko pomocnik konduktora, który dokonywał obchodu. Światła i okrzyki oddaliły się, wtapiając w rozległą mgiełkę i dudniący rezonans, gdy pociąg sprężył się w sobie i odjechał w ciemność.

Głowa panny Viner natychmiast oparła się o poduszkę, ciemna fala włosów opadła na czoło. Kołysanie wagonu straciło jej na ucho pukiel włosów; chłopięcym ruchem potrząsnęła głową, żeby się od niego uwolnić. Wzrok jej nadal spoczywał na towarzyszu.

– Nie jest pani zbyt zmęczona?

Pokręciła głową z uśmiechem.

– Powinniśmy być na miejscu przed północą. Jedziemy niemal zgodnie z rozkładem. – Sprawdził zbliżając zegarek do lampy.

Przytaknęła sennie.

– W porządku. Zadepeszowałam do państwa Farlow, żeby nie fatygowali się odbierać mnie ze stacji. Wystarczy, jeśli powiedzą konsjerżce, żeby mnie wyglądała.

– Pozwoli pani, że ją tam odwiozę?

Znowu przytaknęła głową i oczy się jej zamknęły. Darrow był bardzo zadowolony, że się nie wysilała, aby podtrzymać rozmowę czy ukrywać senność. Przyglądał się jej, dopóki górne rzęsy nie zetknęły się z dolnymi, a na policzki nie padł ich cień. Wtedy wstał, zaciągnął osłonę lampy i przedział pograżył się w błękitnym półmroku.

Kiedy ponownie usadowił się wygodnie, pomyślał, jak inaczej zachowałyby się Anna Summers czy nawet Anna Leath. Nie mówiłaby tak dużo, nie byłaby ani niespokojna, ani zażenowana; jej zachowanie nie byłoby naturalne, lecz „taktowne”. Niezwykłość sytuacji nie pozwoliłaby na sen, a gdyby zmęczenie wzięło na moment górę, zbudziłaby się nagle, niepewna, gdzie się znajduje i jak się tutaj dostała, i czy włosy ma w porządku; jedynie szpilka do włosów i lusterko mogłyby przywrócić jej pewność siebie...

Ta refleksja skłoniła go do zastanowienia, czy takie „ochronne” wychowanie nie mogło uczynić jej niezdolną do późniejszych kontaktów z życiem. Jak dalece zbliżyło do niego panią Leath małżeństwo i macierzyństwo? Czym bowiem były jej powściągliwość, jej uniki, jeśli nie rezultatem zabójczego procesu kształtowania damy? Świeżość, którą podziwiał, była jak nienaturalna biel kwiatu pędzonego sztucznie w ciemności.

Cofając się pamięcią do paru dni spędzonych razem, spostrzegął, że ich wzajemne stosunki były nacechowane z jej strony tymi samymi wahaniem, tą samą rezerwą, jaka zaciążyła na ich wcześniejszych kontaktach. Raz jeszcze mieli tę swoją godzinę i ona ją zmarnowała. Tak jak w młodości, jej oczy składały obietnice, których usta bały się dotrzymać. Nadal była przestraszona życiem, jego bezwzględnością, niebezpieczeństwami i tajemnicami. Pozostała rozpieszczoną dziewczynką, której nie wolno zostawiać samej w ciemnościach... Jego pamięć poszybowała wstecz do ich młodzieńczej przygody i dawno zapomniane szczegóły znowu stanęły mu przed oczami. Jakiż ten obraz był ulotny, nieostry! Oboje zdawali się widmowymi kochankami z greckich urn, wiecznie goniącymi za sobą. Do dziś nie wiedział dokładnie, co ich

rozdzieliło. Rozłąka była tak niespodziewana, jak odfrunięcie w przeciwną stronę dwóch nasionek na fali letniego powiewu...

Właśnie ta ulotność, niejasność wspomnień dodała im goryczy. Odczuł mistyczne cierpienie ojca tracącego dziecko, które ledwo zaczęło oddychać. Dlaczego stało się właśnie tak, kiedy najmniejsze przesunięcie wpływów mogło wszystko odmienić? Gdyby mu ją powierzono, wlałby ciepło w jej żyły i światło do jej oczu, uczyniłby z niej kobietę w każdym calu. Tak rozmyślając czuł, że coś zmarnował, a to jest najbardziej gorzkim żniwem doświadczenia. Miłość, jaką żywił, mogła się stać dla niej boskim darem odnowy, a teraz Anna jawiła mu się skazana przez los, chyląca się ku starości, powtarzająca te same gesty i słowa, które zawsze słyszała. Może nigdy się nie dowie, że za jej oszkloną, osłoniętą firankami świadomością życie ucieka jak czerń usiana gwiazdami światła, jak nocny krajobraz za oknami pociągu...

Parowóz zmniejszył prędkość przejeżdżając przez śpiącą stację. W świetle peronowych latarni Darrow spojrzał na siedzącą naprzeciw towarzyszkę. Głowa opadła jej na ramię, wargi rozchyliły się tak, że odbicie górnej wzmocniało czerwień dolnej. Wstrząsy pociągu znowu uwolniły pukiel nad uchem. Tańczył na policzku jak brunatne skrzydełko owada na kwiecie i Darrow odczuł nieodpartą chęć odsunięcia go z powrotem za ucho.

## 4

Kiedy automobil, jadąc z Dworca Północnego, skręcił w skrzące ognie Wielkich Bulwarów, Darrow wychylił się i wskazał na oświetlone schody.

– Tutaj!



Ponad portalem łuk z żarówek podkreślał nazwisko wielkiej aktorki, której ostatni występ w niezwykle oryginalnej sztuce stał się tematem długich artykułów w paryskich gazetach. Darrow przerzucił je w pociągu z Calais.

– Musi pani to zobaczyć, zanim zestarzeje się o dwadzieścia cztery godziny.

Dziewczyna skwapliwie spojrzała we wskazanym kierunku. Była już całkiem rozbudzona i ożywiona, jak gdyby głośny hałas uliczny oraz długie promienie światła przeniknęły do jej żył niczym wino.

– Cerdine? To ona tutaj występuje? – Wsunęła głowę przez okno i patrzyła do tyłu, żeby choć rzucić okiem na święte schody. Kiedy je minęli, osunęła się na siedzenie z westchnieniem ukontentowania. – Już sama świadomość, że wiem, gdzie ona teraz jest, to coś wspaniałego! Gdy byłam tu z Mamie Hoke, chodziłyśmy tylko do music hallów, bo ona nie rozumiała ani słowa po francusku. A kiedy potem mieszkałam u państwa Farlow, byłam bez grosza przy duszy i nie mogłam sobie pozwolić na teatr, oni także, toteż jedyną szansą było zaproszenie od ich przyjaciół – no i raz trafiłam na dramat z udziałem jakiejś rumuńskiej damy, a drugi raz we Francuskim na *L'Ami Fritz*.

Darrow roześmiał się.

– Teraz będzie lepiej. *Le vertige* jest dobrą sztuką i Cerdine wydobywa z niej zdumiewające akcenty. Musi pani pójść jutro wieczorem ze mną na to przedstawienie, oczywiście zabierając przyjaciół. To znaczy – dodał – jeżeli uda się zdobyć miejsca.

Błysk ulicznej latarni rozjaśnił jej uradowaną twarz.

– Och, pan naprawdę chce nas zabrać? Jak to miło pomyśleć, że już jest jutro!

Co za niezwykła przyjemność sprawić komuś taką radość! Darrow nie był bogaty, ale z trudem mógł sobie wyobrazić osobę, obdarzoną jego wrażliwością i smakiem, dla której niedościgłym zbytkiem było spędzenie wieczoru w teatrze. Przez głowę przemknęła mu odpowiedź pani Leath, gdy ją zapytał, czy widziała już tę właśnie sztukę: „Nie, oczywiście miałam zamiar, ale taki jest natłok spraw w Paryżu! Ponadto mam już dość tej Cerdine – zawsze człowieka ciągną, żeby ją oglądać”.

W towarzystwie, w którym bywał, nie należała do rzadkości taka postawa wobec tego rodzaju okazji. Było ich za dużo, aż do natręctwa, musiano się przed nimi bronić! Pamiętał, jak się wtedy zdziwił, że osobie o subtelny smaku taka wyjątkowa impreza mogła kiedykolwiek zubożeć. Czyżby głód piękna dawał się tak szybko zaspokoić, że tylko wyrzeczenie mogło go utrzymać? W każdym razie nadarzała się okazja przeprowadzenia doświadczeń: zapragnął pozostać w Paryżu tak długo, aż zdoła zmierzyć głód sztuki u panny Viner.

Ona nadal rozważała jego obietnicę.

– To zbyt piękne z pana strony! Czy pan naprawdę myśli, że zdobędzie bilety? – Następnie po pełnej szacunku pauzie dodała:

– Pewnie uzna mnie pan za osobę okropną, ale to może moja jedyna szansa, więc gdyby pan nie dostał biletów dla wszystkich, to mógłby pan zabrać tylko mnie? Pewno Farlowowie już na tym byli!

Rzecz jasna, nie uznał jej za okropną, raczej za jeszcze bardziej uroczą, niesłychanie naturalną, bez najmniejszego zażenowania okazującą zachłanność swojej wygłodzonej młodości.

– Jakoś się pani dostanie – przyrzekł jej wesoło.

Odchyliła się z westchnieniem radości, kiedy taksówka wjeżdżała na skąpo oświetlone ulice po drugiej stronie Sekwany, gdzie mieszkali państwo

Farlow.

Przypomniał sobie tę krótką jazdę następnego ranka, kiedy w hotelu otworzył okno, wpuszczając poranne hałasy Dworca Północnego.

Dziewczyna była blisko, w sąsiednim pokoju – to najpierw odnotowała jego budząca się świadomość. Następne było uczucie ulgi związane z obowiązkiem nałożonym nań przez nieoczekiwany obrót sprawy. Obudzić się z koniecznością działania, z koniecznością odłożenia jałowego rozpamiętywania osobistej przykrości – to wystarczający powód, aby czuć wdzięczność, nawet jeśli zakończenie drobnej przygody, w którą się wplątał, nie wzbudza większej ciekawości.

Kiedy poprzedniego wieczoru dotarli do domu na ulicy de la Chaise, po dłuższym dobijaniu się mogli jedynie stwierdzić, że państwa Farlow już tam nie ma. Wynieśli się tydzień temu nie tylko z mieszkania, ale i z Paryża. List i depesza panny Viner już ich nie zastały. Niewątpliwie nadal spoczywały w przegródce w łoży konsjerżki, ale ta, wyciągnięta ze swego wyrka, mrukliwie odmówiła panie Viner wszelkich informacji i dopiero otrzymawszy napiwek od Darrowa, wykrztusiła, że Amerykanie przenieśli się do Joigny.

Gonić tam za nimi o tej porze nie miało najmniejszego sensu i panna Viner, zaskoczona, ale nie speszona, z wielką prostotą przyjęła sugestię Darrowa, żeby spędzić pozostałą część nocy w hotelu, do którego odesłał swój bagaż.

Powrotna jazda przez ciemną ciszę przedświt, kiedy nocne blaski Bulwarów bładły wokół niczym fałszywe światła pałacu magika, tak podziałała na jej wrażliwość, że Sophy zdała się nie poświęcać ani jednej myśli swoim kłopotom. Kiedy mijali przyćmioną kolumnadę Teatru Francuskiego, podobną w blednącym świetle do świątyni, poczuł dotyk na

ramieniu i usłyszał okrzyk:

– Tu są rzeczy, które tak straszliwie pragnę zobaczyć!

Przez całą drogę do hotelu nie przestawała go wypytywać, z przenikliwą dokładnością i niekłamany pragnieniem szczegółów, o teatralne życie Paryża. Kiedy jej słuchał, na nowo go uderzyło, do jakiego stopnia jej naturalna bezpośredniość łagodzi skrepowanie, nadając ich kontaktom jedynie posmak miłego koleżeństwa. Choć wielu nazwałoby ten epizod „okropnym”, równie dobrze mógłby spacerować z driadą o wschodzie słońca po mokrym od rosy lesie. Darrowowi nasunęła się refleksja, że ludzie nie musieliby wymyślać taktu, gdyby najpierw nie wymyślili towarzyskich konwenansów.

Życzyli sobie wzajemnie dobrej nocy. Ustalili, że następnego ranka Darrow sprawdzi pociągi do Joigny i zawiezie ją na stację. Ale przy śniadaniu, czekając na rozkład jazdy, ponownie przypomniał sobie jej okrzyk radości, wywołany perspektywą zobaczenia Cerdine. Ta najbardziej nieobliczalna i nieuchwytna aktorka miała wyjechać w następnym tygodniu do Ameryki Południowej, więc trafiała się jedyna okazja zobaczenia jej w największej roli, toteż Darrow, ubrawszy się i wynotowawszy potrzebne informacje z rozkładu jazdy, postanowił podzielić się swymi rozważaniami z sąsiadką.

Drzwi się otworzyły, ledwo zastukał, i panna Viner stanęła w progu. Wyglądała, jakby po zanurzeniu się w lśniącym żywiole podpięła wszystkie opadające wici i oplotła się blaskiem świeżych liści.

– I co pan o mnie myśli?! – wykrzyknęła. Przyciskając rękę do piersi okręciła się, jakby prezentowała jakiś cud paryskiego projektanta mody.

– Myślę, że nadszedł oczekiwany kufer i że warto było na niego czekać!

– Naprawdę podoba się panu moja suknia?

– Szalenie! Zawsze uwielbiałem nowe suknie! Czyżby chciała pani powiedzieć, że nie jest nowa?

Roześmiała się triumfująco.

– Nie, nie, kufer wcale nie nadszedł i to jest moja stara szmata, miałem ją wczoraj na sobie, ale ta sztuczka nigdy nie zawiodła.

– Patrzył na nią ze zdziwieniem, więc dodała: – Widzi pan, zawsze musiałam się ubierać w stare ciuchy i często, kiedy inni mieli na sobie coś eleganckiego i nowego, czułam się okropnie nieszczęśliwa. Więc pewnego dnia – tłumaczyła radośnie – gdy pani Murrett niespodziewanie ściągnęła mnie na dół, żeby wypełnić puste miejsce przy stole, pomyślałam: spróbuję okręcić się dookoła i zapytam każdego: „No, i jak się państwu podobam?” I wie pan, wszyscy dali się nabrać, z panią Murrett włącznie, która nie poznała moich przenicowanych i przefarbowanych szmatek. Nawet powiedziała mi potem, że to w bardzo złym tonie ubierać się tak, jak gdybym była kimś, kogo goście powinni znać. Od tego czasu zawsze, kiedy mi szczególnie zależało na tym, żeby ładnie wyglądać, pytałam ludzi, co myślą o moim nowym stroju, i zawsze, ale to zawsze dawali się nabrać.

Tak żywo udramatyzowała swoją opowieść, że Darrow wyczuł, iż zyskuje nad nią przewagę.

– Ależ to potwierdza pani powołanie, oczywiście! – zawołał.

– Musi pani zobaczyć Cerdine. – A widząc, jak jej twarz powleka się smutkiem na myśl o zmianie zamiarów, spieszenie wyłożył swój plan. Stwierdził przy tym, jak łatwo daje się jej wszystko wytłumaczyć. Przynajmniej nie traci się czasu na protesty i zastrzeżenia ani nie hołduje bożkowi konformizmu – tylko tak albo nie. Przekonał się, że potrafi w każdym punkcie przewidzieć jej reakcję, co dało mu poczucie, iż posunął się

tak daleko w zażyłości, że może wytoczyć argumenty przeciw natychmiastowej pogoni za jej przyjaciółmi.

Oczywiście nie miałyby sensu – zgodziła się natychmiast – pędzić za nimi bez pewności, że jakoś się w Joigny urządzili i że mogą ją u siebie przyjąć. Uznała za więcej niż prawdopodobne, iż pojechali tam w celu zaoszczędzenia wydatków i wynajęli mieszkanie zbyt małe, żeby ją gościć. W tych warunkach byłoby nie fair narzucać się im bez uprzedzenia. Najprostszy sposób, żeby się dowiedzieć czegoś więcej, to wrócić na ulicę de la Chaise i o bardziej odpowiedniej do rozmowy porze spróbować raz jeszcze wypytać konsjerżkę. Być może okaże się mniej skąpa w udostępnianiu szczegółów i na podstawie uzyskanych informacji będzie można podjąć decyzję o następnym posunięciu.

Z każdą chwilą narastało w niej przekonanie, że zważywszy pospieszną ucieczkę, państwo Farlow mogli znaleźć się w sytuacji, w której jej nagłe wtargnięcie może się okazać zupełnie niepożądane. Troska o los przyjaciół jak gdyby wyeliminowała wszelką myśl o sobie, Darrowowi zaś ten drobny rys jej charakteru sprawił przeogromną wręcz przyjemność. Sophy przyznała, że należy udać się bez zwłoki na ulicę de la Chaise, ale odrzuciła jego propozycję, żeby wziąć taksówkę, i oświadczyła, że nie wolno stracić okazji przespacerowania się po Paryżu. Poszli więc pieszo, wtopieni w miły uliczny gwar.

Spacer był dostatecznie długi i pozwolił Darrowowi dowiedzieć się o niej wielu rzeczy. Nocna burza oczyściła powietrze i Paryż lśnił w porannej krasie pod niebem zszytym z wilgotnych błamów bieli i błękitu. Darrow stwierdził, że jej wrażliwość wizualna była mniej ostra niż to, co poczciwi państwo Farlow – których jak gdyby już poznał – nazwaliby „zainteresowaniem człowiekiem”. Jakby nie docierały do niej kształty i



barwy czy wrażenia opierające się na wyobraźni. Widoki przed ich oczami – wspaniała sceneria żywo poruszająca jej towarzysza – rozpadały się w jej analizie na tysiące mniej ważnych drobiazgów, na wystawy sklepowe, charaktery i rodzaje zajęć wyczytane z twarzy przechodniów, znaki drogowe, nazwy mijanych hoteli, pstrą jaskrawość wózków z kwiatami, podobieństwo kościołów i gmachów publicznych, które jej wpadły w oko. Domyślał się, że najbardziej lubiła przebywać za granicą, spacerować w jasnym powietrzu i paplać do woli, podczas gdy nogi niosą w rytmie potężnej symfonii miejskich dźwięków. Radość, że oddycha rześkim powietrzem, swobodna w blaskach poranka, pozwoliła mu lepiej zrozumieć jej okaleczoną przeszłość. Nie pozostał także obojętny na spostrzeżenie, jak bardzo jego obecność wzmacnia jej radosny nastrój. Miał dla niej wielką wartość. Bodaj tylko jako życzliwy słuchacz. Dziewczyna straszliwie pragnęła znaleźć kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, przed kim mogłaby się otworzyć, wytrząsnąć z siebie ubogie emocje, tłumione przez lata. Z litości, jaką wzbudziła, zrodziło się w nim pragnienie wypełnienia po brzegi tych jej kilku godzin wolności.

Miała talent do zwięzłych definicji, toteż jego pytania o życie, jakie wiodła u Farlowów w czasie krótkiego interregnum między Mamie Hoke a panią Murrett, pozwoliły jej odmalować dziwaczny epizod paryskiej egzystencji. Państwo Farlow – on malarz, ona „dziennikarka pisująca do magazynów” – objawili mu się w całej nieskalanej prostocie: starsze małżeństwo z Nowej Anglii, z pewnymi ciągotami do libertynizmu, żyli w Paryżu jak na prowincji gdzieś w stanie Massachusetts, pokładając nadzieję w galickiej naturze swych gospodarzy. Niezwykle żywo opisywała mu postacie środowiska, z którego pani Farlow czerpała materiał do *Migawek z życia Francuzów*, drukowanych pod jej nazwiskiem w wiodącym czasopiś-

mie Nowej Anglii: a więc rumuńską damę, która dała im bilety na swój spektakl, starszego francuskiego dżentelmena, który po tygodniowym pobycie w Folkestone tłumaczył angielskie powieści dla prowincjonalnej prasy, panią z Wichita w stanie Kansas, która Walczyła o wolną miłość i zniesienie gorsetów, wdowę po kapłanie z Torquay, która napisała *Przewodnik po cudzoziemskich galeriach dla angielskich pań*, oraz rosyjskiego rzeźbiarza, żywiącego się herbatnikami i będącego „prawie na pewno” anarchista. Ci stanowili jądro, otoczka zaś składała się z amerykańskich studentów architektury, adeptów szkół muzycznych i innych uczelni, którzy stosownie do bogatych pomysłów pani Farlow udawali to *Życie uniwersyteckie*, to *Salon na Fauborg St. Germain*, bądź grupę *Paryskich intelektualistów* albo *Przekrój Montmartre’u*. Ale nawet jej zdolności do wydobywania najróżnorodniejszych efektów literackich nie wystarczały, żeby stworzyć stałe zapotrzebowanie na *Migawki*, i zdarzało się – gdyż pejzaże pana Farlowa było równie trudno sprzedać – że czasowe wycofanie się na wieś (w następstwie zatytułowane *Migawka z życia zamków*) stawało się koniecznością dla tej dzielnej pary.

Pięć lat panowania pani Murrett wprawdzie wzmogło czułość Sophy wobec państwa Farlow, ale nie pozostawiło złudzeń co do możliwości poprawy ich losu. Nie ukrywała przed Darrowem, że jej teatralne plany były niesłychanie mgliste. Zależały głównie od problematycznej dobrej woli starej aktorki, z którą łączyła panią Farlow dalsza znajomość (szeroko wykorzystana w artykułach *Gwiazdy francuskiej sceny* i *Kulisy Teatru Francuskiego*), a która kiedyś wysłuchała, jak panna Viner deklamuje *Majową noc*, i pochwaliła ją.

– Oczywiście zdaję sobie sprawę, ile to jest warte – przerwała Sophy z błyskiem właściwej sobie bystrości. – Poza tym nie sędzę, żeby biedna stara

mumia, Madame Dolle, znalazła kogoś, kto by jej zechciał wysłuchać, nawet jeśli naprawdę uważa, że mam talent. Ale może przedstawić mnie komuś, a przynajmniej udzielić mi wskazówek. Gdyby mi się udało, zarobiłabym tyle, żeby opłacić lekcje. Zwróciłabym się wtedy do znanych aktorów i pracowała pod ich kierunkiem. Mam nadzieję, że państwo Farlow znajdą dla mnie jakąś amerykańską rodzinę w Paryżu, która by zechciała mnie zatrudnić, tak jak państwo Hoke, zostawiając mi dość czasu na studia.

Na ulicy de la Chaise dowiedzieli się niewiele. Otrzymali jedynie dokładny adres państwa Farlow oraz informację, że przed wyjazdem podnajęli swoje mieszkanie. Po uzyskaniu tej wiadomości Darrow zaproponował pannie Viner spacer po nabrzeżu do restauracyjki z widokiem na Sekwanę, żeby tam, nad *plat du jour* rozważyć następny krok. Po długiej wędrówce jej policzki pały, świadcząc o zdrowym apetycie, toteż nie certowała się wcale i przyjęła zaproszenie. Wrócili nad rzekę i poszli w kierunku Notre Dâme, od czasu do czasu przystając; nieodpartą pokusę stanowiły dla Darrowa stragany bukinistów. Ciągłe świeżym okiem patrzył na zmienne piękno scenerii. Przez ostatnie dwa lata jego wzrok chłonał obraz Londynu: tajemniczą fuzję ciemnego, spiętrzonego miasta z niskim, bitumicznym niebem, toteż przejrzystość paryskiego powietrza, która podkreślała klasyczne linie zielonych parków i srebrzystych kamieni, a zarazem ich subtelną harmonię, frapowała go nasuwając myśl o całkowitym zespoleniu. Każda linia architektury, każdy łuk mostów czy skręt potężnej, jasnej rzeki przyczyniały się do tego efektu, wywierały na wrażliwym odbiorcy swoisty urok. Spacer ulicami Paryża zawsze przypominał Darrowowi rozwijanie wielkiego starego gobelinu, z którego unoszą się niezliczone nagromadzone w nim zapachy.

Pannę Viner – jak ponownie stwierdził, siedząc z nią przy stoliku pod

niskim oknem wychodzącym na Sekwanę – Paryż urzekł swymi rozrywkami, nie kończąca się pomysłowością w tworzeniu miłej atmosfery. Gdzie jeszcze można znaleźć takie śliczne przystawki, *hors d'oeuvres*, symetrycznie ułożone anchois i rzodkiewki, cienkie złote muszle masła, leśne poziomki i brązowe dzbanuszki śmietany, nadające posiłkom rustykalne wyrafinowanie. Zapytała, czy nie zauważył, że potrawy zawsze wyrażają narodowy charakter i że francuskie jedzenie jest mądre i zabawne, bo tacy są tu ludzie. A dania upodabniają się do rozmów: dokładnie takie same banały wpadają do ust, jak się z nich wydobywają. Czy wyobraża sobie, co to byłoby za menu, gdyby jakaś wróżka skinęła czarodziejską różdżką i zamieniła nagle konwersacje podczas londyńskich obiadów w pieczone i puddingi? Zawsze uznawała za dobry znak, jeśli ktoś lubił duszoną baraninę z kartoflami; to świadczyło, że lubi zmiany i niespodzianki i że bierze życie takim, jakie ono jest. Albo świetna paryska wersja potrawy *navarin*, którą właśnie podają do ich stolika; jest jak najlepszy gatunek rozmowy – kiedy nikt nie umie przewidzieć, co zostanie powiedziane!

Obserwując, jak ją cieszy ich skromna ucztą, Darrow zastanawiał się, czy jej żywość i bystrość przypisać powołaniu. Należała do kobiet, u których pewni ludzie natychmiast rozpoznaliby talent sceniczny. Jednakże doświadczenie nasunęło mu myśl, że z wyjątkiem twórczych chwil boski ogień płonie głęboko w jego posiadaczach i pochłania całą substancję istnienia, nie pozostawiając miejsca dla indywidualności. Tymczasem siedząca tu dziewczyna, ze swą wyrazistą twarzą i pomysłowością, była chyba predestynowana do działania w prawdziwym życiu, a nie jego imitacjach.

Kawa z likierem stała już na stoliku, kiedy Sophy nagle powróciła

myślą do państwa Farlow. Zerwała się z miejsca i oświadczyła, że musi do nich natychmiast zadeszować. Darrow poprosił o przybory do pisania; zrobili miejsce na blacie dla wyschniętego kałamarza i zużytej firmowej suszki, ale widok tych sfatygowanych przyborów jak gdyby sparaliżował pannę Viner. Pochyliła się nad blankietem depeszy z niespokojnie ściągniętymi brwiami, obsadkę pióra przyciskając do warg. Wreszcie podniosła niepewnie wzrok na Darrowa.

– Po prostu nie mam pojęcia, jak to ująć.

– Co? Że zatrzymuje się pani, aby zobaczyć Cerdine?

– Ale czy ja... naprawdę? – Radość rozjaśniła jej twarz.

Darrow spojrział na zegarek.

– Nawet jeżeli przyjaciele zechcą panią gościć, wątpię, aby mogła pani otrzymać odpowiedź na tę depeszę tak szybko, żeby zdążyć na popołudniowy pociąg do Joigny.

Przez chwilę zastanawiała się, lekko uderzając obsadką o wargi.

– Ale muszę ich zawiadomić, że tu jestem. Muszę wiedzieć jak najprędzej, czy mogą mnie przyjąć. – Z rozpaczą opuściła pióro.

– Nigdy nie umiałam ułożyć depeszy – westchnęła.

– To niech pani spróbuje napisać list, zapowiadając swój przyjazd na jutro.

Ta sugestia przyniosła natychmiastową ulgę. Sophy energicznie zanurzyła pióro w kałamarzu, ale po nieudanej próbie naskrobania paru słów znowu się zatrzymała.

– Och, to okropne! Nie wiem, na Boga, co mam powiedzieć. Za skarby świata nie chciałabym ich informować, co za ohydna osoba i tej pani Murrett.

Darrow nie uznał za stosowne odpowiedzieć. W końcu nie była to jego

sprawa. Zapalił cygaro, odchylił się do tyłu, pozwalając oczom napawać się miłym widokiem. W ferworze twórczych poszukiwań Sophy zsunęła do tyłu kapelusz, uwalniając pukiel włosów, który tak go kusił zeszłej nocy. Popatrzył na niego przez chwilę, po czym wstał i podszedł do okna.

Za plecami słyszał skrobanie pióra.

– Nie chcę im sprawiać kłopotu, jestem pewna, że mają dość własnych zmartwień. – Skrzywienie pióra znowu ustało. – Ależ ze mnie idiotka! Wszystkie słowa uciekają ze strachu, kiedy je usiłuję złapać.

Obejrzał się i popatrzył na nią z uśmiechem: pochylona nad kartką wyglądała jak uczennica walcząca z wypracowaniem. Rumieńce na policzkach i ściągnięte brwi potwierdzały, że naprawdę się trudzi, że nie jest to wybieg, aby przywołać go do siebie. Ta niemożność ujęcia swoich myśli na piśmie wydała mu się charakterystyczna dla jej wrażliwego umysłu, ulegającemu ciągłej galopadzie emocji. Pomyślał o listach Anny Leath, a raczej o tych nielicznych, otrzymanych wiele lat temu od młodej Anny Summers. Ujrzał smukłe, stanowcze litery, wspomniawszy jasną budowę zdań i nagle uświadomił sobie, że właśnie w tej chwili taki list mógł na niego czekać w hotelu.

A jeżeli naprawdę tam leży, kryjąc pełne wyjaśnienie treści telegramu? Zwrot w uczuciach wywołany tą myślą sprawił, że spojrzawszy na dziewczynę z nagłym zniecierpliwieniem. Wydała mu się zdecydowanie głupia i dziwił się sam sobie, jak mógł stracić dla niej pół dnia, kiedy przez cały ten czas list od pani Leath być może leżał na jego biurku. Gdyby w tym momencie miał wybór, opuściłby swoją towarzyszkę natychmiast; ale skoro się nią zaopiekował, musi ponosić konsekwencje.

Wiedziona dziwną intuicją Sophy wyczuła zmianę jego nastroju. Zerwała się na równe nogi i zmięła kartkę.



– Jestem zupełną idiotką. Nie będę pana dłużej zatrzymywać. Wracam do hotelu i tam napiszę.

Rumieniec się pogłębił i po raz pierwszy, gdy ich oczy się spotkały, zauważył w jej spojrzeniu pewne zażenowanie. Czy to możliwe, żeby jego bliskość była przyczyną jej zmieszania? Na tę myśl lekkie zniecierpliwienie zmieniło się w zdecydowaną złość na siebie. Doprawdy, nic nie usprawiedliwiało wpakowania się w taką przygodę. Dlaczego nie załadował dziewczyny do wieczornego pociągu do Joigny, zamiast namawiać ją do odłożenia wyjazdu, używając Cerdine jako przynęty? W Paryżu roiło się od znajomych i jego irytacja rosła na myśl, że jacyś przyjaciele pani Leath mogą zobaczyć go w teatrze i donieść jej, iż towarzyszył podejrzanie uroczej pannie. Taka ewentualność była mu wyraźnie niemiła; nie chciał, żeby uwielbiana kobieta przypuszczała, że zapomniał o niej bodaj na chwilę. Nabrał niezbitą pewności, że list od niej czeka w hotelu, a nawet posunął się jeszcze dalej – wyobraził sobie, iż anuluje on telegraficzny zakaz i wzywa go do natychmiastowego przyjazdu...

## 5

Z ust recepcjonisty padły słowa: *Pas de lettres*, burząc gmach nadziei.

Pani Leath nie napisała, nie zadała sobie trudu wytłumaczenia depeszy. Darrow odszedł, boleśnie smagnięty doznany upokorzeniem. Jej oszczędne milczenie drwiło z jego rozrzutnych nadziei i obaw. Już raz zadał to pytanie portierowi, gdy wracał do hotelu po śniadaniu, a teraz, późnym popołudniem, spotkał się z taką samą odpowiedzią.

Rzucił okiem na zegarek i stwierdził, że ledwo starczy mu czasu, aby się przebrać, jeśli chce zaprowadzić pannę Viner na obiad. Już dochodził do



windy, kiedy wpadła mu do głowy nowa myśl. Spiesznie wrócił do hallu i skreślił depeszę do swego służącego: „Czy przesłaliście dzisiaj list z francuskim znaczkiem? Zadepeszować: «Terminus»”.

Odpowiedź musi dotrzeć do niego po powrocie z teatru, a wtedy będzie wiedział ostatecznie, czy pani Leath zamierza napisać do niego, czy nie. Z lżejszym sercem wpadł do pokoju i szybko się przebrał.

Wędrujący kufer panny Viner odnalazł wreszcie drogę do właścicielki. Odziana ze skromną elegancją, patrzyła rozpromieniona na Darrowa siedzącego naprzeciw niej przy restauracyjnym stoliku. Zraniona próżność kazała mu stwierdzić, że jest ładniejsza i bardziej interesująca niż przedtem. Ukośne wycięcie dekoltu ukazywało pełną wdzięku, delikatną szyję, a szerokie rondo kapelusza okalało głowę niczym mgiełka aureoli. W jej oczach i na wargach tańczyła radość i kiedy tak na niego patrzyła przy migoczących świecach, poczuł, że wcale by się nie zmartwił, gdyby ktoś go zobaczył z nią w publicznym miejscu. Nawet omiótł od niechcienia wzrokiem salę, z niejasną nadzieją, że może dostrzeże kogoś ze znajomych.

W teatrze jej żywość zmieniła się w skupienie. Siedząc w kącie łoży, wyglądała jak neofita, który ma za chwilę dostąpić wtajemniczenia. Darrow usiadł za nią, żeby widzieć jej profil patrząc na scenę. Wzruszyła go młodzieńcza powaga jej twarzy. Pomimo doświadczeń oraz dwudziestu czterech lat, do których się przyznawała, zadziwiła go jej wewnętrzna młodość; jak taka ulotna cecha mogła się uchować w wyjaławiającej atmosferze domu pani Murrett? W miarę rozwijania się akcji zauważył, że jej skupienie sprzyjało odbiorowi. Nic nie uchodziło jej uwagi, a intensywność doznań, kiedy na scenie była Cerdine, zdradzały niespokojnie ściągnięte brwi.

Po pierwszym akcie przez parę minut siedziała w ekstazie, bez ruchu,

po czym obróciła się do swego towarzysza i zalała go potokiem pytań. Wywnioskował z nich, że mniej ją interesował przebieg akcji niż obserwowanie szczegółów interpretacji. Zauważała i analizowała każdy gest, każdą modulację głosu aktorki i Darrow odczuwał w duchu wdzięczność za to, że się do niego zwracała jak do znawcy. Jego *dotychczasowe* zainteresowanie sztuką sceniczną nie przekraczało właściwie ciekawości, *jaką* darzył wszelkie formy artystycznego wyrazu. Ale w odpowiedzi na jej pytania potrafił wygłaszać opinie, które panna Viner wyraźnie uważała za frapujące i oryginalne, co mu w gruncie rzeczy nie sprawiało przykrości. Sophy bardziej zależało na wysłuchaniu jego zdania niż na wyrażeniu własnego, szacunek zaś, z jakim odbierała jego komentarze, rodził w nim głębsze myśli o teatrze, o które nigdy by się nie posądzał.

W drugim akcie zaczęła zwracać większą uwagę na rozwój fabuły, chociaż jej zainteresowanie budziło raczej to, co nazywała „wątkiem”, niż konflikty charakterów. Z ostrym odbiorem detali scenicznych i znajomością sztuczek technicznych dziwnie łączył się jej prymitywny stosunek do samej treści jako do czegoś, co się „naprawdę zdarzyło” i przy czym się asystuje jak przy ulicznym wypadku lub kłótni dobiegającej z sąsiedniego pokoju. Wypytywała, czy Darrow sądzi, iż kochanków „naprawdę spotka” grożąca im katastrofa, a kiedy jej przypomniał, że jego przewidywania nie mają żadnej wartości, gdyż sztukę tę już oglądał, wykrzyknęła; „Och, to proszę mi nie mówić, co się stanie!” i już w następnej chwiliypytywała o karierę Cerdine i jej życie prywatne. W tej ostatniej materii interesowały ją sprawy, o które młode dziewczyny zwykle nie pytają, ale pozorna nieświadomość tego faktu rzucała światło raczej na jej dawne towarzystwo niż na nią samą.

Kiedy się skończył drugi akt, Darrow zaproponował wyjście do foyer.

Usiedli na wąskiej, obitej czerwonym aksamitem kanapce i patrzyli na tłum snujący się tam i z powrotem w blasku światła i złocenia. Sophy zaczęła się uskarżać na gorąco, więc przepychając się przez ciżbę, zaprowadził ją do kawiarenki u podnóża schodów, gdzie między ramionami stłoczonych *consommateurs* podano jej oranżadę. Gdy Sophy sączyła napój przez słomkę, Darrow zapalił papierosa. Czul prymitywną dumę mężczyzny, na którego towarzyszkę gapią się inni panowie.

Na ich stoliku leżała zmięta gazeta teatralna. Zauważyła ją, zaczęła czytać, po czym oderwała od niej oczy wydając entuzjastyczny okrzyk:

– Jutro po południu w Teatrze Francuskim dają *Edypa!* Przypuszczam, że widział go pan nie raz!

Uśmiechnął się.

– Pani także musi go zobaczyć – powiedział. – Wybierzemy się razem.

Przyjęła tę propozycję z westchnieniem, ale jej nie odrzuciła.

– Chyba nie mogę. Ostatni pociąg do Joigny odchodzi o czwartej.

– Ale pani dotychczas nie wie, czy przyjaciele chcą ją widzieć.

– Dowiem się jutro rano. Prosiłam panią Farlow, żeby zadepeszowała, jak tylko otrzyma mój list.

Darrow poczuł lekkie ukłucie skruchy. Jej słowa przypomniały mu, że kiedy po śniadaniu wrócili do hotelu, Sophy dała mu swój list do wysłania, a jemu całkiem wyleciało to z głowy. List na pewno został w kieszeni ubrania, które zmienił idąc na obiad. Zmieszany odsunął swoje krzesło, a ten ruch sprawił, że posłała mu spojrzenie.

– Co się stało?

– Nic. Nic, ale wie pani, nie sądzę, żeby ten list trafił do poobiedniej poczty.

– Nie trafił? Dlaczego?

– Obawiam się, że było już za późno. – Pochylił głowę zapalając następnego papierosa.

Klasnęła w dłonie gestem, który – jak to zauważył z rozbawieniem – przejęła od Cerdine.

– O Boże, o tym nie pomyślałam! Ale na pewno dotrze do nich rano?

– Tak przypuszczam. Wie pani, francuskiej prowincjonalnej poczcie nigdy się nie spieszy. W każdym razie nie sędzę, żeby pani list został im doręczony jeszcze dziś wieczorem. – Kiedy ten wykręt przyszedł mu na myśl, poczuł się prawie rozgrzeszony.

– Może powinnam była zadeszować?

– Jeśli pani tak uważa, to wyślę do nich rano depeszę.

Dzwonek anonsujący koniec antraktu rozległ się w kawiarence i Sophy skoczyła na równe nogi.

– Chodźmy, chodźmy. Nie możemy tego przegapić!

Natychmiast zapomniawszy o Farlowach, wsunęła mu rękę pod ramię i obróciła się, żeby utorować sobie drogę z powrotem do łoży.

Gdy tylko kurtyna poszła w górę, tak samo szybko zapomniała o swoim towarzyszu. Obserwując ją z kącika, do którego znów się wcisnął, *Darrow* widział, jak wielkie fale emocji cudownie napływają do jej mózgu. Jakby wygłodzona wrażliwość wysuwała macki ku wzbierającemu przyływowi; jak gdyby wszystko to, co oglądała, co słyszała, co sobie wyobrażała, spieszyło wypełnić pustkę.

Kiedy ją obserwował, znowu odczuł bezinteresowną przyjemność z jej rozradowania. Była niezwykłym przewodnikiem wrażeń, jakby przenosiła je fizycznie, aż krew tańczyła w jej żyłach. Doznał przelotnej chęci, by samemu dostąpić podobnej przyjemności.

Pod koniec drugiego aktu stwierdziła z konsternacją, że w drodze do kawiarni zgubiła pięknie ilustrowany program, który jej kupił. Chciała wracać i szukać go, ale Darrow zapewnił, że bez najmniejszego kłopotu zdobędzie dla niej nowy. Zatrzymała go w drzwiach łoży, protestując; zrozumiał, że martwi ją myśl, iż będzie musiał wydać na nią jeszcze jednego franka. Zaskoczyła go ta oszczędność, kontrastująca z jej naturalną, radosną rozrzutnością, i poczuł, że chciałby wyrównać tę krzywdzącą niesprawiedliwość.

Kiedy wrócili do łoży, ona nadal stała w drzwiach. Zauważył, że przyciąga nie tylko jego oczy. Wtem coś innego odwróciło jego uwagę. Ponad zmęczonymi twarzami paryskiego tłumu dostrzegł świeżą, ładną twarz Owena Leatha, który dawał mu radosne znaki.

Młodzieniec, smukły i ruchliwy, opuścił swoich dwóch towarzyszy i starał się przepchnąć przez tłum do przyjaciela macochy. To spotkanie było dla Darrowa jak najbardziej niepożądane, wywołało zmieszanie, które lekko tylko uśmierzył widok Sophy Viner, znikającej – jakby za podszeptem instynktu – w głębi łoży.

W chwilę później Owen Leath stał już przy nim.

– Byłem pewien, że to pan! Ale mam szczęście, żeśmy się spotkali! Czy nie poszedłby pan z nami na kolację po przedstawieniu? Na Montmartre czy gdziekolwiek miałby pan ochotę? Tamci dwaj to moi koledzy, studenci Akademii Sztuk Pięknych, raczej sympatyczni, i bylibyśmy ogromnie radzi...

Przez pół sekundy Darrow widział w jego zapraszającym spojrzeniu **słowa:** „... gdyby towarzyszył nam pan razem z tą panią”.

– Tak, wszyscy bylibyśmy ogromnie radzi, gdyby pan z nami poszedł – dokończył Owen.

Darrow odmówił z wyrazami żalu i zatrzymał się na parominutową pogawędkę. Każde słowo, ton głosu młodzieńca były jak ostre światło skierowane na podrażnione oczy. Darrow z ulgą powitał dzwonek wzywający widzów na miejsca.

Gdy wrócił do panny Viner, jego pierwszą troską było rozejrzenie się po widowni, aby się upewnić, czy ze swego miejsca Owen Leath nie może zobaczyć ich w loży. Ale ponieważ go nie wypatrzył, więc doszedł do wniosku, że tamten nie widział go u boku towarzyszki. Nie bardzo wiedział, dlaczego wyjaśnienie tej kwestii było dla niego tak ważne, ale na pewno nie tyle przez wzgląd na pannę Viner, ile z nie odstępującej go wizji poważnych, obrażonych oczu...

W czasie jazdy do hotelu ta wizja nie opuszczała go. Podtrzymywała ją myśl, że wieczorna poczta mogła przynieść list od pani Leath. Nawet jeżeli nie nadszedł dotąd, służący mógł do niego zadepeszować, że list jest w drodze. I ta myśl sprawiała, że jego zainteresowanie towarzyszką stygło, przeradzało się w braterskie, a nawet ojcowskie uczucie. W końcu była dla niego tylko ponętym młodym stworzeniem, któremu z niejaką przyjemnością zaproponował wieczorną rozrywkę. Toteż kiedy wjeżdżali na oświetlony dziedziniec hotelowy i ona raptownie odwróciła się ku niemu, co sprawiło, że jej twarz znalazła się blisko jego twarzy, odsunął się udając, iż jest zajęty otwieraniem drzwi taksówki.

Nocny portier, daremnie przeszukawszy przegródki, przypomniał sobie, że jakiś list czy telegram rzeczywiście został zanieiony do numeru. Po tej wiadomości Darrow nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się u siebie. Na górze mieli jeszcze do przebycia długi, słabo oświetlony korytarz. Gdy Sophy zatrzymała się na progu swego pokoju, zebrała jedną ręką fałdy sukni, drugą zaś wyciągnęła do Darrowa.



– Jeżeli depesza przyjdzie wcześniej, to wyjadę pierwszym pociągiem, więc myślę, że już się zegnamy – powiedziała, a jej oczy przesłoniła lekka mgiełka żalu.

W nowym przypiływie skruchy Darrow uświadomił sobie, że znów zapomniał o jej liście, i kiedy ich dłonie się spotkały, złożył w duchu przysięgę, że jak tylko się rozstaną, natychmiast pobiegnie go nadać.

– Och, na pewno jeszcze spotkamy się rano!

Iskierka radości oświetliła jej twarz, kiedy tak stał przed nią z nieco zażenowanym uśmiechem.

– A w każdym razie chciałabym panu podziękować już teraz za mój wspaniały dzień.

Poczuł w jej dłoni to samo drgnięcie, które zauważył na twarzy.

– Ależ wręcz odwrotnie, to ja pani... – zaczął unosząc jej rękę do warg.

Kiedy ją wypuścił i ich oczy się spotkały, w jej spojrzeniu przemknęło coś jak błysk światełka za przesłoniętym firanką oknem.

– Dobranoc, musi pani być potwornie zmęczona – powiedział z przyjacielską szorstkością i oddalił się nie czekając nawet, żeby weszła do pokoju.

Otworzył swoje drzwi, potknął się w progu, namacał w ciemności kontakt. Światło wydobyło leżący na biurku telegram, zapomniał o wszystkim.

"Żadnego listu z Francji" – głosiła depesza.

Wysunęła mu się z ręki na podłogę. Opadł na fotel i siedział gapiąc się w wypłowiałe brązowozielone wzory na dywanie. A więc nie napisała. Nie napisała. I teraz stało się oczywiste, że nie zamierzała napisać. Gdyby miała bodaj najmniejszą chęć wyjaśnić swój telegram, na pewno w ciągu



dwudziestu czterech godzin wysłałaby za nim list. Jej milczenie mogło znaczyć tylko tyle, że albo nie istniało żadne wytłumaczenie, albo była zbyt obojętna, aby odczuć jego potrzebę.

Wobec takiej alternatywy ogarnęło Darrowa chłopięce rozżalenie. Teraz już nie zraniona próżność doszła do głosu. Powiedział sobie w duchu, że mógłby wytrzymać ten ból, gdyby tylko obraz pani Leath pozostał nietknięty, ale nie potrafił znieść myśli o niej jako o kimś banalnym i nieszczerym. Udręka stała się tak wielka, że poczuł ślepą chęć ukarania kogokolwiek za przykrość, jaką wyrządziła mu Anna.

Siedział wpatrzony w dywan. Jego głupie zawijasy stopiły się w jedną rozmazaną plamę, z której znowu spoglądały na niego oczy pani Leath. Zobaczył delikatnie uniesione brwi, przenikliwe spojrzenie, kiedy się rozstawali ostatniego wieczoru w Londynie. „Myślę, że już się żegnamy” – powiedziała, a jego uderzyło, że w ten sam sposób odezwała się panna Viner.

Zerwał się na równe nogi i ściągnął z wieszaka płaszcz, w którym był list Sophy. Zegar wskazywał trzy kwadranse po północy. Darrow wiedział dokładnie, że nie ma żadnej różnicy, czy uda się do skrzynki teraz, czy nazajutrz rano, chciał mieć jednak czyste sumienie. Wyjął list i ruszył ku drzwiom.

Zatrzymał go jakiś odgłos w sąsiednim pokoju. Znowu zdał sobie sprawę, że o parę stóp dalej, po drugiej stronie cienkiej ściany, pełga płomyk życia. Twarz Sophy natarczywie wracała mu przed oczy. Była teraz tak żywa, jak przed chwilą twarz pani Leath. Z lekkim uśmiechem przypomniał sobie, jaką radość sprawił dziewczynie ten wieczór, jak wypuszczała niezliczone cieniutkie czułki, żeby lepiej odbierać wrażenia.

Dało mu to dziwnie bliskie poczucie jej obecności, aż pomyślał, że w

tym momencie ona przeżywa swoją radość, tak jak on swoją przykrość. Własna sytuacja była nie do naprawienia, ale obdarowanie jej jeszcze kilkoma godzinami przyjemności nie nastęczało bynajmniej większych kłopotów. Czyż ona nie oczekiwała tego w skrytości ducha? W końcu gdyby jej tak bardzo zależało na spotkaniu z przyjaciółmi, zdepeszowałaby zaraz po przyjeździe do Paryża, zamiast wysłać list. Zastanowiło go teraz, jak mógł nie zauważyć we właściwym momencie jej nią skrywanych zabiegów, aby zyskać na czasie. Fakt, że tak postępowała, nie zaważył negatywnie na jego opinii, raczej wzmocnił chęć wykorzystania okazji. To biedne dziecko z całej duszy pragnęło bodaj najmniejszej rozrywki, odrobiny osobistego życia – dlaczego więc nie dać mu okazji spędzenia jeszcze jednego dnia w Paryżu? Gdyby tak postąpił, czy nie wyszedłby po prostu naprzeciw jej nadziejom?

Przy tej myśli odżyła sympatia do niej. Wzbudzając jego zainteresowanie, Sophy stała się dlań ucieczką od samego siebie. Przestał tak dojmująco odczuwać samotność, ponieważ ona była obok, za sąsiednimi drzwiami, i z wdzięczności za doznaną ulgę zaczął z leniwym rozbawieniem obmyślać nowe sposoby zatrzymania jej. Zagłębił się ponownie w fotel, zapalił cygaro i lekko się uśmiechnął, widząc w myśli jej radosną twarz. Próbował sobie wyobrazić, jaki incydent z tego dnia Sophy rozpamiętuje w tym momencie i jaką on odegrał w nim rolę. Miał pewność, że nie małą, i ta świadomość była mu niewątpliwie miła.

Poprzez obłoki dymu cygara jego wyobraźnia dalej towarzyszyła dziewczynie, kreśliła linie jej młodych, smukłych ramion, kiedy je podnosiła, żeby rozpuścić włosy, malowała osuwanie się sukni, najpierw do pasa, potem do kolan, oraz biel stóp sunących po podłodze do łóżka...

Wstał, otrząsnął się ziewając, rzucił niedopałek cygara. Podążając za

nim wzrokiem, dostrzegł telegram, który spadł na podłogę. Odgłosy w sąsiednim pokoju ustały, znowu poczuł się samotny i nieszczęśliwy.

Otworzył okno, oparł dłonie na parapecie i spojrzał na rozległe, lśniące od świateł miasto, a potem na ciemne niebo, na którym już jaśniała gwiazda zaranna.

## 6

Nazajutrz po południu w Teatrze Francuskim Darrow ziewał i wiercił się na krześle.

Dzień był ciepły, teatr przepelniony i duszny, przedstawienie – jego zdaniem – beznadziejne. Z ukosa zerknął na swą towarzyszkę, ciekaw, czy podziela jego odczucie. Jej profil nie zdradzał niezadowolenia, ale może tylko przez grzeczność udawała zainteresowanie, którego tak naprawdę spektakl nie budził.

Niecierpliwie odchylił się do tyłu powstrzymując ziewnięcie, i nawet nie usiłował skupić uwagi na scenie. Nie był nieczuły na ponure uroki antycznych dramatów, ale interpretacja wydawała mu się równie dławiąca i pozbawiona życia, jak atmosfera w teatrze. Tych samych aktorów często oklaskiwał w identycznych rolach i może to właśnie wzmagало wrażenie, że przedstawienie jest zwietrzałe i konwencjonalne, pozbawione świeżej krwi. Jakby duchy aktorów dawały widmowy spektakl nad brzegami Styksu.

Z pewnością nie był to najlepszy sposób spędzania złotych godzin wiosennego popołudnia z ładną młodą kobietą. Świeżość jej twarzyczki, odbijająca świeżość pory roku, nasuwała myśl o promieniach słońca sączącego się przez młode listki, plusku strumyka w trawie, falowaniu cieni drzew na łąkach...

Kiedy wreszcie jedyny antrakt zatrzymał koturnową defiladę, Darrow zaprowadził pannę Viner na taras wychodzący na skwer przed teatrem. Przyjrzał się jej, chcąc stwierdzić, czy ich wrażenia są zgodne. Ale zachwycone spojrzenie dziewczyny powstrzymało cisnące mu się na usta krytyczne uwagi.

– Och, dlaczego pan mnie wyprowadził? Trzeba wśliznąć się z powrotem i czekać w ciemności na dalszy ciąg!

– Czy tak to pani odbiera?

– A pan nie...? Jakby cały czas za nimi stali bogowie i tręcali struny.

– Z twarzą mieniającą się od wrażeń zacisnęła ręce na balustradzie.

Darrow uśmiechnął się, rozbawiony jej radością. W końcu i on tak czuł dawno temu. Może to była jego wina, a nie aktorów, że poetyka sztuki jak gdyby wyparowała? Ale nie, miał rację uznając przedstawienie za nudne i przestarzałe, jedynie brak doświadczenia i okazji do porównań sprawił, że uważała je za znakomite.

– Bałem się, że panią znudzi i że zechce pani wyjść.

– Znudzi? – Zrobiła zasmuconą minkę. – Chce pan powiedzieć, że uważa mnie za ignorantkę, za zbyt głupią, żeby je docenić?

– Nie, nie chodzi o to.

Jej ręka nadal spoczywała na balustradzie tarasu, na chwilę położył na niej swoją. Zobaczył, że jej policzki okrył ciemny rumieniec.

– Proszę mi szczerze powiedzieć, co pani myśli – odezwał się pochylając lekko głowę. Niezbyt jasno zdawał sobie sprawę ze swoich słów.

Nie odwracając do niego twarzy zaczęła szybko mówić. Chciała bodaj częściowo przekazać mu swoje wrażenia. Ale najwidoczniej nie była przyzwyczajona do analizowania własnych wzruszeń estetycznych i piętrzące się wydarzenia dramatu wprawiły ją w stan zapierającego dech

zdumienia. Brakowało jej literackich i historycznych skojarzeń, z którymi mogłaby powiązać swoje impresje, ale odczuwała to, co prawdopodobnie uszłoby uwagi niejednej młodej adeptki filologii klasycznej: nieuchronny fatalizm opowieści, zawarta w niej straszliwa władza jakiegoś tajemniczego losu. Dla niej nie była to literatura, lecz fakt: tak namacalny i bliski jak to, co się z nią działo w tym momencie i co najbliższa godzina trzymała w zanadrzu. Patrząc na spektakl z tego punktu widzenia, Darrow odnajdywał w nim najwyższy, wstrząsający realizm. Przeniknął do głębi jego znaczenia poprzez wszystkie sztuczne dodatki i sceniczne konwencje.

Nie mogło już być mowy o ucieczce, toteż zaprowadził ją z powrotem na salę, zadowolony, że odbiera wrażenia za jej pośrednictwem. Ale w miarę trwania sztuki i narastania duchoty jego uwaga ponownie zaczęła wędrować, błąkać się pośród porannych wydarzeń.

Spędził z Sophy Viner cały dzień i zdziwiło go, jak szybko minął mu czas. Nawet nie starała się ukryć zadowolenia, że od Farlowów nie nadeszła żadna depesza. „Na pewno napisali” – stwierdziła po prostu i myśl jej natychmiast pofrunęła ku wspaniałej perspektywie popołudnia w teatrze. Wolne godziny wypełniła przechadzka ożywionymi ulicami oraz rozkosznie przeciągający się posiłek pod kasztanem w restauracji na Polach Elizejskich. Wszystko ją interesowało i radowało. Darrow zauważył z rozbawieniem, że nie była nieczuła na wrażenie, jakie wywołuje. Nie doszukał się w tym jednak próżności; po prostu Sophy traktowała swą urodę jak nutkę w ogólnej harmonii i z przyjemnością się tej nutce przysłuchiwała.

Po śniadaniu, kiedy siedzieli przy kawie, znowu zadawała masę pytań, zdradzając wielką rozbieżność sądów. Jej pytania świadczyły o zdrowej i zrozumiałej ciekawości, komentarze zaś, tak jak jej twarz i cała postawa – o dziwnym połączeniu przedwczesnej mądrości i rozbrajającej ignorancji.

Jak zwykle szybko skierowała rozmowę na scenę. Ciekawa była wszelkich form wyrazu dramatycznego, jakie metropolia miała do zaoferowania, zarówno w oficjalnych świątyniach, jak i mniej dostojnych przybytkach. Na jej dociekliwe pytania o pewien utwór, którego wystawienie sprowokowało ostatnio niełichy skandal, Darrow odpowiedział z uśmiechem:

– Żeby to zobaczyć, musiałaby pani najpierw wyjść za mąż.

Ta odpowiedź spowodowała natychmiastową zmianę tematu:

– Nigdy nie wyjdę za mąż! – zareplikowała z młodzieńczą pewnością siebie.

– Wydaje mi się, że już kiedyś to słyszałem.

– Tak, od panienek, którym wystarczyło tylko dokonać wyboru.

– Oczy jej w jednej chwili jakby się postarzały. – Chciałabym, żeby pan zobaczył tych niezrównanych mężczyzn, którzy chcieli się ze mną żenić! Jeden to lekarz na statku, którym płynęłam za granicę z Hoke'ami: został wylany z marynarki za pijaństwo. Drugi to podstarzały wdowiec z trzema dorosłymi córkami i sklepem zegarmistrzowskim na Bayswater. W dodatku – znów dokonała przeskoku w myślach – nie jestem pewna, czy ja w ogóle wierzę w małżeństwo. Widzi pan, jestem całkowicie za osobistym rozwojem i szansą na przeżycie własnego życia. Jestem okropnie nowoczesna, wie pan.

I właśnie kiedy obwieściła o tej swojej okropnej nowoczesności, uderzyło go, jak bardzo, jak beznadziejnie jest zacofana. Jednak już po chwili, bez brawury i widocznej chęci przybrania jakiejś pozy, potrafiła ogłaszać pewne społeczne aksjomaty, które mogła zebrać tylko na gorzkiej glebie doświadczenia.

Przypomniał sobie to wszystko, kiedy siedział obok niej w teatrze i



obserwował jej naiwne zaabsorbowanie. Nie wierzył, żeby była zdolna do intensywnych odczuć: struny w niej drgały od tego, co aktualne, natychmiastowe.

Przedstawienie się skończyło, wyszli znowu na światło słońca i Darrow spojrział na nią z uśmiechem.

– I jak? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Spoczęło na nim chmurne, nie widzące spojrzenie. Policzki i wargi miała blade. Wymykające się spod kapelusza włosy układały się na czole w wilgotne loczki. Wyglądała jak młoda kapłanka, wciąż jeszcze odurzona kadzidłami.

– Biedne dziecko, tego chyba było dla pani zbyt wiele!

Zaprzeczyła z nikłym uśmiechem.

– Chodźmy – powiedział kładąc rękę na jej dłoni – wskoczmy do taksówki, złapiemy trochę powietrza i słońca. Mamy jeszcze wiele godzin dnia przed sobą. A jaka piękna będzie noc!

Wskazał ręką do góry. Na niebie ponad dachami ulicy Rivoli wisiał biały księżyc w zamglonym błękicie.

Nie odpowiedziała.

Skinął ręką na taksówkę.

– Do Lasku! – rzucił kierowcy.

Kiedy automobil skręcił w kierunku Tuileries, ocknęła się:

– Muszę najpierw wstąpić do hotelu. Może tam czekać jakaś wiadomość. W każdym razie muszę coś postanowić.

Darrow stwierdził, że powaga sytuacji nagle do niej dotarła.

– Muszę coś postanowić – powtórzyła.

Wolałby opóźnić powrót, wolałby ją przekonać, żeby jechali wprost do Lasku na obiad. Najprościej byłoby przypomnieć jej, że nie może jechać



tego wieczora do Joigny, a wobec tego nieistotne jest, czy otrzyma od Farlowów odpowiedź zaraz, czy za parę godzin. Ale z niejasnych powodów zawahał się przed użyciem tego argumentu, z którego skorzystał śmiało poprzedniego dnia. Wszak wiedział doskonale, że w hotelu nic na nią nie czeka – więc co za różnica, czy tam pojedą?

Portier nie był pewien. On sam nie odebrał niczego dla tej pani, ale pod jego nieobecność zastępca mógł posłać coś na górę.

Darrow i Sophy wsiedli razem do windy i kiedy ona poszła do siebie, otworzył drzwi swego pokoju i popatrzył na pusty stół. Nic dla niego nie nadeszło. W chwilę później Sophy, stojąc w progu, oznajmiła to, czego się spodziewał:

– Nie, nie ma nic!

Udał, że jest zaskoczony, ale nie okazał żalu.

– Tym lepiej. No, a teraz możemy dokądś pojechać? Czy raczej wolałaby pani popłynąć statkiem do Bellevue? Jadła tam pani kiedyś kolację na tarasie przy świetle księżycy? Jest wcale niezłe. Przecież nie ma najmniejszej potrzeby siedzieć tu i czekać.

Stała przed nim niezdecydowana.

– Ale pisząc do nich wczoraj prosiłam o zadeszowanie. Przypuszczam, że są spłukani, biedacy, i uważają, że wystarczy list. – Zarumieniła się. – Dlatego i ja napisałam, zamiast depeszować, bo także jestem bez grosza.

Nic nie napełniłoby Darrowa większą skruchą niż te słowa. Poczuł, że się czerwieni, przypomniał sobie bowiem, jakie pobudki przypisywał jej podczas nocnych rozważań. Ale te pobudki wymyślił po to, żeby usprawiedliwić własną nielojalność, a tak naprawdę to nigdy w nie nie wierzył. Ta refleksja pogłębiła jego zmieszanie, najchętniej ująłby ją za rękę

i wyznał, jak ją niesprawiedliwie ocenił.

Prawdopodobnie zinterpretowała ten jego rumieniec jako mimowolny protest przeciw wtajemniczaniu go w tak przyziemne szczegóły, ciągnęła bowiem dalej ze śmiechem:

– Przypuszczam, że pan nie umie sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ktoś się zastanawia, czy stać go na telegram? Ale ja zawsze musiałam myśleć o takich sprawach. I nie powinnam zostawać tu dłużej, muszę złapać nocny pociąg do Joigny. Jeżeli państwo Farlow nie są w stanie mnie przyjąć, mogę iść do hotelu, będzie mniej kosztował niż hotel tutaj.

– Znowu zamilkła, po czym zawołała: – Powinnam była o tym wcześniej pomyśleć! Ale byłam pewna, że otrzymam od nich wiadomość dzisiaj, i pragnęłam, gorąco pragnęłam tu zostać! – Spojrzała na Darrowa zmieszana: – Czy pan przypadkiem nie pamięta, o której wrzucił mój list?

## 7

Darrow wciąż jeszcze stał w progu. Kiedy zadała to pytanie, wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Serce jego biło nieco szybciej niż zwykle, nie miał sprecyzowanego zamysłu, co teraz zrobi czy powie. Jednego był pewien: choćby go popychał nie wiadomo jaki impuls ekspiacji, nie będzie aż tak głupi, żeby jej powiedzieć, iż listu wcale nie wysłał. Wiedział, że popełniona niegodziwość sprawia zazwyczaj mniej zła niż zbędne wyznania.

– Strasznie mi przykro, okropnie, ale niech pani pozwoli sobie pomóc... Zgoda?

Ujął jej dłonie i uścisnął, licząc na to, że przyjazny dotyk zastąpi niedoskonałość słów. Poczul, jakby lekko poddawała się jego uściskowi, i

szybko mówił dalej, żeby nie dać jej czasu na odpowiedź.

– Czy nie szkoda psuć tych miłych chwil spędzonych razem? Po co żałować czegoś, co mogłoby do nich nie dopuścić?

Cofnęła się, uwolniła dłonie. Jej twarz, tracąc swoją ujmującą ufność, nagle stała się chmurna, podejrzliwa.

– Nie zapomniał pan wysłać listu?

Darrow stał przed nią skępowany i zawstydzony. Jeszcze ostrzej zdał sobie sprawę, że przyznając się do winy uczyni większą krzywdę, niż ukrywając ją.

– Co za insynuacja! – zawołał wyciągając ramiona ze śmiechem.

Twarcz jej natychmiast złagodniała.

– Jeśli tak, to nie będę się martwić. Jeśli będę czegoś żałować, to tylko tego, że nasza zabawa dobiegła końca.

Słowa te były tak nieoczekiwane, że przekreśliły wszystkie jego postanowienia. Uwierzyła mu natychmiast, co sprawiło, że znienawidził odgrywaną przez siebie rolę. W tej samej chwili zmija zwątpienia załęgła się w jego piersi. Może to raczej on jest dziecinnie ufny? Czyż nie za szybko dała wiarę jego słowom i zaniechała kłopotliwego pytania o list? Zważywszy na jej życiowe doświadczenie, taka ufność mogła budzić podejrzenia. Ale gdy tylko wzrok jego padł na nią – zawstydził się tej myśli.

– Dlaczego nasza zabawa miałaby się skończyć? – zapytał. – Czemu nie miałaby potrwać nieco dłużej?

Podniosła na niego oczy, jej usta rozchyliły się ze zdumienia. Ale zanim się odezwała, on ciągnął dalej:

– Chciałbym, żeby pani została ze mną, żeby bodaj przez parę dni miała wszystko to, czego dotąd była pozbawiona. Nie zawsze jest w Paryżu maj, dlaczego nie skorzystać z niego teraz? Pani mnie zna – nie jesteśmy

sobie obcy – dlaczego nie chce pani traktować mnie jak przyjaciela?

Słuchając go, lekko się od niego odsunęła, ale jej dłonie nadal pozostały w jego uścisku. Była blada, uważnie mu się przyglądała, a w jej spojrzeniu nie było ani niewiary, ani oburzenia, tylko niezmiernie zdziwienie. Wyraz jej twarzy wzruszył go do głębi.

– Och, proszę! Musi pani... posłuchać. Żeby udowodnić, że jestem szczerzy, powiem... przyznam się, że nie wysłałem listu... Nie wysłałem go, bo tak bardzo pragnąłem dać pani kilka miłych godzin... a także dlatego, że nie mógłbym znieść pani wyjazdu.

Czuł się, jakby słowa zostały wypowiedziane wbrew niemu przez jakiegoś złośliwego świadka tej sceny, niemniej jednak nie martwiło go, że mu się wyrwały.

Dziewczyna słuchała w milczeniu. Gdy skończył, przez chwilę stała bez ruchu, wreszcie wyrwała rękę.

– Pan nie wysłał mojego listu? Umyślnie go pan zatrzymał? I mówi mi o tym teraz, żeby udowodnić, że lepiej zrobię, jeśli oddam się pod jego opiekę? – Wybuchnęła śmiechem, w którym brzmiały zgrzytliwe echa dni spędzonych u pani Murrett. W jej twarzy w tej samej chwili zaszły identyczne zmiany, skurczyła się, stała się wrogą białą maską z płonącymi oczami. – Dziękuję, najuprzejmiej dziękuję, że mi to pan powiedział.

I za wspaniałe intencje. Plan jest zachwycający, doprawdy, najzupełniej zachwycający, on mi pochlebia, jestem niewymownie wdzięczna.

Opadła na krzesło przy toalecie, podbródek oparła na splecionych dłoniach i śmiała mu się w twarz. Niesforny lok opadł na oczy.

Ten wybuch nie uraził Darrowa, jego bezpośrednim skutkiem było złagodzenie wzburzenia. Aktorski posmak w jej zachowaniu sprawił, że

łatwiej mu przyszło znieść obrazę, niż to przypuszczał chwilę wcześniej.

Przyciągnął krzesło i usiadł obok niej.

– W końcu – powiedział tonem żartobliwego protestu – ja wcale nie musiałem pani mówić, że zatrzymałem ten list. A moje przyznanie się stanowi raczej poważny dowód, że nie mam jakichś szczególnie niegodziwych zamiarów wobec pani.

Wzruszyła ramionami, ale on nie dał jej czasu na odpowiedź.

– Moje zamiary – ciągnął dalej z uśmiechem – nie były niegodziwe. Zorientowałem się, że ma pani za sobą ciężkie chwile u pani Murrett, a przed sobą także niezbyt wiele radosnych, toteż nie widziałem – i dalej nie widzę – nic złego w tym, że chciałem dać pani kilka godzin rozrywki pomiędzy deprymującą przeszłością a nieszczególnie wesołą przyszłością. – Znowu zrobił pauzę, po czym ciągnął dalej tym samym tonem przyjaznej perswazji: – Popełniłem błąd, że nie powiedziałem tego pani od razu, że nie poprosiłem wprost o podarowanie mi jednego czy dwóch dni, żebym spróbował zrobić coś, co pozwoli pani zapomnieć o wszystkich przykrych sprawach. Byłem głupi, gdyż nie pomyślałem, iż gdybym tak postąpił, zostawiłbym pani wybór: przyjąć propozycję czy ją odrzucić, ale przynajmniej nie zrozumiałaby pani opacznie moich intencji. – Wstał, przeszedł się po pokoju i wrócił na miejsce. Ona nadal siedziała bez ruchu, z łokciami na toalecie, z podbródkiem opartym na dłoniach. – Intencji? Co za bzdury wygaduję na temat intencji! Prawdę mówiąc, nie miałem żadnych: po prostu lubię z panią przebywać. Sam byłem przygnębiony i zagubiony, a pani sprawiła, że zapomniałem o swoich kłopotach. Kiedy się dowiedziałem, że pani wyjeżdża, że ponownie wpadła w ponury nastrój – nie widziałem powodu, dla którego nie mielibyśmy spędzić ze sobą jeszcze paru godzin. Dlatego pani list został w kieszeni.

Widział, że jej twarz łagodnieje w miarę słuchania. Nagle Sophy rozluźniła dłonie i pochyliła się ku niemu.

– Czyżby i pan miał zmartwienie? Nigdy bym nie pomyślała, nawet mi to nie przyszło do głowy! Sądziłam, że pan zawsze miał wszystko, czego zapragnął!

Darrow wybuchnął śmiechem, słysząc tę opinię. Zawstydził się, że usiłował upiększyć swój obraz odwołując się do litości, był zły na siebie, że poruszył temat, który raczej chciałby wymazać z pamięci. Ale pełne sympatii spojrzenie dziewczyny rozbroiło go. W duszy czuł gorycz, był zdenerwowany, ale miał ją przy sobie, jej oczy wyrażały głębokie współczucie. Pochylił się i pocałował ją w rękę.

– Proszę mi wybaczyć, bardzo proszę – powiedział.

Wstała, pokręciła głową z uśmiechem.

– Nieczęsto się zdarza, że ktoś chce sprawić mi przyjemność, a jeszcze rzadziej – dwa pełne dni przyjemności! Nie zapomnę, jaki był pan dla mnie dobry. Będę miała moc czasu na rozpamiętywanie. Ale teraz zegnamy się. Muszę natychmiast zatelegrafować, zawiadomić o swoim przyjeździe.

– Zawiadomić o swoim przyjeździe? A więc nie otrzymałem rozgrzeszenia?

– Tak, otrzymał je pan, jeżeli to może pana pocieszyć.

– Och, nie, a przynajmniej słabo, skoro dowodem jest pani wyjazd.

Pochyliła głowę w zamyśleniu.

– Nie, nie mogę zostać! Jakże bym mogła?! – zawołała, jakby dyskutując z niewidzialnym mentorem.

– Dlaczego pani nie może? Przecież nikt nie wie, że pani jest tutaj. Absolutnie nikt nie musi wiedzieć!

Podniosła na niego wzrok, przez krótką chwilę wymieniali spojrzenia. Jej oczy były czyste, chłopiące.

– Nie, nie o to chodzi! – rzekła wreszcie zniecierpliwiona. – Ja się nie obawiam ludzi. Oni nigdy się mną specjalnie nie przejmowali, to dlaczego, na Boga, miałabym się przejmować nimi?

Podobała mu się jej bezpośredniość jak nigdy dotąd.

– Więc o co chodzi? Chyba nie o mnie?

– Nie, nie o pana, ja pana lubię. Chodzi o pieniądze. One zawsze stanowią dla mnie problem. Nigdy w życiu nie mogłam sobie pozwolić na zafundowanie czegokolwiek.

– Tylko tyle? – Roześmiał się, bawiła go jej naturalność. – Proszę pomyśleć: skoro rozmawiamy ze sobą jak ludzie, czy nie mogłaby mi pani zaufać i w tej sprawie?

– Zaufać panu? Co pan ma na myśli? Lepiej, żeby to pan mi zbyt nie ufał. – Śmiech jej zabrzmiał ostro. – Może nie będę mogła nigdy zwrócić długu!

Gestem odsunął tę aluzję.

– Pieniądze są bardzo ważne, ale pomiędzy przyjaciółmi nie mogą być wszystkim. Czy pani nie sądzi, że przyjaciel może przyjąć jakiś drobiazg od przyjaciela bez patrzenia w przyszłość? Sprawa sprowadza się jedynie do tego, co pani o mnie myśli. Jeżeli lubi mnie pani w dostatecznym stopniu, żeby zgodzić się na parę dni wakacji dla samej tylko obopólnej przyjemności – uściśnijmy sobie dłonie. Jeżeli lubi pani mnie nie dość, to także uściśniemy sobie dłonie, tyle że będzie mi wówczas przykro – zakończył.

– I mnie także to sprawi przykrość. – Uniesiona ku niemu twarz wydawała się taka drobna i młoda, że Darrow poczuł lekkie ukłucie skruchy,



natychmiast zatarte podnieceniem myśliwego.

– No i jak? – Pochylił się nad nią. Miał teraz niezbitą pewność, że jego bliskość działa, więc ciągnął dalej, zwracając większą uwagę na modulację głosu niż na to, co mówi. – Dlaczego, na Boga, mamy się żegnać, jeśli nam obojgu sprawia to przykrość? Czy nie zechciałaby pani podać mi powodu? Zapewne coś przeszkadza pani wyznać, co rzeczywiście czuje. Ale proszę, niech się pani nie przejmuję tym, że mnie obrazi.

Wyglądała teraz jak liść, który się dostał w dwa przeciwne prądy. Podniosła nagle głowę tym swoim chłopięcym ruchem, jak zwykle w chwilach podniecenia.

– Co ja czuję? Chce pan wiedzieć, co ja czuję? To, że pan mi stworzył jedyną szansę, jaką kiedykolwiek miałam.

Wykręciła się na pięcie, rzuciła na najbliższe krzesło, pochyliła się do przodu. Jej twarz zasłaniała toaletka.

Pod fałdami cienkiej letniej sukienki zarys jej pleców i uniesionych ramion, lekkie wgłębienie pomiędzy łopatkami przypominały łagodne linie statuetki z terakoty, obraz wdzięku młodości ledwie zarysowany w glinie. Patrząc na nią Darrow pomyślał, że jej charakter, wraz z całą pozorną stanowczością, był prawdopodobnie tak samo niedojrzały. Nie spodziewał się, że tak szybko ulegnie jego namowom ani że przyzna się do tego. Z początku był lekko zbity z tropu. W gruncie rzeczy pozostała dzieckiem i wszystko, co mógł zrobić – co kiedykolwiek zamierzał zrobić – to zorganizować jej wakacje, które potem mogłaby wspominać.

Przez chwilę zdawało mu się, że ona płacze, ale już w następnej sekundzie zerwała się na równe nogi. Zobaczył twarz, którą musiała odwrócić, żeby ukryć nagły rumieniec radości.

Krótko patrzyli na siebie bez słów, wreszcie pospieszyła ku niemu

wyciągając obie dłonie.

– Czy to prawda? Czy to rzeczywiście prawda? Czy coś takiego może mnie spotkać?

Miał ochotę powiedzieć: „Jest pani najodpowiedniejszą osobą, którą to powinno spotkać” – ale te słowa byłyby dwuznaczne, więc się cofnął, chwycił jej wyciągnięte dłonie i przyglądał się jej z odległości wyprostowanych ramion. Chciał, żeby wiedziała, jak bardzo wzruszyły go jej słowa.

W końcu zdobył się na uśmiech i puścił jej rękę.

– To, i jeszcze więcej, zobaczy pani.

## 8

Cały dzień lało jak z cebra. Ulewa spływała po oknach pokoju Darrowa, zmieniając rozległą perspektywę dachów i kominów w czarne, oleiste skupisko, i wypełniała wnętrze półmrokiem podziemnego akwarium. Nie było już zmiany rytmu ani lirycznych wzlotów i upadków; szare smugi przecinające szyby były gęste i jednolite jak strona prozy bez akapitów.

George Darrow przysunął fotel do kominka. Przystudiowany rozkład jazdy zsunął się na podłogę, on zaś siedział gapiąc się z niemą aprobatą na nieprzeniknioną ścianę deszczu, który go wzruszał jak rozległa projekcja własnego stanu ducha. Następnie jego wzrok powoli omiótł pokój.

Mijało dokładnie dziesięć dni, odkąd spieszenie się rozpakował i zasypał cały pokój zawartością waliz. Szczotki i brzytwy rozsiane w nieładzie na marmurowym blacie komody, sterta gazet na stole pod plafonierą, kilka książek w miękkich okładkach na obramowaniu kominka pomiędzy pudełkami papierosów i przyborami toaletowymi. Ale te

świadczenia jego pobytu bynajmniej nie pozostawiły piętna na bezosobowym smutnym pokoju, na banalnej nudzie prowizorycznego umeblowania. Było coś sardonicznego, niemal złowróżbnego w tym jakby umyślnie anonimowym wyglądzie pomieszczenia, tonącego w monotonicznych brązach, z dywanem i tapetami, których nikt nie byłby w stanie zapamiętać, z krzesłami i stołami tak bezosobowymi jak bagażowi na dworcach.

Darrow podniósł rozkład jazdy i rzucił na stół. Wstał, zapalił cygaro, podszedł do okna. Poprzez ulewę ledwo zdołał dojrzeć zegar na wysokim gmachu za budynkami dworca. Wyciągnął zegarek, sprawdził czas i przesunął wskazówki z taką energią, że przeleciały godzinę; musiał je cofnąć uważnie. Poczł irytację niewspółmierną do tak błędnego błędnego. Wrócił na fotel, ciężko usiadł i oparł odchyloną głowę na rękach. Cygaro tymczasem zgasło, więc wstał, poszukał zapalek, zapalił je ponownie i wrócił na fotel.

Pokój zaczął działać mu na nerwy. Przez pierwszych parę dni, kiedy niebo było jasne, nie zwracał na niego uwagi, traktował go z pogardliwą obojętnością, jak podróżny chwilowe schronienie. Ale teraz, kiedy miał go opuścić i obrzucał wzrokiem po raz ostatni, pokój jak gdyby całkowicie zawładnął jego umysłem, wsiąkał w niego jak brzydka, nieusuwalna plama. Każdy szczegół narzucał mu się z poufalością przygodnego powiernika.

Następnego ranka musi znaleźć się na swoim posterunku w Londynie. W ciągu dwudziestu czterech godzin powróci do jasnego świata znanych mu czynności jako pracowity, odpowiedzialny, stosunkowo potrzebny element wielkiej, furkoczącej maszyny. O tym ustalonym trybie myślał bez przykrości, jednak teraz, nie wiadomo dlaczego, z trudnością przychodziło mu się na nim skoncentrować. Wbrew jego wysiłkom pokój wciągał go z powrotem w krąg natarczywych skojarzeń. Niesłychane, jaką małostkową

odrazę budziło w nim wszystko: brudny dywan i tapety, czarne marmurowe obramowanie kominka, zegar z połączoną alegorią pod zakurczonym kloszem, łóżko z wysokim wezłowiec i kapą, oprawiony w ramki drukowany regulamin pod kontaktem i drzwi łączące jego pokój z sąsiednim. Najbardziej nienawidził tych drzwi...

Początkowo nie czuł się szczególnie odpowiedzialny. Był zadowolony, że uderzył we właściwy ton, przekonany, że zdoła go *utrzymać*. Cały incydent, pomimo pospolitej oprawy i nieuniknionej prozy sąsiedztwa, rozgrywał się jakby w nie istniejącym na mapie obszarze, poza granicami codzienności. Nie przypominał niczego, co mu się dotąd zdarzyło.

Może gdyby nie te trzy deszczowe dni, mógłby z tego wybrnąć nie poddając się rozterkom. Ale deszcz wszystko odmienił. Zniszczył całą perspektywę, wymazał tajemniczość najodleglejszych planów i uwypuklił każdy pospolity element obrazu. W podobnych sytuacjach nie pomaga rozmyślanie, jego zaś przewrotne okoliczności zmusiły do mimowolnego przeanalizowania wszystkich aspektów...

Cygaro znowu zgasło, więc rzucił je w ogień. Leniwie się zastanawiał, czy wstać po następne. Ale samo opuszczenie fotela wymagało wysiłku woli, do którego nie był zdolny, więc znów odchylił głowę do tyłu, przymknął oczy i nasłuchiwał bębnienia deszczu.

Inny odgłos zwrócił jego uwagę: to stuknęły drzwi z korytarza do sąsiedniego pokoju. Siedział bez ruchu nie otwierając oczu; ale teraz inny widok wcisnął mu się pod opuszczone powieki. Był to dokładny, fotograficzny obraz tamtego pokoju. Wszystko stanęło mu przed oczami, narzucając się z taką samą ostrością jak otaczające go przedmioty. Dobiegł go stukot obcasów; wiedział dokładnie, dokąd kierują się kroki, jakie meble muszą wyminąć, gdzie prawdopodobnie przystaną i co je zatrzyma. Usłyszał

inny odgłos: to postawiono moką parasolkę przy kominku z czarnego marmuru, przed paleniskiem. Usłyszał zgrzytnięcie zawiasów i odgadł natychmiast: to skrzypnęła szafa na przeciwległej ścianie. Pochwycił mysi pisk odpornej szuflady i wiedział, że to górna, w komodzie obok łóżka; potem zaklekotała mahoniowa rama lustra toaletki na obłuzowanych sworzniach...

Znowu kroki przemierzyły podłogę. Dziwne, ale znał je o wiele lepiej niż osobę, która je stawiała. Teraz podeszły bliżej drzwi łączących oba pokoje. Otworzył oczy, patrzył. Kroki ustały i przez chwilę panowała cisza. Wtem usłyszał lekkie pukanie. Nie odpowiedział i po chwili zobaczył, że ktoś próbuje nacisnąć klamkę. Znowu przymknął oczy...

Drzwi się otworzyły, kroki rozległy się już w jego pokoju, ostrożnie zbliżały się do niego. Oczy miał nadal zamknięte, był odprężony, udawał, że śpi. Znowu pauza, potem znów niezdecydowane, lekkie kroki. Za oparciem fotela zaszeleściła suknia, ciepłe dłonie na chwilę spoczęły na jego oczach. Zatrzymały na sobie zapach perfum, które kupił na Bulwarach... Podniósł wzrok, zobaczył list zsuwający się z jego ramion na kolana.

– Przeszkodziłam? Przepraszam bardzo. Wręczyli mi go teraz, kiedy przechodziłam.

Zanim go złapał, list ześlizgnął się na podłogę. Leżał adresem do góry u jego stóp. Kiedy siedział patrząc na energiczne, wysmukłe litery na szaroniebieskiej kopercie, z tyłu wyciągnęło się ramię, żeby ją podnieść.

– Och, nie, nie! – zawołał przytrzymując je.

– Co nie? – spytała tuż przy jego twarzy.

– Niech się pani nie fatyguje! – wymamrotał.

Pochylił się, chwycił list, obmacał, oszacował jego ciężar i liczbę schowanych w nim arkusików.

Nagle poczuł nacisk dłoni na ramieniu i zdał sobie sprawę z bliskości

tej twarzy. Za chwilę będzie musiał na nią spojrzeć, pocałować...

Nie otwierając listu, szybko cisnął go w sam środek ognia.

## *Cześć druga*

### *9*

Światło listopadowego popołudnia kładło się na starym, wysoko sklepionym domu, którego długi fronton z cegieł i żółtawych gładów stykał się z gazonem. Od filarów przy wyjściu na dziedziniec, ozdobionych herbami, ocieniony lipami podjazd biegł do okratowanej białej bramy. Za nią zaczynała się trawiasta aleja przez las, ginąca w niebieskozielonej mgle na tle nieba, na którym piętrzyły się jeszcze grzywy białych chmur.

Na trawniku, w połowie między domem a bramą, stała jakaś pani. Nad głową trzymała rozpiętą parasolkę i patrzyła to na fronton domu o dwóch skrzydłach schodów łączących się przed oszklonymi drzwiami, to w stronę obsianej trawą alei. Mina jej zdradzała zadumę; wydawało się, że nie tyle oczekuje kogoś czy nasłuchuje zbliżających się kroków, ile wchłania w siebie otaczający ją widok. A jednak nie ulegało wątpliwości, że cała sceneria była jej doskonale znana. W spojrzeniu kobiety nie było dociekliwości, raczej omiatała wzrokiem z dawien dawna znane szczegóły, które z jakiegoś tajemniczego powodu nabrały nagle zaskakującej świeżości.

Z takimi właśnie odczuciami pani Leath wyszła z domu na zalany słońcem gazon. O tej porze pasierb powinien był wracać z popołudniowego



polowania. W rękę trzymała list, który mu chciała pokazać, ale kiedy tylko opuściła dom, zawładnęły nią nieoczekiwane wrażenia.

Otoczenie znała aż do przesytu. Widywała Givré o każdej porze roku od dnia swego ślubu, kiedy to wjeżdżając przez bramę u boku męża, doznała uczucia, jakby niosły ją na obłoku tęczwoskrzydłe widziadła.

Możliwości, jakie to miejsce przedstawiało sobą podówczas, żyły w niej dotąd. Samo określenie „francuski zamek” wywołało w jej młodej wyobraźni natłok romantycznych skojarzeń, poetycznych, malowniczych i pełnych emocji. Pogodne oblicze starego domu, stojącego w parku pośród otoczonych topolami łąk środkowej Francji, wydawało się gotować dla niej los równie szlachetny i dostojny.

Chociaż mogła dotąd przywołać w pamięci tamte odczucia, one same już dawno uleciały i stary dom stał się na pewien czas symbolem małostkowości i monotonii. Potem, w miarę upływu lat, stopniowo zaczął nabierać mniej wrogiego charakteru i stał się jeśli nie zamkiem z jej snów, pełnym jasnych obrazów i romantycznych legend, to otoczką życia, powoli przystosowującego się do miejsca zamieszkania; miejsca, do którego się wraca, gdzie się ma swoje obowiązki, swoje nawyki, swoje książki, w którym naturalnym biegiem rzeczy będzie się żyło do samej śmierci. Tak bardzo się przyzwyczaiła do tego posępnego, zniszczonego, niewygodnego domu, że wprost nie wyobrażała sobie, aby mogła długo przebywać z dala od niego, nie tracąc przy tym części osobowości.

Teraz, kiedy tak stał w swej jesiennej łagodności, panią Leath zadziwiła własna obojętność. Usiłowała patrzeć na dom oczami starego przyjaciela, który nazajutrz rano miał przyjechać tu po raz pierwszy. W efekcie wydało jej się, że odzyskuje wzrok po długim okresie ślepoty.

Dziedziniec był bardzo cichy, a jednak wypełniony ukrytym życiem:

ewolucje i gruchanie gołębi wokół czworobocznych cisów i nad zalanym słońcem żwirem, krążenie gawronów ponad błyszczącymi, szaropurpurowymi dachówkami, szelest wierzchołków drzew witających bryzę, która nadciągała codziennie znad rzeki, zawsze o tej samej porze.

Właśnie to utajone ożywienie rozpało Annę Leath. Każdym nerwem, każdą żyłką wyczuwała błogość, do której trwożne ludzkie serce rzadko ośmiela się przyznać. Nie była przyzwyczajona do wielkich emocji, jednak zawsze wiedziała, że nie powinna się ich obawiać. Teraz też się nie lękała; cieszyła się głęboką wewnętrzną ciszą.

Przepojona tym uczuciem wychodziła na spotkanie pasierba. Chciała wracać z nim powoli i odbyć spokojną rozmowę, zanim wejdą do domu. W tej chwili był on jedynym człowiekiem, z którym mogła mówić bez obawy naruszenia spokoju swojej duszy. Z najróżniejszych powodów była rada, że pani de Chantelle i Effie przebywają w Ouchy z guwernantką. Cieszyła się także, że jeszcze nie ma Owena w polu widzenia. Pragnęła pozostać sama trochę dłużej; nie żeby rozmyślać, ale żeby długie powolne fale radości rozbijały się o nią jedna za drugą.

Minęła dziedziniec i usiadła na jednej z ławek ustawionych po bokach podjazdu. Z tego miejsca miała widok na długi fronton domu i na kopułę kaplicy przy końcu jednego skrzydła. Za bramą w murze ogród kwiatowy rozpostarł swoje ciemnozielone czworoboki i strzelał w górę posągami na tle żółknącego parku. Po bokach tliły się jeszcze późne kwiaty, różowe i szkarłatne, a dumnie stąpający w słońcu paw jakby zbierał na rozpostarty ogon wszystkie wspaniałości lata.

Pani Leath trzymała w rękach list, który otworzył jej oczy na te widoki. Na ustach błąkał się uśmiech wywołany dotykiem papieru. Dreszcz, który ją przebiegał, wyostrzał zmysły. Widziała, czuła, wdychała lśniący

świat, jak gdyby nagle usunięto z niego cienki nieprzejrzysty welon.

Właśnie taki welon – teraz to zauważyła – zawsze wisiał pomiędzy nią a życiem. Był jak gaza w głębi sceny, dająca złudny pozór rzeczywistości osłoniętym malowidłom.

W młodości prawie nie dostrzegała, że różni się od innych. W precyzyjnie wyregulowanym i dobrze odżywionym świecie Summersów niezwykłość uważana była bądź za niemoralność, bądź za złe wychowanie; ludziom nie panującym nad emocjami nie składano wizyt. Czasami, z uczuciem, że zdąża po omacku w stronę pełnego zamętu świata, Anna zastanawiała się, dlaczego wszyscy wokół niej zdają się ignorować namiętności i uczucia, tworzące materię wielkiej poezji i godnych pamięci czynów. Żyjąc w środowisku całkowicie złożonym z ludzi takich jak jej rodzice lub ich przyjaciele, nie rozumiała, jak te wspaniałe rzeczy, o których się czyta, mogły kiedykolwiek się zdarzyć. Była pewna, że gdyby w jej bezpośrednim otoczeniu coś takiego się przytrafiło, matka udałaby się po radę do pastora, ojciec zaś może nawet zadzwoniłby na policję. Poczucie humoru zmuszało ją do przyznania, że w konkretnych warunkach takie środki ostrożności mogły nie być nieuzasadnione.

Wśród wymyślonych działań i wzruszeń spędziła najlepsze godziny, ale nie wpadło jej niemal nigdy do głowy, że można je przełożyć na doświadczenie czy powiązać z czymkolwiek, co mogło się przydarzyć młodej damie mieszkającej na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy Zachodniej.

Jednakże dostrzegała, że inne dziewczyny, prowadzące na pozór takie samo życie jak ona i niby nie zdające sobie sprawy z tajemnego świata piękna, miały jakiś ważny sekret, który jej samej umykał. Jak gdyby łączyły się w coś w rodzaju masonerii, były bardziej od niej rozgarnięte, żywsze i pewniejsze swoich potrzeb, jeśli nie swoich opinii. Przypuszczała, że są od

niej mądrzejsze, i przyjmowała swoją niższość pogodnie, jakby świadoma w głębi duszy, że tkwią w niej zasoby nie zużytej siły, które u innych się nie przejawiały.

To wynagradzało jej częściowo brak tego, co im pozwalało na dobrą zabawę. Ale wynikające stąd poczucie wyobcowania spowodowało, że zamknęła się w sobie, pogłębiło jej rezerwę, a to z kolei sprawiło, iż zazdrosne matki stawiały ją za wzór dystygowanego zachowania.

Pocieszała się, że pewnego dnia miłość uwolni ją od zauroczenia nierzeczywistością. Była przekonana, że wysublimowana namiętność jest kluczem do zagadki, ale trudno było jej powiązać koncepcję miłości z kształtem, jaki przybierała w jej doświadczeniach. Dwie czy trzy dziewczyny, którym zazdrościła lepszej znajomości uroków życia, z biegiem czasu wplątały się w to, co nazywano „romansem” czy „nierozsądnym małżeństwem”. Jedna nawet zdecydowała się na ucieczkę z domu i przez jakiś czas otaczała ją chmura społecznego potępienia. A więc to była aktywna namiętność, romans przekształcony w rzeczywistość; ale bohaterki tych wyczynów powracały z nich nie odmienione, ich mężowie zaś byli tak samo nudni jak zawsze, kiedy się ich miało za sąsiadów na proszonych obiadach.

Oczywiście, w jej przypadku będzie inaczej. Pewnego dnia znajdzie zaczarowany most między Pięćdziesiątą Piątą Zachodnią a życiem. Nawet wyobrażała sobie niekiedy, że rozwiązanie zagadki leży w jej rękach. Zwłaszcza gdy pierwszy raz ujrzała młodego Darrowa. Dotychczas pamięta podniecenie, jakie ją ogarnęło po tym spotkaniu. Ale jego namiętność przeleciała ponad nią jak wichur targający wierzchołkami lasu, nie buszujący po spokojnych ścieżkach, nie marszczący lustra ukrytych w gęstwinie stawów. Był on niezwykle inteligentny i miły, serce biło jej

mocniej, gdy znajdował się w pobliżu. Zachowywał się swobodnie, był wysoki i przystojny, błyski ironii uroczo przebijały się przez cień uczuć. Lubiała słuchać jego głosu prawie tak samo jak tego, co miał do powiedzenia, a wysłuchiwać tego, co miał do powiedzenia, prawie tak samo, jak czuć na sobie jego spojrzenie. Ale on pragnął ją całować, ona natomiast chciała z nim rozmawiać o książkach i obrazach, chciała, żeby nie kończący się temat ich miłości wkładał się do rozmów każdego zdania.

Później, gdy przebywała sama, dziwiła się, jak mogła być tak oziębła, wymyślała sobie od świętoszek i idiotek, wątpiła w to, czy jakkolwiek męczyzna może się nią naprawdę interesować, i wstawiała w środku nocy, żeby dopasowywać nowe fryzury. Ale ledwie się pojawiał, trzymała sztywno głowę na smukłej szyi, wbijała weń szpileczki ironii albo wypuszczała małe latawce erudycji, i choć przebiegały ją zimne i gorące fale, to, co naprawdę chciała wypowiedzieć, stawało jej w gardle i paliło żarem dłonie.

Mówiła sobie często, że każda głupiutka dziewczyna, która przetańczyła jeden sezon, lepiej od niej wiedziała, jak przyciągnąć mężczyznę, ale bynajmniej nie miała przy tym na myśli George'a Darrowa.

Aż pewnego dnia zobaczyła go na proszonym obiedzie obok jednej z tych dziewczyn, bohaterki ucieczki, która wstrząsnęła Pięćdziesiątą Piątą Zachodnią od fundamentów po dachy. Młoda osóbka wróciła ze swojej eskapady nie mniej głupia niż przed wyjazdem, a siedzący po przeciwnej stronie stołu wybraniec, tłusty młodzieniec w okularach, flegmatycznie żuł potrawkę z żółwia, rozmawiając o grze w polo i inwestycjach.

Jednak po kilkuminutowej obserwacji panna Summers zauważyła, że dziewczyna jakby promieniała, świadoma zagrożenia, jakie stanowi dla miłych pańienek i ich chłopców. Nagle obudziła się w Annie wściekła chęć

posiadania. Musi ratować Darrowa, zapewnić sobie prawo do niego za wszelką cenę. Dumę i powściągliwość zmiotł huragan zazdrości. Usłyszała, że on się śmieje, i w tym jego śmiechu brzmiało coś nowego... Śledziła go, jak mówił, bez końca mówił... Siedział nieco bokiem, z nieśmiałym uśmiechem w oczach, zniżając głos tak jak wówczas, kiedy z nią rozmawiał. Modulacja była ta sama, tylko wyraz oczu inny. Kiedyś czułaby się obrażona, gdyby na nią tak patrzył, teraz opanowała ją jedna jedyna myśl: że nikt oprócz niej nie ma prawa być celem takich spojrzeń. A już na pewno nie ta właśnie dziewczyna! Jakże jeszcze mógł mieć złudzenia wobec tej, która przed niespełna rokiem zrobiła z siebie idiotkę dla jakiegoś flegmatycznego tłuściocha, objadającego się teraz spokojnie po drugiej stronie stołu. Jeżeli taki ma być koniec namiętności i romansu, lepiej poświęcić się składaniu wizyt u znajomych lub algebrze.

Przez całą noc nie zmrużyła oka. „Co ona mogła do niego mówić? Jak się nauczyć takich słów?” Zdecydowała, że serce jej podpowie i następnym razem, kiedy będą sami, te kuszące słowa same spłyną z jej warg.

Przyszedł nazajutrz, lecz gdy byli sami, nie na wiele się zdobyła.

– Nie wiedziałam, że pan i Kitty Mayne jesteście przyjaciółmi – to wszystko, co zdołała wymówić.

Odpowiedział obojętnie, że on także o tym nie wiedział, ona zaś z poczuciem ulgi stwierdziła:

– Na pewno jest teraz o wiele ładniejsza, niż była...

– Raczej zabawna – przyznał, jak gdyby nie zauważył innych jej zalet, i nagle Anna dostrzegła w jego oczach ten sam błysk co poprzedniego wieczoru.

Miała wrażenie, że jest od niej oddalony o całe mile. Wszystkie nadzieje prysły. Zdała sobie sprawę, że siedzi sztywno, z wysoko uniesioną



głową i zaciśniętymi wargami, a kuszące słowa ulatują w złocistą mgłę jej złudzeń...

Jeszcze nie minęła przykrość i oszołomienie po tej przygodzie, kiedy pojawił się Fraser Leath. Po raz pierwszy spotkała go we Włoszech w czasie podróży, którą odbywała z rodzicami. Następnej zimy przyjechał do Nowego Jorku. We Włoszech wydał się jej interesujący, w Nowym Jorku niezwykły. Rzadko opowiadał o swoim życiu w Europie, robił niekiedy najzupełniej przypadkowe uwagi o przyjaciółach, o gustach, o poszukiwaniach wypełniających jego kosmopolityczne życie; ale w atmosferze Pięćdziesiątej Piątej Zachodniej wydawał się wcieleniem nagromadzonych cnót przeszłości.

Obdarował pannę Summers ładnie oprawioną antologią poetów starofrancuskich, a kiedy okazała szczególną radość z prezentu, zauważył ze swoim poważnym uśmiechem: „Nie przypuszczałem, że znajdę tutaj kogoś tak wrażliwego na te sprawy jak ja”. Innym razem poprosił o pozwolenie podarowania jej na wpół wyblakłego osiemnastowiecznego pastelu, który udało mu się wypatrzeć w domu aukcyjnym w Nowym Jorku. „Nie znam nikogo z wyjątkiem pani, kto by naprawdę umiał go ocenić” – tłumaczył. Nie pozwolił sobie na żaden dodatkowy komentarz, ale ten świadczył wystarczająco, iż uważał ją za godną odmiennego zaszeregowania.

Fakt, że została w ten sposób oceniona przez człowieka przebywającego w atmosferze sztuki i piękna, uznającego je za nieodzowne elementy życia, dał jej po raz pierwszy poczucie, iż jest rozumiana. Oto spotkała kogoś, kto miał taką samą skalę wartości jak ona i uznał, że jej opinia na tematy, które oboje uważali za sprawy najwyższej wagi, warta jest wysłuchania. To odkrycie odbudowało jej wiarę w siebie, toteż otworzyła

się przed panem Leathem, tak jak nigdy nie umiała się otworzyć przed panem Darrowem.

W miarę postępów w zalotach oboje nabierali do siebie coraz większego zaufania. Konkurent zaskakiwał ją i zachwycał drobnymi wybuchami wręcz rewolucyjnych uczuć. Mawiał: „Czy miałaby mi pani za złe, gdybym powiedział, że żyje w potwornie konwencjonalnej atmosferze?”, a widząc, że wyraźnie nie bierze mu tego za złe, dodawał: „Na pewno zdarzy mi się od czasu do czasu powiedzieć coś, co zgorszy pani uroczych rodziców i ogromnie ich zaszokuje, ostrzegam”.

Na potwierdzenie tego ostrzeżenia pozwalał sobie niekiedy na żartobliwy przytyk do bigoterii państwa Summers, niewinnego charakteru książek w ich bibliotece albo do ich szczerych wypowiedzi o sztuce. Odważał się nawet podkpiwać z pani Summers, że odmawia przyjmowania niepoprawnej Kitty Mayne, która po krótkim flircie z George’em Darrowem była teraz uwikłana w bardziej skandaliczną przygodę.

– W Europie za jedyne go sędziego w tych sprawach uważany jest mąż. Dopóki on akceptuje sytuację... – tłumaczył Annie pan Leath, ta zaś z entuzjazmem przyjmowała jego poglądy, aby przekonać samą siebie, iż jej osobista opinia o tej pani jest jak najbardziej tolerancyjna.

Wywrotowe poglądy pana Leatha uwypuklała dystygowana aparycja oraz powściągliwe maniery. Był jak anarchista z gardenią w klapie, występujący we wstrząsającym melodramacie. Każde jego słowo, każda aluzja, przyjemne brzmienie głosu dawały Annie obraz towarzystwa swobodniejszego, a zarazem wykwinniejszego, które zachowało tradycyjne formy, ale odrzuciło leżące u ich podstaw przesady, gdy tymczasem świat, który znała, odrzucił wiele form, lecz zachował prawie wszystkie przesady.

W atmosferze, jaką stwarzał, inteligentna młoda kobieta, ciekawa

wszelkich przejawów życia, lecz pragnąca instynktownie poznać je w kategoriach piękna i subtelnych uczuć, musiała znaleźć jak najszerze możliwości pełnego rozwoju. Studia, podróże, kontakty ze światem, obcowanie z oświeconym i oszlifowanym umysłem mogły się przyczynić do wzbogacenia jej życia i ukształtowania charakteru. I tylko w rzadkich chwilach, kiedy twarz pana Leatha o regularnych rysach pochylała się nad nią i jego pocałunki skapywały jak zimne, gładkie kamienie – dopiero wtedy nasuwała się wątpliwość, czy ofiarowane przez niego rozkosze są pełnią szczęścia.

Był taki czas, kiedy mury, na które teraz patrzyła, przyprószały pyłem ironii jej wczesne marzenia. W pierwszych latach po ślubie dyskretna symetria Givré nasuwała tylko sugestię o dokładnie wyważonym umyśle męża. Szybko się przekonała, że był to umysł pochłonięty formułowaniem konwencji dla niekonwencjonalności. Givré nie mniej niż Pięćdziesiąta Piąta Zachodnia było zainteresowane doniosłym pytaniem, „co ktoś robi”, zgłębiało tylko inny rodzaj badanych czynów. Pan Leath kolekcjonował towarzyskie przykłady z taką samą powagą i cierpliwością jak swoje tabakierki. Wymagał ścisłego przestrzegania własnych reguł nieprzestrzegania, a jego sceptycyzm nosił bezwzględne piętno dogmatu. Nawet lubił pewne wyjątki od swoich reguł, tak jak bibliofil ceni pierwsze wydania „z defektem”. Uczęszczanie rodziców Anny do protestanckiego kościoła prowokowało go do lekko sarkastycznych uwag, a zarazem dumny był z pobożności swojej matki, albowiem pani de Chantelle, przyjmując wiarę drugiego małżonka, stała się częścią towarzystwa, które nadal hołdowało zewnętrznemu rytuałowi religijności.

W rzeczywistości Anna odkryła w swojej uprzejmej i eleganckiej teściowej niespodziewane wcielenie ideałów Pięćdziesiątej Piątej

Zachodniej. Pani Summers i pani de Chantelle, bez względu na to, jak bardzo mogły się nie zgadzać z uznanymi źródłami dogmatów chrześcijańskich, byłyby w całkowitej zgodności co do najdrobniejszych szczegółów zachowania się w salonie. Jednakże pan Leath traktował te matczyne słabostki z szacunkiem, a doświadczenie Anny nie pozwalało przypisywać go bez zastrzeżeń synowskiej miłości.

We wczesnym okresie, kiedy wciąż jeszcze zadawała pytania Sfinksowi, zamiast sama starać się znaleźć na nie odpowiedź, ośmieliła się posądzić swego męża o brak konsekwencji.

– Powiedziałeś, że twoja matka nie byłaby zadowolona, gdybym odwiedziła tę zabawną osobkę, która tu kiedyś przyszła i została wpuszczona przez omyłkę, choć mieszka ze swoim mężem, a kiedy moja matka nie chciała odwiedzić Kitty Mayne, powiedziałeś...

Powstrzymał ją uśmiech pana Leatha.

– Drogie dziecko, ja wcale nie pretenduję do stosowania zasad logiki wobec przesądów mojej biednej matki...

– Ale jeśli przyznajesz, że to są przesady...

– Istnieją przesady i przesady. Oczywiście moja matka przejęła swoje od pana de Chantelle i mnie wydają się one w tym domu absolutnie na miejscu. Zachowują towarzyską tradycję, a ja byłbym niepokieszony tracąc najmniejszą smużkę jej woni. Oczywiście nie oczekuję po tobie, żebyś od razu wyczuła różnicę czy dojrzała niuanse. W przypadku tej małej pani de Vireville na przykład zwracasz uwagę, że przebywa ona nadal pod dachem swego męża. Całkowita prawda, i gdyby to była znajoma z Paryża, zwłaszcza gdybyś ją spotkała, jak to się może zdarzyć, w odpowiednim domu w Paryżu – byłbym ostatnim, który miałby coś przeciw jej odwiedzinom. Ale na wsi sprawa wygląda inaczej. Nawet najlepsze wiejskie

towarzystwo jest, jak byś to nazwała, ciasne. Nie zaprzeczam, jednak gdyby ktoś z naszych przyjaciół spotkał panią de Vireville w Givré – no cóż, to by sprawiło złe wrażenie. Jesteś skłonna do wyśmiewania takich motywów, ale stopniowo uznasz ich znaczenie, a tymczasem zaufaj mi, kiedy proszę o zastosowanie się do rad mojej matki. Zawsze lepiej, jeśli cudzoziemiec w starym społeczeństwie będzie się trzymał tego, co ty nazywasz przesadami, a ja bym nazwał tradycją.

Po tym już więcej nie usiłowała wyśmiewać przekonań męża czy z nim polemizować. Były to jego przekonania, a więc niepodważalne. Nie było także żadnego fałszu w tym, że niekiedy zbiegały się z jej własnymi. Zdarzało się, że na pewne sprawy zapatrywał się dokładnie tak jak ona, ale powody były tak odmienne, że oddalali się od siebie coraz bardziej. Dla pana Leatha życie było jak przechadzka po starannie sklasyfikowanym muzeum, gdzie w razie wątpliwości wystarczy rzucić okiem na numer i zajrzeć do katalogu; dla jego żony było ono jak snucie się po omacku w jakiejś graciarni, gdzie promień ciekawości pada to na żywe piękno, to na grymas mumii.

W pierwszym olśnieniu nowym stanem to odkrycie sprawiło, że opadła jeszcze jedna zasłona z gazy pomiędzy nią a rzeczywistością. Wydało jej się, że została bardziej niż kiedykolwiek odsunięta od silnych przeżyć, do których czuła się stworzona. Nie zaakceptowała poglądów męża, ale podświadomie zaczęła żyć jego życiem. Jako rekompensatę usiłowała wlać więcej zapалу w potajemne wędrówki swego umysłu i powróciło błędne rozróżnienie pomiędzy romantyką a rzeczywistością i znowu pogodziła się z myślą, że „prawdziwe życie” ani nie jest prawdziwe, ani nie jest życiem.

Narodziny córeczki usunęły w cień te rozważania, ale nie na długo. Wszystko oprócz niezaprzeczalnie brutalnego faktu ciąży przybierało w

gospodarstwie państwa Leath ten sam upiorny posmak nierzeczywistości. W tym czasie jej małżonek zachowywał się tak, jak wymagał jego ideał męża. Był uważny i nawet odpowiednio wzruszony, ale kiedy siedział przy jej łóżku i w zamyśleniu recytował nazwiska ludzi, którzy wpadali, „żeby się czegoś dowiedzieć”, patrzyła najpierw na niego, potem na dziecko i zdumiewała ją nieudolna alchemia natury...

Z wyjątkiem małej dziewczynki wszystko, co się wiązało z tym okresem, stawało się dziwnie odległe i nieważne. Dni, które dotąd miały powoli, teraz w jej odczuciu spadały z prędkością błyskawicy w otchłań czasu, a kiedy tak siedziała w jesiennym słońcu, z listem od

Darrowa w ręku, historia Anny Leath wydawała jej się szarym cieniem bajki, którą może przeczytała w jakiejś starej książce pewnej nocy przed zaśnięciem.

## 10

Dwie brunatne plamy majaczące na krańcu leśnej alei stopniowo przybierały postać pasierba i towarzyszącego mu leśniczego. Siedziała spokojnie, czekała, aż dojdą do bramy, gdzie leśniczy skęci do swojego domu, Owen zaś pójdzie prosto do zamku.

Czekała na niego z uśmiechem. Od pierwszych dni małżeństwa darzyła sympatią tego chłopca, ale dopiero po urodzeniu Effie tak naprawdę zaczęła go poznawać. Uważna obserwacja własnego dziecka uświadomiła jej, jak wiele musi się jeszcze dowiedzieć o tym szczupłym, jasnowłosym wyrostku.

Nigdy nie będzie tak przystojny jak pan Leath – przyznawała rodzina z westchnieniem. Ale jego uroczo nieregularne rysy, zamyślane czoło i



zaraźliwy chłopięcy uśmiech kazały Annie dopatrywać się w pasierbie lekko zwichrowanego odbicia swego męża. Kiedy spędzał wakacje w Givré, wygłaszał najdziwniejsze uwagi na temat postawy i mentalności ojca. Z wybuchami aktywności posuniętej aż do trzaskania drzwiami, to znów napadami chorobliwego lenistwa, z namiętym, rewolucyjnym dogmatyzowaniem przeplatany błyskami nad wiek dojrzałej ironii, chłopiec mógł być niesfornym wcieleniem Frasera Leatha; jak gdyby teorie tego ostatniego, zazwyczaj zawieszane jak marionetki na nitkach, nagle zerwały się i zaczęły same chodzić. Niekiedy dowcipy Owena musiały na jego ojcu sprawiać wrażenie wybryków młodocianego Frankensteina. Ale dla Anny były to odgłosy jej skrywanego buntu i czułość do pasierba opierała się częściowo na surowości wobec siebie samej. Ponieważ miał odwagę, której jej zabrakło, była zdania, że powinien wykorzystać szansę, którą ona zaprzepaściła. Wszystko, co dla niego robiła, sprzyjało utrzymaniu przy życiu jej własnych nadziei.

Zainteresowanie Owenem sprawiało, że coraz częściej myślała o jego matce. Czasem wymykała się i samotnie stała przed portretem swojej poprzedniczki. Odkąd przybyła do Givré, portret – „naturalnej wielkości”, namalowany przez modnego ongiś artystę – odbywał kolejne przeprowadzki, niczym wygnany książę małżonek, lokowany coraz dalej od tronu. Anna nie mogła oprzeć się myśli, że zbiegały się one ze stopniowym wygasaniem sławy malarza. Fantazja podpowiadała jej, że w przeciwnym wypadku pierwsza pani Leath nadal królowałaby nad kominkiem w salonie, wypierając podobiznę swojej następczyni. Tymczasem peregrynacje portretu zakończyły się w pokoju bilardowym, do którego nikt nigdy nie zaglądał; mówiono o nim tylko, że „ma lepsze światło” – lub mógłby je mieć, gdyby okiennice nie były stale zamknięte.

Elegancko ubrana dama, siedząca pośrodku wielkiego samotnego płótna, bezmyślnie wpatrzona w połączoną konsolę, wydawała się nieustannie oczekiwać gości. „Zastanawiam się, jak wiele czasu minęło, nim się zorientowałam, że nigdy nie przyjdą!” – wielokrotnie upominała ją Anna, z kpinią skierowaną raczej ku sobie niż ku zmarłej. Ale dopiero po urodzeniu Effie zdarzyło się jej uważniej przyjrzeć twarzy na obrazie i zastanowić, jakiego rodzaju gości mogła oczekiwać matka Owena.

„Chyba nie byłiby to goście tego samego pokroju co moi, ale trudno cokolwiek wywnioskować z portretu tak starannie namalowanego, «żeby się podobał rodzinie». Oni nigdy nie przybyli, nigdy, i dlatego umarła. Na długo przedtem, zanim ją pochowano. Świadczą o tym jej martwe oczy... Jakże potworną samotność musiała cierpieć, skoro nawet Owen nie zdołał uchronić jej od śmierci. Obdarzona uczuciami, prawdziwymi, żywymi, takimi, co szarpia i nęka ją, przez całe życie wpatrywała się jedynie w połączoną konsolę przymocowaną do ściany...” Anna nie chciała tego doświadczyć, toteż tuliła dwoje dzieci z taką samą macierzyńską namiętnością; jak gdyby jedno nie wystarczało, żeby ją uchronić od losu poprzedniczki.

Czasami miała wrażenie, że odzew Owena jest cieplejszy niż jej własnego dziecka. Ale Effie była jeszcze maleństwem. Pomiedzy Anną a jej pasierbem było wiele nigdy nie wypowiedzianych słów i aluzji, a jednak pewność obopólnego zrozumienia stanowiła najgłębszą treść ich wzajemnych uczuć.

Zatopiona w tych rozważaniach patrzyła, jak się zbliża, i serce zaczęło jej bić trochę szybciej na myśl o tym, co ma mu do powiedzenia. Kiedy był już przy bramie, zatrzymał się i po chwili zawrócił, jak gdyby kierując się ku alei wiodącej na przelaj przez park.

Wstała i pomachała parasolką, ale jej nie zauważył. Pewno zamierzał wrócić z leśniczym do psiarni, żeby obejrzeć psa gończego, który skaleczył się w nogę. Nagle zapragnęła za nim pobiec. Odrzuciła parasolkę, wsadziła list za stanik, zebrała w garść fałdy spódnicy i ruszyła przed siebie.

Nie uświadamiała sobie, jaki impuls nią teraz kierował. Wiedziała tylko, że musi biec, że żaden inny ruch nie odpowiada jej obecnemu nastrojowi. Jakby dotrzymywała tempa jakiemuś wewnętrznemu rytmowi, usiłowała nadać fizyczny wyraz lirycznej gonitwie myśli. Ziemię pod stopami zawsze wyczuwała jako coś elastycznego, ale nigdy nie sprawiało jej takiej radości stąpanie po niej i nigdy nie była ona tak miękka, tak podatna jak dziś. Wprost unosiła się na jej spotkanie i Anna miała wrażenie, jak to się zdarza we śnie, że ślizga się w cudowny sposób po powierzchni lśniących fal. Powietrze także ogarniało ją falami, zbierając po drodze ukośne promienie i wilgotne, ostre zapachy kończącego się dnia. Mówiła do siebie zadyszana: „To bzdura!”, ale jej krew odpowiadała: „To wspaniale!”, więc biegła, dopóki nie spostrzegła, że Owen ją zobaczył i zawraca w jej kierunku.

Zatrzymała się, zarumieniona, roześmiana, z dłońmi przyciśniętymi do listu na piersi.

– Chyba zwariowałam – zawołała – ale dzisiaj coś jest takiego w powietrzu, nie czujesz?! I chciałabym chwilkę z tobą porozmawiać – dodała, kiedy do niej podszedł. Z uśmiechem wzięła go pod rękę.

Odpowiedział także uśmiechem, ale dostrzegła w nim cień niepokoju, który przez ostatnie dwa miesiące gościł stale w ładnych oczach pasierba pod zmarszczonymi brwiami.

– Owen, nie rób takiej miny, bardzo proszę! – nakazała stanowczo.

Roześmiał się.

– Powiedziałaś to dokładnie tak jak Effie. Więc co, mam ścigać się z tobą tak jak z nią? Nie będę urządził widowiska! – zaprotestował i znów zmarszczył brwi.

– Dokąd idziesz? – zapytała.

– Do psiarni. Ale to nie jest pilne. Weterynarz obejrzał Garry’ego, wszystko w porządku. Jeżeli masz mi coś do powiedzenia...

– A mówiłam, że mam? Po prostu wyszłam ci na spotkanie, chciałam wiedzieć, czy polowanie się udało.

Twarz mu znowu spochmurniała.

– Wcale się nie udało. Jean i ja po prostu włóczyliśmy się po lasach. Nie byłem w krwiożerczym nastroju.

Szli równym krokiem. Anna znowu spojrzała ukradkiem na twarz chłopca.

– Przecież mówiłaś, że jest coś, o czym chciałaś ze mną porozmawiać – odezwał się pasierb po chwili milczenia.

– No cóż, to prawda. – Mimo woli zwolniła tempo, wreszcie przystanąła na wprost niego pod lipą.

– Czy Darrow przyjedzie? – zapytał.

Rzadko się rumieniła, ale w tym momencie załała ją nagła fala gorąca. Głowę trzymała wysoko.

– Tak, przyjedzie. Dopiero co się dowiedziałam. Będzie tu jutro. Ale nie o to... – Uświadomiła sobie swoją omyłkę i chciała ją naprawić. – A raczej tak, w pewnym sensie to jest powód, dla którego chciałam z tobą porozmawiać.

– Dlatego że on przyjeżdża?

– Dlatego że jeszcze go tu nie ma.

– A więc o nim?

Popatrzył na nią dobrotliwie, lekko rozbawiony, a w jego uśmiechu była prawie braterska mądrość.

– O nim? Nie, nie, po prostu chciałam porozmawiać dzisiaj, bo to nasz ostatni dzień, kiedy jesteśmy sami.

– Och, rozumiem. – Wsunął ręce do kieszeni tweedowej myśliwskiej marynarki i szedł obok Anny z oczami utkwionymi w wilgotne koleiny podjazdu, jak gdyby cała sprawa całkowicie przestała go interesować.

– Owen!

Znowu się zatrzymał i spojrzał na nią.

– Moja droga, nie ma najmniejszego sensu...

– Co nie ma sensu?

– Cokolwiek jedna z was mogłaby powiedzieć.

Obruszyła się.

– Czyżbym była „jedną z was”?

– Cóż – nie ustępował – no to cokolwiek mogłabyś powiedzieć.

– Nie masz najmniejszego pojęcia, co mogę powiedzieć ani co mam na myśli.

– W ogóle nie mam?

Jeden punkt dla niego. Ale nie zamierzała się poddać.

– Tym razem w szczególności. Chcę powiedzieć... Owen, byłeś wspaniały przez cały czas.

Wybuchnął śmiechem starszego brata.

– Wspaniały – stwierdziła z zachwytem. – Tak samo jak ona.

– Och, tak samo jak ty wobec niej. – Jego głos nabrał znów chłopięcego tonu. – Ani na chwilę nie spuściłem was z oka. W sumie było to znacznie łatwiejsze dla niej – dodał przytomnie.

– W sumie może tak – przyznała ze śmiechem. – Chyba więc tym

przyjemniej jest ci słyszeć, że zachowałeś się równie dobrze jak ona?

– Wiesz, że nie zrobiłem tego dla ciebie – odparował bez najmniejszej nutki wrogości.

– Czy nie byłeś jednak troszkę zły...? No, bo w końcu wiedziałeś, że ja...

– Byłaś niesłychanie dobra, że udawałaś.

Roześmiała się.

– Nie wierzysz mi? Powinieneś pamiętać, że muszę liczyć się z twoją babcią.

– Tak, i z moim ojcem, i z Effie, no i myślę, że ze znieważonymi cieniami Givré. – Przerwał, jak gdyby chcąc mocniej zaakcentować chłopięce szyderstwo. – Czy włączasz w to nieboszczyka, pana de Chantelle?

Udała, że nie zauważyła zaczepki. Ciągnęła dalej tym samym tonem serdecznej perswazji:

– Musiało ci się wydawać, że i mną zawładnęło Givré. Może i tak było. Ale wiesz, nie dlatego cię prosiłam, żebyś zaczekał i nic nie mówił babci, zanim wróci.

Zastanowił się.

– Prawdziwym celem było oczywiście zyskanie na czasie.

– Tak, ale dla kogo? Czy nie dla ciebie?

– Dla mnie? – Na twarz wystąpił mu rumieniec. – Nie masz na myśli...

Położyła dłoń na jego ramieniu i poważnie spojrzała w jego piękne oczy.

– Mam na myśli, że kiedy twoja babcia wróci z Ouchy, porozmawiam z nią...

– Porozmawiasz z nią?



– Tak, jeśli tylko obiecasz, że dasz mi czas.

– Czas, żeby posłała po Adelaidę Painter?

– Och, ona na pewno pośle po Adelaidę Painter!

Ta aluzja sprawiła, że wymienili roześmiane spojrzenia.

– Musisz tylko przyrzec, że nie będziesz przyspieszał sprawy. Musisz mi dać czas, żebym przygotowała również Adelaidę – ciągnęła dalej pani Leath.

– Ją także chcesz przygotować? – Odsunął się, żeby lepiej jej się przyjrzeć. – Przygotować do czego?

– No cóż, przede wszystkim chcę przygotować babcię. Do twojego ślubu. Tak, to właśnie mam na myśli. Przejrzałam cię niemal na wylot, wiesz...

Udawana obojętność opuściła go, chwycił ją za rękę.

– Och, kochana, boska istoto! Nawet nie marzyłem...

– Wiem, że nie marzyłeś. – Spuściła oczy i zaczęła iść powoli.

– Nie mogę powiedzieć, że przekonałeś mnie o mądrości tego kroku. Tylko wydaje mi się, że dążenie do tego, aby nie zaprzepaścić sprawy, znaczy najwięcej. To mnie przekonało. Teraz jestem pewna, że nie ustąpisz.

– O tym, że nie ustąpię, mówiłem ci już wiele miesięcy temu. Tego mogłaś być pewna. Czy możesz być pewniejsza dziś, niż byłaś wczoraj?

– Nie wiem. Przypuszczam, że człowiek uczy się czegoś każdego dnia.

– Nie w Givré. – Roześmiał się i posłał jej lekko ironiczne spojrzenie.

– Ale ostatnio długo cię nie było w Givré, całe miesiące. Przypuszczasz, że tego nie zauważyłem, moja droga?

Westchnęła.

– Biedne Givré...

– Biedne puste Givré. Z tyloma pokojami, a przecież bez żywej duszy. Oczywiście z wyjątkiem babci, która jest jego duszą.

Doszli do bramy wjazdowej wiodącej na dziedziniec i stanęli zapatrzeni w pastelową fasadę, na której gasło jesienne światło.

– Dom jakby stworzony do tego, żeby zamieszkało w nim szczęście  
– szepnęła.

– Tak, dzisiaj tak wygląda. – Lekko przycisnął jej ramię. – Och, kochana! – Przerwał, po czym ciągnął dalej, ściszywszy głos: – Czy nie czujesz, ty także, że to kochane stare gniazdo na to zasłużyło? Chodź, zrobmy coś, żeby się roześmiało od skrzydła do skrzydła. Mam wściekłą chęć powiedzenia mu czegoś obelżywego – a ty nie? W końcu w dawnych czasach musieli tu być żywi ludzie!

Uwolniła się od uścisku jego ramienia, nadal wpatrzona w fasadę, która w smutnym świetle zachodu zdała się słać nieme błaganie skazańca.

– Jest piękny – powiedziała.

– Piękne wspomnienie, do którego mogę się uciec, kiedy ślęczę nad prawem w Nowym Jorku. – Przerwał i spojrzał na nią z pytającym uśmiechem. – A jak twoje sprawy? No, powiedz. Właściwie nam niepotrzebne są słowa, żeby ze sobą rozmawiać. Kiedy nagle uciekasz myślą, stajesz się tajemnicza, zawsze mam ochotę zawołać: „Wróć! Wszystko już wiem!”

Odwzajemniła mu się uśmiechem.

– Wiesz tyle co ja. Przysięgam.

Zawahał się, jak gdyby po raz pierwszy nie był pewien, jak daleko może się posunąć.

– Nie znam Darrowa tak dobrze jak ty – zaryzykował.

Lekko zmarszczyła brwi.

– Dopiero co powiedziałeś, że nie musimy ze sobą rozmawiać...

– Miałem na myśli twoje oczy. – Chwycił ją za łokcie i obrócił tak, że słońce zalało zdradzieckim światłem jej twarz. – Twoje oczy są szalenie rozmowne. Czy nie sądzisz, że powiedziały mi już dawno temu, dlaczego właśnie dzisiaj zdecydowałaś, że ludzie muszą wieść własne życie – nawet w Givré?

## 11

To jest południowy taras – powiedziała Anna. – Chcesz się przejść w dół do rzeki?

Jakby słuchała samej siebie przemawiającej gdzieś spod obłoków, a jednocześnie jakby znajdowała się w kręgu świadomości opasującej lśniącym kołem ją i Darrowa. Dla uszu wymagowanego słuchacza jej słowa brzmiałyby płasko i bezbarwnie, ale tutaj, wewnątrz kręgu, każde z nich tętniło własnym życiem.

Działo się to nazajutrz po przyjeździe Darrowa. Zszedł na dół wcześniej, znęcony słodyczą światła na łąkach i w parku pod oknem. Anna usłyszała, jak idzie po schodach, jak się zatrzymuje na kamiennej posadzce hallu, jak pyta służącego, gdzie może ją zastać. Była w głębi domu, w saloniku z brązową boazerią, gdyż tam najpierw wpadało światło dnia i utrzymywało się najdłużej. Stała blisko okna, w bladych promieniach słońca, układając łososioworóżowe pelargonie w głębokim porcelanowym wazonie. Ich widok i dotyk budził w niej żywy oddźwięk. Szarozielony puszek liści pieścił jej palce. Blask słońca lśnił na nieregularnej powierzchni starego parkietu, nadając mu wygląd łożyska płynącego strumienia.

Darrow stał w drzwiach odległego salonu: jasnoszara sylwetka na tle

czarno – białej posadzki hallu; następnie ruszył w stronę Anny przez pustą perspektywę jasnej boazerii, mijając długie cienie, rzucane tu i ówdzie na lśniące parkiety przez serwantki i parawany.

Kiedy tak się zbliżał, na chwilę ujrzała w myślach postać swego męża, którego często widywała z tego samego miejsca. Szedł szczupły, wyprostowany, nieco sztywny, spoglądając to w lewo, to w prawo, zatrzymując się raz po raz, żeby przesunąć jakieś krzesło czy poprawić ustawienie wazy. Fraser Leath kroczył ku niej między dwoma szeregami mebli jak generał dokonujący przeglądu pułku, stojącego przed nim na baczność. W połowie drogi przez drugi pokój zawsze zatrzymywał się przed marmurowym kominkiem i przeglądał się w wysokim, ozdobionym girlandą lustrze. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek coś poprawił czy zmienił w swym wystudiowanym ubiorze, ale też nigdy nie widziała, żeby zaniedbał kontroli swojej osoby, przechodząc obok tego szczególnego lustra.

Minąwszy je kontynuował marsz w przyspieszonym tempie, a wyraz zadowolenia nadal gościł na jego twarzy, kiedy wchodził do dębowego salonu, żeby przywitać się z żoną...

Tylko przez chwilę widmowa projekcja tej codziennej scenki stała przed oczami Anny, ale ta chwila wystarczyła jej, aby zdziwionym spojrzeniem zmierzyć odległość między przeszłością a teraźniejszością.

Kroki teraźniejszości zbliżyły się i Anna musiała odłożyć pelargonie, aby podać rękę Darrowowi...

– Tak, chodźmy na dół do rzeki.

Jak dotąd, nie mieli wielu okazji do rozmowy. Darrow przyjechał późnym popołudniem poprzedniego dnia. Przez cały wieczór rozdzielala ich obecność Owena Leatha oraz własne myśli. Teraz znaleźli się po raz pierwszy bez świadków i już samo to im wystarczało. Jednak Anna miała

całkowitą pewnością, że gdy tylko zaczną rozmawiać, poczują, że wcale tak dobrze się nie znają.

Zeszli po schodach z tarasu na zwirową alejkę. Delikatny lakier rosy nadawał trawie niebieskawy połysk. Światło słońca, wślizgując się szmaragdowymi smugami między pnie drzew, skupiło się w wielkie jasne plamy na końcu leśnej alei i zawiesiło nad polami wróżącą deszcz aureolę, podobną do pierścienia wokół jesiennego księżyca.

– Jak tu przyjemnie – zauważył Darrow.

Skręcili w lewo i przystanęli na chwilę, żeby popatrzeć od tyłu na różową fasadę domu – prostszą, bardziej przyjazną i mniej ozdobioną niż ta zwrócona w stronę dziedzińca. Tak długo, a zarazem delikatnie, czas szlifował cegły, że niektóre okryły się mchem i upodobniły do starego czerwonego aksamitu, a plamy złotego mchu wyglądały na nich jak ostatnie ślady wyblakłego haftu. Kopuła kaplicy z pozłacanym krzyżem górowała nad jednym skrzydłem. Drugie zakończone było stożkowatym gołębnikiem, nad którym fruwały ptaki, przysiadając od czasu do czasu na błękitnym dachu.

– To tutaj spędziłaś te wszystkie lata?

Skręcili i poszli długim tunelem żółknących drzew. Aleja, wzdłuż której stały omszałe ławki, rozszerzała się dalej, tworząc krąg wokół otoczonego głazami basenu, w którym mętna woda usiana liśćmi wyglądała jak płyta nakrapianego złotem agatu. Zwężająca się dalej alejka skręcała kolistnie w las pomiędzy smukłe, zwarte pnie oplecione bluszczem.

Szli przez pola ku wąskiej ścieżce, prowadzącej do rozsypującego się pawilonu z zarośniętym wejściem. Tam usiedli na ławce opartej o wewnętrzną ścianę i patrzyli na przeciwległy brzeg rzeki, na rozlewiska w zielonym i pawim kolorze, na bielone domki wsi, na jej przysadzistą wieżę

kościelną i szare dachy na tle wyraźnie rysujących się linii krajobrazu. Anna milczała, tak mocno wyczuwając bliskość Darrowa, że nie zdziwiło jej bynajmniej, gdy dotknął jej ręki.

Spojrzeni po sobie, a on się uśmiechnął.

– Teraz już nie będzie żadnych przeszkód – powiedział.

– Przeszkód? – To słowo ją zaskoczyło. – Jakich przeszkód?

– Nie pamiętasz słów depeszy, którą mnie odprawiłaś w maju? „Nieprzewidziane przeszkody”, tak to się nazywało. A propos, co to był za wstrząsający problem? Znalezienie guwernantki dla Effie, czyż nie tak?

– Ale ja podałam ci powód. Napisałam o tym szczegółowo.

– Tak, wiem, że napisałaś. – Podniósł jej rękę do warg, ucałował.

– Jakże to wszystko wydaje się odległe i jak mało teraz ważne!

Spojrzała na niego szybko.

– Tak czujesz? Ja chyba jestem inna. Ja bym chciała zespolić wszystkie zmarnowane miesiące w dzisiejszym dniu, żeby stanowiły jego część.

– Ależ dla mnie one są jego częścią. Trzeba się cofnąć i zebrać wszystko, cofnąć się do pierwszych dni.

Ściągnęła lekko brwi, jakby walcząc z dziwnym zakłopotaniem.

– Ciekawe, że w tamtych pierwszych dniach także zaszło między nami coś, czego nie potrafiłam zrozumieć.

– W tamtych pierwszych dniach w ogóle nie rozumieliśmy własnych odczuć. To się nazywa olśnieniem młodością.

– Tak, tak właśnie myślałam... kiedy spoglądałam za siebie. Ale nawet wtedy nie mogło to być tak prawdziwe w tobie, jak we mnie, a teraz...

– Teraz liczy się jedynie to, że siedzimy tutaj razem.

Powiedział to z taką lekkością, jakby stwierdzał oczywistość jej



władzy nad nim. Ale ona nie była dumna z tego triumfu. Sądziła, że pragnie jego wierności, jego adoracji nie tyle dla siebie, ile dla ich obopólnej miłości, i że lekceważąc jakąkolwiek minioną fazę ich stosunków, odbiera im część obecnego piękna. Twarz jej się zaróżowiła.

– Pomiedzy tobą a mną wszystko się liczy.

– Oczywiście. – Wyczuła dyskretną słodycz jego uśmiechu. – Dlatego właśnie – ciągnął dalej – wszystko dla mnie jest tu i teraz, na tej ławce, pomiedzy tobą a mną.

Uchwyciła się tego zdania:

– To właśnie miałam na myśli: tu i teraz, nie możemy przed tym uciec.

– Uciec? Chciałabyś znowu uciec?

Serce biło jej nierówno. Ciepło jego bliskości przenikało każdy jej zmysł, jak słońce nasycza krajobraz. Nagle poczuła, że zadowolić ją może jedynie pełnia szczęścia.

– Znowu? Czy to nie ty uciekłeś ostatnim razem?

Zamilkła drżąca. Ale naładowana pytaniami pauza nie spowodowała najmniejszej zmiany na twarzy jej towarzysza.

– Ostatnim razem? Ostatniej wiosny? Ależ to ty – jak mi powiedziałaś, z najpoważniejszych powodów – odprawiłaś mnie wtedy spod samych drzwi.

Zobaczyła, że jest on w jak najlepszym nastroju i tylko dla jej sentymentalnej satysfakcji gotów jest debatować nad kwestią, którą w jego przypadku czas już definitywnie rozstrzygnął; to ją uspokoiło.

– Napisałam, gdy tylko mogłam – ciągnęła dalej. – Wytłumaczyłam powód i prosiłam, żebyś przyjechał. A tyś mi nigdy nie odpowiedział.

– Wtedy mój przyjazd był niemożliwy. Musiałem wracać do pracy.

– I nie mogłeś odpisać, zawiadomić mnie?

– Twój list szedł bardzo długo. Czekałem tydzień, dziesięć dni, a kiedy go wreszcie otrzymałem, tłumaczyłem sobie, że nie wyglądasz zbyt niecierpliwie odpowiedzi.

– Tak pomyślałeś, naprawdę? Po przeczytaniu listu?

– Tak pomyślałem.

Serce podeszło jej do gardła.

– No to dlaczego jesteś tu dzisiaj?

Obrócił się do niej szybko, ze zdziwionym spojrzeniem.

– Na litość boską, ty mnie o to pytasz?

– Widzisz, miałam rację mówiąc, że nie zrozumiałam.

Zerwał się na równe nogi i stał wpatrując się w nią, zasłaniając sobą widok na rzekę i szachownicę rozlewisk.

– Może i ja tak mógłbym powiedzieć.

– Nie, nie, żadne z nas nie powinno już mieć powodów, żeby znów tak mówić. – Spojrzała na niego z powagą. – Na pewno ani ty, ani ja nie musimy ukrywać przed sobą swoich twarzy. Ja chcę, żebyś mnie widział taką, jaka jestem, ze wszystkimi moimi irracjonalnymi wątpliwościami i skrupułami, starymi, a także nowymi.

Wrócił na swoje miejsce obok niej.

– Mniejsza o stare, miały usprawiedliwienie, mogę je uznać. Z guwernantką, którą trzeba było nagle wyrzucić, z Effie na barkach i chorą teściową. Rozumiem, że nie mogłaś mnie zaprosić, rozumiem nawet w tej chwili trudność, jaką ci sprawiło napisanie o tym. Ale jakie to ma obecnie znaczenie? Nowe skrupuły, oto co chciałbym powstrzymać...

Serce w niej znowu zadrzało. Poczula, że szczęście jest tak bliskie, tak pewne, że jeśli pochwyci je mocniej, to może je zgnieść, tak jak dziecko,

które pieścizotami uśmierca ulubionego ptaszka. Ale wspomogło ją poczucie bezpieczeństwa. Bo jej zwątpienie, które przez tak długi czas było ostre niczym nóż, teraz przerodziło się w bezpieczną zabawkę.

– Kiedy nie przyjechałeś i nie odpowiedziałeś na mój list, po czterech miesiącach oczekiwania napisałam następny.

– No i na ten odpowiedziałem, i jestem.

– Tak. – Wytrzymała jego spojrzenie. – Ale w moim ostatnim liście powtórzyłam dokładnie to co w pierwszym, tym pisanym w czerwcu. Wtedy zawiadomiłam, że jestem gotowa udzielić ci odpowiedzi na to, o co prosiłeś w Londynie; i w ten sposób zdradziłam, jaka będzie ta odpowiedź.

– Najdroższa, najdroższa – wyszeptał Darrow.

– Zignorowałeś ten list. Przez całe lato nie dałeś znaku życia. A teraz proszę cię tylko o jedno. Powiedz szczerze, dlaczego tak postąpiłeś?

– Mogę tylko powtórzyć to, co przed chwilą mówiłem. Byłem dotknięty, nieszczęśliwy i zwątpiłem w ciebie. Tak bardzo mi na tobie zależało, że nie mogłem zaryzykować jeszcze jednej porażki. No bo zgotowałaś mi okrutną porażkę. Więc zamknąłem oczy, zacisnąłem zęby i odwróciłem się. Oto cała małoduszna prawda.

– Jeżeli to jest cała prawda! – Pozwoliła mu się objąć. – Widzisz, to mnie właśnie dręczy. Inaczej rozumiałam twoje milczenie, dopóki nie spowodowałaś, że je przełamaleś. Teraz jednak chciałabym się upewnić, że miałam rację.

– Co mam powiedzieć, żeby cię przekonać?

– Najpierw pozwól mi pierwszej wszystko wyłożyć. – Odsunęła się, ale nie zabrała ręki. – Owen widział cię w Paryżu – zaczęła.

Patrzyła na niego, nie odwrócił spojrzenia. Pełne światło padało na jego ładnie opaloną twarz, na szare oczy i wysokie czoło. Pierwszy raz

zauważyła sygnet w srebrnej oprawie na ręce, którą trzymał na jej dłoni.

– W Paryżu?... Ach, tak... Rzeczywiście.

– Powiedział mi, jak wrócił. Zdaje się, że rozmawiałeś z nim przez chwilę w jakimś teatrze. Zapytałam, czy mówiłeś, że cię odwołałam, albo czy przesłałeś mi jakąś wiadomość. Ale nie pamiętał, żebyś o tym wspomniał.

– W tłumie, w paryskim foyer? Moja kochana!

– To było idiotyczne z mojej strony! Ale Owen i ja zawsze byliśmy w jakimś dziwnym bratersko – siostrzanym stosunku. Myślę, że on coś odgadł, kiedy zobaczył nas razem w Londynie. Więc trochę się ze mną przekomarzał i chciał wzbudzić moją ciekawość, a kiedy stwierdził, że mu się to udało, przyznał, że nie miał wiele czasu na rozmowę, bo było ci bardzo pilno wrócić do tej pani, z którą cię spotkał.

Nadał trzymał jej dłonie, ale już nie czuła drżenia jego rąk, krew nie napływała do jego policzków. Wydawało się, że uczciwie przeszukuje swoją pamięć.

– No tak, i co on jeszcze naopowiadał?

– Och, niewiele, poza tym, że ona była prześliczna. Kiedy go prosiłam, żeby ją opisał, odparł, że ją wepchnął z powrotem do łoży i właściwie dobrze jej się nie przyjrzał. Widział tylko tren jej sukni i to go utwierdziło w przekonaniu, że jest ładna. Wiesz, czasem można... On chyba wspomniał, że miała na sobie różową suknię.

Darrow wybuchnął śmiechem.

– Oczywiście, wszystkie suknie są tego koloru! A więc to było przyczyną twoich wątpliwości?

– Nie od razu. Początkowo tylko się śmiałam. Ale potem, kiedy napisałam, a ty nie odpowiedziałeś – wtedy... rozumiesz?

Spojrzał na nią życzliwie.

– Tak, rozumiem.

– To nie jest jakiś drobiazg pomiędzy nami. Chcę, żebyś mnie poznał taką, jaka jestem. Kiedy pomyślałam o tym w chwili... gdy byłeś w drodze tutaj, prawie...

Wypuścił jej dłoń i wstał.

– Tak, tak, rozumiem.

– Ale czy na pewno? – Wodziła za nim wzrokiem. – Nie jestem młodą gąską. Wiem... oczywiście, że wiem... ale są rzeczy, które kobieta wyczuwa... Nie chodzi o to, że żądam wyjaśnienia, że mam na myśli tamten szczególny wieczór. Chodzi tylko o to, żebyś znał moje odczucia. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczyłam cię ponownie. Nigdy mi się nie śniło, że powiem ci coś takiego!

– A mnie się nie śniło, że przybędę tutaj, żeby usłyszeć coś takiego z twoich ust. – Odwrócił się do niej, ujął zwisający brzeg jej szala i przycisnął go do warg. – Ale teraz, kiedy tak się stało, już wiem, już wiem. – Uśmiechnął się pochylając głowę.

– Co wiesz?

– Że to nie jest coś przelotnego między nami. Teraz możesz pytać mnie o wszystko. Tylko o to chciałem cię prosić.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Zobaczyła, jak tańczące iskierki w jego spojrzeniu gasną, oczy ciemnieją, nabierają wyrazu skupionej namiętności. Kiedy się pochylił, aby ją pocałować, poczuła się jak otulona skrzydłami.

Gdy wracali do domu, ich rozmowa siłą rzeczy obracała się wokół przyszłości.

Anna była niezwykle wrażliwa na ulotne chwile szczęścia i kiedy szła u boku Darrowa, każdy wybuch emocji wzmagał piękno otoczenia, a wraz z tym poczucie, że takie chwile należy zatrzymać i wchłaniać jak niepowtarzalny cud. Rozumiała zniecierpliwienie Darrowa, pragnącego, żeby ich plany przybrały realny kształt. Wiedziała, że tak musi być, że nie może być inaczej; ale osiągnięcie stanu, w którym mogłaby skupić myśli na ustaleniu daty i podjęciu decyzji, było jak torowanie drogi poprzez srebrzysty gąszcz kwietniowego lasu.

Darrow pragnął wykorzystać swoje stanowisko dyplomatyczne do studiów nad pewnymi problemami ekonomicznymi i społecznymi; wyniki zamierzał ogłosić drukiem. Mając to na względzie, poprosił (i uzyskał zgodę) o przeniesienie na placówkę południowoamerykańską. Anna gotowa była towarzyszyć mu wszędzie i nie miała nic przeciw odgradzeniu się od przeszłości nowymi widokami i wrażeniami. Musiała zatroszczyć się tylko o Effie i jej edukację, więc po zastanowieniu doszła do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pogodzić własne obowiązki z karierą Darrowa. Oczywiście Effie pozostałaby pod opieką pani de Chantelle, dopóki młoda para nie urządzi sobie życia, a później mogłaby dzielić swój czas między Givré i Amerykę Południową.

Owen natomiast osiągnął prawną pełnoletność przed dwoma laty i wkrótce miał przejąć spadek po ojcu; wybicie tej godziny ograniczyłoby odpowiedzialność macochy do przyjaznego zainteresowania jego sprawami. Wszystko to przemawiało za szybką realizacją planów Darrowa i wydawało



się, że nie ma powodów, dla których ślub nie mógłby się odbyć w ciągu sześciu tygodni, które mu pozostały z urlopu.

Wyszli z leśnej alei na otwartą jasność ogrodu. Południowe promienie słońca okrywały złotem pnie cisów. Brązowe, szafranowe i pomarańczowe chryzantemy jarzyły się jak zaczarowany las w rozkwicie; pasy czerwonych begonii o winnym odcieniu wyglądały jak tłący się na rabatach ogień, a ponad tym dywanem wyrastała harmonijna fasada domu; surowość jego linii łagodziło wdzięcznie prześwietlone, wilgotne powietrze.

Darrow stał w milczeniu i Anna czuła, że patrzy to na nią, to znów na dom.

– Czy jesteś przygotowana na rezygnację z Givré? Ty i ta posiadłość wydajecie się stworzone dla siebie.

– Och, Givré! – Poczwała, że tym zbyt lekceważącym tonem składa całą swą przeszłość w jego ręce, i machinalnie dodała: – Jak Owen się ożeni, i tak będę musiała zrezygnować.

– Jak Owen się ożeni? Patrzysz daleko w przyszłość. Chcę usłyszeć już teraz, że nie będziesz żałowała.

Zawahała się. Dlaczego od niej wymaga, aby odkryła przed nim swą smutną, udręczoną przeszłość? Niejasne poczucie lojalności, chęć utrzymania części tego, co już przestało ją nękać, podsunęły jej wymijającą odpowiedź:

– Prawdopodobnie nie potrwa to długo. Owen chyba wkrótce się ożeni.

Nie miała zamiaru poruszać tego tematu, gdyż pasierb zobowiązał ją do chwilowej dyskrecji, ale ponieważ dobiegający końca urlop Darrowa wymagał szybkiego ustalenia planów, musiała napomknąć o sprawach Owena.

– Owen się żeni? Zawsze wyglądał jak faun w garniturze! Mam nadzieję, że znalazł jakąś driadę. Przynajmniej jedna musiała się uchować w błękitnożłotym lesie.

– Nie mogę na razie powiedzieć, gdzie znalazł tę driadę. Mam tylko nadzieję, że zdomowi się ona w lasach Givré lepiej, niż mnie się to udało. Obawiam się jedynie pewnych kłopotów...

– Cóż, w tym wieku nie zawsze da się ich uniknąć.

Zawahała się.

– W każdym razie Owen zamierza je pokonać. A ja przyrzekłam, że pomogę mu przez nie przebrnąć. – Po chwili zastanowienia kontynuowała: – Dokonał wyboru, który z różnych powodów chyba nie zostanie zaaprobowany przez jego babcię. Trzeba ją przygotować, a ja obiecałam, że się tego podejmę. Wiesz, zawsze mu pomagałam w trudnych chwilach i on teraz na mnie liczy.

Dostrzegła w twarzy Darrowa lekką nutkę niezadowolenia i pomyślała, że znowu posądza ją o szukanie pretekstu do odłożenia sprawy.

– Ale kiedy przyszłość Owena zostanie już ustalona, czy aby nie zechcesz prosić, żebym wyjechał bez ciebie? – Przytulił ją mocniej.

– Ponieważ Owen jest w takiej samej sytuacji, zdam się na jego łaskę. Zrozumie, że mam większe prawo do ciebie.

– Owen rozumie wszystko, tego się nie obawiam. Ale jego przyszłość nie jest ustalona. Jest bardzo młody, zbyt młody na małżeństwo, jak na pewno sądzi pani de Chantelle, jego plany zaś nie mogą jej skłonić do zmiany zdania.

– Nie masz chyba na myśli, że powtórzył swój pierwszy wybór?

– Och, nie! Ale i tym razem jego babcia nie będzie mogła powiedzieć, że to „dobry wybór”. Nawet ja nie nazwałabym go mądrym.

– A jednak go popierasz?

– Tak, popieram. – Zamilkła na chwilę. – Wątpię, czy to zrozumiesz. Najbardziej pragnę, aby zarówno on, jak i Effie mieli prawo do popełniania własnych błędów i aby nigdy nie wytykali podobnych błędów innym. Nawet jeśli małżeństwo Owena jest omyłką, za którą będzie musiał zapłacić, wierzę, że wyciągnie z tego naukę i wyorośnie. Oczywiście nie mogę sprawić, żeby pani de Chantelle to rozumiała, mogę jedynie jej uświadomić, że próba pokrzyżowania planów Owena może go przywieść do popełnienia jeszcze gorszych błędów. Z jego charakterem, z impulsywnymi zrywami i głupimi okresami depresji

– to więcej niż prawdopodobne.

– I zamierzasz zawiadomić ją o tym, gdy powróci z Ouchy?

– Jak tylko znajdę odpowiednią chwilę. Ona zna tę dziewczynę i ją lubi, i w tym nasza nadzieja. Choć z drugiej strony może właśnie łatwiej byłoby jej przyjąć prawdę do wiadomości, gdyby Owen wybrał obcą. Nic więcej nie mogę powiedzieć, dopóki z nią nie pomówię. Przynajmniej Owenowi, że nikomu nie pisnę słowa. Proszę cię tylko, żebyś dał mi czas, przynajmniej kilka dni. Pani de Chantelle przyjęła niezwykle „miłą” postawę, jak by to sama określiła, wobec ciebie i wobec faktu, że wkrótce opuszczę Givré. Ale to też może utrudnić sprawę Owenowi. W każdym razie chcę być przy nim. Widzisz, nie mogłabym sobie tego darować, gdyby choć najmniejsza częśćka mojego szczęścia została zbudowana kosztem jego szczęścia... jakby istniał tylko skrawek szczęścia do podziału między ludzi!

– Zaciśnęła ręce na ramieniu Darrowa. – Chciałabym, żeby nasze życie było jak dom o rozświetlonych oknach, obwieszony latarniami po sam dach.

Poczuła wewnętrzne drżenie. Podczas całej swojej przemowy uświadamiała sobie w duchu, że trudno było wybrać na nią gorszy moment.

Darrow niewątpliwie uważał, że jej starannie dobrane argumenty są jedynie maskowaniem zwykłego niezdecydowania. Nigdy tak jak w tej chwili nie pragnęła się usprawiedliwić, usuwając wszelkie przeszkody na drodze jego pragnień. Jednak tylko sprzeciwiając się im mogła zademonstrować siłę charakteru; chciała, żeby ją w niej wyczuł.

W miarę mówienia zaczęła zdawać sobie sprawę, że w twarzy Darrowa nie widzi odbicia swoich słów. Doznała lekkiej przykrości, że jego myśli błędzą gdzieś w takiej chwili, ale w nagłym przypływie radości zrozumiała powód.

W jakiś niewytłumaczalny sposób pojęła, że to jej bliskość tak go absorbuje. Że kontempluje szczegóły jej twarzy i ubioru, w ogóle nie wsłuchując się w słowa. „On nie zwraca uwagi na to, co mówię – pomyślała – wystarczy, że ja to wypowiadam; nawet jeśli to coś głupiego, on mnie jeszcze bardziej pokocha”. Wiedziała, że modulacja jej głosu, każdy gest, każdy szczegół jej osoby – nawet defekty

– wszystko to są kanaliki, którymi spływa na niego jej urok. Zrozumiała, że on pragnie jej taką, jaka jest, nie taką, jaka chciałaby być. Po raz pierwszy w życiu poczuła pewność i bezpieczeństwo miłości.

Dotarli do dziedzińca i poszli pod lipami w stronę domu. Drzwi do hallu stały otworem, przez okna wychodzące na taras ukośne promienie słońca padały na czarno – białą posadzkę, na wyblakłe obicia foteli, na podróżny płaszcz i czapkę Darrowa, leżące wśród innych okryć na ławie pod ścianą.

Widok jego płaszcza pośród jej własnych ubrań dał Annie poczucie przytulnej intymności. Jak gdyby szczęście spłynęło na nią z nieba i przybrało postać zwykłych, codziennych rzeczy.

Kiedy weszli do hallu, jej wzrok padł na kopertę położoną na stole, tak

by rzucała się w oczy.

– Od Owena! Musiał spieszyć się dokądś samochodem!

Ucieszyła się, gdyż natychmiast nasunęła się jej myśl, że zje posiłek z Darrowem sam na sam. Następnie otworzyła kopertę i popatrzyła ze zdziwieniem na liścik.

„Droga Anno – pisał Owen – po tym, co powiedziałaś wczoraj, nie mogę czekać dłużej ani godziny i jadę do Francheuil, żeby złapać ekspres do Dijon i wrócić razem z nimi. Nie lękaj się, nie będę rozmawiał, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila. Zaufaj mi, ale muszę jechać”.

Powoli podniosła wzrok.

– Pojechał do Dijon na spotkanie babci. Och, mam nadzieję, że nie popełniłam błędu!

– Dlaczego? Co masz wspólnego z jego wyjazdem do Dijon?

Zawahała się.

– Przedwczoraj powiedziałam po raz pierwszy, że zamierzam mu pomóc w osiągnięciu celu, cokolwiek by się zdarzyło. Obawiam się, że stracił głowę i przez nieostrożność wszystko popsuje. Miałam zamiar nie mówić mu ani słowa, zanim znajdę czas na przygotowanie pani de Chantelle.

Zobaczyła, że Darrow się jej przygląda i czyta z jej twarzy. Oblała się rumieńcem.

– Tak, kiedy się dowiedziałam, że przyjeżdżasz, wtedy mu powiedziałam. Chciałam, żeby czuł to co ja... wydawało mi się niegodziwością kazać mu czekać.

Jej ręka spoczywała w jego dłoni, jego ramię na chwilę otoczyło jej ramiona.

– Tak, niegodziwością byłoby kazać mu czekać.

Poszli razem ku schodom. Poprzez mgiełkę szczęścia sprawy Owena wydawały się Annie dziwnie nieważne i dalekie. Tak naprawdę wszystko było nieważne oprócz strumienia ciepła w jej żyłach.

– Już prawie czas na śniadanie, muszę zdjąć kapelusz – oznajmiła i poszła na górę.

Darrow stał w hallu i przyglądał się jej. Ale odległość między nimi jakby się nie powiększała, gdyż jego myśli szły razem z Anną i dotykały jej niczym pieszczotliwe dłonie.

W sypialni zamknęła drzwi i stanęła bez ruchu, rozglądając się z rozmarzeniem i zdziwieniem. Jej uczucia były niepodobne do żadnych wcześniej doznanych – bogatsze, głębsze, pełniejsze. Po raz pierwszy opływały ją całą, od stóp do głów, fale emocji.

Zdjęła kapelusz i podeszła do toaletki, żeby poprawić fryzurę. Kapelusz przyglądził ciemne kosmyki nad czołem, twarz miała bledszą niż zwykle, pod oczami cienie. Ogarnął ją żal za straconymi latami.

– Jeżeli dzisiaj tak wyglądam – powiedziała sama do siebie – co on o mnie pomyśli, kiedy będę chora czy zmartwiona?

Przeczesała palcami włosy, ciesząc się ich bujnością, po czym siadła spokojnie i oparła podbródek na dłoniach.

„Chcę, żeby widział mnie taką, jaka jestem” – pomyślała.

Głębsze od najgłębszych pokładów próżności było triumfujące poczucie, że taką, jaka jest – z nie ufryzowanymi włosami, zmęczoną cerą, rękawami bluzki wygniecionymi pod grubym zakietem – on ją pokocha jeszcze bardziej, stanie mu się bliższa, droższa, bardziej pożądana niż we wspaniałościach, w których mogła mu się zaprezentować. W świetle tego odkrycia przyglądała się swojej twarzy ze wzmożoną intensywnością, widziała jej defekty jak nigdy dotąd, ale patrzyła na nie jak przez jakąś



promienistość, jak gdyby miłość była świetlistą substancją, w której się zanurzyła całym ciałem.

Teraz była rada, że nie ukryła przed nim zazdrości. Domyślała się, że bywają chwile, kiedy dbałość o swoją wolność mniej pociąga mężczyznę niż jej utrata. Chwile te są tak ponętne, że błędy i niedyskrecja mogą pomóc kobiecie w utrwaleniu jej stanu posiadania. Poczucie siły, jakiego była świadoma podczas rozmowy z Darrowem, powróciło ze zwielokrotnioną mocą. Testowała je najfantastyczniejszymi żądaniami, a jednocześnie pragnęła się upokorzyć, stać się cieniem i echem jego nastrojów. Pragnęła przebywać z nim w świecie wyobraźni, a jednocześnie kroczyć obok niego w świecie faktów. Chciała, aby poznał jej siłę, ale żeby ją kochał za naiwność i pokorę. Czuła się niewolnicą i boginią, i kilkunastoletnią dziewczyną.

## 13

Późnym wieczorem Darrow siedział w fotelu przed płonącym kominkiem i rozmyślał.

Pokój sprzyjał medytacjom, wszystko w nim było harmonijne. A ślady obecności Frasera Leatha nie wywoływały w gościu żadnej emocji poza nieśmiałym rozbawieniem.

Dzień minął wspaniale. Anna poddała się szczęściu z taką impulsywnością, o jaką Darrow nigdy jej nie podejrzewał.

Przed południem wybrali się na przejażdżkę automobilem, przemierzając mile w krajobrazie o stonowanych barwach, wśród których tu i ówdzie wykwiatał szkarłat winnic. Mijali ze stukotem kamienne wiejskie domki, wjeżdżali na niskie skarpy nad rzeczką lub krążyli po bladozłoty

wąskich drózkach, kończących się u stóp błękitnych wzgórz o wyraźnych konturach. Wszystko zalewały blade promienie słońca rozplywające się w spokojnym powietrzu, a zapach wilgotnych korzeni i zwiędłych liści mieszał się z gryzącym dymem tłętego się poszycia. Za załomem jakiegoś muru zostawili automobil przed rozpadającym się podjazdem i potykając się na wyboistej drodze, trafili wreszcie do małego, opuszczonego pawilonu z fantazyjnymi rzeźbami i kominkami, ukrytego w wąwozie pod starymi drzewami. Idąc dalej ścieżką, wyszli na zbutwiałą Świątynię Miłości, zbudowaną na wysepce pośród platanów i trzcin. Usiedli na ławce przed stajnią i obserwowali gołębie krążące w zachodzącym słońcu, wreszcie odjechali o szarówce.

Po powrocie usiedli przy kominku w dębowym salonie. Darrowa zachwyciły delikatne linie jej głowy rysujące się na ciemnym tle boazerii i pomyślał, że obserwowanie jej rąk podczas przygotowywania herbaty zawsze będzie mu sprawiało wielką przyjemność.

Obiad jedli późno. Siedząc naprzeciw niej przy stole przybranym kwiatami, wśród płonących świec, stwierdził, że ślicznie jej w wieczorowej sukni. Jego oczy napawały się widokiem delikatnie osadzonej głowy, oplatających ją ciemnych włosów, dziewczęco smukłej szyi nad lekką wypukłością biustu. Zachwycała powściągliwość jej urody. Przywodziła na myśl pastelowy portret lub grecką wazę, na której wzory rysuje jedynie gra światła.

Po obiedzie wyszli na taras, żeby spojrzeć na otulony księżycową poświatą park. W półmroku drzewa łączyły się w grupy. Pod tarasem klomby i rabaty kreśliły ciemne wzory pomiędzy posągami, które stały jak zakapturzeni spiskowcy na granicy cienia. W dali, niczym przetykana srebrem tkanina, snuły się mgły nad rzeką. Jesienne gwiazdy drżały nad

głowami, tak jak ich odbicia w mętnej wodzie.

Zapalił cygaro. Spacerowali wolniutko po kamiennych płytach, delektując się spokojnym powietrzem. Wreszcie Darrow objął ją ramieniem i powiedział:

– Możemy wracać, jeżeli jest ci chłodno.

W pokoju przysunęli fotele bliżej ognia.

Wydawało się, że minęło zaledwie kilka chwil, kiedy powiedziała:

– Chyba jest już po jedenastej.

Wstała i spojrzała na niego z lekkim uśmiechem. Nie ruszył się, chłonał jej widok i myślał: „Będzie dużo takich wieczorów”. Podeszła bliżej, pochyliła się nad nim i kładąc mu rękę na ramieniu szepnęła:

– Dobranoc.

Wstał również i wziął ją w objęcia.

– Dobranoc – odpowiedział tuląc ją mocno. Pożegnalny długi pocałunek zawierał obietnicę i wyznanie.

Wspomnienie to żarzyło się w nim, kiedy siedział przy wygasającym kominku. Był w nastroju radosnym, a zarazem poważnym. Radość miała wiele różnorodnych przyczyn. Zdawał sobie sprawę, że być kochanym przez kobietę taką jak ona to „coś innego”... Był nieco zmęczony życiowymi eksperymentami, chciał określić linię postępowania, wykorzystać okazję, skupić się, skoncentrować, dojść do czegoś.

Jeszcze dwa czy trzy lata w dyplomacji – z nią u boku – a potem zacząć prawdziwe życie: studia, podróże, książki, a przede wszystkim radość, że się uwolnił z atmosfery rozgardiaszu, że nie musi składać wizytówek – że się wy dostał na świeże powietrze celowej aktywności.

Już od pewnego czasu drzemało w nim pragnienie zmiany i spotkanie z panią Leath zeszłej wiosny nadało mu określony kierunek. Czuł, że z taką

towarzyszką, zdolną pobudzić jego energię, na pewno „do czegoś dojdzie”. Uważał zresztą bez przesadnej skromności, że chyba na to zasłużył. W sumie życie mu się udało. Pomimo skromnych szans i średnich talentów wyrósł na pewną indywidualność, poznał paru wyjątkowych ludzi, udało mu się niejedno ciekawe i trudne przedsięwzięcie. Mając trzydzieści siedem lat odkrył w sobie możliwości intelektualne, które ułatwią mu przejście do krzepkiej i aktywnej starości. W życiu prywatnym zaś osiągnął przyzwoity standard i jeśli od czasu do czasu zdarzały mu się jakieś upadki, to były krótkotrwałe, marginesowe, przypadkowe.

Dokonawszy uspokajającego przeglądu swoich spraw, wrócił do rozmyślania nad ich szczęśliwym ukoronowaniem. Ponownie przyszło mu na myśl pierwsze spotkanie z Anną Summers, zajął się zbieraniem pojedynczych nici ich delikatnie zarysowującego się romansu. Istotnie byli dla siebie stworzeni – to nadużywane określenie w ich przypadku nabrało najprawdziwszego sensu. Potwierdzało to dobre samopoczucie, jakiego doznawał w jej obecności.

Gdyby miał najmniejszą wątpliwość co do szczerości jej uczuć dla niego, to z pewnością rozproszyłby ją widok dwóch gwiazd zapalających się i rozpływających w jej oczach, kiedy ją mocno do siebie przytulał. Była powściągliwa, nawet nieśmiała; płytkie i ekspansywne osoby nazwałyby ją „zimną”. Była jak obraz, zawieszony tak, że można go oglądać tylko pod pewnym kątem, nie znanym nikomu poza właścicielem. Ta myśl pochlebiała jego dumie posiadacza.

Miał w pamięci jej twarz, gdy go pytała o spotkanie w teatrze z Owenem. Nie słowa, lecz wysiłek, z jakim zadawała pytania; zdradzał go rumieniec na policzkach, pogłębiająca się bruzda między brwiami, umykające na bok, a potem skierowane na niego spojrzenie. Była w tym

duma i namiętność – wspaniałe cechy u żony! Widok godny chwilowego zażenowania, przywołujący wspomnienie nie pasujące do jego obecnego wewnętrznego autoportretu. Tak, cudownie było obserwować, jak walczą w niej instynkt z rozumem, a także mieć świadomość, że to on jest obiektem tej walki...

Z tymi odczuciami łączyły się rozważania innego rodzaju. Pomyślał z satysfakcją, że należy ona do kobiet, z którymi każdy lubiłby się pokazywać publicznie. Przyjemnie by było towarzyszyć jej w salonach, iść za nią między rzędami krzeseł w teatrze, wsiadać i wysiadać z pociągu, słowami „moja żona” przedstawiać ją rozmaitym ludziom. Ujmował te szczegóły w jednym zdaniu: „Jest kobietą, z której można być dumnym”, i czuł, że to jakoś usprawiedliwia i uszlachetnia jego instynktowną chłopięcą satysfakcję z tego, że to właśnie on ją kocha.

Wstał, przeszedł się po pokoju, wychylił na chwilę z okna, żeby popatrzeć na rozgwieżdżone niebo. Następnie znów zagłębił się w fotelu z westchnieniem głębokiego zadowolenia.

– Tam, do licha! – nagle wykrzyknął. – W każdym razie to najlepsze, co mi się kiedykolwiek przydarzyło.

Następny dzień udał się jeszcze lepiej. Wiedział, i ona także, że osiągnęli głębokie wzajemne zrozumienie. Byli jak pływacy, którzy pokonali przeciwne fale i oślepieni słońcem dotarli do wysepki, gdzie w cieniu skały mogli się kołysać na spokojnej wodzie i sięgać wzrokiem w głębinę.

Od czasu do czasu, kiedy spacerowali i rozmawiali, odczuwał dreszcz młodzieńczego podziwu dla zbieżności ich poglądów i doświadczeń, dla sposobu, w jaki ich myśli spotykały się w tym samym punkcie w tej samej chwili.

„Chyba to stare złudzenie. – Uśmiechnął się do siebie. – Czy natura nigdy się nie zmęczy taką sztuczką?”

Wiedział jednak, że to coś więcej. Zdarzały się momenty w ich rozmowie, kiedy pod wirami uczuć wyraźnie i pewnie czuł solidny grunt przyjaźni.

Jak bym mógł ją lubić, gdybym jej nie kochał? ” – podsumował, dziwiąc się cudowi takiego związku.

Rano nadszedł telegram od Owena Leatha, zawiadamiający, że wraz z babcią i Effie przyjeżdża z Dijon o czwartej po południu. Stacja głównej linii kolejowej znajdowała się osiem czy dziesięć mil od Givré, toteż Anna zaraz po trzeciej wyruszyła samochodem na spotkanie podróżników.

Kiedy odjechała, Darrow wyszedł na spacer. Zamierzał wrócić późno, żeby rodzina mogła mieć dla siebie całe popołudnie. Już się ściemniało i zegar nad stacją w Givré wybił siódmą, kiedy znalazł się w alei wiodącej na dziedziniec.

W hallu zobaczył Annę schodzącą po schodach. Twarz miała pogodną i już pierwszy rzut oka przekonał go, że Owen dotrzymał słowa i żadne z jej złych przeczuć się nie spełniło.

Wracała właśnie ze szkolnego pokoju, gdzie Effie z guwernantką jadły kolację. Powiedziała, że dziewczynka wygląda znacznie lepiej po szwajcarskich wakacjach, ale jest zmęczona podróżą i zbyt senna, żeby przyjść do salonu przed położeniem się spać. Pani de Chantelle odpoczywała, ale miała zejść na kolację. Co do Owena, to Anna przypuszczała, że jest gdzieś w parku, gdyż uwielbiał snuć się alejkami o zmierzchu.

Darrow poszedł za nią do brązowego saloniku, gdzie zastał nakryty stolik do herbaty. Odmówił zaproponowanej filiżanki, ale Anna pozostała



jeszcze chwilę; chciała mu powiedzieć, że Owen rzeczywiście dotrzymał słowa i że pani de Chantelle wróciła w znakomitym humorze, nie podejrzewając ciosu, jaki miał na nią spaść.

– Dobrze spędziła ten miesiąc w Ouchy. Miała mnóstwo do opowiadania – o objawach choroby, rywalizujących ze sobą lekarzach, ludziach z hotelu. Mówi, że spotkała tam twoją ambasadorkę i lady Wantley, i jeszcze paru twoich londyńskich znajomych; słyszała – jak to określiła

– urocze rzeczy o tobie. Przywiązuje wielką wagę do tego, że twoja babka pochodziła z Everardów z Albany. Jest gotowa przyjąć cię z otwartymi ramionami. Nie wiem, czy to nie utrudni sprawy Owenowi... mam na myśli kontrast... Nie ma bowiem ambasadorkich i Everardów na poparcie jej wyboru. Ale ty pomożesz, prawda? Jutro opowiem ci resztę. Teraz muszę pędzić na górę i otulić Effie...

– Zobaczysz, że przeforsujemy jego sprawę – zapewnił Annę.

– Razem, zobaczysz, damy radę.

Stał i patrzył za nią, jak biegła przez słabo oświetlony hall.

## 14

Wchodząc do salonu przed obiadem, Darrow z niezwykle ciekawością przyglądał się Owenowi. Aluzje Anny sprawiły, że zainteresował się miłosną przygodą chłopca i zastanawiał się, jaki typ dziewczyny mogła przedstawiać przyszła bohaterka konfliktu. Domyślał się, że bunt Owena był dla macochy symbolem jej osobistej długotrwałej walki z konwenansami Leathów, rozumiał, że Anna tak namiętnie mu sekundowała

dlatego, że pragnęła, aby jego wyzwolenie zbiegło się z jej własnym.

Dama, która w nadciągającej walce miała reprezentować siły porządku i tradycji, siedziała przed kominkiem, kiedy Darrow wszedł do salonu. Pośród kwiatów i starych mebli, w wielkim pokoju o jasnej boazerii, pani de Chantelle odznaczała się sztywną elegancją, podkreślającą w odpowiedniej skali „styl życia”. Jak zauważył Darrow, niewątpliwie uważała za swój podstawowy obowiązek przywiązywać wielką wagę do „rozmiarów” i aprobować większość rzeczy tylko do pewnych granic.

Była to pani sześćdziesięcioletnia, wyglądająca młodo i zarazem staromodnie. Można ją sobie było wyobrazić jako damę siedzącą z odchylną głową w fotelu ozdobionym frędzlami, z medalionem na osłoniętej piersi, na jednej ze stronic oprawnego w tłoczony marokin albumu noszącego tytuł *Piękności Drugiego Cesarstwa*.

Przyjęła konkurenta synowej z uprzejmością świadcząca o tym, że aprobuje wybór. Darrow już zdołał rozpoznać w niej osobę, która instynktownie sprzeciwia się wszelkim zasugerowanym zmianom, po czym, kiedy już wyczerpią się główne argumenty, niespodziewanie przyznaje słuszność drobnym, marginesowym racjom i zajadłe broni swojego nowego stanowiska. Chlubiła się staroświeckimi przesadami, często przypominała, że jest babcią, i z gracją wyciągnęła rękę do góry, żeby poklepać Owena po ramieniu, chociaż był on niewiele od niej wyższy.

Znała mnóstwo drobnych, błahych ploteczek o ludziach spotkanych w Ouchy, zebrała o nich drobne, nieistotne informacje, nie rozróżniając jakichkolwiek indywidualnych cech. Powiedziała do Darrowa:

– Podobno bardzo się w Ameryce zmieniło... Oczywiście, w mojej młodości było tam towarzystwo. – Nie miała ochoty wracać, była pewna, że standard życia był tam całkiem inny... – Ludzie czarujący zdarzają się

wszędzie... i trzeba na wszystko patrzeć zawsze z jak najlepszej strony... ale kiedy się żyło w tradycji, trudno się dostosować do nowych idei. Te okropne poglądy na małżeństwo... ogromnie ciężko jest wytłumaczyć je moim francuskim krewnym... Przyznaję z wdzięcznością, że sama nie pretenduję do ich rozumienia! Ale pan pochodzi z Everardów. Mówiłam Annie wiosną w Londynie, że to się natychmiast widzi...

Przerzuciła się na jedzenie i obsługę hotelową w Ouchy. Przywiązywała wielką wagę do szczegółów gastronomicznych i zachowania służby hotelowej. I tu także widać pewien upadek, powiedziała.

– Oczywiście ja nie wiem, ale ludzie mówią, że to przez Amerykanów. Tak, mój kelner miał zwyczaj szczekać półmiskami... Słyszałam, że wielu z nich to anarchiści... należą do związku, wie pan. – Odwoływała się do rzekomej wiedzy ekonomicznej Darrowa dla potwierdzenia złowieszczych pogłosek.

Po obiedzie Owen Leath przeszedł do sąsiedniego pokoju, w którym stał fortepian, i zaczął grać po ciemku. Dołączyła do niego macocha, tak że Darrow został sam na sam z panią de Chantelle.

Podjęła przerwana nić łagodnej paplaniny i kontynuowała ją w tym samym tempie co robótkę na drutach. Konwersacja była podobna do luźnej dzianiny w jej palcach; od czasu do czasu gubiła oczko i dalej dziergała, nie zważając na opuszczony wzorek.

Darrow słuchał z uczuciem leniwej błogości, w sennej poobiedniej godzinie, z harmonijnymi wspomnieniami szemrzącymi w głowie. W starej pięknej komnacie o zacienionych kątach, sycącej oczy i skłaniającej do próżniactwa, wynurzenia pani de Chantelle wydawały się na miejscu. Potrafił zrozumieć, że na dłuższą metę atmosfera w Givré mogła być duszna, ale w jego obecnym nastroju właśnie to miało wdzięk.

Znalazł sposobność wtrącenia słówka o sobie, wobec czego docenił fakt, który nigdy dotąd nie wydawał mu się istotny: przynależność do rodziny Everardów z Albany. Poglądy pani de Chantelle na jej ojczysty kraj, do którego nigdy nie wróciła, odkąd ukończyła dwadzieścia lat, przypomniały mu starą mapę Dalekiej Północy. Były zamgloną pustką, którą przecinało parę stałych linii, a jedna z nich należała do Everardów z Albany. Stanowiła twardy grunt, tworząc

– jak by się rzekło – przyjazne terytorium, na którym wrogie moce mogły się spotkać i pertraktować. Dzięki temu przebrnął przez konieczność wytłumaczenia się i usprawiedliwienia jako następcy Frasera Leatha. Pani de Chantelle nie mogła się oprzeć bezspornym roszczeniom syna, który jakby unosił się nad nią, toteż dała Darrowowi do zrozumienia, że został przetestowany i zaakceptowany tylko jako ostatni dodatek do Kolekcji Leathów.

Dowiedział się od niej, jak ogromne korzyści wiążą się z pracą dyplomaty. Nazywała ten nudny zawód karierą i robiła aluzje, że w przerwach między negocjowaniem traktatów na pewno uwodzi księżniczki. Znowu usłyszał oryginalne zdania, wypowiedane w jego młodości przez stare damy: „Świetne dyplomatyczne towarzystwo... przywileje społeczne... nieograniczony dostęp... nic nie daje młodemu człowiekowi takich możliwości...” Dodawała z westchnieniem, że życzyłaby sobie, aby jej wnuk obrał tę samą drogę do sławy.

Darrow przezornie powstrzymywał się od wypowiedania własnej opinii o tym zawodzie, jak również przemilczał, że poświęcił mu się czasowo, z powodów nie tyle socjalnych, ile socjologicznych, i rozmowa zesłała na jego przyszłe plany.

I tu znowu szacunek pani de Chantelle dla kariery sprawił, że uznała za

konieczne, aby Anna wyraziła zgodę na rychły ślub. Fakt, że Darrow został „wyznaczony” do Ameryki Południowej, jakby ustawiał go w romantycznym świetle, niczym młodego żołnierza, który otrzymał rozkaz poprowadzenia oddziału skazanego na stracenie.

Westchnęła mówiąc:

– W takich chwilach obowiązkiem żony jest trwać u boku męża.

Przyszłość Effie mogłaby ją niepokoić, ale ponieważ Anna postanowiła chwilowo zostawić dziewczynkę pod jej opieką, ten problem został na razie odroczone. Żaląc się mówiła o „odpowiedzialności” związanej z opieką nad wnuczką, ale Darrow odgadł, że cieszy ją smak tego słowa.

– Effie to wspaniałe dziecko. Jest może bardziej podobna do mego syna niż kochany Owen. Nigdy nie sprawiła mi umyślnie kłopotu. Ale oczywiście jest to ogromna odpowiedzialność... Nie jestem pewna, czybym się tego podjęła, gdyby jej guwernantka nie była takim skarbem. Czy Anna opowiadała panu o tej milutkiej osobce? Po tych wszystkich tarapatach, jakie mieliśmy zeszłego roku trafiając na same niemożliwe osoby, chyba Opatrzność zesłała nam tę właśnie dziewczynę. Na początku obawialiśmy się, że jest za młoda, ale teraz nabraliśmy do niej pełnego zaufania. Taka rozsądna i zabawna, i taka dama! Nie powiem, żeby otrzymała najlepsze wykształcenie... nie uczyła się rysunku ani śpiewu... ale nie można mieć wszystkiego, w dodatku ona mówi po włosku...

Pani de Chantelle podkreślała podobieństwo Effie Leath do ojca, co nie wydało się Darrowowi szczególnie miłe, sprawiło jednak, że zapragnął zobaczyć dziewczynkę. Odczuwał niemądrą przykrość na myśl, że odziedziczyła pewne cechy zmarłego Frasera Leatha, co w jego wyobraźni czyniło ją mistyczną kontynuatorką młodzieńczych uczuć, które wiązały jej

ojca z Anną.

Spotkanie z Effie nastąpiło nazajutrz rano na gazonie przed tarasem, gdzie w porannych promieniach słońca bawiła się z bratem kulami golfowymi. Prawie natychmiast i z niewymowną ulgą stwierdził, że podobieństwo, którym chwaliła się pani de Chantelle, było głównie zewnętrzne, chociaż musiał przyznać, że regularne rysy Frasera pasowały do idealnego wizerunku dziecięcej czystości. Ale najpewniej inne jeszcze elementy składały się na obraz Effie, inny charakter wyrażały jej oczy. Poważny uścisk dłoni, grzeczne przywitanie przemawiały za tradycją Leathów; wyczuwał, że dziewczynka jest bardziej podatna niż Owen, bardziej narażona na wpływy Givré. Ale w okrzyku, z jakim wróciła do zabawy, pobrzmiwała nutka matczynej emancypacji.

Kiedy wyszła pani Leath, we troje udali się na przechadzkę. Anna chciała, żeby córeczka miała czas zaprzyjaźnić się z Darrowem, zanim się dowie, co ją będzie z nim wiązało. Cała trójka hasała po lasach i polach, dopóki zegar nad stajnią nie obwieścił, że trzeba wracać na śniadanie.

Effie, której towarzyszył kudłaty terier, przywołała jeszcze dwa czy trzy pieski ze stajni i pobiegła z nimi przodem. Anna rzuciła spojrzenie Darrowowi.

– Tak – odpowiedział. – Jest urocza... Rozumiem, czego od ciebie wymagam. Ale ona tu będzie najzupełniej szczęśliwa, czyż nie tak? No i musisz pamiętać, że to nie na długo.

Anna westchnęła potwierdzająco.

– Tak, będzie tu szczęśliwa. Jest z natury szczęśliwa. Ale właśnie to do pewnego stopnia mnie niepokoi. Dla niej „być dobrą” znaczy podobać się tym, z którymi przebywa. Wysila w tym kierunku cały swój kochany, mały mózdek. Więc jeżeli będzie z niewłaściwymi osobami...



– Ale to na pewno jej teraz nie zagraża. Pani de Chantelle mówiła, że nareszcie trafiłaś na doskonałą guwernantkę.

Anna nie odpowiedziała, przeniosła wzrok z niego na córkę.

– Dobrze – ciągnął dalej Darrow – że pani de Chantelle przynajmniej uważa ją za taką.

– Ja też jestem o niej jak najlepszego zdania.

– Aż tak, żeby być całkiem spokojną zostawiając z nią Effie?

– Tak, to odpowiednia osoba dla Effie. Tylko że, oczywiście, nigdy nie wiadomo... Jest młoda i może przyjść jej do głowy, żeby nas opuścić... – Po krótkiej przerwie dodała: – Oczywiście jestem ciekawa twego zdania o niej.

Gdy weszli do domu, zegar w hallu wskazywał, że do drugiego śniadania pozostało kilka minut. Anna odprowadziła Effie, aby przyczesać jej włoski. Darrow poszedł do dębowego pokoju, w którym nie zastał nikogo. Słońce przyjemnie oświetlało brązowe ściany, rozrzucone książki i kwiaty w starych porcelanowych wazonach. W oczach miał jeszcze widok ciemnowłosej matki wchodzącej po schodach z małą jasnowłosą córeczką. Kontrast między nimi był ostatnim wdzięcznym akcentem w nieskazitelnej harmonii otoczenia. Stał przy oknie i wyglądając na park, myślał o swoim szczęściu...

Ocknął się słysząc głos Effie i tupot jej nówek gdzieś za plecami.

– Jest tutaj! Jest tutaj! – wołała przeskakując przez próg.

Odwrócił się i podszedł do niej z uśmiechem, a kiedy chwyciła go za rękę, zrozumiał, że chce go zaciągnąć do kogoś, kto się zatrzymał w progu, i że prawdopodobnie jest to jej matka.

– Tutaj! – powtórzyła Effie ze swoją uroczą niecierpliwością.

Postać w drzwiach zbliżyła się i Darrow znalazł się oko w oko z panną

Viner. Stanęli jak wryci dwa czy trzy kroki od siebie.

Wtem jakiś cień przesłonił drzwi na taras i Owen Leath pogwizdując wszedł do pokoju. W grubym myśliwskim ubraniu, z jasną cerą zarumienioną od świeżego powietrza, wyglądał niefrasobliwie i radośnie. Darrow, zerknąwszy z ukosa, zauważył i to, że zaróżowione policzki chłopca zalała nagle ciemna czerwień. On też stanął jak wryty i cała trójka zamarła w bezruchu na króciutką chwilę. W ułamku sekundy spojrzenie Darrowa przesunęło się z twarzy Owena na stojącą między nimi dziewczynę. Zrozumiał, że musi coś zrobić, właśnie on, i to niezwłocznie. Postąpił krok do przodu, wyciągnął rękę.

– Jak się pani ma, panno Viner?

– Jak się pan ma? – odpowiedziała głosem brzmiącym wyraźnie i naturalnie.

W następnym momencie znowu usłyszał czyjeś kroki i choć był obrócony tyłem, wiedział, że do pokoju weszła pani Leath.

Do jego napiętych zmysłów dotarło, że minęła dokładnie odmierzona pauza, zanim Anna się odezwała, obrzucając wzrokiem małą grupkę.

– Czy Owen cię przedstawił? To przyjaciółka Effie, panna Viner.

Effie, nadal uczepiona ramienia swojej guwernantki, mocniej się do niej przytuliła, a panna Viner położyła rękę na jej główce.

Darrow poczuł na sobie wzrok Anny.

– Z panną Viner spotkaliśmy się przed paroma laty w Londynie.

– Pamiętam – potwierdziła Sophy tym samym czystym głosem.

– Jak miło! A więc jesteśmy wśród przyjaciół. Ale chyba podano już do stołu – powiedziała pani Leath.

Odwróciła się do drzwi i mała procesja ruszyła przez dwa długie salony. Wiodła ją Effie, okręcając się w rytmie walca.

Pani de Chantelle i Anna zaplanowały na popołudnie wizytę u mieszkającej daleko znajomej, którą wynalazek samochodu przemienił w bliską sąsiadkę. Effie musiała odrobić poranne próżnowanie spędzając parę godzin w pokoju lekcyjnym i Owen zaproponował Darrowowi wyprawę do odległych łęgówisk bażantów.

Darrow nie należał do zagorzałych sportsmenów, ale w tym momencie każda propozycja fizycznej aktywności była mu na rękę, toteż ucieszył się, że może wyjść na powietrze i że nie zostanie w domu sam.

Kiedy zszedł na dół, samochód już stał przed domem. Anna, przeglądając się w lustrze w hallu, okrywała welonem kapelusz. Obróciła się słysząc jego kroki i patrzyła nań dłuższą chwilę z uśmiechem.

– Nie miałam pojęcia, że znasz pannę Viner – powiedziała, kiedy jej podawał płaszcz.

– Na szczęście przypomniałem sobie, że widziałem ją dwa czy trzy razy w Londynie kilka lat temu. Była sekretarką czy czymś w tym rodzaju, trzymaną gdzieś w głębi domu, do którego przychodziłem na obiady.

Raziła go lekceważąca obojętność tego zdania, ale wypowiedział je rozmyślnie. Skrycie uczył się go przez całą ciągnącą się w nieskończoność godzinę przy stole. Teraz, kiedy padło, otrząsnął się z brzmiejącej w nim nutki wyższości. W takich wypadkach łatwo przeholować... Ale Anna jakby nie zauważyła nic niezwykłego.

– Naprawdę? Musisz mi dokładnie opowiedzieć, jak wpadliście na siebie. Bardzo się cieszę, że okazała się twoją znajomą.

– Znajomą to raczej przesada, po prostu mijaliśmy się na schodach.

W tym momencie pojawiła się pani de Chantelle w towarzystwie

Owena i Anna, zbierając fałdy okrycia, powiedziała:

– Opowiesz mi o tym później. Postaraj się przypomnieć sobie wszystko, co się da.

Wędrując przez las u boku młodego gospodarza, Darrow czuł, że ruch i konieczność podtrzymywania rozmowy zwalniają go od natrętnych myśli. Aczkolwiek nie zależało mu na trofeach, miał nawyk skupiania się na tym, czym się zajmował. Także tego popołudnia najmniejszy ruch w poszyciu, żywszy odblask pośród ciemnych brązów i szarości lasu wystarczały, żeby przykuć jego uwagę. Ale przez cały czas w głębi świadomości nadal wirowały natrętne myśli. Przez chwilę wydawało się, że go przeniosą przez głębokie ciemności. Ale to wrażenie szybko minęło, a myśli pozostały zbyt skłębione, żeby je rozplątać. Niemal fizycznie odczuwał, że walczy o powietrze, toczy beznadziejną walkę z materialnymi przeszkodami, jakby rude poszycie, przez które się przedzierał, wyrastało w sercu niebezpiecznej dżungli...

Strzępy słów towarzysza docierały do niego bezładnie poprzez zamęt myśli. Chwytał wyznania i rozumiał, że Owen mówi o sobie rzeczy związane być może pośrednio z nadziejami, o których wspominała Anna. Zdawał sobie sprawę z tego, że chłopiec go lubi, i zamierzał skorzystać z pierwszej okazji, żeby dać dowód, iż odwzajemnia jego uczucia. Ale wysiłek, żeby skupić uwagę na słowach Owena, był tak wielki, że pozostawiał siły jedynie na najkrótsze, zdawkowe odpowiedzi.

Młody Leath, jak z tego wynikało, znalazł się w punkcie zwrotnym swojej kariery i mógł bezstronnie ocenić poczynione postępy oraz zamiary. Miał ciągoty muzyczne i literackie, chaotyczne wizje artystycznych wyczynów, lecz wypierało je stanowcze postanowienie zajęcia się czymś praktycznym.

– Widzi pan – usłyszał Darrow – wbrew pragnieniom mojej babci, kochanej staruszki, nie chcę być tylko dodatkiem do Givré. Nie zamierzam – niech to licha! – poprzestać na kolekcjonowaniu sensacji, tak jak mój ojciec kolekcjonował tabakierki. Życzę sobie, żeby Effie dostała Givré – należy ono do mojej babci, pan wie – i niech sobie robi z nim, co chce. Zrozumiałem wreszcie, że jeżeli ta posiadłość przypadnie mnie, to pomału zostanę przez nią pożarty. Pragnę się stąd wyrwać, rzucić się w wielkie życie, brzydkie i wymagające walki. Jeżeli zdołam wydobyć z niego piękno – tym lepiej: to zaświadczy o moim powołaniu. Ale ja pragnę tworzyć piękno, a nie dać się wciągnąć w gotowe jak pszczoła do garnka miodu.

Darrow wiedział, że Owen szuka u niego potwierdzenia swoich poglądów i zachęty do wytrwania na drodze do zamierzonego celu.

W jego własnych uszach udzielane odpowiedzi brzmiały to szorstko, to bezsensownie. W jednej chwili wydawał się chłodno obojętny, w następnej słyszał, jak wypływa z niego potok mętnych banałów. Nie ośmielał się patrzeć na Owena z obawy, że pochwyci w oczach chłopca wyraz zdziwienia tymi nieuzasadnionymi przemianami. Poprzez chaos wewnętrznej walki i zewnętrznej elokwencji słyszał wystukiwane bez przerwy pytanie: co mam, na Boga, zrobić?

Za najbardziej nagłą sprawę uznał powrót do domu przed Anną. Nie wiedział zbyt jasno dlaczego: po prostu czuł, że powinien tam być. W pewnej chwili zdawało mu się, że panna Viner może chcieć porozmawiać z nim na osobności, to znów, że jest to ostatnia rzecz, której by pragnęła... W każdym razie wiedział, że powinien z nią porozmawiać, a przynajmniej być przygotowany na rozmowę, jeśli nadarzy się okazja.

Wreszcie koło czwartej powiedział swemu towarzyszowi, że czekają na niego listy i musi iść do domu, aby je wyekspediować, zanim panie

wróżą. Zostawił Owena z leśniczym i skierował się ku skrajowi łągowiska. Za bramą parkową poszedł na ukos trawiastą aleją, na której końcu wynurzał się dach kaplicy. Szara mgielka przesłaniała słońce, unosiło się ciepłe powietrze. Kiedy fronton domu ukazał mu się w całej krasie matowosrebrnych cegieł, na nowo zaskoczyły go wytworne spokojne linie stonowanej elewacji. W kołowrocie strachu i napiętości poczuł się jak brudny włóczęga torujący sobie drogę do niedostępnej świątyni.

Na dziedzińcu podbiegła do niego Effie z podskakującym terierem.

– Wyszłam na spotkanie pana i Owena. Panna Viner także miała wyjść, ale nie mogła, bo dostała takiego bólu głowy... Obawiam się, że to przeze mnie, tak źle odrobiłam dzielenie. To okropne, prawda? Może pan ze mną pójdzie?

Darrow przeprosił z uśmiechem, wymówił się pod pretekstem, że ma do napisania listy, a to jest o wiele gorsze od bólu głowy.

– Przecież może je pan napisać w gabinecie Owena. – Tam właśnie panowie zawsze piszą swoje listy.

Oddaliła się razem z psem, Darrow poszedł do domu. Propozycja Effie wydała mu się korzystna. Oczami duszy widział, jak snuje się przez salony, gdzie pannie Viner trudno byłoby go znaleźć; tymczasem gabinet, mały pokój na prawo z hallu, widoczny ze schodów, był tak położony, że nikomu nie wyda się podejrzanym, jeżeli ich tam zastanie na rozmowie.

Wszedł zostawiając drzwi otwarte i usiadł przy biurku. Pokój w miły sposób różnił się od pozostałych; w dobrze utrzymanym domu o licznej służbie był jedyną przechowalnią wszelkich rupieci: pudeł od krokiet Effie i wędek Owena, strzelb i kijów golfowych, rakiet, koszy na kwiaty Anny i jej narzędzi ogrodniczych, nawet tamborków do haftu pani de Chantelle i starych numerów „Tygodnika Katolickiego”. Zapadał wczesny zmierzch i



ukośny promień światła padający na biurko wskazywał, że przez hall zbliża się służący z lampą. Darrow wyrwał kartkę papieru z bloku i zaczął pisać co popadło. Służący wszedł, postawił przy nim lampę i lekko poprawił stos czasopism zalegających otomanę. Jego kroki oddaliły się cichnąc. Darrow siedział z głową opartą na splecionych dłoniach.

Teraz inne kroki rozległy się na schodach, chwilę się zawahały, wreszcie minęły próg gabinetu. Darrow wstał i wyszedł do cichego, nie oświetlonego hallu. W półmroku zobaczył Sophy Viner w kapeluszu i zakiecie, zmierzającą do drzwi. Na jego widok przystanęła trzymając rękę na klamce i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Czy nie widział pan Effie? – zapytała nagle. – Wyszła panu na spotkanie.

– Właśnie widziałem ją przed chwilą na dziedzińcu. Pobieгла bratu naprzeciw.

Darrow starał się nadać swemu głosowi jak największą naturalność, choć sam sobie wydawał się amatorem grającym w jakiejś farsie.

Panna Viner, nie odpowiadając, odciągnęła zasuwę. Przyglądał się w milczeniu, jak szeroko otwiera drzwi, po czym powiedział:

– Jest z nią niania. Pewno niedługo wróci. – Widząc jej niezdecydowanie dodał: – Właśnie tu pisałem. Może pani wstąpi i chwilę porozmawiamy? Wszyscy wyszli.

Ostatnie zdanie sam uznał za niewłaściwe, ale nie miał czasu na dobieranie słów. Milczała jeszcze chwilę, po czym przestąpiła próg gabinetu. W czasie posiłku siedziała tyłem do okna i zauważył tylko, że jakby trochę schudła, przybladła i straciła na żywości, poza tym nie dostrzegł w niej żadnej zmiany; teraz, kiedy światło lampy padło na twarz Sophy, jej bladość go przeraziła.



„Biedactwo... biedactwo... czyżby mogła przypuszczać?”

– Proszę usiąść, chciałem z panią pomówić – powiedział i podsunął jej krzesło.

Jakby tego nie zauważyła, a jeżeli tak, to rozmyślnie wybrała inne krzesło. Wrócił na swoje miejsce, oparł łokcie na bibularzu. Nie spuszczała z niego wzroku.

– Przyrzekła pani, że da mi o sobie znać od czasu do czasu – zaczął, w pełni zdając sobie sprawę ze swej niezręczności.

Nieśmiały uśmiech nadał jej twarzy jeszcze tragiczniejszy wyraz.

– Tak? Nie miałam nic do powiedzenia.

Odczekał chwilę, zanim zadał pytanie:

– Czy pani jest tu dobrze?

– Było – oparła z lekkim naciskiem.

– Dlaczego mówi pani „było”? Chyba nie zamierza pani odejść? Nigdzie nie znajdzie pani lepszych ludzi. – Darrow nie bardzo wiedział, co mówi, ale jej odpowiedź kryła w sobie śmiertelną stanowczość.

– Przypuszczam, że to od pana zależy, czy odejdę, czy zostanę.

– Ode mnie? – Patrzył na nią zza sterty papierów Owena. – Wielki Boże! Co pani sobie o mnie myśli?

Ironia zawarta w pytaniu odbiła się na jej mizernej twarzy. Sophy wstała, postąpiła ku wyjściu, lecz na chwilę zatrzymała się przy ciemniejszej framudze okna. Odwróciła się i rzuciła w jego stronę:

– Niech pan sobie nie wyobraża, że żałuję czegokolwiek!

Mocniej oparł się łokciami o stół, ukrył twarz w dłoniach. To było trudniejsze, diablo trudniejsze, niż się spodziewał. Argumenty, wybiegi, usprawiedliwienia, uniki – wszystko to jakby umknęło; uświadomił sobie bez osłonek swoją niższość. Uniósł głowę i zapytał na chybił trafił:

– To pani tu była, odkąd...

– Od czerwca, tak. Okazało się, że Farlowowie cały czas polowali dla mnie właśnie na to!

Stała na wprost niego, tyłem do okna. Najwyraźniej niecierpliwiła się, żeby już pójść, ale zarazem miała jeszcze coś do powiedzenia albo czekała na jakieś słowo od niego. Wyczuwał jej oczekiwanie, działało paraliżująco. Cóż takiego mógł jej powiedzieć, co nie brzmiałoby jak obelga czy drwina?

– A więc zrezygnowała pani z marzeń o teatrze?

– Och, teatr! – odparła z uśmiechem. – Nie mogłam czekać na teatr. Musiałam podjąć pierwszą lepszą zaoferowaną mi pracę, więc wzięłam tę.

Brnął dalej z wahaniem:

– Jestem rad, niesłuchanie rad, że pani czuje się tu dobrze... Liczyłem na to, że pani da mi znać, gdyby trzeba było coś dla pani zrobić... Co do teatru, jeżeli pani nadal tego żałuje, jeżeli nie jest zadowolona z pracy tutaj... znam ludzi z tego środowiska w Londynie, jestem pewien, że mogę coś dla pani załatwić, jak wrócę...

Podeszła do biurka, pochyliła się nad nim i zapytała prawie szeptem:

– A więc chce pan, żebym odeszła? O to chodzi?

Opuścił ręce i jęknął:

– Wielkie nieba! Jak mogła pani coś takiego pomyśleć? Wie pani dobrze, że w swoim czasie błagałem, żeby mi pozwoliła zrobić co w mojej mocy, ale pani nie chciała słuchać! I odtąd wciąż czekałem na chwilę, kiedy będę mógł się na coś przydać, pomóc...

Wysłuchiwała go bez ruchu, nawet nie drgnęły jej ręce złożone na skraju biurka.

– Jeżeli tak, to niech mi pan pomoże zostać tutaj – powiedziała wreszcie niemal szeptem, ale dobitnie.

Przez ciszę, która zapanowała po tych słowach, przebił się dźwięk trąbki automobilowej gdzieś daleko na podjeździe. Odwróciła się natychmiast i rzuciwszy mu ostatnie spojrzenie, wybiegła z pokoju i pognąła schodami na górę. Darrow stał bez ruchu, jak sparaliżowany po szoku spowodowanym jej słowami. A więc ona się bała, bała się jego! To odkrycie pogrążyło go jeszcze bardziej...

Znowu rozległa się trąbka, więc zawrócił i poszedł do swego pokoju. Załatwianie korespondencji było wystarczającym pretekstem do spóźnienia się na herbatę. Chciał być sam, żeby choć trochę uporządkować kłębiące się myśli.

Pokój na górze powitał go intymnością kominka i lampy. Wszystko w nim tchnęło tym samym spokojem, który dwa wieczory wcześniej skłonił go do błogich rozmyślań. Fotel przy kominku czekał zapraszająco, ale Darrow był zbyt podniecony, żeby usiedzieć na miejscu; ze spuszczoną głową i rękami założonymi za kark zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem.

Pięć minut spędzonych z Sophy Viner rzuciło dziwne światło na ciemne zakątki jego świadomości. Na razie najżywiej utkwiała w jego myślach absolutna szczerłość dziewczyny i jej niezłomna, żarliwa uczciwość. Zdumiało go na nowo, że twarda szkoła życia, odzierając ją z fałszywych sentymentów, nie musnęła absolutnie jej dumy. Kiedy rozstawali się przed pięcioma miesiącami, spokojnie, acz zdecydowanie odrzuciła wszelką ofiarowywaną jej pomoc, a nawet propozycję, że spróbuje poprzeć jej plany teatralne. Jasno postawiła sprawę: życzy sobie, aby to krótkie spotkanie nie pozostawiło na ich życiu żadnego śladu oprócz radosnego wspomnienia. Ale teraz, kiedy nieoczekiwanie znalazła się w sytuacji, w której czuła się zdana na jego łaskę, przede wszystkim zdecydowała się bronić swoich praw do miejsca, które zdobyła, i jak najszybciej się zorientować, czy nie zamierza

go jej odebrać. On sobie wyimaginował, że go unika, że cała drżąca usuwa się w cień, tymczasem ona, obserwując jego ruchy, nabrała pewności, że oto nadarza się okazja, aby przyjść i wszystko mu wygarnąć. Był tak zaszokowany jej szczerością i energią, że przez chwilę zapomniał o roli, jaką odegrał w całej sprawie.

– Biedactwo... biedactwo... – potrafił tylko szeptać w kółko.

Incydent pozostawił w nim uczucie rozpacz i pogardy dla samego siebie, spowodowane naruszeniem idealnej postawy wobec kobiety. Spadł poniżej ustalonego z góry standardu i jeśli myślał o Sophy Viner, to przede wszystkim jak o przygodnym narzędziu tego upadku. Rozważania te nie pochlebiały jego dumie, zwłaszcza w zestawieniu z odwagą i rozsądkiem dziewczyny. Jeśli stał się smętną postacią w całej tej historii, jej to zawdzięczał, gdyż nie pozwoliła mu dłużej przymykać oczu na fakty...

Ale kiedy je otworzył, cóż zobaczył? Sytuację w najlepszym wypadku przykrą, jednak stosunkowo prostą, gdyby ochranianie Sophy Viner było jedynym obowiązkiem. W ciężkich chwilach instynkt podszeptował

Darrowowi, żeby brnął do końca, ale jeszcze nigdy dotąd nie musiał nurkować w tak ciemną otchłań jak teraz i przez chwilę drżał stojąc na brzegu... Tak czy inaczej, miał przede wszystkim obowiązek w stosunku do Sophy i zamierzał go wypełnić do końca, a potem dopiero postara się pokonać inne rafa wystające na jego szlaku...

## 16

W dębowym pokoju zastał panią Leath, jej teściową i Effie. Kiedy zbliżał się amfiladą salonów, widział całą grupę malowniczo rozlokowaną wokół podwieczorkowego stołu. Lampy i ogień kominka krzyżowały błyski

na srebrze i porcelanie, na jasnej aureoli włosów Effie i białym czole Anny, która siedziała odchyłona do tyłu przed dzbankiem herbaty.

Nie poruszyła się na widok wchodzącego Darrowa, tylko podniosła wzrok spokojny i ufny. Jej spojrzenie jakby rzuciło na niego czar cudownego bezpieczeństwa, ogarnęła go radość rekonwalescenta, którego nagle zbudził padający na twarz promień słońca.

Pani de Chantelle, pochylona nad robótką, rozprawiała o popołudniowej wyprawie; Effie, klęcząc przed kominkiem, łagodnie, lecz stanowczo usiłowała zaszcześcić w umyśle teriera informację o związku postawy pionowej z kostką cukru.

Darrow zajął krzesło za dziewczynką, tak aby móc z boku spoglądać na jej matkę. W tym momencie odczuwał nieodpartą potrzebę patrzenia na twarz Anny, chciał widzieć w jej oczach od czasu do czasu błysk nieśmiałej dumy.

Pani de Chantelle zaczęła się dopytywać, co się dzieje z jej wnukiem, ale po chwili oszklone drzwi za jej plecami otworzyły się i wszedł z tarasu Owen ze strzelbą w rękę. Kiedy stanął w świetle lampy, z suchymi liśćmi przyczepionymi do ubłoconego ubrania, z zapachem nocy i chłodu na bladej, radosnej twarzy, rzeczywiście wyglądał jak faun, który się przybłąkał z lasu.

Effie zostawiła psa i podbiegła do niego.

– Owen, gdzie byłeś? Przeszłam całe mile z nianią i nie mogłam cię znaleźć. Spotkałyśmy Jeana i powiedział, że nie wie, dokąd poszedłeś...

– Nikt nie wie, dokąd idzie, co zobaczy u celu, i to właśnie stanowi o pięknie tego miejsca. – Roześmiał się w odpowiedzi na jej słowa.

– Ale jak będziesz grzeczna – dodał – któregoś dnia *opowiem ci o wszystkim*.

– Nie, teraz, Owenie, teraz! Naprawdę wątpię, czy *mogę* być kiedykolwiek grzeczniejsza niż teraz.

– Daj Owenowi napić się najpierw herbaty – zaproponowała matka, ale chłopak, odrzucając propozycję, oparł strzelbę o ścianę, zapalił papierosa i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Effie podążała za nim z przymilną minką i Owen przez chwilę bawił ją cicho opowiadanymi bzdurami, wreszcie usiadł obok macochy i pochylił się nad stołem, żeby nalać sobie herbaty.

– Gdzie jest panna Viner? – zapytał, kiedy Effie wskoczyła mu na kolana. – Dlaczego jej tu nie ma, żeby okiełznać to krnąbrne dziecko?

– Biedną pannę Viner boli głowa. Effie mówi, że poszła do swego pokoju natychmiast po skończonych lekcjach i zapowiedziała, że nie zejdzie na podwieczorek.

– Ach, tak. – Owen nagle odstawił filiżankę. Wstał, zapalił drugiego papierosa i przeszedł do sąsiedniego salonu, gdzie stał fortepian.

Z półmroku dobiegły dźwięki improwizowanej melodii. Pod ich wpływem przerwy w opowieści pani de Chantelle stały się dłuższe i częstsze. Effie wyciągnęła się przed kominkiem, opierając senną główkę na psie. Do pokoju weszła niania i Anna wstała.

– Wstąp na chwilę do mojego saloniku idąc do siebie. – Zatrzymała się, żeby powiedzieć to Darrowowi, i wyszła.

Parę godzin wcześniej na taką prośbę zerwałby się na równe nogi. W dniu jego przyjazdu zaprosiła go na krótko do swego pokoju nad schodami – schronienia, w którym Anna Leath, jak można się było domyślać, ukryła niespokojnego ducha Anny Summers. O rozmowie z nią w tym pokoju marzył od pierwszej chwili. Ale teraz siedział bez ruchu, zahipnotyzowany migotaniem drutów pani de Chantelle i pulsacją kapryśnej muzyki Owena.



„Będzie chciała wypytać mnie o dziewczynę” – powtarzał sobie w duchu i znów poczuł, że jest skażony zdradą, zaprawiającą goryczą jego myśli. Wskazówki zegara na smukłej kolumience nad kominkiem odmierzyły pół godziny, nim zawstydzony własnym niezdecydowaniem w końcu wstał od stołu.

Znad stosu listów piętrzących się na biurku Anna powitała Darrowa radosnym uśmiechem. Poczuł chęć, by przycisnąć wargi do tego uśmiechu, podszedł więc bliźutko i pociągnął ją ku sobie. Odchyliła głowę, jakby zaskoczona gwałtownością jego gestu, po czym oparła się twarzą o jego twarz z delikatnością opadającego kwiatu. Na nowo poczuł, że ogarnia go tajemna fala zatapiająca wszystkie obawy.

Usiadła na narożnej sofie przy kominku, on przyciągnął bliżej fotel. Spojrzeniem ogarnął przytulny pokój.

– Jest dokładnie taki jak ty, jest tobą – powiedział zwracając wzrok ponownie na nią.

– To dobre miejsce, kiedy chcę przebywać w samotności. Nie przypominam sobie, żebym kogokolwiek zapraszała tutaj na rozmowę.

– A więc posiedzmy w milczeniu. To najlepszy sposób rozmowy.

– Tak, ale to później. Są sprawy, o których chciałabym pomówić już teraz.

Usiadł wygodniej w fotelu.

– Więc mów, słucham.

– O nie, to ja chcę, żebyś mi opowiedział o panie Viner.

– O panie Viner? – Zdobył się na pytające spojrzenie.

Miał wrażenie, że jego zdziwienie ją zaskoczyło.

– To bardzo ważne – wyjaśniła – żebym dowiedziała się o niej wszystkiego, zanim wyjadę.

– Ważne ze względu na Effie?

– Ze względu na Effie, naturalnie.

– Oczywiście... Ale masz wszelkie powody, żeby być zadowolona, nieprawdaż?

– Pozornie tak. Wszyscy ją lubimy, Effie nawet bardzo, i zdaje się, że ona ma cudowny wpływ na dziecko. Ale w końcu tak mało wiemy o jej przeszłości. Dlatego właśnie chciałabym, abyś postarał się przypomnieć sobie wszystko, co o niej słyszałeś, kiedy widywałeś ją w Londynie.

– Och, obawiam się, że pod tym względem nie przydam się na wiele. Mówiłem, że była cieniem na dalekim planie domu, gdzie ją widywałem, a działo się to cztery czy pięć lat temu...

– Gdy była u tej pani Murrett?

– Tak, to sympatyczna pani prowadząca głośną fabrykę obiadów, która od czasu do czasu chwytala mnie w swoje tryby. Uciekłem stamtąd dawno temu, ale za moich czasów było tam z pół tuzina umordowanych pomocnic do obsługi tej maszyny; panna Viner była jedną z nich. Dobrze, że się stamtąd wyrwała, biedactwo.

– A więc tak naprawdę to się z nią nie widywałeś?

– Nigdy nie miałem okazji. Pani Murrett nie tolerowała żadnej konkurencji ze strony swoich podwładnych.

– Szczególnie ze strony tak urodziwych. – Darrow pozostawił tę uwagę bez komentarza, toteż ciągnęła dalej: – Opinia pani Murrett, gdyby się takową z tobą podzieliła, nie na wiele by się zapewne zdała?

– Jedynie w tym sensie, że jej dezaprobata byłaby zasadniczo dobrą rekomendacją dla panny Viner. Ale na pewno – ciągnął dalej po chwili przerwy – mogłabyś się o niej dowiedzieć czegoś więcej od ludzi, którzy ją polecili.

Anna się uśmiechnęła.

– Och, poleciała ją Adelaida Painter...

W odpowiedzi na jego pytające spojrzenie wyjaśniła, że to stara panna z South Braintree w stanie Massachusetts. Przyjechała jakieś trzydzieści lat temu do Paryża, żeby pielęgnować chorego brata, i od tego czasu osiadła tu, na znak wzgardliwego protestu nie zdejmując pokrowców z foteli w salonie. Długie przebywanie na galickiej ziemi nie powściągnęło jej wrogości wobec wiary i obyczajów Francuzów. Pomimo że Adelaida nazywała Kościół katolicki nierządnicą i jak najczarniej zapatrywała się na prywatne życie paryżan, pani de Chantelle przywiązywała wielką wagę do jej sądów oraz doświadczenia i przy każdym domowym kryzysie wzywała ją do Givré.

– Jest to tym dziwniejsze, że moja teściowa od czasu swego powtórnego małżeństwa praktycznie straciła kontakt ze wszystkimi amerykańskimi przyjaciółmi. Ponadto całkowicie zidentyfikowała się z przynależnością państwową pana de Chantelle i przejęła francuskie zwyczaje oraz przesady. A jednak niech tylko coś pójdzie nie tak, zawsze posyła po Adelaidę Painter, która jest bardziej amerykańska niż gwiazdzisty sztandar, jakby opuściła South Braintree zaledwie wczoraj, przywożąc je ze sobą w kufrze.

Darrow się zaśmiał.

– To dobrze, jeżeli South Braintree ręczy za pannę Viner.

– Och, tylko pośrednio. Kiedy mieliśmy tę paskudną przygodę z mademoiselle Grumeau, gorąco polecana przez ciotkę pana de Chantelle, oczywiście natychmiast posłano po Adelaidę i ta powiedziała bez namysłu: „Nie jestem bynajmniej zaskoczona. Zawsze twierdziłam, że Effie jest potrzebna przemiała amerykańska dziewczyna, a nie któraś z tych paskudnych cudzoziemek”. Niestety, na razie nie mogła dopaść przemielej

Amerykanki, ale wkrótce potem dowiedziała się o pannie Viner za pośrednictwem Farlowów, wzorowego małżeństwa mieszkającego w Dzielnicy Łacińskiej i piszącego do amerykańskich czasopism artykuły o życiu Francuzów. Byłam niezmiernie wdzięczna za znalezienie kogoś, za kogo gwarantują przyzwoici ludzie, i jak dotąd nie miałam powodu żałować swego wyboru. Ale w gruncie rzeczy wiem bardzo mało o pannie Viner i z różnych względów chciałabym jak najprędzej dowiedzieć się czegoś więcej, a właściwie wszystkiego, co zdołam.

– Ponieważ masz z nią zostawić Effie, rozumiem doskonale, co czujesz. Ale czy w takim wypadku jakakolwiek rekomendacja może być więcej warta niż twoje bezpośrednie doświadczenie?

– Nie, panna Viner sprawia tak korzystne wrażenie, że byłam skłonna uznać je za decydujące. Tylko, rzecz jasna, kiedy się dowiedziałam, że znałeś ją w Londynie, miałam nadzieję, że pomożesz mi oprzeć moją sympatię na bardziej ugruntowanych podstawach.

– Obawiam się, że nie potrafię powiedzieć nic więcej ponad to, że jest bardzo dzielna i miła.

– W każdym razie nie słyszałeś o czymś negatywnym?

– O czymś negatywnym? W jaki sposób? Nawet nie pamiętam, żeby ktoś o niej cokolwiek mówił. Wnioskuje tylko, że musi mieć odwagę i charakter, skoro tak długo wytrzymała u pani Murrett.

– Tak, biedactwo! Na pewno ma odwagę, a także dumę, co musiało utrudniać sprawę. – Anna wstała. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że w sumie twoje wrażenia są tak pozytywne. Zależało mi na tym szczególnie, żeby ci się podobała.

Przyciągnął ją do siebie z uśmiechem.

– W takich warunkach jestem gotów polubić nawet Adelaidę Painter.

– Mam prawie nadzieję, że nie będziesz miał okazji. Biedna Adelaida! Jej pojawienie się tutaj zawsze zbiega się z jakąś katastrofą.

– O, to wolę widzieć ją gdzie indziej. – Przytulii Annę mocniej, mówiąc sobie w duchu, kiedy odsuwał jej włosy z czoła: „Jakie znaczenie ma cokolwiek z wyjątkiem tego?” Głośno dodał: – Czy mam już iść?

Odpowiedziała z roztargnieniem:

– Chyba czas się przebrać – po czym lekko się odsunęła i położyła rękę na jego ramionach. – Mój kochany! Mój bardzo kochany!

Uświadomił sobie, że są to pierwsze pieszczotliwe słowa, które od niej usłyszał, a ich niecodziennosc niosła ze sobą magię przywróconego zaufania, jakby żadne niebezpieczeństwo nie mogło się przebić przez taką tarczę.

Odsunęli się od siebie, gdy ktoś zapukał do drzwi. Anna uniosła rękę, żeby poprawić włosy. Darrow pochylił się i oglądał fotografie Effie na biurku.

– Proszę! – zawołała Anna.

Drzwi się otworzyły i weszła Sophy Viner. Na widok Darrowa cofnęła się.

– Proszę wejść, panno Viner – powtórzyła pani Leath, patrząc na nią dobrotliwie.

Lekko zarumieniona dziewczyna dalej stała w progu, niezdecydowana.

– Bardzo przepraszam, ale Effie zapodziała gdzieś gramatykę łacińską. Pomyślałam, że może ją tutaj zostawiła. Potrzebna mi do przygotowania jutrzejszej lekcji.

– Czy to ta? – zapytał Darrow biorąc jakąś książkę z biurka.

– O tak, dziękuję.

Podał jej podręcznik, wzięła go i odwróciła się w stronę drzwi.

– Proszę chwilę zaczekać, panno Viner – zatrzymała ją Anna, po czym dodała ze spokojnym uśmiechem: – Effie powiedziała nam, że poszła pani do siebie z powodu bólu głowy. Nie musi pani ślęczeć nad jutrzejszymi lekcjami, jeżeli nie czuje się dobrze.

Rumieniec na twarzy Sophy pogłębił się.

– Jednak muszę. Łacina jest moim słabym punktem i zazwyczaj tylko o jedną stronicę wyprzedzam Effie. – Wypowiedziała te słowa z lekko ironicznym uśmiechem. – Proszę wybaczyć, że przeszkodziłam.

– Pani mi nie przeszkodziła – odparła Anna. Darrow zauważył, że przyglądała się badawczo dziewczynie, jakby uderzyło ją lekkie drzenie głosu i napięcie w jej twarzy i postawie. – Pani rzeczywiście wygląda na zmęczoną. Lepiej iść prosto do łóżka. Effie wcale się nie zmartwi, że lekcja łaciny ją ominie.

– Dziękuję, ale naprawdę nic mi nie jest – wyszeptała Sophy Viner.

Szybko omiotła pokój spojrzeniem, które przez chwilę zatrzymało się, jakby szacując intymną bliskość narożnej sofy i fotela, po czym skierowała się do wyjścia.



## Część trzecia

### 17

Tego wieczoru przy kolacji wątył monolog pani de Chantelle przerzucał most nad otchłanią milczenia. Owen nadal był chmurny i roztargniony. Nawet twarz Anny w czujnych oczach *jej* przyjaciela zdradzała nie tyle osobiste zatroskanie, ile niejasne przeczucie nadciągającej burzy.

Uśmiechała się, czasem brała udział w rozmowie, oczy jej spoczywały na Darrowie ze zwykłą głęboką ufnością, ale pod maską pogody jego napięta uwaga wychwyciła ukrywane zdenerwowanie.

Był dostatecznie opanowany, żeby mówić sobie w duchu, że nie on jest bezpośrednim powodem tych nastrojów. Wiedział, że niebawem wypłynie sprawa małżeństwa Owena, stąd też prawdopodobnie wynikała nagła zmiana humoru chłopca. Przez moment Darrow pomyślał, że może Anna spędziła popołudnie na przygotowywaniu pani de Chantelle do niemiłej wiadomości, jednak spojrzenie na bezchmurne czoło starszej damy przekonało go, że gdzie indziej należy szukać klucza do małomówności Owena i zatroskania jego macochy. Może Anna znalazła powód, żeby zmienić swoje stanowisko w tej sprawie, i powiadomiła o tym Owena? Ale temu z kolei zaprzeczał fakt, że w czasie popołudniowego polowania młody Leath był nadmiernie wylewny, od chwili zaś spóźnionego powrotu do domu aż do przedkolacyjnych godzin nie miał, o czym Darrow dobrze siedział, najmniejszej okazji do rozmowy z macochą na osobności.

To wprawdzie zawężyło, ale i zaciemniało pole domniemań i Darrow,

szukając po omacku, ponownie doszedł do wniosku, że prawdopodobnie przykłada zbyt wiele wagi do zmiennego samopoczucia młodzieńca, który w opinii macochy miał skłonność do nagłych skoków nastroju. Zauważony niepokój Anny mógł być po prostu spowodowany tym, że zdecydowała się przemówić za Owenem i chyba zdawała sobie sprawę z oczekujących ją trudności. Ale i Darrow zdawał sobie sprawę, że sam zbyt głęboko tkwi we własnych dylematach, żeby osądzać stan umysłów otaczających go ludzi. W końcu mogło być i tak, że wyczuwaną trudność porozumienia powodował jego własny niepokój wewnętrzny.

W każdym razie do takiego wniosku doszedł, kiedy obie panie niebawem opuściły salon. Życzył Owenowi dobrej nocy i poszedł do swego pokoju. Od chwili gdy po raz pierwszy zobaczył w Givré Sophy Viner, wiedział, że powstaną inne jeszcze problemy poza tym jednym, który wyłonił się natychmiast. Myśląc o nim odczuwał jeśli nie spokój, to przynajmniej ulgę. Zrobił, co było w jego mocy, żeby uspokoić dziewczynę, ona zaś pozornie wierzyła w szczerą intencję. Jakoś znalazł najprzyzwoitszy sposób wybrnięcia ze sprawy, która oczywiście nie miałaby dalszych następstw, ale jednocześnie wiedział, że chroniąc spokój panny Viner, wypełniał tylko część swoich zobowiązań. Za najważniejsze uważał przekonanie dziewczyny, że ich tajemnica nie wyjdzie na jaw. Nie obawiał się zbyt przypadkowej wpadki, gdyż oboje z Sophy Viner zbyt wiele ryzykowali, żeby nie mieć się na baczności. Strach, który go ogarnął, był innego rodzaju i miał głębsze źródło. Darrow pragnął uczynić dla dziewczyny wszystko, co mógł, ale fakt, że musiałby namawiać Annę, aby powierzyła jej Effie, budził w nim szczególną odrazę. Jego opinia o Sophy Viner była mieszana i bałamutna, więc zdawał sobie sprawę z ryzyka takiego eksperymentu. Znalazł się w sytuacji nie do zniesienia, gdyż

wyglądało, że wywiera nacisk na kobietę, którą nade wszystko pragnął ochraniać.

Do późnej nocy kłębiło mu się w głowie, nie potrafił podjąć decyzji. Jego duma była upokorzona rozdźwiękiem pomiędzy tym, czym Sophy Viner dla niego była, a tym, co o niej myślał. Ta rozbieżność, która w swoim czasie miała uprościć cały incydent, teraz okazała się najbardziej irytującą komplikacją. Naga prawda wyglądała tak, że właściwie wcale o Sophy nie myślał, ani wtedy, ani później, i wstydził się opierać swój sąd o niej na słabo zapamiętanej przygodzie.

W każdym razie jakkolwiek by lawirował, zarówno dla Anny, jak i przy okazji dla spokoju własnego sumienia, musi znaleźć jakiś sposób, żeby zapewnić pomyślną przyszłość Sophy Viner, nie pozostawiając jej w Givré, kiedy on wraz z żoną wyjedzie na nową placówkę.

Noc nie przyniosła rozwiązania problemu, ale utwierdziła Darrowa w przekonaniu, że nie ma czasu do stracenia. Pierwszym krokiem musi być nakłonienie panny Viner do następnej, spokojniejszej rozmowy. Postanowił poszukać jej z samego rana.

Zauważył, że lekcje Effie poprzedzało poranne bieganie, i mając nadzieję, że guwernantka jej towarzyszy, wyszedł z samego rana na taras, stamtąd do ogrodu i dalej do parku.

Powietrze było spokojne, przygaszone słońce przebijało jak złota tkanina przez szarą gazę, bukowa aleja tonęła w niebieskawej mgiele łączącej niebo z lasem. Był to jeden z tych nielicznych dni, kiedy dobrze znane kształty jakby rozplýwały się w tęczowym migotaniu.

Ciszę przerwało radosne szczekanie psów i idąc za nim Darrow wypatrzył Effie, zbiegającą z długiej alei na czele całej sfory. Następnie zobaczył pannę Viner siedzącą przy kamiennym obramowaniu basenu.

Prawie radośnie odpowiedziała na jego ukłon. Już pierwszy rzut oka upewnił go, że odzyskała opanowanie, a zmiana w jej wyglądzie uświadomiła mu, jak wielki musiał być jej strach. Znowu dojrzał w niej ów wdzięk, który oczarował go w Paryżu, ale teraz odniósł wrażenie, że patrzy na obraz.

– Możemy na chwilę usiąść? – zapytał, kiedy Effie odbiegła.

Dziewczyna odwróciła wzrok.

– Obawiam się, że nie mamy zbyt wiele czasu; musimy wrócić do lekcji o wpół do dziesiątej.

– Ale jest dopiero dziesięć po dziewiątej. No, to przynajmniej przejdźmy się kawałek w stronę rzeki.

Popatrzyła na długą aleję przed nimi, potem ku domowi.

– Jeśli pan sobie życzy – powiedziała cicho, mieniając się na twarzy; ale zamiast pójść proponowaną przez niego drogą, skręciła w wąską ścieżkę, biegnącą na ukos między drzewami.

Darrow był zaskoczony i lekko zaniepokojony zmianą w jej wyglądzie. W głosie dziewczyny kryło się niewątpliwe wołanie czy to opomoc, czy o wyrozumiałość – nie umiał powiedzieć. Przez chwilę był lekko zażenowany. Żeby się od niej uwolnić, zrobił nagły zwrot, decydując się mówić bez ogródek.

– Szukałem pani, ponieważ nasza wczorajsza rozmowa była wielce niezadowolająca. Chciałbym usłyszeć coś więcej o pani, o jej planach i perspektywach. Nadal nie mogę zrozumieć, czemu pani tak całkowicie zarzuciła teatr.

– Musiałam żyć – odparła bez ceregieli. Jej twarz zdradzała podejrzliwość.

– Doskonale rozumiem, że chciałaby pani pracować tutaj przez

pewien czas. – Jego wzrok błędził po ozłoconych wierzchołkach drzew. – Jest tu uroczo, nie mogła pani znaleźć lepszego miejsca. Tylko trochę się dziwię, że zaniechała pani tak całkowicie myśli o innej przyszłości.

Chwilę się zastanawiała, zanim udzieliła odpowiedzi.

– Wydaje mi się, że stałam się mniej niespokojna, niż byłam.

– To jak najbardziej naturalne, że jest pani tutaj mniej nerwowa niż u pani Murrett, jednak nie wydaje mi się, żeby mogła pani na stałe poświęcić się wychowywaniu dzieci.

– A czemu, pana zdaniem, mogłabym się poświęcić na stałe? Przecież sam pan przestrzegał mnie zdecydowanie przed teatrem.

– Stwierdziła to bez irytacji, jak gdyby dyskutowali z życzliwym zainteresowaniem o losie innej osoby.

Darrow zastanowił się nad jej słowami.

– Jeżeli tak postąpiłem, to jedynie dlatego, że pani stanowczo odmawiała mojej pomocy na starcie.

Przystanęła i spojrzała na niego.

– Uważa pan, że teraz ją przyjmę?

Darrow poczuł, że się czerwieni. Nie mógł zrozumieć jej stanowiska

– o ile zajęła je świadomie, a zmiana tonu nie była tylko odbiciem mimowolnej zmiany nastroju. Upokorzyło go stwierdzenie, jak nikłe ma podstawy do wydawania o niej sądów. Powiedział sobie w duchu: „Gdyby mi chociaż trochę na niej zależało, wiedziałbym, jak postąpić, żeby jej nie dotknąć”. Zastanowiło go, jak dalece *brak wrażliwości* bliski jest pospolitemu tępactwu. Ale miał przed sobą konkretne zadanie...

– Spodziewam się, że zechce pani jednak wysłuchać moich racji. Mieliśmy dość czasu, żeby je przemyśleć od wtedy. – Zreflektował się i bezradnie powtórzył „od wtedy”; jakiegokolwiek słowo wybrał, zawsze

potykał się o przeszłość.

Szła obok niego ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Czy mam rozumieć, że pan zdecydowanie ponawia swoją ofertę? – zapytała.

– Z całego serca, jeżeli tylko pani pozwoli.

Uniosła rękę, jak gdyby chcąc go powstrzymać.

– To nadzwyczaj uprzejmie z pana strony. Wierzę, że pan tak myśli jako przyjaciel. Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego wykazuje pan więcej troski o moją przyszłość teraz, kiedy tak dobrze trafiłam, niż wtedy, gdy byłam naprawdę w sytuacji bez wyjścia.

– O nie, nie więcej!

– Jeśli mi pan okazuje jakąkolwiek troskę, to musi mieć po temu różne powody – ciągnęła dalej z niepokojącą przebiegłością.

– Albo pan czuje się zobowiązany mi pomóc, albo też uważa, że jest winien pani Leath informację o tym, co o mnie wie.

Darrow stanął na ścieżce jak wryty. Usłyszał za sobą wołanie Effie. Na dźwięk jej głosu Sophy natychmiast odwróciła głowę, jakby cały czas podświadomie czuwała. Trwało to chwilę; nie mógł nawet powiedzieć, czy zrobiła to jak zwykła zawodowa guwernantka, czy inaczej.

Gdy tylko Effie wyprzedziła ich biegnąc, Darrow podjął wyzwanie.

– Sugestie na temat pani Leath nie zasługują na odpowiedź. Co do powodów, dla których pragnę pani pomóc, wiele zależy od słów, którymi chce się zdefiniować sprawy nie do zdefiniowania. To prawda, że chciałbym pani pomóc; ale ta chęć nie zależy od... od żadnej wcześniejszej uprzejmości z pani strony, lecz po prostu wynika z zainteresowania pani losem. Czyż moja przyjaźń nie daje mi prawa do uczynienia czegoś, co mogłoby przynieść pani korzyść?

Zrobiła parę niepewnych kroków. po czym znowu przystanąła. Darrow zauważył, że jest blada, oczy ma podkrążone.

– Czy pan od dawna zna panią Leath? – zapytała nagle.

Chwilę milczał, czuł zbliżające się niebezpieczeństwo.

– Tak, od dawna.

– Powiedziała mi, że jesteście przyjaciółmi, serdecznymi przyjaciółmi.

– Tak – przyznał – jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi.

– Wobec tego czuje się pan oczywiście usprawiedliwiony ostrzegając ją, że nie uważa mnie za osobę odpowiednią dla Effie. – Wydał okrzyk protestu, ale ona go zlekceważyła. – Nie mówię, że zrobiłby to pan chętnie. Na pewno nie, to by panu sprawiło przykrość, więc siłą rzeczy wołał pan spróbować mnie przekonać, że byłoby mi lepiej gdziekolwiek indziej. Ale przypuśćmy, że to by się nie powiodło i zdecydowałabym się pozostać? Wtedy mógłby pan uznać za swój obowiązek ostrzeżenie pani Leath. – Przedstawiła mu problem z zimną precyzją i zaśmiawszy się cicho, dodała: – Myślę, że na pana miejscu tak bym postąpiła.

– Nie czułbym się usprawiedliwiony mówiąc jej o tym za pani plecami; nawet gdybym uważał, że nie nadaje się pani do tej pracy. Ale na pewno uznałbym się za usprawiedliwionego – ciągnął dalej po chwili przerwy – gdybym powiedział pani, iż uważam, że to miejsce jest dla niej nieodpowiednie.

– I właśnie o tym stara się pan mnie teraz przekonać?

– Tak, ale nie z powodu, o którym pani myśli.

– A więc, proszę, jakie są pana powody?

– Już je wyłożyłem, doradzając pani nie zarzucać planów związanych z teatrem. Jest pani zbyt wszechstronna, zbyt zdolna, o zbyt dużej



indywidualności, żeby się skazać w tak młodym wieku na niewdzięczną harówkę nauczania.

– I to właśnie powiedział pan pani Leath?

Rzuciła mu to pytanie, jakby chcąc go przyłapać. Wzruszyła go naiwność tego podstępu.

– Nie powiedziałem jej dokładnie nic – odparł.

– Co pan ma na myśli mówiąc „nic”? Pan z nią rozmawiał o mnie, kiedy weszłam wczoraj do jej saloniku.

Darrow poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

– Powiedziałem jej po prostu, że raz czy dwa spotkałem panią u pani Murrett.

– I że od tego czasu nie widział mnie pan?

– Właśnie tak.

– I ona panu wierzy całkowicie, bez zastrzeżeń?

Wydał z siebie okrzyk protestu, jego rumieniec odbił się jak w lustrze na policzkach Sophy.

– Przepraszam! Nie chciałam o to pytać. – Zamilkła, znowu szybko się rozejrzała, po czym wyciągnęła rękę. – No, to dziękuję panu i pragnę uspokoić pańskie obawy. Nie będę dłużej guwernantką Effie.

Słyszając tę deklarację, Darrow z ulgą i przyjazną życzliwością chwycił jej dłoń.

– A więc pani naprawdę ze mną się zgadza? I da mi okazję wspólnego omówienia tych spraw?

Pokręciła głową z bladym uśmiechem.

– Nie myślę o scenie. Mam inną propozycję, to wszystko.

Ułga, którą odczuł, bynajmniej nie zmaląła. Wszak jego osobista odpowiedzialność kończyła się wraz z jej odjazdem z Givré.

– Opowie mi pani o tym, prawda?

Błysnęła uśmiechem.

– Niebawem pan usłyszysz... Teraz muszę złapać Effie i zaciągnąć ją z powrotem do tablicy.

Przeszła kilka kroków, znów przystanęła i spojrzała na niego.

– Zachowałam się wobec pana ohydnie i niezupełnie uczciwie.

– Niezupełnie uczciwie? – powtórzył ogarnięty nową falą zdziwienia.

– Mam na myśli to, że udawałam, iż panu nie dowierzam. W trakcie naszej rozmowy zrozumiałam, że w głębi ducha zawsze wiedziałam, iż mogę...

Twarz jej się zaróżowiła, oczy spoczęły na nim. W tej jednej chwili przeszłość stanęła przed nimi, odgradzając ich od siebie.

– O, jest Effie! – zawołała Sophy.

Odwrócił się i zobaczył wracającą do nich dziewczynkę; Owen Leath trzymał ją za rączkę.

Choć podniecenie opadło, Darrow natychmiast zauważył zmianę na twarzy Sophy, wywołaną pojawieniem się młodego pana. Przez moment jej policzki płonęły, po czym zbladły. Jednak nie straciła ani odrobiny tupetu, z jakim zawsze witała niespodzianki. Może ktoś, kto znał jej twarz gorzej niż Darrow, nie dostrzegłby napięcia w uśmiechu, z jakim odwróciła się od niego do Owena Leatha, i nie zauważyłby, że jej rozmarzone szare oczy ściemniały, a spojrzenie nabrało twardości. Jednak obserwatora uderzyłoby to mniej niż zmiana w wyglądzie Owena. Gdy go zobaczyli, śmiał się i swobodnie gawędził z Effie, ale kiedy tylko dostrzegł pannę Viner, wyraz jego twarzy nagle się odmienił.

Darrow nie potrafił określić, na czym ta odmiana polegała, ale może właśnie dlatego zaskoczyła go jako coś bardzo znaczącego. Tylko co to

miało znaczyć? Twarz Owena, tak jak twarz Sophy Viner, była nie tyle sceną, na której odbijają się emocje, ile kształującym się tworzywem. W chwilach podniecenia jego dziwnie nieregularne rysy nabierały płynności, mogły się zacierać i na nowo formować jak cienie obłoków w strumieniu. Ta nagle zmiana cieni nie stanowiła wskazówki co do uczuć. Darrow dostrzegł jedynie, że Owen był niesłuchanie zaskoczony widząc go z panną Viner i że siła tego zaskoczenia mogła w sobie kryć wszelkiego rodzaju implikacje. Najpierw przyszło mu do głowy, że jeśli Owen podejrzewał, iż ta rozmowa nie była wynikiem przygodnego spotkania, mogło go zdziwić, że konkurent macochy zagłębia się o tej porze dnia w prywatną pogawędkę z guwernantką jej córeczki. Myśl była tak niepokojąca, że kiedy wracali we trójkę do domu, niewiele brakowało, a powiedziała by Owenowi: „Wyszedłem na spotkanie pana matki”. Ale obawiał się, że nawet tak proste zdanie może wyglądać na tchórzliwą próbę tłumaczenia się; kroczył więc z milczeniem u boku panny Viner. Wreszcie dotarło do niego, że Owen Leath i dziewczyna także zachowują milczenie, i to zmieniło bieg jego myśli. Milczenie potrafi mieć tak samo różne odcienie jak mowa; to zaś, co łączyło Darrowa i jego towarzyszy, aż drgało od krzyżujących się nici porozumienia. Na początku odbierał tylko te, które trafiały do jego udręczonej świadomości; następnie przyszło mu na myśl, że równie aktywne porozumienie istnieje poza nim. Istotnie, coś szybko i bez słów przebiegało pomiędzy młodym panem Leathem a Sophy Viner; ale co to było i do czego zmierzało, Darrow zaczął się domyślać dopiero, kiedy znaleźli się blisko domu...

Anna Leath przyglądała się z tarasu powracającej grupce.

Ze szczytu niedosiężnej fortecy swego szczęścia patrzyła, jak zbliżają się przez ogród. Oto idą wszyscy ku niej w łagodnym świetle poranka; córka, pasierb i przyszły mąż – trzy istoty wypełniające jej życie. Uśmiechnęła się do radosnego obrazka, jaki tworzyli; Effie w podskokach zataczała wokół nich kręgi, tworząc ruchomą ramę, w której dwaj mężczyźni posuwali się wolno w milczeniu wypełnionym przyjaznym zrozumieniem. Wydawało się, że głęboka intymność sceny wymaga zachowania ciszy, i dopiero później zdziwiło ją, że żaden z nich nie uważał za stosowne skierować bodaj jednego słowa do Sophy Viner.

Anna w tym momencie płynęła w strumieniu radości, unoszona prądem jasnym i żywym, tworząc jedność z jego ciepłymi falami. Pierwszy napływ szczęścia oszołomił ją i olśnił, ale teraz, budząc się każdego ranka ze spokojną pewnością, że się powtórzy, stopniowo przyzwyczajała się do poczucia bezpieczeństwa.

„Mam wrażenie, że moje szczęście mnie unosi, jak gdyby wyrastały ze mnie skrzydła”. Tak wyraziła to później, spacerując z Darrowem po ścieżkach ogrodu. Odpowiedział spojrzeniem, które utrwaliło jej ufność. Poprzedniego wieczora wydawał się czymś zaabsorbowany i cień padł na złotą aureolę ich błogostanu; teraz znów nic nie mąciło nastroju, toteż świeciła nad nimi wysoko i jasno jak słońce w południe.

Po południu, siedząc w saloniku na piętrze, zastanawiała się nad tymi sprawami. Poranne mgły przeszły w deszcz, zmuszając do odłożenia wycieczki, do której całe towarzystwo się szykowało. Effie z guwernantką pojechały automobilem po zakupy do Francheuil i Anna przyrzekła

Darrowowi krótki spacer w deszczu we dwoje.

Po drugim śniadaniu udał się do swego pokoju, żeby zrzucić z sumienia parę zaległych listów. Gdy ją opuścił, nie ruszyła się z miejsca, siedziała z rękami na kolanach, z głową lekko pochyloną, i rozmyślała. Spoglądając wstecz na swoje życie miała wrażenie, że składało się ono ze stałego wysiłku wypełniania godzin, tak by pęczniały ich sflaczały fałdy; teraz natomiast każda godzina była jak torba skąpca wyładowana po brzegi czystym złotem.

Ocknęła się słysząc kroki Owena na galerii przylegającej do jej pokoju. Zatrzymał się pod drzwiami, zastukał.

– Proszę – odpowiedziała.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, uderzył ją niepokój w jego twarzy.

– Przyszedłeś, żeby się dowiedzieć, dlaczego dotąd nie rozmawiałam z twoją babcią? – zapytała w przyływie nagłej skruchy.

Rozejrzał się i to przypomniało jej dziwne spojrzenie, jakim Sophy Viner obrzuciła pokój poprzedniego wieczora. Wreszcie jego piękne oczy spoczęły na niej.

– Sam z nią rozmawiałem – powiedział.

Anna zerwała się nie dowierzając.

– Rozmawiałeś z nią? Kiedy?

– Właśnie od niej wyszedłem.

W pierwszej chwili zrobiło jej się przykro. Było coś zabawnie bezsensownego w chłopięcym uleganiu impulsom młodego mężczyzny, który tak bardzo pragnął wziąć na siebie życiową odpowiedzialność. Patrzyła na niego ze źle skrywanym rozbawieniem.

– Prosiłeś mnie o pomoc i ja ci ją przyrzekłam. Chyba nie warto było wypracowywać tak misternego planu działania, jeżeli zamierzałeś zabrać

sprawę z moich rąk, nic mi o tym nie mówiąc.

– Czy musisz wobec mnie przybierać taki ton? – przerwał prawie gniewnie.

– Jaki ton? – Patrzyła na jego drwiącą twarz. – To raczej ja – ciągnęła dalej, wciąż z lekkim uśmiechem – mogłabym ci zadać to pytanie.

Owen poczerwieniał, jego wzburzenie nagle opadło.

– Zrozumiałem, że to ja mam rozmawiać, i tyle. Nie dajesz mi okazji, żeby wytłumaczyć...

Spojrzała na niego przyjaźnie, dziwiąc się nieco własnemu zniecierpliwieniu.

– Owienie! Przecież ja zawsze pragnę dać ci szansę! Właśnie dlatego chciałam pierwsza porozmawiać z twoją babcią, dlatego czekałam, wypatrywałam odpowiedniego momentu...

– Odpowiedniego momentu? Ja także. I dlatego rozmawiałem.

– Znowu podniósł głos, który nabrał ostrych tonów jak w chwilach silnego zdenerwowania.

Macocha odwróciła się i usiadła na narożnej sofie.

– Ta sprzeczka nie przynosi nam zaszczytu. Zdjąłeś wielki ciężar z moich ramion. Usiądź i opowiedz mi wszystko.

Stał przed nią niezdecydowany.

– Nie mogę siedzieć – powiedział.

– No to chodź. Tylko mów, bo tracę cierpliwość.

Zamiast odpowiedzieć, rzucił się na fotel przy sofie, przez chwilę siedział cicho, z wyciągniętymi nogami, z rękami założonymi za odchyloną do tyłu głowę. Anna spokojnie czekała, nie odrywając od niego wzroku.

Wreszcie zaczął:

– Było dokładnie tak, jak oczekiwałem.

– Masz na myśli, że przyjęła to tak źle?

– Wytoczyła całą ciężką artylerię: mój ojciec, Givré, pan de Chantelle, tron i ołtarz. Nawet wywlokła moją matkę z zapomnienia i uzbroiła ją w wyimaginowane protesty.

Anna westchnęła z sympatią.

– Czy byłeś na to przygotowany?

– Myślałem, że tak, dopóki nie usłyszałem jej słów. Brzmiały tak niewiarygodnie, że jej to powiedziałem.

– Och, Owenie, Owenie!

– Tak, wiem, byłem głupi. Popeliłem błąd, ale nie mogłem się powstrzymać.

– No i obraziłeś ją śmiertelnie, czyż nie tak? Właśnie tego chciałam uniknąć. – Położyła rękę na jego ramieniu. – Ty nieznośny chłopcze, nie mogłeś poczekać i pozwolić mi mówić w twoim imieniu?

Odsunął się lekko, jej ręka ześlizgnęła się z jego ramienia.

– Nie rozumiesz – powiedział marszcząc brew.

– Nie wiem, co mam rozumieć, dopóki mi nie wytłumaczysz. Jeżeli uważałeś, że nadszedł czas, aby porozmawiać z babcią, dlaczego nie zwróciłeś się z tym do mnie? Miałam swoje powody, żeby czekać, ale gdybyś mnie poprosił, oczywiście przyspieszyłabym rozmowę.

Zrobił unik zmieniając nagle temat:

– Jakie były powody tej zwłoki?

Anna nie od razu odpowiedziała. Utkwione w nią oczy pasierba wprawiły ją w lekkie zakłopotanie.

– Szłam po omacku... chciałam mieć absolutną pewność...

– Absolutną pewność czego?

Zawahała się krótką chwilę.



– Po prostu jak sprawa wygląda z naszej strony.

– Przecież powiedziałaś mi, że jesteś jej pewna, kiedyśmy to omawiali przed ich powrotem z Ouchy.

– Och, mój drogi! Jeśli sądzisz, że w tak skomplikowanej kwestii każdy dzień, każda godzina nie wpływa mniej lub bardziej na zmianę najpewniejszej pewności...!

– Właśnie do tego zmierzam. Chcę wiedzieć, co wpłynęło na tę zmianę.

Lekkim gestem okazała zniecierpliwienie.

– Jakie to ma teraz znaczenie, skoro jest po wszystkim? Nie wiem, czy mogłabym podać jakiś konkretny powód...

Wstał i przyglądał się jej z góry, marszcząc brwi.

– Przecież to jest absolutnie konieczne!

Jego ton sprowokował wybuch zniecierpliwienia.

– Nie widzę konieczności udzielania jakichkolwiek wyjaśnień, skoro zabrałaś sprawę z moich rąk. Mogę jedynie powiedzieć, że starałam ci się pomóc, że nie miałam żadnej innej intencji. – Po krótkiej przerwie dodała: – Jeśli miałeś jakiegokolwiek wątpliwości, dobrze zrobiłeś postępując w ten sposób.

– Nigdy w ciebie nie wątpiłem – odparł. Jego twarz przybrała dawny ufny wyraz. – Nie gniewaj się, jeśli takie odniosłaś wrażenie. Sam nie mogę sobie tego wytłumaczyć – ciągnął dalej. – Wszystko to jest dość zawikłane. Dlatego myślałem, że lepiej, jeśli pomówię od razu; a raczej w ogóle nie myślałem, tylko nagle się ze wszystkim wygadałem...

Anna posłała mu ugodowe spojrzenie.

– Tak, teraz „jak” i „dlaczego” niewiele znaczą. Nie powiedziałaś mi, co twoja babcia zamierza zrobić.

– Zamierza posłać po Adelaidę Painter.

To nazwisko zabrzmiało dość zabawnie, wywołało uśmiech i odpreżenie na obu twarzach.

– Może to dla nas rzeczywiście najlepsze wyjście – dodała Anna.

Owen wzruszył ramionami.

– To absurdalne i poniżające. Wciąganie tej kobiety w nasze tajemnice...

– Tę tajemnicę z trudem da się utrzymać dłużej.

Stał przy kominku, przesuwał bibeloty na jego obramowaniu, ale usłyszawszy odpowiedź Anny, odwrócił się do niej.

– Oczywiście nie rozmawiałaś o tym z nikim?

– Nie, ale mam zamiar zrobić to teraz. – Czekając na jego odpowiedź, a ponieważ nie nadchodziła, ciągnęła dalej: – Skoro Adelaida Painter ma się dowiedzieć, nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałabym o tym powiadomić pana Darrowa.

Owen nagłym gestem odstawił na miejsce trzymaną w rękach figurynkę.

– Najmniejszego. Chcę, żeby się wszyscy dowiedzieli.

Uśmiechnęła się widząc tę nadmierną emfazę i chciała już z niej lekko zakpić, kiedy Owen, patrząc na nią uporczywie, dodał:

– Ale dotąd nie powiedziałaś mu ani słowa?

– Ani słowa, z wyjątkiem tego, do czego zmuszało mnie omawianie naszych planów. Powiedziałam, że zamierzasz się żenić i że nie chcę opuścić Francji, dopóki nie będziesz miał tego za sobą.

Przy jej pierwszych słowach nieco poczerwieniał, ale mówiąc dalej zauważyła, że jego twarz przybiera łagodniejszy wyraz, a krew przestaje się w nim burzyć.

– Na tobie można polegać, kochana.

– Przecież dałam ci słowo!

– Tak, tak, wiem. – Znów się nachmurzył. – I to jest wszystko, absolutnie wszystko, co mu powiedziałaś?

– Absolutnie wszystko. Ale dlaczego pytasz?

Zapadło niezręczne milczenie.

– Bo ustaliliśmy, że babcia pierwsza się o tym dowie, prawda?

– No i tak się stało, ponieważ jej powiedziałaś.

Znowu zajął się przesuwaniem bibelotów.

– I jesteś pewna, że nic, z czego zwierzyłaś się Darrowowi, nie da mu do myślenia?

– Nic, z całą pewnością.

Znowu obrócił się w jej stronę.

– Dlaczego stawiasz sprawę w taki sposób?

– W jaki sposób?

– Jakbyś myślała, że ktoś inny mógł mu powiedzieć...

– Ktoś inny? Kto? – Wstała. – Do czego, na Boga, zmierzasz, mój chłopcze?

– Usiłuję się dowiedzieć, czy sądzisz, że on wie o czymś dokładnie.

– Dlaczego miałabym tak sądzić? A ty?

– Nie wiem. Chcę się zorientować.

Rozśmieszyło ją to uporczywe naleganie. „Może chce wypróbować moją prawdomówność?” Słyszając kroki zbliżające się galerią, dodała:

– Oto i on, możesz sam go zapytać.

Na pukanie do drzwi odpowiedziała zaproszeniem. Darrow wszedł i stanął obok niej i Owena. Uderzył ją wtedy kontrast pomiędzy jego pogodną urodą a nachmurzoną miną pasierba.

Darrow spojrział na Annę z uśmiechem.

– Czyżbym przyszedł za wcześnie? A może nici z naszego spaceru?

– Nie, właśnie miałam się przygotować. – Nadal ich obserwowała, przenosząc powoli wzrok z jednego na drugiego. – Ale jest coś, o czym chcielibyśmy cię najpierw zawiadomić: Owen zaręczył się z panną Viner.

Czuła, że w głowie Owena zrodziło się jakieś nieokreślone pytanie. Uważniej przyjrzała się Darrowowi.

Stał dokładnie naprzeciw okna, tak że nawet w deszczowe popołudnie jego twarz była otwartą kartą. Przez chwilę malowało się na niej tylko ogromne zaskoczenie, tak widoczne, że obróciła się w stronę pasierba z nieśmiałym uśmiechem na wspomnienie jego podejrzeń. Zastanowiło ją, dlaczego Owen myślał, że Darrow już odgadł jego tajemnicę, i co w końcu mogło go tak zaniepokoić w tym raczej prawdopodobnym przypadku. W każdym razie jego wątpliwości musiały się rozwiać: w zdumieniu Darrowa nie było nic udawanego. Kiedy jej oczy znów na nim spoczęły, Darrow już szedł do Owena z wyciągniętą ręką, ona zaś

– w niezrozumiałym, niejasnym przeczuciu czegoś niedobrego – jak przez mgłę słyszała wymianę stereotypowych zdań. Potem miała wrażenie, że Owen się uspokoił, że z uśmiechem odwzajemnia gratulacyjny uścisk dłoni. Miała ulotne uczucie, że nasunął się na nią cień, choć nie było najmniejszej chmurki....

Po chwili Owen opuścił pokój. Została sama z Darrowem, który odwrócił się do okna i stał wpatrzony w ulewę.

– Zaskoczyła cię nowina o Owenie?

– Tak, jestem zdziwiony.

– Nie myślałeś, że będzie to panna Viner?

– Dlaczego miałbym o niej pomyśleć?

– Teraz rozumiesz, czemu tak bardzo mi zależało, żebyś się podzielił tym, co o niej słyszałeś. – Nie odpowiedział, więc ciągnęła dalej:

– Teraz, kiedy wiesz, że chodzi o nią, czy jest coś...

Odwrócił się od okna i podszedł do niej. Na jego poważnej twarzy dostrzegła lekki odcień przykrości.

– Cóż, na Boga, mogłoby to być? Jak już ci mówiłem, nigdy w życiu nie słyszałem od nikogo słowa na temat panny Viner.

Anna nie odpowiedziała. Stali nadal bez ruchu, patrząc na siebie. Na moment przestała myśleć o Sophy Viner i Owenie. Została z Darrowem sam na sam, był blisko, ale po raz pierwszy ich ręce i wargi się nie spotkały.

Spojrzał znowu w stronę okna.

– Dalej pada. Może lepiej, żebyś nie wychodziła?

Zawahała się, jakby czekając na nalegania.

– Tak, chyba lepiej nie wyjdę. Pójdę natychmiast do teściowej, Owen właśnie przed chwilą ją zawiadomił.

– Ach, tak. – Darrow odważył się na uśmiech. – To tłumaczy, dlaczego idąc na górę słyszałem, jak ktoś telefonuje po pannę Painter.

Tę aluzję oboje powitali cichym śmiechem i Anna ruszyła w stronę drzwi. Otworzył je przed nią i też wyszedł z pokoju.

## 19

Zostawił ją przy drzwiach salonu pani de Chantelle, a sam poszedł w deszcz.

Wiatr hulał w ogołoconych wierzchołkach drzew alei i ciskał siekące strugi prosto w twarz. Skierował się do bramy, skręcił na szosę i wyszedł na otwartą przestrzeń, smagany ulewą. Równe zagony pól przemieniły się w

mętne bajora, a rdzawe łęgowiska, na których poprzedniego dnia polował z Owenem, falowały beznadziejnie w ulewnym deszczu.

Darrow szedł bez celu. W jego głowie się kotłowało. Informacja Anny nie była dla niego zupełną niespodzianką; kiedy rano wrócił do domu z Owenem i panną Viner, wyczuł prawdę w przebłysku intuicji. Ale była to tylko intuicja, a raczej słabiutki cień przypuszczenia; teraz stało się ono niewątpliwym faktem, okrywającym ciemnością całe niebo.

Natychmiast zrozumiał, że to odkrycie nie przyniosło znaczącej zmiany jego sytuacji. Nadal obowiązywała go dyskrecja; różnica polegała jedynie na tym, że to, o czym się przed chwilą dowiedział, czyniło zobowiązanie jeszcze bardziej przykrym. Dotychczas bezbronność Sophy Viner budziła w nim sympatię zabarwioną poczuciem skruchy. Teraz dołączyła się do tego domieszka oburzenia. Jakkolwiek uważał, że nie podziela z góry powziętych sądów, zdawał sobie sprawę, że dręczy go powszechna wątpliwość co do bezinteresowności kobiety usiłującej wybić się ponad swoją przeszłość. Nic dziwnego, że była chora ze strachu, kiedy go tu spotkała! Mógł jej wyrządzić ogromną krzywdę.

Oczywiście nie miał takiego zamiaru, ale jednocześnie rozpaczliwie pragnął zapobiec jej małżeństwu z Owenem, aby samemu uwolnić się od tego uczucia, wyrzucić je z siebie. Był to nadal zew krwi, więc instynktownie odpychał sprawę, której żadne argumenty nie były w stanie rozwikłać. Nawet najdłuższy spacer go nie oświecił. Darrow minął dwie czy trzy tonące w błocie wioski, zawrócił i znużony udał się z powrotem do Givré. Gdy znalazł się w czarnej alei i skierował ku światłom migocącym poprzez obwisłe gałęzie, nagle zdał sobie sprawę ze swojej bezradności. Mógł do woli myśleć i kombinować, ale nie mógł absolutnie nic zrobić...

Zostawił ociekający wodą płaszcz w westybulu i skierował się na górę

do swego pokoju. Ale na podeście czekała na niego pokojówka i dyskretnie ściszym głosem przekazała, żeby był łaskaw wstąpić na moment do salonu markizy. Nieco speszony tym zaproszeniem poszedł za nią do drzwi, przed którymi parę godzin wcześniej rozstał się z panią Leath. Otworzyły się, wpuszczając go do oświetlonego lampą pokoju. Natychmiast się zorientował, że jest sam, i to dało mu czas na obserwację. Pomimo zdenerwowania zauważył, jak bardzo apartament pani de Chantelle był staroświecki i dopasowany do jej osobowości. Portiery z kokardami i sznurami, jedwabne szkarłatne obicia, serwantki z sewrską porcelaną, parawan z różanego drewna przy kominku, małe stoliki pokryte aksamitem zakończonym koronką, srebrne figuryнки, wdzięczne miniatury – wszystko to tworzyłoby niemal doskonale tło dla jasnowłosej piękności lat sześćdziesiątych. Darrow podziwiał synowski szacunek Frasera Leatha, który przewyciężył skrupuły estety i pozwolił na taki anachronizm pośród osiemnastowiecznych ozdób Givré; jednak po chwili refleksji zrozumiał, że w czasach ostatniego właściciela taki wystrój mógł idealnie pasować do tradycji tej posiadłości. Pojawienie się pani de Chantelle oderwało Darrowa od niestosownych rozważań. Była już w perłach i dżetach na wieczór, jej wystudiowane wejście nie zdradzało najmniejszego podniecenia, może z wyjątkiem lekko zaczerwienionych powiek. Darrow jednak zauważył, że dla podkreślenia uroczystego charakteru tego spotkania trzymała koronkową chusteczkę między kciukiem a palcem wskazującym.

Nie tracąc czasu rzuciła się w sam środek spraw, wzywając go w imieniu wszystkich Everardów, żeby pospieszył na pomoc jej ulubieńcowi. Z całą pewnością nie zwraca się na próżno do kogoś, czyja osobowość, czyj „ton” i tradycje w tak błyskotliwy sposób świadczą, że hołduje tym samym zasadom, więc błaga go, żeby ich bronił. Już samo przyjęcie go i okazane



zaufanie świadczą o tym, iż instynktownie wyczuła w nim jednomyślność w podstawowych problemach. Rozpoznała w nim bowiem jedynego człowieka, którego bez uszczerbku dla macierzyńskich uczuć mogła powitać jako następcę syna. Teraz zwraca się do niego prawie jak do ojca Owena o pomoc w ratowaniu nieszczęsnego chłopca.

– Proszę nie myśleć, że robię z tego najmniejszy zarzut Annie czy okazuję brak sympatii, kiedy mówię, że uważam ją częściowo odpowiedzialną za to, co się stało. Anna jest nowoczesna – zdaje mi się, że tak to się nazywa, kiedy ktoś czyta wywrotowe książki i podziwia ohydne obrazy. W rzeczy samej – ciągnęła pani de Chantelle, pochylając się konfidencjonalnie do przodu – ja zawsze żyłam w mniej więcej takiej atmosferze; wie pan, mój syn był bardzo rewolucyjny. Tylko że on oczywiście nie stosował tych poglądów w życiu, były one czysto intelektualne. Właśnie tego droga Anna nigdy nie rozumiała. Obawiam się, że wytworzyła w umyśle Owena taki sam zamęt, co sprawiło, że płaczą mu się rzeczy, o których się czyta, z tymi, które się robi... Pan na pewno wie, że ona trzyma jego stronę w tej nieszczęsnej historii?

Rozwinąwszy temat jak najszerzej, zawęziła go wreszcie do punktu wymagającego interwencji Darrowa.

– Panie Darrow, mój wnuk nazywa mnie nielogiczną i bezlitosną, ponieważ mój stosunek do panny Viner uległ zmianie, odkąd usłyszałam tę nowinę. No cóż, pan ją podobno znał przed paroma laty. Anna powiedziała, że pan ją widywał, kiedy była towarzyszką czy sekretarką, czy czymś takim u jakiejś okropnie wulgarnej pani Murrett. Więc proszę pana jak przyjaciela, jak jednego z nas, żeby mi pan powiedział, czy dziewczyna, która musiała włóczyć się po świecie w tego rodzaju warunkach, służyć u najrozmaitszych ludzi, nadaje się na żonę Owena... Ale co to ma do rzeczy! Nie chcę, żeby

wyszła za mojego wnuka. Gdybym szukała żony dla niego, nie zwracałabym się do Farlowów. Tego właśnie Anna nie chce zrozumieć, a pan musi pomóc mi jej to wyperswadować.

Temu wezwaniu Darrow mógł przeciwstawić tylko ponowne zapewnienie, że nie może się wtrącać. Starał się wytłumaczyć pani de Chantelle, że właśnie pozycja, jaką zamierza zająć w tym domu, czyni jego interwencję tym bardziej ryzykowną. Wytoczył banalne argumenty, zapewniając o swojej sympatii. Ale przerażenie pani de Chantelle rozwiało jej zwykłą ogólnikowość i chociaż nie miała wielu powodów, uczepiła się swoich racji jak wystraszone zwierzę o ostrych pazurach.

– No cóż – podsumowała w odpowiedzi na jego wielokrotne zapewnienia, że absolutnie nie widzi sposobu, w jaki mógłby jej pomóc – wystarczy, że podzieli się pan ze mną, wyłącznie ze mną, szczerze i otwarcie swoją osobistą opinią o pannie Viner, bo przecież zna ją pan dłużej niż my.

Zaprotestował mówiąc, że wprawdzie zna ją dłużej, ale bynajmniej nie lepiej, i że udało mu się przekonać Annę, iż nie jest w stanie wystawić żadnej opinii.

Pani de Chantelle westchnęła głęboko ze zrozumieniem.

– Wystarczy pana opinia o pani Murrett! Nie przypuszczam, żeby pan chciał ją ukrywać. I Bóg wie, z jakimi jeszcze ohydnyimi ludźmi miała ta panna do czynienia. Jedyjni przyjaciele, na których może się powołać, nazywają się Hoke... Niech pan nie próbuje się ze mną sprzeczać, panie Darrow. Bywają uczucia sięgające głębiej niż fakty... No i wiem, że chciała studiować sztukę aktorską... – Pani de Chantelle podniosła koniuszek koronkowej chusteczki do oczu. – Jestem staromodna jak moje meble – wyszeptała. – Sądziłam, że mogę na pana liczyć, panie Darrow.

Tego wieczora, gdy Darrow wszedł do swego pokoju, pomyślał ze szczyptą ironii, że za każdym razem, kiedy tu przychodzi, wnosi ze sobą cały bagaż dylematów zakłócających to przytulne ustronie. Od dnia przyjazdu, zaledwie czterdzieści osiem godzin temu, kiedy stanął w otwartym oknie witając noc, a nadziei miał tyle co gwiazd na niebie, każdy wieczór przynosił nowe problemy i zmartwienia. Ale nic nawet w przybliżeniu nie dało się porównać z głębokim przygnębieniem, w jakie wprawiała go konieczność stawienia czoła obecnym kłopotom.

Sophy Viner nie pokazała się przy obiedzie, więc nie mógł się jej przyjrzeć świeżym okiem ani odgadnąć, jakiego rodzaju więzy łączą ją z Owenem Leathem. Jedno było pewne: jakiegokolwiek żywiła uczucia i jak wielka stawka wchodziła w grę, to jeżeli postanowiła wydać się za Owena, miała aż nadto wytrwałości i zrzeczności, aby zwalczyć wszelkie wybiegi, do jakich biedna pani de Chantelle mogłaby się uciec.

Rzeczywiście, Darrow był jedynym człowiekiem zdolnym odwieść ją od tych zamiarów. Pani de Chantelle przypadkowo trafiła na najpewniejszy sposób ratowania Owena – jeżeli zapobieżenie jego małżeństwu miało być ratunkiem! W tym względzie Darrow nie miał ugruntowanej opinii; jedna myśl powracała natrętnie: jeżeli tylko okaże się to w jego mocy, nie dopuści do ślubu.

Nie wiedział, jak zdoła mu zapobiec; jego udręczonej wyobraźni każde wyjście wydawało się nierealne. Przez chwilę był skłonny poddać się sugestii pani de Chantelle i namówić Annę, żeby wycofała swoje poparcie. Jeśli jego opory, jego wysiłki zmierzające do omijania tego tematu nie uszły jej uwagi, niewątpliwie podejrzewała, że ma więcej wiadomości i gorszą opinię o panie Viner, niż się do tego przyznaje. Mógł je wykorzystać i stopniowo zniechęcać ją do tego projektu. Ale jak to zrobić nie zdradzając

własnej obłudy? Gdyby nie miał nic do ukrycia, mógłby bez trudu mówić: „Co innego nie wiedzieć nic złego o dziewczynie, a co innego uważać wybór Owena za dobry”. Ale czy między pytaniami Anny a swoimi odpowiedziami mógł się nie zdradzić z niczym więcej? Teraz zrozumiał, że od chwili przybycia Sophy Viner do Givré zawsze mu się wydawało, że Anna wyczuwa coś nie dopowiedzianego czy niewypowiadalnego między tą dziewczyną a nim.

Wreszcie zasnął. Jego następny krok zdany był na los szczęścia.

Pierwsza okazja nadarzyła się następnego ranka, kiedy spotkał panią Leath schodząc ze schodów. Była na dole, już w kapeluszu, chciała biec do portierni w parku, gdyż któreś z dzieci dozorczy uległo wypadkowi. W *ciemnej* sukni wydawała się bardziej niż zwykle prosta i smukła, na twarzy miała lekki rumieniec, jak zawsze gdy musiała wykazać się energią. Biła od niej siła wojownika, a z tą swoją twarzyczką o mocnym podbródku i gładko zaczesanymi włosami wyglądała jak amazonka na fryzie.

Była to ich pierwsza chwila bez świadków, odkąd pożegnała go wczoraj po południu przed drzwiami teściowej. Po paru słowach na temat skaleczonego dziecka rozmowa nieuchronnie zeszła na Owena.

Anna z uśmiechem opowiadała o „scenie” z teściową, należąca, biedactwo, do pokolenia, w którym „sceny” (w dystyngowanym i łzawym sensie tego słowa) świadczyły o niezwykłej wrażliwości. Ich rozmowa w najdrobniejszych szczegółach wypadła zgodnie z przewidywaniami Anny, nie zrobiła więc na niej większego wrażenia. Była jednak ciekawa rezultatów spotkania Darrowa z teściową.

– Powiedziała mi, że po ciebie posłała. Zawsze posyła po kogoś w nagłej potrzebie. To także, przypuszczam, należy do *époque*. A w braku Adelaidy Painter, która może przybyć dopiero po południu, padło na ciebie,

biedaku.

Mówiła lekko, ale tę lekkość odbierał napiętymi do granic wytrzymałości nerwami jako przesadną. Ogarnęły go wątpliwości, czy kiedykolwiek coś znowu wyda mu się całkiem normalne, mało ważne, nie odbiegające od zwykłego porządku rzeczy.

Szybko szli w mżawce, w której wyplakiwała się wczorajsza burza. Anna wtuliła się pod jego parasol, co przypomniało mu spacer po nabrzeżu Dovru z Sophy Viner. Pamięć podsunęła mu niepokojącą wizję nieuchronnych sposobności do kontaktów, zwierzeń, poufałości, jakie stworzy przyszłe powinowactwo z dziewczyną, i niezliczonych okazji do zdrady.

– Powtórz mi dokładnie waszą rozmowę – poprosiła Anna.

– Dobrze rozumiem, co twoja teściowa czuje – odpowiedział pod wpływem nagłej decyzji.

Słowa wydały mu się o wiele mniej znaczące niż ich brzmienie.

– Oczywiście. To nie do uniknięcia – odparła Anna bez zdziwienia.

– Ale musimy ją udobruchać w odpowiednim czasie. – Uniosła ku niemu twarz pod ociekającą kopułą parasola. – Nie pamiętasz, co powiedziałeś przedwczoraj? Że razem uda nam się to dla niego przeforsować? Poinformowałam Owena, żeś się do tego zobowiązał, i nie ma odwrotu.

Przedwczoraj? Czy to możliwe, że zaledwie przedwczoraj życie wydawało mu się dostatecznie proste, żeby zaryzykować podobne zobowiązanie?

– Anno – zapytał nagle – dlaczego tak ci zależy na tym małżeństwie?

Stanąła, żeby mu się przyjrzeć.

– Dlaczego? Sądziłam, że już cię przekonałam, a właściwie chyba

nawet nie musiałam, bo wydawało mi się, że się zgadzasz z moim stanowiskiem.

– Wtedy nie wiedziałem, kogo Owen zamierza poślubić.

Słowa te wyrwały mu się spontanicznie, poczuł w duszy powiew świeżości. Ale jej logika go przyhamowała.

– Wczoraj wiedziałeś i zapewniałeś mnie, że nie masz absolutnie nic do powiedzenia...

– Przeciwno panie Viner? – To nazwisko, raz wymówione, nie przestawało brzmieć w jego uszach. – Oczywiście, że nie. Ale to wcale nie musi oznaczać, że uważam ją za dobrą partię dla Owena.

Anna przez chwilę milczała. Wreszcie zaczęła od pytania:

– Dlaczego nie uważasz jej za dobrą partię dla Owena?

– Cóż, argumenty pani de Chantelle nie są, moim zdaniem, całkiem godne lekceważenia.

– Masz na myśli fakt, że była sekretarką pani Murrett i że ludzie, którzy ją wcześniej zatrudnili, nazywali się Hoke? Bo o ile ja i Owen zdołaliśmy się zorientować, to są najcięższe zarzuty przeciw niej.

– Niemniej jednak można zrozumieć, że nie o takim wyborze marzyła pani de Chantelle.

– Och, jak najbardziej, jeśli tylko to masz na myśli.

Zbliżali się do dozorcówki, przyspieszyła kroku. Szedł obok niej w milczeniu, ale przy bramie jeszcze raz zapytała:

– Czy tylko to masz na myśli?

– Oczywiście – usłyszał własną odpowiedź.

– No to sądzę, że cię przekonam, nawet jeśli nie mogę, tak jak pani de Chantelle, przywołać wszystkich Everardów na odsiecz. – Spojrzała na niego z uśmiechem, który przypominał przebłysk wiosny.

Darrow patrzył, jak spieszycie się aleją pośród ociekających wodą chryzantem, jak wchodzi do domku. Kiedy zniknęła za drzwiami, zaczął się przechadzać tam i z powrotem w mżawce. Po kilku minutach wyszła.

Powiedziała, że dziecko było poważnie, ale nie niebezpiecznie ranne; miejscowy doktor już je zbadał i prosił, żeby chirurgowi wezwanemu z Francheuil przypomnieć o konieczności przywiezienia potrzebnych instrumentów. Owen pojechał po niego samochodem, ale jeszcze można go złapać telefonicznie. Doktor prosił także o niezwłoczne dostarczenie z Givré bandażu i środków dezynfekujących. Anna poradziła Darrowowi, żeby się zwrócił do panny Viner, która będzie wiedziała, gdzie szukać potrzebnych materiałów, i każe któremuś ze służących przywieźć je rowerem.

Darrow pospieszył do domu. To polecenie stwarzało okazję do zamienienia paru słów z Sophy Viner. Nie wiedział, co jej powie, ale nadarzała się jedyna, wręcz niepowtarzalna sposobność, żeby wyjaśnić sprawę natychmiast i definitywnie, żeby porozmawiać z nią bez świadków.

Przypuszczał, że zastanie ją w pokoju szkolnym, ale dowiedział się od kogoś ze służby, że Effie pojechała z przyrodnim bratem do Francheuil i panna Viner jest jeszcze w swoim pokoju. Przesłał jej wiadomość, że ma dla niej polecenie z dozorcówki, i po chwili usłyszał jej kroki na schodach.

## 20

Kiedy się do niego zbliżała, przelotny błysk w jej oku potwierdził, że jest tak samo pochłonięta pewną myślą jak on. Przekazał polecenie z mechaniczną precyzją, odpowiedziała w tym samym tonie, powtarzając jego słowa z intensywną uwagą dziecka, niezupełnie pewnego, czy zrozumiała. Następnie pobiegła na górę.



Darrow czekał w hallu, nie wiedząc, czy wróci, jednak coś mu mówiło, że tak. Wreszcie zobaczył, że schodzi, w kapeluszu i zakiecie. Deszcz dalej siekł o szyby, więc żeby przełamać milczenie, odezwał się:

– Chyba nie pójdzie pani sama do dozorcówki?

– Wysłałam przodem służącego z materiałami, ale pomyślałam, że pani Leath może mnie potrzebować.

– Ona o to nie prosiła – odparł zastanawiając się, jak ją zatrzymać, ale oznajmiła zdecydowanie:

– Lepiej pójdę.

Otworzył przed nią drzwi, chwycił swój parasol i wyszedł za nią. Kiedy schodzili z tarasu, rzuciła na niego okiem.

– Zapomniał pan swego płaszcza nieprzemakalnego.

– Nie będzie mi potrzebny.

Nie miała parasola, otworzył zatem swój i chciał ją osłonić, ale odmówiła, wymamrotała podziękowanie, więc trzymał go nad głową, nie ponawiając propozycji.

W milczeniu szybko minęli dziedziniec i weszli w aleję. Gdy przebyli jedną trzecią drogi, Darrow odezwał się:

– Czy nie byłoby bardziej fair, gdyby podczas wczorajszej rozmowy powiedziała mi pani, co usłyszała od pani Leath?

– Bardziej fair? – Stanęła jak wryta, patrząc na niego ze strachem.

– Gdybym wiedział, że pani przyszłość jest już ustalona, oszczędziłbym pani zbędnych rad.

Zrobiła wolniej parę kroków.

– Wczoraj nie mogłam, chciałam to panu powiedzieć dzisiaj.

– Nie wymawiam braku zaufania. Ale gdyby mi pani powiedziała, miałbym większą pewność, że rzeczywiście myśli pani to, co mi wczoraj

mówiła.

Nie zapytała, do czego zmierza. Zrozumiał, że słowa pożegnania były tak samo żywe w jej pamięci jak i w jego.

– Czy to takie ważne, żeby miał pan pewność? – zapytała w końcu.

– Oczywiście nie dla pani – odparł z mimowolną szorstkością. Niewiarygodne, ale przez chwilę bezpośredni powód, dla którego chciał z nią rozmawiać, rozplynął się w urazie, że tak małą rolę odgrywa w jej losie. Z jakiego tworzywa jest jego uczucie do niej? Parę godzin wcześniej działała na jego myśli równie słabo jak na jego zmysły, ale teraz znowu odżyły uśpione instynkty...

Fala deszczu smagnęła go po twarzy, pociągnęła do tyłu kapelusz Sophy, rozwiewając jej włosy. Znanym mu ruchem uniosła ręce do głowy... Podszedł bliżej i osłonił ją parasolem.

Gdy weszła do dozorcówki, został w strugach ulewy, drżąc z chłodu i przytupując dla rozgrzewki. Wydawało mu się, że upłynęło dużo czasu, zanim drzwi się otworzyły i Sophy się w nich ukazała. Zerknął do wnętrza domu chcąc zobaczyć Annę; to mu się nie udało, jednak świadomość jej bliskości całkowicie odmieniła jego nastrój.

– Dziecko czuje się dobrze – powiedziała Sophy – ale pani Leath chce zaczekać na przybycie chirurga.

Kiedy odchodzili, Darrow dostrzegł przez pręty bramy stojący na poboczu staromodny wehikuł doktora.

– Jeśli pani pozwoli, poproszę stangreta, żeby panią odwiózł – proponował.

– Nie, pójdę pieszo – odparła Sophy, więc ruszył u jej boku w stronę domu.

Nie okazała zdziwienia, że nie został w portierni, i znowu brnęli w

milczeniu przez ulewę. Przyjęła osłonę parasola, ale trzymała się w tak dokładnie odmierzonej odległości, że nawet przyspieszając kroku nie dotykała ramienia Darrowa. Zauważył to i uświadomił sobie, że Sophy każdą kroplą krwi reaguje na jego bliskość.

– Właśnie rozmyślałem nad tym – nawiązał do przerwanej rozmowy – że powinna pani być pewna mojej życzliwości.

– W jakim sensie? – Jak gdyby ważyła słowa.

– W takim, że może mi zaufać trochę bardziej, niż to czyni.

– Powiedziałam, że wczoraj nie miałam możliwości rozmawiać.

– Ponieważ teraz ją pani ma, mogę sobie pozwolić na słówko?

Milczała, a kiedy zaczęła mówić, jej głos brzmiał tak cicho, że Darrow musiał pochylić głowę, żeby dosłyszeć odpowiedź.

– Domyślam się, co mi pan chce powiedzieć.

– W każdym razie dość trudno rozmawia się tutaj. A w domu też nie łatwiej będzie znaleźć sposobność. – Rozejrzał się. – Może pomimo ulewy pójdziemy na chwilę do źródlanego pawilonu?

Na prawo od podjazdu stał pod drzewami ozdobiony sztukaterią pawilon na łukach z rozsypujących się cegieł. Jedne schody wiodły do źródelka, drugie skręcały ku drzwiom na górze. Darrow wszedł po nich i otworzył drzwi do małej rotundy. Ze ścian zwisały paski kolorowych tapet z widmowymi mandarynami w różnych pozach. Kilka czarno – złotych krzeseł z wyplatanyimi siedzeniami i chwiejny stół z popękanej laki stały na podłodze z czerwonych kafelków.

Sophy weszła za nim bez komentarzy. Gdy zamknął drzwi, stanęła bez ruchu, jakby czekając, aż on zacznie mówić.

– Teraz możemy spokojnie porozmawiać – odezwał się patrząc na nią z uśmiechem, któremu usiłował nadać wyraz najszczerzej przyjaźni.

Powtórzyła tylko:

– Nie wiem, co pan ma do powiedzenia.

Jej głos zatracił nutki nieco smętnej ufności, które zabrzmiały pod koniec ich wczorajszej rozmowy. Teraz patrzyła na niego z lekką wrogością, co nie zachwiało jego postanowieniem sfinalizowania sprawy. Usiadł, Sophy instynktownie poszła w jego ślady. Dzielił ich stół: położyła łokcie na popękany blacie, oparła podbródek na splecionych dłoniach. Patrzył na nią, odpowiadała spojrzeniem.

– Nie ma mi pani nic do powiedzenia? – zapytał wreszcie.

Blady uśmiech uniósł w zapamiętany przezeń sposób lewy kącik warg.

– O moim małżeństwie?

– O pani małżeństwie.

Nadal przyglądała mu się spod lekko zmrużonych powiek.

– Co mogę dodać do tego, o czym pani Leath już panu powiedziała?

– Pani Leath nie mówiła o niczym poza samym faktem i radości, jaką jej sprawia.

– Czy są to dwa najważniejsze punkty?

– Najważniejsze dla pani? Pomyślałbym raczej, że...

– Dla pana – rzuciła odważnie.

Słyszając tę replikę poczerwieniał, ale wyprostował się i odparł:

– Najważniejsze jest oczywiście to, żeby postąpiła pani tak, jak dla niej będzie istotnie najlepiej.

Siedziała w milczeniu, z opuszczonymi oczami. Wreszcie wyciągnęła rękę i wzięła ze stołu mały, wytarty do osnowy chiński parawanik. Pokręciła chwilę w palcach jego podstawkę z kości słoniowej. Darrowa zaskoczyło, że wyblakłe desenie na cienkim jedwabiu dziwnie odtwarzały ich przelotny romans.

– Czy pan uważa, że moje zaręczyny z panem Leathem są dla mnie nie najlepszą rzeczą? – zapytała w końcu.

Darrow, zanim odpowiedział, odczekał dłuższą chwilę, żeby ująć słowa w najbardziej lapidarną formę. Kiedy je wypowiadał, nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest jak chirurg, który rozmyślnie waży lancet w ręce, żeby cięcie wypadło czysto.

– Nie jestem pewien – odparł – czy są one najlepszą rzeczą dla was obojga.

Dzielnie odebrała cios, tylko leciutki rumieniec zabarwił jej policzki. Nadal wpatrywała się w parawanik.

– Z czyjego punktu widzenia pan to mówi?

– Oczywiście osoby, której to najbardziej dotyczy.

– Na pewno Owena? Pan uważa, że dokonał złego wyboru?

– Ależ nie, z pani punktu widzenia. Nie uważam, aby dokonała pani właściwego wyboru – odpowiedział ostro, patrząc jej prosto w twarz.

Zbladła, ale kiedy znaczenie jego słów nabrało w jej umyśle kształtu, zauważył, jak wewnętrzne światło zapala się w jej nieruchomym spojrzeniu. Podniosła oczy akurat na tyle, żeby popatrzeć na niego ukradkiem, i uśmiech, który się w nich narodził, spłynął na wargi. Przez moment ta zmiana budziła tylko zdumienie, potem przerodziło się ono w lęk.

– Nie uważam go za dobrą partię dla pani – wyjąkał szukając po omacku zgubionego wątku myśli.

Obrzuciła obojętnym spojrzeniem zimny, mroczny w deszczu pokój.

– Po to mnie pan przyprowadził tutaj, żeby mi powiedzieć dlaczego?

Pytanie uświadomiło mu, że ich czas się kończy i jeśli nie przejdzie natychmiast do sedna sprawy, podobna okazja już się może nie powtórzyć.

– Głównym powodem jest to, że uważam go za zbyt młodego i

niedoświadczonego, żeby mógł zapewnić pani potrzebne oparcie.

Przy tych słowach znowu zmienił się wyraz jej twarzy. Patrzyła prosto przed siebie lodowatym wzrokiem, wyraźnie walcząc z drżeniem; kiedy się już opanowała, pobladłymi wargami rzuciła żartobliwie:

– Przecież pan wie, że zawsze sama musiałam stanowić dla siebie oparcie!

– Jest chłopcem – nalegał Darrow – uroczym, wspaniałym młodym chłopcem. I tyle co młody chłopiec wie o rozwiązywaniu nieuniknionych codziennych problemów... trywialnych, głupich i nieważnych spraw, z których najczęściej składa się życie.

– Ja będę je za niego rozwiązywać – odparła.

– Okażą się trudniejsze niż zwykle.

Rzuciła mu spojrzenie, w którym było wyzwanie.

– Musi pan mieć jakiś szczególny powód, żeby tak twierdzić.

– Żadnego. Oprócz jasnej oceny faktów.

– Jakie fakty ma pan na myśli?

Darrow się zawahał.

– Pani musi wiedzieć lepiej ode mnie – powiedział w końcu – że tej drogi nikt pani nie ułatwi.

– W każdym razie pani Leath już to zrobiła.

– Ale nie pani de Chantelle.

– Skąd pan wie?

Znowu zamilkł. Nie orientował się, jak daleko może się posunąć w ujawnianiu swej zażyłości z tym domem. Po czym, nie chcąc mieszać w to Anny, powiedział:

– Pani de Chantelle wezwała mnie wczoraj.

– Wezwała pana, żeby rozmawiać o mnie? – Rumieniec zalał ją aż po

czoło, oczy ściemniały pod ściągniętymi brwiami. – Jakim prawem, chciałabym wiedzieć! Co pan ma wspólnego ze mną czy z czymkolwiek, co mnie dotyczy?

Darrow natychmiast zauważył, że powróciło jej straszliwe podejrzenie, a że nie było ono tak całkiem bezpodstawne, przez chwilę doznał wstydu, co jednak nie odwiodło go od powziętego zamiaru.

– Jestem starym przyjacielem pani Leath. Nic w tym nienaturalnego, że pani de Chantelle chciała ze mną rozmawiać.

Odłożyła parawanik na stół, wstała i zwróciła w jego stronę twarz pełną oburzenia i wzdargy. Tak jak w Paryżu, kiedy przyznał się do schowania jej listu. Odeszła o krok, może dwa, po czym wróciła.

– Czy wolno zapytać, co pani de Chantelle panu powiedziała?

– Dała wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza popierać tego małżeństwa.

– A w jakim celu dała to panu do zrozumienia?

Darrow się zawahał.

– Przypuszczam, że myślała...

– Że może skłoni pana do nastawienia pani Leath przeciwko mnie?

Ponieważ milczał, dalej nalegała:

– O to chodziło?

– O to.

– A jeżeli pan odmówi, jeżeli dotrzyma pan swojej obietnicy?

– Mojej obietnicy?

– Że nie powie pan nic... absolutnie nic... – Patrzyła na niego uporczywie przez dłuższą chwilę.

Słyszając te słowa, zdał sobie nagle sprawę z całej ohydy tej sceny.

– Oczywiście nic nie powiedziałem... wie pani dobrze... – Pochylił się



i położył ręce na jej dłoniach. – Pani wie, że za nic na świecie...

Odsunęła się, ze szlochom zakryła twarz. Ponownie usiadła, położyła dłonie na stole, utkwiała w nie wzrok. Siedział milcząc, pełen współczucia. Po dłuższej przerwie, kiedy z przykrością odmierzał sekundy jej urywanym oddechem, podniosła na niego oczy. Na twarzy nie dostrzegł śladu goryczy.

– Niech pan się nie łudzi, że nie wiem, co pan o mnie pomyślał!

Ten okrzyk dobił go, wzbudził wstręt do samego siebie. Chętnie odpowiedziałby: „Biedne dziecko, hańbą jest to, że nigdy o tobie nie pomyślałem”. Ale zdołał tylko powtarzać:

– Zrobię wszystko, żeby pani pomóc.

Siedziała milcząca, bębniąc palcami po stole. Widział, że jej nieufność łagodnieje, i to spostrzeżenie jeszcze bardziej go zawstydziło, jakby jej zaufanie uświadomiło mu, jak mało brakowało, żeby się na nim zawiodła. Nagle zaczęła mówić.

– Więc pan uważa, że nie mam prawa wyjść za niego?

– Nie ma pani prawa? Uchowaj Bóg! Tylko pomyślałem...

– Że lepiej by było, gdybym nie wychodziła za któregoś z pana przyjaciół. – Wypowiedziała to celowo nie jako pytanie, lecz jako beznamienne stwierdzenie faktu.

Darrow poczuł się bezradny, wstał i podszedł do okna. Patrzył przez zakurzone szybki na mglisty, szary krajobraz, wreszcie wrócił do stolika.

– Powiem pani dokładnie, o co mi chodzi. Będzie pani nieszczęśliwa wychodząc za męża za człowieka, którego nie kocha.

Wiedział, że naraża się na niezrozumienie, ale oszacował szanse powodzenia jako wprost proporcjonalne do niebezpieczeństwa. Nawet gdyby pewne oznaki świadczyły o tym, co przypuszczał, ale o czym za wszelką cenę chciałby przestać myśleć, i tak przeszłość musiała zapłacić za

przyszłość.

Po tych słowach dziewczyna uniosła głowę ze zdziwieniem. Powoli zwróciła na niego wzrok, w którym było pytanie. Przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, po czym opuścił oczy i czekał.

– Jest pan w błędzie, w ogromnym błędzie – odezwała się wreszcie. Poczekał jeszcze chwilę.

– Bo co?

– Myśląc to, co pan myśli. Jestem tak szczęśliwa, jak gdybym na to zasługiwała. – Wybuchnęła nagle śmiechem.

Wstała i poszła w kierunku drzwi.

– Jest pan teraz usatysfakcjonowany? – zapytała w progu, odwracając ku niemu ożywioną twarz.

## 21

Z alei dobiegł warkot samochodu Owena. Ten dźwięk już kiedyś przerwał ich rozmowę. Teraz także, słysząc go, instynktownie odsunęli się od siebie. Darrow bez słowa wycofał się w głąb pokoju, Sophy Viner zaś zbiegła po schodach i ruszyła sama w stronę dziedzińca.

Obecność chirurga i brak pani de Chantelle, która przeprosiła towarzystwo pod pretekstem bólu głowy, nadały konwersacji przy śniadaniu obojętny charakter. Dzięki temu Darrow miał sposobność przybrać odpowiednią maskę; zauważył zresztą, że wszyscy przestroili się w podobny sposób. Pierwszy raz, odkąd dowiedział się o zaręczynach młodego Leatha z panną Viner, zobaczył ich razem, ale żadne nie okazywało większych emocji, niż wypadało przy takiej okazji. Nie ulegało wątpliwości, że Owen znajdował się pod urokiem dziewczyny

gdyby uczyniła najmniejszy gest, jego szczęście przerwałoby wszelkie tamy. Jednakże jej powściągliwość była usprawiedliwiona nie wyjawioną, lecz widoczną bez słów dezaprobatą pani de Chantelle. To ciążyło niewątpliwie na nastroju Anny, sprawiało, że traktowała Sophy jeśli nie z mniejszą uprzejmością, to nieco mniej bezpośrednio, niż gdyby doszło do ostatecznej zgody. Tym tłumaczył Darrow napięcie wyczuwalne pod gładką wymianą komunałów, w której pilnie brał udział. Jednak zdawał sobie coraz wyraźniej sprawę, że nie potrafi wyczuć atmosfery panującej przy stole; był jak człowiek w gorączce, który usiłuje dotykiem ocenić temperaturę u kogoś innego.

Po śniadaniu Anna zamierzała odwiedzić chirurga do domu i zaproponowała Darrowowi, żeby im towarzyszył. Miała też zabrać ze sobą Effie, z czego Darrow wywnioskował, że chce dać pasierbowi możliwość pozostania sam na sam z narzeczoną. W drodze powrotnej, gdy już odwiedzili lekarza, dziewczynka siedziała między matką a Dar – rowem i jej obecność nie pozwalała nadać rozmowie bardziej osobistego tonu. Darrow wiedział, że pani Leath jeszcze nie powiedziała córeczce, jakie stosunki będą ją z nim łączyły. Przedwczesne ogłoszenie zamiarów Owena odsunęło ich własne sprawy na dalszy plan, więc za obopólną zgodą pozostawali dla dziewczynki tylko parą przyjaciół.

Po śniadaniu wypogodziło się, toteż żeby przedłużyć wycieczkę, wracali okrężną drogą obok obrośniętej bluszczem ruiny, gdzie miał się odbyć projektowany piknik. Z powodu tego objazdu dotarli do parku tuż przed zachodem słońca, a ponieważ Anna chciała wstąpić do dozorcówki, żeby się dowiedzieć o stan zdrowia dziecka, Darrow zostawił ją z Effie i poszedł pieszo do domu. Miał wrażenie, że Anna jest nieco zdziwiona, iż na nią nie zaczekał, ale jego niepokój musiał znaleźć upust w intensywnym

ruchu. Pragnął chodzić do zupełnego odrętwienia, wędrować w wilgotnej wichurze i zbawiennych ciemnościach, wrócić do domu ślaniając się ze zmęczenia, nieprzytomnie senny. Jednak nie miał pretekstu do takiej ucieczki i obawiał się, że w tej sytuacji jego przedłużająca się nieobecność mogłaby się wydać Annie podejrzana.

Kiedy dochodził do domu, świadomość jej bliskości spowodowała szybką zmianę nastroju. Jak gdyby wyraźniejszy obraz ukochanej kobiety rozwiął jego problemy niczym poranne mgły. Gdziekolwiek się w tym momencie znajdowała, wiedział, że jest w jej myślach bezpieczny, i ta pewność odsuwała w cień wszystko inne. Kochali się i ich miłość rozpościerała się nad nimi, nie ukrywana i hojna; nie było miejsca na strach. Za kilka minut znajdzie się przy niej i wyczyta tę prawdę w jej spojrzeniu. Już Anna coś wymyśli, żeby przed obiadem mogli znaleźć godzinkę dla siebie w jej saloniku. Będzie tam siedział przy kominku, obserwując jej spokojne ruchy; zobaczy, jak granatowy odcień jej włosów lekko się zabarwia na czerwono, gdy pochyla głowę w stronę ognia...

Gdy minął bramę, z dziedzińca wyjeżdżał powóz. W hallu oczom Darrowa ukazała się potężnych rozmiarów dama w płaszczu przeciwdeszczowym i tweedowym kapeluszu, stojąca wśród sterty bagażu i wydająca dyspozycje lokajowi, który ją właśnie wpuścił. Nie przerwała nawet, jak wszedł Darrow, tylko utkwiała w nim wyblakłe oczka i kontynuowała głębokim kontraltem – płynną francuszczyzną z najczystszy bostońskim akcentem – wskazówki co do rozmieszczenia tobołów. To ośmieliło Darrowa; obrzucił ją spojrzeniem dość długim, żeby odnotować szczegóły pospolitej, przysadzistej osoby: od kwadratowej twarzy o ziemistej cerze, z gładko zaczesanymi siwymi włosami, po tępe noski trzewików wystające spod szerokiej spódnicy.

Poddała się jego oględzinom, nie okazując większego zdziwienia niż pomnik, na który gapi się turysta, ale kiedy los jej kufrów został rozstrzygnięty, nagle zwróciła się w stronę Darrowa i obrzucając go spojrzeniem, zapytała stanowczym tonem:

– Cóż to za buty ma pan na nogach?

Zanim zebrał myśli, żeby odpowiedzieć na tę uwagę, dodała z hamowanym oburzeniem:

– Dopóki Amerykanie nie przyzwyczają się do tego, że Francja stoi pod wodą przez połowę roku, stale ryzykują życie niewłaściwie się zabezpieczając. Przypuszczam, że łąził pan po całym tym paskudnym bloku, jakby spacerował po bostońskich błoniach.

Darrow zapewnił ją ze śmiechem o swoich wcześniejszych doświadczeniach z francuską wilgocią, ale dama zasapała z pogardą:

– Wy, młodzi, jesteście wszyscy jednakowi. – Po czym, obrzuciwszy go znów surowym spojrzeniem, rzekła: – Przypuszczam, że to pan George Darrow? Znałam kiedyś jedną z pańskich kuzynek, która poślubiła któregoś z Tunstallów z ulicy Mount Vernon. Nazywam się Adelaida Painter. Czy był pan ostatnio w Bostonie? Nie? Bardzo mi przykro z tego powodu. Słyszałam, że w dole Commonwealth Avenue zbudowano kilka nowych domów, i miałam nadzieję, że pan mi coś o nich opowie. Nie byłam tam od trzydziestu lat.

Przybycie panny Painter do Givré było jak podmuch północnego wiatru po dniach duchoty. Kiedy Darrow zasiadł ze wszystkimi do podwieczorku, pani de Chantelle nadal pozostawała u siebie na górze, ale odniósł wrażenie, że pomimo zaciągniętych zasłon i zaryglowanych drzwi i tam musiał się przedostać ożywczy powiew.

Anna zajmowała swoje zwykłe miejsce przy tacy z herbatą, Sophy

Viner wprowadziła właśnie wychowankę. Był tu także Owen i siedział jak zwykle nieco na uboczu; śledził energiczne ruchy i równie ważne wypowiedzi panny Painter z porozumiewawczym uśmiechem, co nasunęło Darrowowi podejrzenie, że chłopak prowadził tajne rokowania z nieprzyjacielem. Darrow zauważył także, że dziewczyna i jej konkurent wyraźnie unikali się nawzajem, ale mogło to być naturalnym skutkiem napięcia, które panna Painter miała rozładować. Ta zresztą ujawniła swoje stanowisko bez słów, zapraszając Sophy, aby usiadła przy niej.

Nadal obserwując nowo przybyłą, tkwiącą w fotelu jak granitowy posąg na krawędzi urwiska, Darrow zdał sobie sprawę, że gdyby był w lepszym nastroju, z niezwykłym zainteresowaniem zająłby się studiowaniem panny Painter. Nie żeby mówiła coś godnego uwagi czy zdradzała się między wierszami z czymś, co nadaje znaczenie najbardziej banalnym wypowiedziom. Opowiadała o opóźnieniu pociągu, kryzysie grożącym polityce międzynarodowej, trudnościach z nabyciem w Paryżu angielskiej herbaty i niegodziwościach, do jakich jest zdolna francuska służba. Poglądy na wszystkie te sprawy wypowiadała z jednakową emfazą, co świadczyło, że kompletnie nie dostrzegała, czy jej słowa budzą zainteresowanie, czy też nie. Zawsze używała w stosunku do Francuzów określenia „ci ludzie”, a jednocześnie wykazywała się bliską znajomością wielu z nich i wręcz encyklopedyczną wiedzą o ich sprawach rodzinnych, trudnościach finansowych czy komplikacjach w życiu prywatnym. Ale ponieważ nie dostrzegała w swojej postawie niczego niestosownego, nie kierowała nią chęć popisywania się zażyłością z eleganckim światem, którą mogłaby się chełpić. Utytułowane damy, o których mówiła jako o Mimi, Simone czy Odette, niewątpliwie były dla niej tak samo „tymi ludźmi”, jak *bonne* – pokojowa, która dobierała się do jej herbaty i odklejała nad parą jej listy,



„kiedy jakimś cudem nie wrzuciłam ich do skrzynki osobiście”. Jej postawa życiowa polegała na ogromnej, ponurej tolerancji, na pogodzeniu się z istniejącym stanem rzeczy, jak gdyby była jakimś niezwykle urządzeniem mechanicznym rejestrującym fakty, tyle że nie dość udoskonalonym, aby je segregować czy opatrywać etykietkami.

Jednak zdaniem Darrowa to wszystko nie tłumaczyło wpływu, jaki wyraźnie wywierała na osoby będące z nią w kontakcie. W stanie napięcia, w jakim się znajdował, ulgę przynosiło obserwowanie i dociekanie, w czym tkwi tajemnica. Może w jej idealnej niewrażliwości, tak dalece wyzbytej egotyzmu, że Adelaidzie Painter nie można było zarzucić ani brutalności, ani grymasów, za to dostrzegało się w niej świeżość prostoty. Po ostatnich kilku dniach, kiedy on i wszyscy wokół żyli w atmosferze naładowanej echami i implikacjami, odprężeniem

i pokrzepieniem stało się wkroczenie w obszar myślowy tej kobiety

– pusty pomimo natłoku wiadomości.

Nadzieje Darrowa na zamienienie przed obiadem paru słów z Anną rozwiały się, kiedy wstała, żeby zaprowadzić pannę Painter do pani de Chantelle. Poszedł do swego pokoju, zostawiając Owena i pannę Viner zajętych układanką obrazkową Effie.

Pani de Chantelle, może za namową swojej przyjaciółki, zeszła na obiad, blada, z zaczerwienionym nosem. Rzucała czułe, lecz pełne wyrzutu spojrzenia na wnuka, który odpowiadał na nie z niewzruszoną pogodą. Sytuację ułatwiał fakt, że panna Viner była jak zwykle w pokoju szkolnym ze swoją wychowanką.

Darrow przypuszczał, że prawdziwy szczęk broni rozlegnie się dopiero nazajutrz, a chcąc zostawić pole przeciwnikom, udał się wczesnym rankiem na samotną przechadzkę. Dobiegała pora śniadania, kiedy wrócił i wpadł na



Annę, która właśnie wychodziła z domu. Miała na sobie żakiet i kapelusz i prawdopodobnie szła na jego spotkanie, gdyż oznajmiła natychmiast:

– Pani de Chantelle prosi cię do siebie na górę.

– Na górę? Teraz?

– Takie przekazała polecenie. Zdaje się, że liczy na ciebie, żeby coś postanowić. Cokolwiek by to było, miejmy to za sobą.

Darrow, ogarnięty coraz większą obawą, robił sobie w duchu wyrzuty, że zamiast iść na spacer, nie wskoczył do pierwszego pociągu i nie zniknął z oczu, dopóki sprawy Owena nie zostaną ostatecznie uregulowane.

– Ale co, na Boga, mogę zrobić? – zaprotestował wchodząc do hallu za Anną.

– Nie wiem. Ale zdaje się, że i Owen bardzo na ciebie liczy.

– Owen? On także tam będzie?

– Nie. Ale jak wiesz, zapewniłam go, że może na ciebie liczyć.

– Przecież powiedziałem twojej teściowej wszystko, co mogłem.

– Więc jej to powtórz.

Darrow nie uważał, żeby to miało uprościć sprawę tak, jak się jej zdawało. Odruchowo chciał się wycofać.

– Nie ma najmniejszego powodu, żebym się w to wszystko mieszał.

Anna spojrzała na niego z wyrzutem.

– A fakt, że ja jestem w to wmieszana? – wypomniała, ale to tylko wzmocniło jego opór.

– Dlaczego ty, i to do tego stopnia?

Nie odpowiedziała od razu. Rozejrzała się po hallu, jakby chcąc się upewnić, że są sami, po czym zniżyła głos.

– Nie wiem – przyznała nagle – ale jakoś czuję, że jeśli oni nie będą

szczęśliwi, to i my także.

– Dobrze już, dobrze. – Darrow zgodził się tonem człowieka, który chcąc nie chcąc przystaje na uroczą niedorzeczność. W końcu ucieczka była niemożliwa, więc mógł tylko pozwolić się zaprowadzić pod drzwi pani de Chantelle.

Pośród staroświeckich ozdóbek i falbanek panna Painter rozsiadła się w szkarłatnym fotelu, z niestosowną miną jeźdźca, który ujeżdża narowistego wierzchowca. Pani de Chantelle siedziała naprzeciwko, nadal lekko omdlewająca i mniej zadbana, choć ze staranną fryzurą, ostentacyjnie ściskając chusteczkę, która miała symbolizować jej rozpacz. Na widok wchodzącego mężczyzny wyjęczała płaczliwe powitanie, dodając jednak niezwłocznie:

– Panie Darrow, nic na to nie poradzę, ale czuję, że w głębi serca jest pan po mojej stronie.

Spontaniczne wyzwanie ułatwiło protest, toteż Darrow powtórzył, że nie jest w stanie zająć stanowiska po którejkolwiek stronie.

– Ale Anna mówiła, że jest pan po jej stronie!

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, dostrzegając maleńką skazę na skrupulatnie przestrzeganej zasadzie bezstronności. Każdy dowód kobiecej niekonsekwencji u Anny świadczył o tym, że uległa najbardziej niekonsekwentnej ze wszystkich namiętności. Oczywiście przyrzekł jej pomoc, ale stało się to, zanim się dowiedział, o co chodzi.

Odparł:

– Gdybym miał cokolwiek do powiedzenia, byłoby to tylko na korzyść panny Viner.

– Pan by tak chciał. Ale czy by mógł?

– Po prostu nie mam podstaw, aby powiedzieć coś na jej korzyść czy

przeciwko niej. Już mówiłem, że nie wiem o niej nic poza tym, że jest urocza.

– Jak gdyby to nie wystarczyło, jak gdyby trzeba było czegoś więcej!  
– wtrąciła panna Painter niecierpliwie. Niby zwracała się do Darrowa, ale jej małe oczka były wbite w przyjaciółkę. – Pani de Chantelle wyobraża sobie – kontynuowała – że młoda amerykańska panienska powinna mieć swoje *dossier*, kartotekę policyjną czy jak to się nazywa; to, co tutaj mają te okropne kobiety z ulicy. W naszym kraju wystarczy, że młoda panna jest niewinna i urocza. Nikt od niej nie wymaga, żeby natychmiast okazała swoje konto bankowe i listę znajomych.

Pani de Chantelle patrzyła żałośnie na swoją upartą mentorkę.

– Chyba nie oczekujesz ode mnie, że się nie zainteresuję, z jakiej pochodzi rodziny?

– Bynajmniej, ale jeśli jej nie ma, to nie powód, by źle myśleć o tej dziewczynie. Fakt, że jest sierotą, powinien być dla ciebie zaletą. Nie musisz zapraszać do Givré matki i ojca.

– Adelaido! Adelaido! – lamentowała pani na Givré.

– Lukrecjo Mario – mitygująco odparła przyjaciółka, a Darrow powstrzymał rozbawienie słysząc tę oryginalną niezgodność imion

– wiem, że zaprosiłaś tu pana Darrowa, żeby stanął przeciwko mnie, ale jak może to uczynić, dopóki się nie dowie, co ja myślę?

– Myślisz, że to najzupełniej proste: Owen ma poślubić dziewczynę, o której nic nie wiemy.

– Bynajmniej, ale uniemożliwiania mu tego też nie uważam za najzupełniej proste.

Przenikliwość tej odpowiedzi wzmogła zainteresowanie Darrowa panną Painter. Dotychczas nie dostrzegł w niej jakiegóż wyjątkowej głębi, ale

teraz poczuł z całą pewnością, że jej świdrujące spojrzenie może praktycznie przemknąć do sedna każdego problemu.

Pani de Chantelle z westchnieniem uznała, że sytuacja jest trudna.

– Nie mogę powiedzieć złego słowa na pannę Viner, ale chyba była, jak to się mówi, w takich tarapatach, że musiała zdać się na łaskę jakichś okropnych ludzi. Gdyby tylko Owen chciał to widzieć, gdyby udało się zdobyć parę faktów. Na przykład twierdzi, że ma siostrę, ale chyba nie zna nawet jej adresu!

– Może go zna i nie chce ci go podać. Przypuszczam, że siostra jest jedną z tych okropnych osób. Nie mam wątpliwości, że w niedługim czasie można ich uzbierać całe tuziny – „wytropić”, jak to się nazywa w kryminałach. Nie sędzę, żeby to przstraszyło Owena, ale ciebie – tak. Całkiem naturalne, że on jest zepsuty tymi cudzoziemskimi ideami. Może ci się nawet uda rozłączyć go z dziewczyną, ale nie uda ci się sprawić, żeby ją przestał kochać. Widziałam to, kiedy na nich patrzyłam wczoraj wieczorem. Powiedziałam sobie w duchu: „To prawdziwie staroświecki amerykański przypadek, miły i zdrowy jak chleb domowego wypieku”. Cóż, jeżeli odbierzesz mu tę jego kromkę, czym chcesz ją zastąpić? Jak myślisz, w jakiej paskudnej paryskiej truciznie będzie szukał pociechy? Przypuśćmy, że ci się uda uchronić go od rzeczywiście przykrych kłopotów – a znając tego chłopca uważam, że w tym kryzysie jedynym wyjściem byłoby ożenić go czym prędzej z jakąś inną – kogóż wtedy, jeśli wolno spytać, zdołałabyś zaproponować? Jedną z tych słodkich francuskich *ingénues*? Mającą tyle rozumu co płotka i tyle życia co jajko na miękko? Mogłabyś go wpakować w takie małżeństwo – nie wątpię, że byś mogła – ale jak znam Owena, natura da o sobie znać, zanim pierwsze dziecko zostanie odstawione od piersi.

– Skąd te wstrętne insynuacje na temat Owena?

– Uważasz, że to będzie wstrętne, jeśli wróci do swojej prawdziwej miłości, z którą został rozłączony siłą? W każdym razie tak właśnie postępują twoi francuscy przyjaciele, wszyscy co do jednego! Tylko że oni zazwyczaj nie są na tyle przyzwoici, żeby akurat wrócić do starej miłości, ale mogę się założyć, że Owen wróci.

Pani de Chantelle patrzyła na nią z mieszanym uczuciem respektu i triumfu.

– Adelaido, zdajesz sobie oczywiście sprawę, że to, co sugerujesz, jest najbardziej szokującą insynuacją przeciw panie Viner?

– Jeśli rozłączysz dwie młode istoty, które umierają z chęci zdobycia szczęścia w sposób legalny, to dziesięć szans na jedną, że się połączą nielegalnie. Moje szokujące insynuacje są wymierzone w ciebie, Lukrecjo Mario, gdyż przypuszczałam przez chwilę, że gotowa jesteś wziąć na siebie taką odpowiedzialność wobec Stwórcy. Ale ty wolisz tylko przesyłać Mu wiadomości przez takiego nędznego grzesznika, jakim jesteś ty sama.

Darrow się spodziewał, że atak na wiarę wywoła u pani de Chantelle wybuch pobożnego oburzenia, ale ku jego zdumieniu wyszeptała tylko:

– Nie wiem, co pan Darrow pomyśli o tobie!

– Pan Darrow zna prawdopodobnie swoją Biblię równie dobrze jak ja – odparła spokojnie panna Painter i po chwili dodała bez najmniejszej uchwytniej zmiany w tonie: – Musiałaś słyszeć, że małżonek Gisèle de Folembray oskarża ją, iż jest zamieszana wraz z diukiem d’Arcachon w próbę sprzedania imitacji pereł pani Homer Pond, tej z Chicago, z którą diuk jest zaręczony? Podobno jubiler twierdzi, że Gisèle przyprowadziła panią Pond i otrzymała dwadzieścia pięć procent... które oczywiście przekazała temu d’Arcachon. Biedna stara diuszesa jest w okropnym stanie, obawia się,

że jej syn utraci panią Pond. Kiedy pomyślę, że Gisèle to wnuczka starego Bradforda Wagstaffa, czuję wdzięczność do Boga, że jest on bezpieczny w Mount Auburn!

## 22

Dopiero wieczorem Darrow mógł się upomnieć o swoją godzinę z Anną. Kiedy wreszcie zastał ją samą w jej saloniku, doznał tak wielkiego odprężenia, że nie umiał logicznie usprawiedliwić tego stanu. Po prostu poczuł, że ich losy trzyma w zaciśniętej dłoni panna

Painter, a ponieważ wszelki opór był bezcelowy, mógł się jedynie cieszyć słodczą poddania.

Anna wydawała się równie szczęśliwa, i to z bardziej zrozumiałych powodów. Po śniadaniu była obecna przy jeszcze jednej dyskusji między panią de Chantelle a jej powiernicą i podejrzewała, że zwycięstwo jest na stałe wypisane na sztandarze panny Painter.

– Nie wiem, jak ona to robi, chyba tylko za pomocą wagi swoich przekonań. Nienawidzi Francuzów tak bardzo, że jest gotowa popierać Owena, nawet gdyby nie wiedziała – albo wiedziała zbyt wiele – o panie Viner. W pewien sposób uważa małżeństwo za protest przeciw upadkowi europejskiej moralności. Powiedziałam Owenowi, że to jego wielka szansa, i on ją wykorzystał.

– Ale z ciebie taktyk! Czuję się jak ignorant w sprawach dyplomacji. – Darrow z uśmiechem pogрузył się w niebezpiecznym błogostanie.

Odpowiedziała na uśmiech.

– Według mnie nic poza moim szczęściem nie jest warte zabiegów dyplomatycznych.

– Dlatego właśnie myślę o zrezygnowaniu ze służby dla ojczyzny – stwierdził z radością Darrow.

Uczucie, że zarówno opór, jak i obawy były próżne, musowało w jego żyłach niczym wino. Robił co w jego mocy, żeby odwrócić bieg spraw, teraz mógł tylko stać na uboczu. Pod tym fatalizmem kryło się głębokie przekonanie, że przecież nie powiedział ani nie zrobił niczego, co mogłoby w najmniejszym bodaj stopniu zaszkodzić panie Viner. Ta świadomość zdjęła z jego barków młyński kamień.

Teraz mógł znowu oddawać się rozkoszy obcowania z Anną. Nie byli sami przez dwa długie dni, toteż czuł się jak powracający kochanek. Jej spojrzenie, jej uśmiech znów przesłaniały mu cały świat. Czuł, że to światło będzie mu towarzyszyć stale, jak zachodzące słońce sunące przed okrętem na morzu.

Następnego dnia poczucie bezpieczeństwa wzmógł pewien ważny incydent. Domownicy dowiedzieli się, że pani de Chantelle uległa potężnemu naciskowi panny Painter, i Sophy Viner została wezwana do szkarłatnego atlasowego salonu.

Przy drugim śniadaniu promienny nastrój Owena zdradził pomyślny wynik i kiedy towarzystwo przeniosło się do dębowego salonu na kawę, Darrow uznał, iż dyskrecja wymaga, żeby wyszedł na taras pod pretekstem zapalenia cygara. Pomyślny finał romansu Owena ponownie wysunął jego własne sprawy na pierwszy plan. Anna przyrzekła, że zastanowi się nad datą ślubu i ustali szczegóły, skoro tylko pani de Chantelle i jej wnuk się pogodzą. Darrow chciał, aby to uczyniła jak najprędzej, uważał bowiem, że przygotowania do ślubu powinny już ruszyć z miejsca. Wiedział, że Anna nie będzie szukała nowego pretekstu do zwłoki, toteż przechadzał się tam i z powrotem w słońcu, zadowolony, pewien, że pani Leath zaraz wyjdzie i



oznajmi mu, co postanowiła. Musiała jednak najpierw poświęcić trochę czasu zjednoczonej ponownie rodzinie.

Kiedy wreszcie do niego podeszła, pierwsze wypowiedziane słowa dotyczyły młodszej pary zakochanych.

– Chciałam ci podziękować za to, co zrobiłeś dla Owena – zaczęła z promiennym uśmiechem.

– Kto, ja? – Roześmiał się. – Czyżbyś myliła mnie z panną Painter?

– Może powinnam była powiedzieć „dla mnie” – poprawiła się.

– Okazałeś nam nawet większą pomoc niż Adelaida.

– Drogie dziecko! Co takiego, na Boga, zrobiłem?

– Udało ci się ukryć przed panią de Chantelle, że tak naprawdę to nie lubisz tej biednej Sophy.

Darrow poczuł, że blednie.

– Ja jej nie lubię? Skąd taki pomysł?

– Och, to coś więcej niż pomysł, to wyczucie. Ale co za różnica? Widziałeś ją w tak odmiennym otoczeniu, więc nic dziwnego, że miałeś pewne wątpliwości. Ale kiedy ją lepiej poznasz, jestem pewna, że twój stosunek do niej się zmieni.

– Zapewne – odpowiedział żartobliwym tonem. – Nie wyobrażam sobie, abym mógł się z tobą w jakiegokolwiek sprawie nie zgadzać. Może więc teraz ty zgodzisz się ze mną co do pilnej konieczności ustalenia szczegółów naszego ślubu.

– O tym także chciałam z tobą pomówić. Nawet nie wiesz, jak wielki ciężar spadł mi z serca. Mając tu Sophy na stałe, będę zupełnie inaczej przeżywała rozstanie z Effie. Poznałam znacznie bardziej doświadczoną guwernantki, ale nigdy nie widziałam młodej osoby weselszej, lepszej i bardziej ludzkiej. Musiałeś zauważyć, chociaż mało widywałeś je razem, jak

Effie rozkwita w jej towarzystwie. A na tym właśnie mi zależy. Pani de Chantelle nauczy ją odpowiedniego opanowania. – Ujęła w dłonie jego ramię. – Tak, teraz jestem gotowa jechać z tobą. Ale przede wszystkim musisz zaraz, w tej chwili, iść ze mną do Effie. Ona, rzecz jasna, o niczym jeszcze nie wie.

Effie szukano w całym domu, aż wytropiono ją wreszcie w pokoju szkolnym. Darrow wszedł na górę za Anną. Nigdy nie widział jej w tak radosnym nastroju, tak pogodnej. Powtarzał sobie w duchu: „Już minęło, już przeszło”, jak gdyby jakąś potworną nocną zmoreń przepędził nadchodzący świt.

Kiedy zbliżali się do szkolnego pokoju, dobiegło ich szczekanie teriera, strofowanego ze śmiechem.

– Daje mu obiad – szepnęła Anna trzymając Darrowa za rękę.

– Nie zapomnij o złotej rybce! – usłyszeli inny jeszcze głos.

Darrow zatrzymał się w progu.

– O, nie teraz!

– Nie teraz?

– Myślę, że lepiej będzie, jeżeli powiesz jej to najpierw sama.

Zaczekam na was obie w hallu.

Zauważył, że przygląda mu się badawczo.

– Jak sobie życzysz. Zaraz sprowadzę ją na dół.

Otworzyła drzwi i kiedy wchodziła do pokoju, Darrow usłyszał jej słowa:

– Nie, Sophy, proszę nie odchodzić, jesteście mi obie potrzebne.

Reszta dnia była dla Darrowa jednym ciągiem pustych i denerwujących scen. Kiedy jechał do Givré, wyobrażał sobie sentymentalnie chwilę, jak weźmie Effie w objęcia i otrzyma pierwszy dziecięcy pocałunek.

Wszystko, co w nim egoistycznie tęskniło do spokoju, stabilności, wygodnie zorganizowanego dojrzałego wieku, cały instykt męczyzny – budowniczego, mającego za sobą dość kłopotów, dość tułaczek – składało się na uroki dziecka, które mogło przecież być jego. Effie podbiegła do niego, ciągnąc za sobą smugę jego młodzieńczego romansu, przywracając mu cudowne godziny, ongiś stracone

i oplakane. I jakże inaczej wyglądało urzeczywistnienie jego marzeń! Radosne powitanie dziecka, niewątpliwa akceptacja nowej postaci w rodzinnym gronie – tak, tego się spodziewał, tak to sobie wyobrażał. Mama uszczęśliwiona, Owen i babcia także, jakże przyjemnie, przytulnie i wygodnie będzie im wszystkim razem, zdało się mówić rozpromienione spojrzenie Effie. Nagle jednak różowe paluszki, które całował, dotknęły jedyne go słabego ogniwa w łańcuchu szczęścia, który miał połączyć nowo przybyłego z pozostałymi bogami dziecięcego Olimpu.

– Czy Sophy jest także z tego zadowolona? – zapytała zwalniając uścisk na szyi Darrowa. Odchyliła główkę do tyłu i pytającym spojrzeniem objęła też matkę.

– Ależ, kochanie, czy nie widziałaś, że tak?! – zawołała Anna, pochylając się nad obojgiem.

– Chyba wolałabym ją o to zapytać – odparła dziewczynka po chwili zastanowienia. Kiedy Darrow spuścił ją z kolan, Anna się zaśmiała.

– Dobrze, skarbie, dobrze! Uciekaj i powiedz jej, że się spodziewamy, iż będzie ogromnie zadowolona.

Po tej scenie nastąpiły inne, mniej wzruszające, ale równie de-nerwujące. Darrow przeklinał swój los. Status narzeczonego, sam w sobie dostatecznie absurdalny, stał się nie do zniesienia pod ciągłą baczłą obserwacją małej grupki zainteresowanych. Na domiar złego Darrow zdawał

sobie sprawę, że aczkolwiek problemy drugiej pary powinny zdominować jego własne, to niewątpliwie teraz odeszły w cień, a całe towarzystwo emocjonowało się zapowiedzią nowego małżeństwa Anny, zameczając narzeczonego przejawami swej sentymentalnej ciekawości.

Z ulgą pomyślał, że musi stanowczo zakończyć swoją wizytę w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Opuszczał Londyn za zgodą zwierzchników, którzy udzielili mu dziesięciodniowego urlopu, a ponieważ jego los został definitywnie przesądzony i ogłoszony wszem wobec, nie miał powodu prosić o przesunięcie terminu powrotu. Oboje z Anną zdecydowali, że pobiorą się w Paryżu na dzień czy dwa przed wypłynięciem parowca, który miał ich zawieźć do Ameryki Południowej. Wkrótce po wyjeździe Darrowa do Anglii Anna miała udać się do Paryża i zająć przygotowaniami do ślubu.

Dla uczczenia podwójnych zaręczyn Effie i panna Viner miały tego wieczora uczestniczyć w obiedzie. Darrow, wychodząc ze swego pokoju, natknął się na dziewczynkę zeskakującą ze schodów; z białą krezą i koralową kokardą wyglądała jak stokrotka. Sophy Viner szła za swoją wychowanką i kiedy znalazła się w pełnym świetle, Darrow dostrzegł zmianę w jej wyglądzie: wydawała się teraz młodsza, żywsza, bardziej przypominała świetlistą zjawę z paryskich wspomnień. Zdał sobie sprawę, że od chwili jego przybycia do Givré pierwszy raz zeszła na obiad i pierwszy raz widzi ją w wieczorowej sukni. Była jeszcze w tym wieku, kiedy byle ozdoba upiększa, a odsłonięty dekolt dodatkowo podkreślał urodę. Ale już następny rzut oka wyjaśnił dokładniej, na czym to wrażenie polegało. Aczkolwiek słabo zapamiętywał takie szczegóły, był pewien, że włożyła suknię, w której widywał ją każdego wieczoru w Paryżu. Była to dość prosta kreacja, czarna, o przezroczystych rękawach i karczku, i

prawdopodobnie nie poznałby jej, gdyby wtedy Sophy nie zwróciła na nią jego uwagi, przyznając się, że nie ma żadnej innej. „Ta sama suknia? To dowód, że zapomniałem!”

– pomyślał z lekką ironią w pierwszej chwili, ale już w następnej ogarnęła go skrucha, gdyż pewnie włożyła ją z tego samego powodu co wtedy: po prostu innej nie miała.

Patrzył na nią w milczeniu ponad podskakującą główką Effie. Sophy odpowiedziała radosnym spojrzeniem.

– O, jest Owen! – krzyknęła Effie i tanecznym krokiem pobiegła galerią do drzwi, z których właśnie wynurzył się jej przyrodni brat.

Kiedy Owen się pochylił, żeby ją złapać, Sophy nagle obróciła się do Darrowa.

– Pan też? – zapytała i parsknęła śmiechem. – Nie wiedziałam.

– A kiedy Owen do nich dołączył, powiedziała szeptem, przeznaczonym tylko dla Darrowa: – Życzę panu tyle szczęścia, ile będziemy go mieli na zbyciu.

Zgromadzeni wokół stołu, który Effie i panna Viner hojnie przybrały girlandami, wyglądali na nieco skrepowanych tą uroczystością. Pomimo kwiatów, szampana i zgodnych wysiłków, żeby stworzyć swobodny nastrój, rozmowa często się rwała, następowały chwile nerwowego szukania nowych tematów. Jedynie panna Painter wydawała się nieświadoma ogólnego zmieszania. Nawet wybuchy wesołości Owena zdradzały ukrywaną niepewność. Jednakże po obiedzie, gdy zasiadł do fortepianu, ogarnęła go niezwykła werwa i cały salon wypełniły bryzgi i fale jego akordów.

Darrow, wciśnięty w róg sofy, osłonięty jak granitową skałą cielskiem panny Painter, palił i słuchał w milczeniu, przenosząc oczy z jednej postaci na drugą. Pani de Chantelle w fotelu przysuniętym do kominka tuliła do

piersi swoją wnuczkę gestem salonowej Niobe. Anna siedziała przy nich, łącząc w sobie czujność ze spokojem, i Darrow pomyślał, że to jest właśnie najbardziej charakterystyczna z jej cech. Sophy Viner, pokręciwszy się niepewnie po pokoju, usadowiła się za panią Leath blisko fortepianu; głowę miała odchyloną do tyłu, oczy wpatrzone w pianistę z takim samym wyrazem wniebowziętej uwagi, z jakim obserwowała aktorów w Teatrze Francuskim. Przypadek, że przybrała tę samą postawę i miała na sobie tę samą suknię, sprawiał na przyglądającym się jej Darrowie dziwne wrażenie jakby rozdwojenia jaźni. Żeby z tym skończyć, skierował wzrok na Annę, ale z miejsca, gdzie się znajdował, nie mógł patrzeć na jedną nie dostrzegając drugiej, co wzmagało niepokojącą dwoistość wrażeń. Nagle Owen wziął głośny akord i zerwał się na równe nogi.

– Jaki to ma sens, skoro księżyc wyraża to za nas?

Za nie zasłoniętą szybą nisko wisiała złota kula, jak dojrzały owoc.

– Tak, wyjdźmy i posłuchajmy – poparła go Anna.

Owen otworzył szeroko okno i ciężki błam usianego gwiazdami nieba zsunął się do pokoju jak opuszczona kurtyna. Wdarło się chłodne powietrze i Anna poprosiła Effie, żeby wzięła sobie z hallu jakieś okrycie.

– Ty także musisz coś nałożyć – wtrącił się Darrow i poszedł ku drzwiom.

Ale Sophy, biegnąc za małą, krzyknęła:

– Przyniesiemy coś dla wszystkich!

Owen podążył za nią, po chwili cała trójka wróciła i wszyscy wyszli na taras. Głęboki czysty granat nocy nie był osłonięty mgiełką, księżyc rysował na wierzchołkach drzew srebrnogrnatowe obwódki. Posągi na tle ścian cienia świeciły nienaturalną białością.

Darrow i Anna, trzymając Effie między sobą, poszli w najdalszy róg

tarasu. W dole, za konturami parku, łąki wyglądały jak blade rozlewiska schodzące ku polom za rzeką. Parę minut stali w milczeniu obok siebie, głęboko wzruszeni pięknem migoczącego nieba. Wreszcie odwrócili się i Darrow zobaczył, że Owen i Sophy Viner wracają z ogrodu w kierunku domu. Kiedy się zbliżyli, Sophy przystanęła w plamie światła księżycowego między ostrymi konturami cisów. Na ramiona miała narzucony długi jasny płaszcz. Nagle Darrowowi stanął w pamięci jej obraz wchodzącej do restauracji tego wieczora, gdy pierwszy raz zaprosił ją w Paryżu na kolację. Po chwili wszyscy zebrali się na tarasie, a kiedy wrócili do salonu, obie stare damy szły już spać.

Effie, rozzuchwalona przywilejami tego wieczora, przymilała się do Owena, żeby jeszcze przedłużyć dzień grą w fanty lub innym szaleństwem, ale Sophy, wchodząc na powrót w swoją zawodową rolę, kazała jej iść do łóżka. Śladem swojej uczennicy pożegnała się ze wszystkimi życząc dobrej nocy, ale kiedy podawała rękę Annie, ta zignorowała ten gest i wyciągnęła ku niej ramiona.

– Dobranoc, drogie dziecko – powiedziała impulsywnie, przyciągnęła dziewczynę do siebie i ucałowała ją.



# Część czwarta

## 23

Następnego dnia Darrow miał zakończyć pobyt w Givré, więc przewidując, że popołudnie i wieczór będą należały do rodziny, poprosił Annę, żeby poświęciła godzinę z samego rana na ostateczne omówienie ich planów. Mieli się spotkać w brązowym salonie o dziesiątej, a potem zamierzali zejść ku rzece, żeby porozmawiać o przyszłości w małym pawilonie przylegającym do murowanego ogrodzenia parku.

Mijał właśnie tydzień, odkąd przybył do Givré, i Anna życzyła sobie powrócić tam, gdzie spędzili pierwsze wspólne popołudnie. Była niesłychanie wrażliwa na barwę i fakturę wszystkiego, co stanowiło tworzywo jej emocji, dlatego pragnęła czuć na sobie wzrok Darrowa, słuchać jego głosu w tym samym miejscu, gdzie szczęście zagościło w jej sercu.

Przez cały ten czas błogość przenikała do każdego zakamarka jej duszy i po pierwszych chwilach nieśmiałej czułości ogarnęła ją nagle chęć zatracenia się w tym uczuciu, coraz większa i głębsza, nabierająca niezwykłego piękna. Anna sądziła, że teraz już wie dokładnie, jak bardzo i dlaczego kocha Darrowa. Całe niebo odbijało się w bezdennym i spokojnym nurcie jej miłości.

Nazajutrz wczesnym rankiem siedziała w swoim saloniku i przeglądała listy, które jej przyniosła Effie, uważająca to za swój przywilej. Dziewczynka kręciła się z zaciekawieniem po pokoju, gdzie zawsze znajdowała coś nowego, co podniecało jej dziecięcą wyobraźnię. Nagłe

zatrzymała się przed fotografią Darrowa, umieszczoną poprzedniego dnia na biurku.

Anna wyciągnęła ramiona, leciutko się zarumieniła.

– Lubisz go, prawda, kochanie?

– Och, ogromnie, mamusiu! – Przytulona do matki, Effie odchyliła nieco główkę, żeby poświadczyć swoje słowa czystym spojrzeniem.

– Babcia też, i Owen, i myślę, że Sophy także – dodała po chwili poważnego namysłu.

– Mam nadzieję. – Anna roześmiała się. Powstrzymała narzucające się pytanie: „Czy rozmawiała z tobą o nim, że jesteś tego tak pewna? ” Nie wiedziała, co sprawiło, że miała to pytanie na końcu języka, ale była zadowolona, że w porę zamknęła usta. Nic nie budziło w niej większego wstrętu niż wyjaśnianie takich wątpliwości poprzez analizę obserwacji dziecka. No i jakie znaczenie mogły mieć zastrzeżenia Darrowa teraz, kiedy szczęście Owena nie budziło już obaw?

Słyszając pukanie do drzwi, Anna spojrzała na zegarek.

– Niania przyszła po ciebie.

– To pukanie Sophy – odparło dziecko rzucając się do drzwi.

Rzeczywiście, w progu stała panna Viner.

– Proszę wejść – powiedziała Anna z uśmiechem. Natychmiast uderzyła ją jej bladość.

– Czy Effie może pójść na spacer z nianią? – zapytała guwernantka.

– Chciałabym zamienić z panią parę słów.

– Oczywiście. Dzisiaj pani powinna mieć wolny dzień, tak jak Effie wczoraj. Uciekaj, kochanie – dodała pochylając się, żeby ucałować córeczkę.

Kiedy drzwi się zamknęły, znów zwróciła się do Sophy Viner. W jej

spojrzeniu było oczekiwanie na zwierzenia.

– Cieszę się, że pani przyszła, kochanie. Mamy tyle spraw do omówienia, właśnie my obie.

Zamieszanie ostatnich dni rzeczywiście zostawiło mało czasu na rozmowę z Sophy o czymkolwiek innym niż o sprawach związanych z jej małżeństwem i sposobach zwalczania oporu pani de Chantelle. Anna wymogła na Owenie, że nikt, nawet Sophy, nie usłyszy najlżejszej aluzji na temat tych projektów, dopóki wszystkie ewentualne problemy nie zostaną rozwiązane. Od samego początku nie chciała się wdzierać ze swoim bezpiecznym szczęściem w obawy młodej pary.

Z rogu sofy, w którą z powrotem się wtuliła, wskazała fotel Darrowa.

– Proszę podejść bliżej i usiąść, moja droga – powiedziała. – Chcę z panią zostać sama. Tyle mamy do omówienia, że nie wiem, od czego zacząć.

Wychyliła się do przodu, ściskając dłońmi oparcie sofy, i patrzyła z uśmiechem na pannę Viner. Zauważyła, że niezwykle bladą dziewczynę spowodowała cieniutka warstwa pudru. To odkrycie było wyraźnie nieprzyjemne. Nigdy dotąd Anna nie spostrzegła, żeby Sophy używała jakichś kosmetyków, a chociaż uważała siebie za osobę wyzbytą staroświeckich przesądów, nagle zdała sobie sprawę, że nie podoba jej się puder na twarzy guwernantki córki. Potem zreflektowała się, że przecież siedząca naprzeciw niej dziewczyna nie jest już guwernantką Effie, lecz jej własną synową, i zadała sobie w duchu pytanie, czy panna Viner wybrała ten dziwny sposób dla podkreślenia swojej niezależności i czy jako pani Leath będzie prezentować światu takie upiększone oblicze. Jedna myśl była równie przykra jak druga i Anna przez chwilę patrzyła na Sophy w milczeniu. Nagle zrozumiała prawdziwy powód: panna Viner upudrowała twarz, ponieważ płakała.

Anna wychyliła się ku niej serdecznie.

– Moje drogie dziecko, co się stało? – Zobaczyła, jak pod bladą maską krew uderza Sophy do głowy, i szybko dodała: – Proszę powiedzieć bez obaw, tak bardzo zależy mi na tym, żeby ufała mi pani tak jak Owenowi. Nie trzeba się przejmować, przynajmniej na początku, zmiennymi humorami pani de Chantelle.

Mówiła szybko, przekonująco, tonem prawie błagalnym. Miała wiele powodów, żeby chcieć zaskarbić sobie sympatię Sophy. Zawsze żywiła romantyczny i niemal pokorny podziw dla tych kobiet, które za sprawą siły woli czy też w wyniku okoliczności wciągnięte zostały w konflikty, przed którymi los stale ją chronił. Bywały nawet momenty, kiedy się potępiła za tę swoją nietykalność, czuła, że powinna w jakiś sposób stawić czoło niebezpieczeństwom i doświadczeniom, które ją omijały. I teraz, siedząc naprzeciw Sophy Viner, tak drobnej, tak wiotkiej, w tak widoczny sposób bezbronnej i zagubionej, znów miała świadomość ignorancji i braku doświadczenia, pomimo przewagi swej pozycji i pozornej dojrzałości. Kiedy patrzyła na Sophy, przypominała sobie inne panny, które znała w młodości, a które zdały się posiadać jakąś niedostępną dla niej tajemnicę. Tak, Sophy Viner przypominała je wyglądem, miała ponure i groźne spojrzenie Kitty Mayne... Z powstrzymywanym uśmiechem Anna odtrąciła wizerunek zapomnianej rywalki. Ale w głębi serca poczuła ukłucie dawnego bólu i było jej przykro, że nawet przez krótką chwilę narzeczona Owena przypominała jej o tak odmiennym osobie...

Położyła dłoń na ręce Sophy.

– Kiedy babcia zobaczy, jak bardzo szczęśliwy jest jej wnuk, sama będzie uszczęśliwiona. Jeżeli chodzi tylko o to, proszę się nie martwić. Proszę mieć zaufanie do Owena i wierzyć w przyszłość...

Sophy Viner cofnęła leciutko swoją drobną postać i wyciągnęła rękę spod przykrywającej ją dłoni.

– Właśnie o tym chciałam z panią porozmawiać – o przyszłości.

– Oczywiście! Wszyscy musimy naszkicować mnóstwo planów, tak by pasowały jedne do drugich. Proszę zacząć od swoich...

Sophy chwilę milczała, zaciskając ręce na oparciach fotela. Unikając wzroku Anny, wreszcie się odezwała:

– Wolałabym nie robić w ogóle żadnych planów... właśnie teraz...

– Żadnych planów?

– Nie, chciałabym wyjechać... Moi przyjaciele, państwo Farlow, zapraszają mnie do siebie... – Głos jej przybrał na siłę, podniosła oczy i dodała: – Chciałabym odejść dzisiaj, jeżeli pani nie ma nic przeciw temu.

Anna słuchała z narastającym zdumieniem.

– Chce pani opuścić Givré natychmiast? – Przez chwilę się zastanowiła. – Woli pani być z przyjaciółmi do ślubu? Mogę to zrozumieć, ale nie musi pani się spieszyć i odjeżdżać już dziś! Wiele mamy do omówienia, a jak pani wie, ja niebawem także wyjeżdżam.

– Tak, wiem. – Dziewczyna robiła widoczne wysiłki, żeby zapanować nad głosem. – Ale ja chciałabym poczekać parę dni, mieć trochę więcej czasu dla siebie.

Anna nadal przyglądała się jej dobrotliwie. Było oczywiste, że Sophy nie chce się przyznać, dlaczego pragnie opuścić Givré tak nagle, ale zmieniony wyraz twarzy i drżący głos zdradzały bardziej nagły powód niż naturalna chęć spędzenia paru tygodni przed ślubem pod dachem starych przyjaciół. Ponieważ nie odpowiedziała na aluzję dotyczącą pani de Chantelle, można było tylko wnioskować, że doszło do przelotnego nieporozumienia z Owenem, a jeśli tak, to przypadkowa ingerencja mogła

narobić więcej zła niż dobra.

– Drogie dziecko, jeżeli pani naprawdę chce wyjechać natychmiast, oczywiście nie będę pani zmuszała do pozostania. Przypuszczam, że rozmawiała pani z Owenem...

– Nie. Jeszcze nie.

Anna obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

– Chce pani powiedzieć, że on nic nie wie?

– Chciałam najpierw pomówić z panią. Uważałam, że powinnam ze względu na Effie. – Jej spojrzenie się rozjaśniło, kiedy przedstawiała swoje racje.

– Och, Effie... – Uśmiech Anny usunął skrupuły. – Owen ma prawo prosić, żeby miała pani wzgląd na niego, zanim pomyśli o jego siostrzyczce... Oczywiście zrobi pani, jak zechce – ciągnęła dalej po następnej przerwie na zastanowienie.

– Dziękuję bardzo – wyszeptała Sophy i wstała.

Anna także wstała, niepewnie szukając słów, które przełamałyby opór dziewczyny.

– Powie pani Owenowi zaraz? – zapytała wreszcie.

Panna Viner nie odpowiadała, stała wyraźnie niezdecydowana, gdy rozległo się lekkie pukanie i Owen Leath wszedł do pokoju.

Rzuciwszy okiem na pasierba, Anna stwierdziła, że nie jest zachmurzony. Na jej powitanie odpowiedział radosnym uśmiechem i odwrócił się, żeby unieść rękę narzeczonej do warg. Świadomość, że absolutnie nie zna przyczyny zdenerwowania panny Viner, zaskoczyła jego macochę.

– Darrow cię szuka – poinformował ją Owen. – Prosił mnie, żebym ci przypomniał o obietnicy spaceru.

Anna spojrzała na zegar.

– Już muszę iść. – Stała patrząc na Sophy Viner, której zmieszane spojrzenie jakby przekazywało jej jakąś wiadomość. – Lepiej, żeby pani powiedziała Owenowi.

Owen także spojrzał na Sophy.

– Co ma mi powiedzieć? Co się stało?

Anna zmusiła się do śmiechu, żeby rozładować napięcie.

– Nie patrz z takim zdumieniem. Nic takiego, tyle że Sophy chce nas opuścić na jakiś czas i pojechać do Farlowów.

Owen rozchmurzył się.

– Obawiałem się, że zechce niebawem uciec. – Popatrzył na Annę.

– Proszę, zatrzymaj ją tu tak długo, jak ci się uda.

Sophy wtrąciła się do rozmowy:

– Pani Leath już zgodziła się mnie puścić.

– Jak? Kiedy?

– Dzisiaj – odparła Sophy cicho, patrząc na Annę.

– Dzisiaj? Dlaczego, na Boga, miałabyś jechać już dzisiaj? – Owen cofnął się o krok, czerwieniąc się i blednąc na przemian. Chciał przyjrzeć się Sophy z bliska. – Czy coś się stało? – Popatrzył na macochę. – Sądzę, że powiedziała ci, o co chodzi?

Annę uderzyła nagłość i porywczość tego pytania. Jak gdyby pod pozorami pewności siebie tliła się obawa.

– Nie powiedziała mi nic więcej ponad to, że chce być ze swoimi przyjaciółmi. To całkiem naturalne, że ją do nich ciągnie.

Owen w widoczny sposób starał się opanować wzburzenie.

– Oczywiście, całkiem naturalne. – Zwrócił się do Sophy: – Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Dlaczego przyszłaś z tym najpierw do mojej



macochy?

Anna wtrącała się ze swoim spokojnym uśmiechem.

– To także wydaje mi się całkiem naturalne. Sophy jest na tyle rozważna, żeby mnie pierwszą o tym zawiadomić z uwagi na Effie.

Zastanowił się.

– Świetnie, całkiem naturalne, jak mówisz. No i, rzecz jasna, musi postępować tak, jak jej się podoba. – Nadal wpatrywał się w dziewczynę. Nagle rzucił: – Jutro jadę do Paryża, żeby się z tobą spotkać.

– Ależ nie! – zaprotestowała.

Owen znowu zwrócił się do Anny:

– Teraz także będziesz twierdzić, że nic się nie stało?

Jego wzburzenie sprawiło, że Annie ścisnęło się serce. Miała wrażenie, że znajduje się w ciemnym pokoju i czuje w pobliżu czyjąś obecność.

– Jeśli jest coś, o czym Sophy chciałaby ci powiedzieć, niewątpliwie to uczyni. Schodzę teraz na dół i zostawiam was samych, żebyście uzgodnili wszystko między sobą.

Ruszyła w stronę drzwi, Sophy pobiegła za nią.

– Ależ nie mam nic do powiedzenia! Co mogłabym mieć? Wy tłumaczyłam, że chcę po prostu, aby mi dano spokój. – Jej wzrok jakby przytrzymał panią Leath.

Owen wybuchnął:

– To dlatego nie mogę do ciebie jutro przyjechać?

– Nie jutro!

– No to kiedy?

– Później... za jakiś czas... za kilka dni...

– Za ile?

– Owenie! – wtrącała się macocha, ale on jak gdyby jej nie zauważał.

– Skoro odjeżdżasz dzisiaj, w dniu ogłoszenia naszych zaręczyn, byłoby fair – nalegał – żebyś mi powiedziała, kiedy będę mógł cię zobaczyć.

Sophy kierowała spojrzenie to na Annę, to na Owena, wreszcie ze znużeniem opuściła wzrok.

– To ty postępujesz nie fair. Przecież mówię, że chcę mieć spokój.

– Ale w czym mój przyjazd miałby ci przeszkodzić? Wszak nie proszę o przyjęcie mnie już jutro, proszę tylko, żebyś nie wyjeżdżała, dopóki nie powiesz, kiedy będę mógł cię zobaczyć.

– Owene, ja cię nie rozumiem! – zawołała macocha.

– Nie rozumiesz, że proszę o wytłumaczenie, o jakieś uzasadnienie, skoro mnie opuszcza w ten sposób, bez słowa, bez skinienia ręką? Proszę ją tylko, żeby mi powiedziała, kiedy zechce mnie widzieć.

Anna odwróciła się do Sophy Viner, która stała wyprostowana i drżąca pomiędzy nimi dwojgiem.

– Moja droga, w końcu to nie jest tak całkiem bezsensowne!

– Napiszę, napiszę – powtarzała Sophy.

– Co napiszesz? – gwałtownie nalegał Owen.

– Owene – mitygowała go Anna – jednak jesteś nierozsądny!

Odwrócił się od Sophy do macochy.

– Chcę tylko, żeby mi powiedziała, co ma na myśli: że napisze, aby zerwać nasze zaręczyny? Czy nie dlatego od nas odjeżdżasz?

Annie udzieliło się jego podniecenie. Spojrzała na Sophy, która nadal stała bez ruchu, z zaciśniętymi wargami, z twarzą wyrażającą stanowczy sprzeciw.

– Powinnaś przemówić, moja droga, powinnaś dać mu odpowiedź.

– Ja go tylko proszę, żeby zaczekał.

– Tak – wybuchnął Owen – ale nie chcesz powiedzieć, jak długo!

Oboje instynktownie zwracali się do Anny, która stała, niemal tak wstrząśnięta jak oni, patrząc to na nieprzeniknioną twarz Sophy, to na wzburzone rysy Owena. Wreszcie powiedziała:

– Co mam robić, skoro pomiędzy wami zaszło coś, o czym nie wiem.

– O, gdyby to było pomiędzy nami! Czy nie widzisz, że jest coś poza nami, na zewnątrz, co ją odpycha, odciąga ode mnie? – Owen znowu napadł na macochę.

Anna zwróciła się do Sophy:

– Czy to prawda, że pani chce zerwać zaręczyny? Jeśli tak, to powinna pani powiedzieć mu o tym teraz.

Owen wybuchnął śmiechem.

– Ona nie ma odwagi, boi się, że odgadnę powód!

Cichutki okrzyk wyrwał się Sophy, ale zacisnęła wargi, choć może miała jakąś odpowiedź w pogotowiu.

– Jeżeli nie chce za ciebie wyjść, to czemu miałyby się bać podania ci powodu?

– Ona się boi podać ten powód tobie, nie mnie!

– Podać powód mnie?

Znowu się zaśmiał i Anna poczuła, że zalewa ją fala oburzenia.

– Owenie, musisz mi wytłumaczyć, co masz na myśli!

Popatrzył na nią, wreszcie odpowiedział:

– Zapytaj Darrowa.

– Owenie! Owenie! – wyszeptała Sophy Viner.

Dla Anny stało się jasne, że replika Owena, chociaż zaskoczyła Sophy, to jednak nie była dla niej niespodzianką, i to odkrycie rozjaśniło nieco ciemne obszary jej strachu.

Bezpośredni wniosek był następujący: Owen odgadł powód, dla którego Darrow potępia jego małżeństwo, a przynajmniej podejrzewał Sophy Viner o to, że go znała i się go bała. Potwierdzenie jej własnych ukrytych wątpliwości przeraziło Annę. Przez moment miała ochotę wykrzyknąć, że to wszystko nic jej nie obchodzi, że nie życzy sobie być w to zamieszana, ale drzemiąca w niej obawa powstrzymała ją.

Sophy Viner ocknęła się pierwsza.

– Chciałabym już odejść – rzekła cicho i zrobiła parę kroków w stronę drzwi.

Jej ton uzmysłowił Annie, że sama też gra rolę w tym dramacie.

– Zgadzam się z panią najzupełniej, moja droga, że kontynuowanie tej dyskusji jest bezcelowe. Ale ponieważ z nie znanych mi powodów zostało w nią wplątane nazwisko pana Darrowa, pragnę oświadczyć, iż mylicie się oboje sądząc, że jest on przeciwny waszemu małżeństwu. Jeżeli chcesz, Owenie, to właśnie zasugerować, twój pomysł jest całkowitym nieporozumieniem.

Wymówiła te słowa stanowczo i ostro, jakby się spodziewając, że sam ich ton zagłuszy jej wewnętrzny głos.

W odpowiedzi Sophy coś niewyraźnie wyszeptała i podeszła bliżej drzwi, ale Owen zagroził jej drogę.

– Nie miałem na myśli tego, co przypuszczasz – oświadczył zwracając się do macochy, ale nie odrywając oczu od Sophy. – Nie powiedziałem, że

Darrowowi nie podoba się nasze małżeństwo. Powiedziałem, że to Sophy zniechęciła się do niego, odkąd spotkała tu Darrowa.

Wypowiedział to oskarżenie usiłując panować nad sobą, ale wargi miał białe i chwycił za kłamekę, żeby ukryć drżenie rąk.

Gniew Anny narastał wraz z jej obawami.

– Pleciesz absurdy, Owenie! Sama nie wiem, czemu ich słucham. Dlaczego Sophy miałyby nie lubić pana Darrowa, a jeśli nawet, co to może mieć wspólnego z jej wolą zerwania zaręczyn?

– Nie powiedziałem, że ona go nie lubi ani że go lubi! Nie wiem, o czym rozmawiają, kiedy zamykają się na osobności.

– Zamykają się na osobności?

Anna wytrzeszczyła oczy. Owen wyglądał jak w delirium. Robienie z siebie takiego widowiska było czymś poniżającym dla wszystkich. Ale Owen dalej napierał, nie zwracając uwagi na jej spojrzenia.

– Tak, pierwszego wieczora po jej powrocie spotkali się w gabinecie, następnego ranka byli w parku, wczoraj znowu w domku przy źródle, kiedy siedziałś w dozorcówce z doktorem... Nie wiem, o czym rozmawiają, ale nie tracą żadnej okazji... żeby się spotkać, kiedy myślą, że nikt ich nie widzi.

Anna miała wielką ochotę go uciszyć, ale nie znajdowała słów, jakby wszelkie jej nie sprecyzowane obawy nagle nabrały określonego kształtu. Coś w tym było, tak, coś było... Powściągliwość Darrowa, jego uniki – to nie tylko jej wymysł...

Po chwili, odrzuciwszy dumę, z oburzeniem zwróciła się do pasierba:

– Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz, ale to, do czego zmierzasz, wydaje się tak niedorzeczne i tak obraźliwe, zarówno dla Sophy, jak i dla mnie, że nie widzę powodu, dla którego miałybyśmy dłużej tego wysłuchiwać.

Aczkolwiek jej ton osadził Owena, natychmiast zauważyła, że nie odwiedzie go od zamierzonego celu. Przemówił z mniejszą gwałtownością, ale większą precyzją.

– Jak może być niedorzeczne, skoro to prawda? Albo obraźliwe, skoro nie znam, tak jak i ty, znaczenia tego, co widziałem? Jeżeli zdobędziesz się na cierpliwość, spróbuję wyjaśnić spokojnie. Mam na myśli, że Sophy odmieniła się całkowicie, odkąd spotkała tu Darrowa, a ponieważ tę zmianę w niej zauważyłem, nie zasługuję chyba na naganę, że chciałem wykryć powód.

Anna zdobyła się na wysiłek i odpowiedziała mu tak samo spokojnie:

– Zasługujesz na naganę dlatego, że lekkomyślnie uważasz to za odkrycie. Chyba zapomniałeś, że zanim Sophy i pan Darrow spotkali się tutaj, prawie się nie znali.

– Tym więc dziwniejsze, że tak często konferowali ze sobą na osobności.

– Owenie! Owenie! – jęknęła Sophy.

Zwrócił na nią nieprzytomne spojrzenie.

– Nic na to nie poradzę, że widziałem i zrozumiałem to, co nie było dla mnie przeznaczone. Na litość boską, podaj mi powód, jakikolwiek powód, który mógłbym uznać! Czy to moja wina, że nazajutrz po twoim przyjeździe, kiedy po ciemku wracałem przez ogród, zasłony w gabinecie nie były zaciągnięte i zobaczyłem, że jesteś tam sam na sam z Darrowem?

Anna roześmiała się, zniecierpliwiona.

– Doprawdy, Owenie, jeżeli robisz zarzut z tego, że zobaczyłeś, jak dwoje ludzi przebywających w tym samym domu rozmawia ze sobą...

– Właśnie o to chodzi, że nie rozmawiali...

– Nie rozmawiali? Skąd wiesz? Z ogrodu nie mogłeś słyszeć.

– Nie, ale mogłem widzieć. On siedział przy moim biurku z twarzą ukrytą w dłoniach, ona stała przy oknie nie patrząc na niego...

Czekał zapewne na odpowiedź Sophy, ale ona ani drgnęła, ani się odezwała.

– To był pierwszy raz – ciągnął dalej. – Następny – nazajutrz w parku. Ich spotkanie tam było raczej naturalne, Sophy wyszła z Effie, mała zaś pobiegła z powrotem po mnie. Powiedziała, że zostawiła Darrowa z Sophy na ścieżce prowadzącej ku rzece, no i rzeczywiście zobaczyliśmy ich tam. Z początku nas nie zauważyli, bo stali patrząc na siebie; i także ze sobą nie rozmawiali. Podeszliśmy blisko, musieli nas usłyszeć, ale przez cały czas milczeli, wpatrzeni w siebie. To mnie zastanowiło i zacząłem ich obserwować.

– Och, Owenie!

– Nie musiałem długo czekać. Wczoraj, kiedy odwożłem ciebie i doktora z dozorcówki do domu, zobaczyłem Sophy wychodzącą z domku przy źródle. Przypuszczałem, że schroniła się przed deszczem, więc kiedy wysiadłaś z samochodu, poszedłem aleją na jej spotkanie. Ale ona zniknęła, musiała pójść na skróty i wejść do domu bocznymi drzwiami. Nie wiem, dlaczego poszedłem do domku przy źródle, ty byś zapewne nazwała to szpiegowaniem. Wszedłem po schodkach i zastałem pusty pokój, ale dwa krzesła były przesunięte spod ściany bliżej stołu, a jeden z chińskich parawaników leżał na podłodze.

Anna odezwała się z nutką ironii:

– Doprawdy? Sophy weszła tam, żeby się schronić, upuściła parawanik i przesunęła krzesło.

– Powiedziałem „dwa krzesła”.

– Dwa? Co za obciążający dowód, tylko nie wiem czego!



– Po prostu tego, że Darrow był tam z nią. Kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem go nie opodal, jak odchodził. Musiał skręcić za róg domku, akurat kiedy podchodziłem pod drzwi.

Znów zapadła cisza. Anna nie mogła znaleźć słów i czekała, czy odezwie się Sophy; ale dziewczyna się nie kwapiła, więc Anna zwróciła się do niej:

– Nie mam absolutnie nic do powiedzenia na ten temat, ale może pani by chciała coś dodać?

Sophy uniosła głowę, lekko zaczerwieniona.

– Ja także nie mam nic do powiedzenia z wyjątkiem tego, że Owen chyba zwariował.

Podczas tej chwili milczenia zdołała się opanować i głos jej brzmiał czysto, z odcieniem zimnej irytacji.

Anna spojrzała na pasierba. Był biały jak ściana, jego dłoń opadła z klamki gestem zniechęcenia.

– A więc to wszystko? Nie usłyszę żadnego usprawiedliwienia?

– Nie uważam za konieczne usprawiedliwiać się przed tobą czy kimkolwiek z tego, że rozmawiałam z przyjacielem pani Leath pod jej własnym dachem.

Owen jakby nie słyszał tej repliki, nadal nie odrywał od niej zagniewanego spojrzenia.

– Dobrze, nie będę tego żądał. Proszę tylko, żebyś mnie zapewniła, że twoje rozmowy z Darrowem nie miały nic wspólnego z nagłą decyzją opuszczenia Givré.

Zawahała się, nie żeby ważyła odpowiedź, ale kwestionowała jego prawo do takiego żądania.

– Dobrze, zapewniam cię, ale teraz chciałabym już odejść – powie-

działa wreszcie.

Kiedy była przy drzwiach, odezwała się Anna:

– Moja droga, uważam, że powinna pani coś powiedzieć.

Dziewczyna spojrzała na nią z lekkim uśmiechem.

– Pani czy jemu?

– Jemu.

Sophy zeszywniała.

– Powiedziałam mu wszystko, co miałam do powiedzenia.

Anna cofnęła się, patrząc na pasierba. Szedł od progu ku Sophy, całą postawą wyrażając rozpaczliwe błaganie. Ale w tym momencie rozległo się stukanie do drzwi. Po chwili milczenia Anna zawołała:

– Proszę!

Do pokoju wszedł Darrow. Widząc całą trójkę razem, szybko obrzucił każdego spojrzeniem, po czym zwrócił się z uśmiechem do Anny.

– Przyszedłem sprawdzić, czy jesteś gotowa. Ale wyjdę natychmiast, jeżeli jestem niepożądany.

Jego wygląd, głos, sama jego obecność przywróciły Annie zachwianą równowagę. Przy Owenie wydawał się silny, światowy, doświadczony, tak że zarzuty pasierba skurczyły się do rozmiarów chłopięcej gadaniny. Przed chwilą obawiała się przyjścia Darrowa, teraz cieszyła się, że ma go przy sobie.

W nagłym odruchu zwróciła się do niego:

– Wejdz, proszę. Chcę, żebyś usłyszał, co Owen ma do powiedzenia.

Dobiegł ją szept Sophy, ale go zlekceważyła. Kierowało nią silne postanowienie. Zazwyczaj świadoma swego braku przenikliwości, słabej zdolności odczytywania ukrytych motywów czy odbierania tajemniczych sygnałów, teraz czuła, że jest w dziwnym natchnieniu. Oznajmiła Sophy

Viner:

– O wiele lepiej będzie dla was obojga, jeśli ta absurdalna sprawa zostanie natychmiast wyjaśniona. – I zwracając się do Darrowa dodała:

– Z jakiegoś powodu, którego nawet nie usiłuję odgadnąć, Owen wbił sobie do głowy, że to pod twoim wpływem panna Viner chce zerwać zaręczyny.

Mówiła powoli i swobodnie. Chciała, aby Darrow i Sophy odebrali pełny sens jej słów, a wtedy będzie mogła zaobserwować wrażenie, jakie na nich wywarły. Powiedziała sobie w duchu: „Jeżeli nic pomiędzy nimi nie zaszło, to na siebie popatrzą. Jeżeli tak – nie spojrzą”. I kiedy skończyła mówić, czuła, że całe życie skoncentrowało się w jej oczach,

Sophy chciała zaprotestować, ale się powstrzymała, wbijając wzrok w podłogę. Twarz Darrowa spoważniała; powoli przeniósł spojrzenie z Owena na Annę i patrząc jej w oczy zapytał:

– Panna Viner zerwała zaręczyny?

Po tym pytaniu nastąpiła cisza, wreszcie dziewczyna odpowiedziała:

– Tak.

Usłyszawszy to, Owen wydał stłumiony okrzyk i wybiegł z pokoju. Sophy nie ruszyła się z miejsca, jak gdyby nie zauważyła jego odejścia; w końcu, nie racząc powiedzieć słowa wytłumaczenia i nie zważając na okrzyk Anny, żeby została, także się odwróciła i wyszła.

– Na litość boską, co się stało? – zapytał Darrow, ale Anna ze ściśniętym sercem myślała tylko o tym, że on i Sophy Viner nawet na siebie nie spojrzeli.

Anna stała pośrodku pokoju, wpatrzona w drzwi. Pytające spojrzenie Darrowa nadal na niej spoczywało, ona zaś, szybko oddychając, powtarzała sobie w duchu: „Żeby tylko się do mnie nie zbliżył!”

Miała wrażenie, że została nagle obdarzona fatalną zdolnością wykrywania chłodnej kalkulacji w każdym pozornie spontanicznym spojrzeniu czy najłżejszym geście serdeczności.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się jej pytająco, po czym odwrócił się i stanął na swoim zwykłym miejscu przy kominku. Anna odetchnęła z ulgą.

– Czy nie zechciałabyś mi wytłumaczyć? – zapytał.

– Nie mogę, bo sama nie rozumiem. Nawet nie wiedziałam, że ona naprawdę zamierza zerwać zaręczyny, dopóki ci tego nie powiedziała. Wiem jedynie, że przysłała tu do mnie i oznajmiła, iż pragnie jeszcze dzisiaj opuścić Givré. Owen natomiast, kiedy to usłyszał – bo nie poinformowała go wcześniej – zarzucił jej, że chce wyjechać, aby go skrycie porzucić.

– A ty uważasz, że to ostateczne zerwanie?

Zauważyła, że kiedy to mówił, twarz mu się rozjaśniła.

– Skąd mogę wiedzieć? Chyba że ty mi powiesz.

– Ja?

Wydało się jej, że znowu się zasepił. Ale nie utracił spokoju.

– Jak ci już powiedziałam – kontynuowała Anna – Owen ubzdurał sobie, że z jakiegoś tajemniczego powodu nastawił Sophy przeciw niemu.

Darrow nadal miał zdziwioną minę.

– Rzeczywiście, musiał to być bardzo tajemniczy powód! Przecież on wie, jak słabo znam pannę Viner. Dlaczego wyobraził sobie coś tak nieprawdopodobnego?

– Ja także nie rozumiem.

– Ale musiał napomknąć o jakichś powodach.

– Nie, on przyznaje, że nie zna twoich powodów. Twierdzi tylko, że zachowanie Sophy wobec niego zmieniło się, odkąd wróciła do Givré, i że widział was parokrotnie razem – w parku, w domku przy źródle, nie wiem, gdzie jeszcze... Wasze spotkania i rozmowy na osobności wyglądały na poufne, nieomal sekretne. Wyciągnął z tego nedorzeczny wniosek, że użyłeś swego wpływu, żeby ją nastawić przeciw niemu.

– Użyłem wpływu? Jakiego znów wpływu?

– Nie powiedział.

Darrow jakby rozważał podane przez nią fakty. Twarz miał nadal poważną, lecz bez najmniejszego śladu zmieszania.

– A co powiedziała panna Viner?

– Uznała za najzupełniej naturalne, że zdarza się jej rozmawiać z moimi przyjaciółmi, kiedy przebywa pod moim dachem, no i odmówiła jakichkolwiek dalszych wyjaśnień.

– Nareszcie coś najzupełniej naturalnego!

Anna poczuła, że się rumieni.

– Tak, ale jest jeszcze coś...

– Co?

– Jakaś przyczyna nagiej decyzji zerwania zaręczyn. Mogę zrozumieć, co czuje Owen, chociaż przykro mi, że okazuje to w taki sposób. Dziewczyna jest mu winna wyjaśnienia i dopóki ich odmawia, jego wyobraźnia szaleje.

– Niewątpliwie podałyby mu je, gdyby poprosił o nie innym tonem.

– Nie bronię Owena, ale ona wiedziała, że jest porywczy i niezdyscyplinowany, jeszcze zanim przyjęła jego oświadczenia.

– Cóż, trochę go utemperowała. To na pewno najlepsze, co się mogło zdarzyć. Dlaczego nie zostawić sprawy na tym etapie?

– Zostawić Owena w przekonaniu, że jesteś przyczyną zerwania?

Odpowiedział z uśmiechem:

– Najlepiej zostawić go z dowolnie wybranym przekonaniem. W każdym razie dać mu swobodę.

– Swobodę? – powtórzyła ze zdziwieniem.

– Niech sam sobie radzi. Na pewno zrobiłaś dla niego i dla panny Viner, co tylko mogłaś. Skoro z tego nie skorzystali – to jakie masz motyw, żeby jeszcze wtrącać się w ich sprawy?

Oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia.

– Motyw? Wystarczy to, co on mówi o tobie!

– Nie obchodzi mnie absolutnie, co on mówi! W takiej sytuacji zakochany chłopiec czepia się wszelkich wymysłów, byle tylko nie uznać upokarzającego faktu, że jego panna może być nim po prostu znużona.

– Nie rozumiesz Owena. On przeżywa wszystko głęboko. Wiele czasu minęło, zanim otrząsnął się z tamtego niefortunnego romansu. Uwielbia Sophy i ona chyba go lubi. Jeżeli takie ma być ich rozstanie, w złości i bez wyjaśnienia, to się poczuje okrutnie dotknięty, zraniony do głębi duszy. Ale to, jak mówisz, jest sprawą pomiędzy nimi. Mnie zaś obchodzi fakt, że według niego ty się do tego przyczyniłaś. Owen jest dla mnie jak rodzony syn; gdybyś go widział wtedy, kiedy tu przybyłam, zrozumiałbyś dlaczego. Byliśmy jak dwoje więźniów, porozumiewających się stukaniem w ścianę. On tego nigdy nie zapomniał, ani ja. Czy zerwie z Sophy, czy też się pogodzą – nie mogę dopuścić, aby myślał, że ty jesteś w to zamieszany.

Spojrzała błagalnie na Darrowa i wyczytała w jego oczach wyrozumiałość mężczyzny zdecydowanego przedyskutować nie istniejący

problem. Jego uśmiech jakby oskarżał ją o niekonsekwencję, dodała więc szybko:

– W końcu nic w tym dziwnego, że Owen był ciekaw, co macie sobie do powiedzenia, skoro wiedział, że prawie się nie znacie.

Mówiąc to poczuła ostrzegawcze drżenie, jak gdyby uśpiony gdzieś głęboko instynkt zbudził się, żeby bronić swoich skarbów. Ale twarz Darrowa pozostała niewzruszona, mignął na niej tylko lekki uśmieszek.

– No cóż, moja droga, nie mogłaś mu tego zdradzić?

– Ja? – wyjąkała zaczerwieniona.

– Zdaje się, że zapomniałaś, w jakiej sytuacji zostałem postawiony, kiedy tu przyjechałem. Prosiłaś, żebym pomógł Owenowi, gdyż zapewniłaś go, że to zrobię; pani de Chantelle też miała zakusy, żeby zjednać mnie dla sprawy. Ale najważniejsze było uświadomić mi, jakie znaczenie ma dla was obojga, żeby Owen mnie polubił. Uznałem więc, że przede wszystkim muszę lepiej poznać pannę Viner. Oczywiście rozmawiałem z nią bez świadków, i to tak często, jak tylko zdołałem. Usiłowałem w miarę swoich możliwości zorientować się, czy miałaś rację zachęcając Owena do tego małżeństwa.

Słuchała z narastającym poczuciem odzyskiwanego zaufania, walcząc o oddzielenie sensu jego słów od siły perswazji, która biła z jego oczu i głosu.

– Rozumiem, tak, rozumiem – wyszeptała.

– Musisz także pojąć, że nie mogłem tego powiedzieć Owenowi, gdyż poczułby się jeszcze bardziej dotknięty i kto wie, czy nie pogłębiłoby to nieporozumienia między nim a panną Viner. Przecież bym się ośmieszył, gdybym mu powiedział, że chcę się przekonać, czy dokonał właściwego wyboru. W każdym razie to nie moja sprawa wdawać się w tłumaczenie



czegoś, co jej zdaniem nie wymaga wyjaśnień. Jeśli ona nie chce mówić, to najwyraźniej dlatego, że insynuacje Owena uważa za absurdalne, a to z kolei zobowiązuje mnie do milczenia.

– Tak, tak, rozumiem – powtórzyła Anna. – Ale nie chcę, żebyś cokolwiek tłumaczył Owenowi.

– Zrobię wszystko, czego ode mnie żadasz – powiedział – tylko dotąd nie wiem, co to ma być.

Zawahała się, zdając sobie sprawę, jak trudno usprawiedliwić to życzenie.

– Chcę, żebyś porozmawiał z Sophy.

Darrow roześmiał się z niedowierzaniem.

– Zważywszy na wynik wcześniejszych prób...

Szybko podniosła na niego wzrok.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że po tych rozmowach jesteś o niej złego zdania?

Jakby lekko się nachmurzył.

– Nie rozumiem, dlaczego do tego wracasz.

– Chcę mieć pewność, winna to jestem Owenowi. Jakie wrażenie ona na tobie wywarła?

– Już ci mówiłem, że lubię pannę Viner.

– Nadał wierzysz, że jest zakochana w Owenie?

– Z naszej krótkiej rozmowy nie wynikało nic, co mogłoby rzucić jakieś szczególne światło na tę sprawę.

– Nadal wierzysz, że nie istnieje żaden powód, dla którego nie miałyby go poślubić?

Znowu powściągnął zniecierpliwienie.

– Jak mogę na to odpowiedzieć, skoro nie znam powodów, dla

których z nim zrywa?

– Właśnie chciałabym, żebyś się tego od niej dowiedział.

– Dlaczego, na litość boską, miałaby mi to powiedzieć?

– Bo nawet jeśli ma żal do Owena, na pewno nie ma go do mnie. Nie może chcieć, żeby Owen łączył mnie w duchu z tym nieszczęsnym nieporozumieniem, a przecież musi wiedzieć, że będzie to czynił, dopóki się nie przekona, że nie masz w tej awanturze żadnego udziału.

Darrow opuścił swoje miejsce przy kominku, przeszedł się nerwowo po pokoju, wreszcie stanął przed nią.

– Dlaczego nie możesz jej tego sama powiedzieć?

– Nie rozumiesz? – Nie spuszczał z niej wzroku, więc ciągnęła dalej:

– Chyba domyślasz się, że Owen jest o ciebie zazdrosny.

– Zazdrosny o mnie? – Krew napłynęła do opalonej twarzy Darrowa.

– Oślepiiony zazdrością. Bo co innego mogłoby go popchnąć do tego szaleństwa? A ja nie mogę dopuścić, żeby ona i mnie posądziła o zazdrość. Kiedy z nią rozmawiałam, bardzo się pilnowałam, aby czasem nie nasunąć jej takiej myśli, lecz Sophy nie raczyła udzielić jakichkolwiek wyjaśnień. Pozostała nam jeszcze tylko jedna szansa: że zechce wysłuchać ciebie, że potrafisz ją przekonać, jaką krzywdę wyrządza nam jej milczenie.

Darrow wydał okrzyk protestu.

– Wszystko, co sugerujesz, jest zbyt absurdalne. W każdym razie nie mogę do niej apelować na takiej podstawie.

Anna położyła dłoń na jego ramieniu.

– Zaaapeluj więc w inny sposób. Powiedz jej, że dla Owena jestem prawie jak matka i że każde oziębienie stosunków pomiędzy tobą a nim mnie zabije. Ona wie, jaki on jest, i zrozumie. Przekonaj ją, żeby wyznała cokolwiek, żeby zrobiła, cokolwiek chce, ale nich nie odchodzi bez słowa,

niech odchodząc nie zostawia niedomówień między nami.

Odsunęła się o krok i uniósłszy głowę, zjrzała mu w oczy głębiej niż kiedykolwiek. Ale zanim się zorientowała, co one wyrażają, chwycił ją za obie dłonie i pochylił się, żeby ją ucałować.

– Porozmawiasz z nią? Porozmawiasz? – błagała.

– Zrobię wszystko, o cokolwiek mnie poprosisz.

## 26

Darrow czekał sam w salonie. Nie wyobrażał sobie bardziej nieodpowiedniego miejsca do tej rozmowy, ale zgodził się z sugestią Anny, że wypadnie naturalniej, jeśli to ona wezwie Sophy Viner, niż gdyby on miał się udać na jej poszukiwanie. Kiedy niespokojnymi krokami przemierzał salon tam i z powrotem, bezlitosna ręka zdała się zrywać delikatną przędzę skojarzeń, łączących go z tym zaciszem. Tutaj, właśnie w tym pokoju, głębokimi haustami pił swoje szczęście. Ale teraz jego źródło zostało zatrute, już więcej nie zakosztuje czystego smaku.

Przez moment doznał niemal fizycznego bólu, ale opanował się przed zbliżającą się walką. Nie miał pojęcia, co go czeka. Nagle dojrzał pilną potrzebę zamienienia jeszcze paru słów z Sophy Viner. Nie był szczery, kiedy zapewniał Annę, że zgodził się na tę rozmowę, ponieważ go o to prosiła. W rzeczywistości gorączkowo uchwycił się pretekstu, który stworzyła, i ta niesmaczna hipokryzja ciążyła mu bardziej niż brzemie fałszu.

Wreszcie usłyszał za sobą kroki i Sophy Viner weszła do pokoju. Zobaczywszy go, zatrzymała się w progu, lekko się cofnęła.

– Powiedziano mi, że pani Leath mnie wzywa.

– Tak, to prawda. Zaraz tu przyjdzie. Przedtem jednak ja chciałbym z panią porozmawiać. Poprosiłem ją o to i się zgodziła.

Mówił bardzo łagodnie i w jego tonie nie było nieszczerości. Głęboko poruszyła go zmiana w wyglądzie Sophy. Na jego widok zmusiła się do uśmiechu, ale był on niczym świeczka przybliżona do twarzy zmarłego.

Nie odpowiedziała, więc Darrow ciągnął dalej:

– Musi pani zrozumieć, że pragnę się rozmówić z nią po tym, czego się właśnie dowiedziałem.

– Nie odpowiadam za brednie Owena – zaprotestowała pospiesznie.

– Oczywiście...

Zamilkł. Stali patrząc na siebie. Uniosła rękę i odsunęła opadający pukiel włosów gestem, który utrwalił się w jego pamięci. Rozejrzała się i usiadła na najbliższym fotelu.

– No cóż, uzyskał pan to, do czego dążył.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Że moje zaręczyny są zerwane. Usłyszał pan to ode mnie.

– Dlaczego pani mówi, że ja do tego dążyłem? Od samego początku zależało mi tylko na tym, aby doradzić pani, pomóc najlepiej jak potrafię...

– Tego właśnie pan dopiął – odparła. – Przekonał mnie, żebym lepiej za niego nie wychodziła.

Darrow roześmiał się gorzko.

– I to w tej samej chwili, kiedy pani przekonała mnie o czymś wręcz odwrotnym!

– Czyżby? – zapytała z uśmiechem. – No cóż, ja naprawdę wierzyłam, dopóki pan mi nie dowiódł... nie ostrzegł mnie...

– Ja panią ostrzegłem?

– Że będę nieszczęśliwa, jeżeli poślubię człowieka, którego nie

kocham.

– Pani go nie kocha?

Nie odpowiedziała.

Darrow wstał i przeszedł w drugi koniec pokoju. Zatrzymał się przy biurku, gdzie stało jego zdjęcie: mężczyzny elegancko ubranego, przystojnego, niezależnego – słowem, portret światowca, potrafiącego znaleźć wyjście z najtrudniejszej sytuacji. „Co za głupota” – pomyślał. Odwrócił się znowu do niej.

– Owenowi na pewno jest przykro, że czekała pani tak długo, żeby mu to powiedzieć.

Chwilę się zastanawiała.

– Powiedziałam mu, jak tylko się zorientowałam.

– Że nie może pani za niego wyjść?

– Że nie będę mogła żyć z nim tutaj. – Rozejrzała się po pokoju, jak gdyby ściany miały za nią przemówić.

Przez chwilę Darrow patrzył na nią z zakłopotaniem. Gdy wreszcie napotkał jej oczy, była w nich rozpacz.

– Tak – rzuciła i wstała.

Na podwórzu Effie zagwizdała na psy. Następnie dobiegło ich wołanie jej matki.

– O właśnie to, na przykład – stwierdziła Sophy Viner.

Darrow wybuchnął:

– To ja powinienem odejść!

Uśmiechnęła się blado.

– Co by to dało komukolwiek z nas? Teraz?

Zakrył twarz rękami.

– Wielki Boże! – jęknął. – Jak mogłem powiedzieć?

– Nie mógł pan. Żadne z nas nie mogło – krytycznie analizowała problem. – Przypadek sprawił, że padło na mnie, a nie na pana.

Raz jeszcze obszedł pokój, wreszcie usiadł obok niej na fotelu. Jakby jakiś kpiarz ciągnął go za język, a przecież wszystko, co mógłby jej powiedzieć, musiało zabrzmieć głupio, okrutnie, niegodziwie...

– Moja droga – zaczął wreszcie – czy nie mogłaby pani chociaż spróbować?

Jej spojrzenie spoważniało.

– Spróbować zapomnieć o panu?

Zaczerwienił się aż po czoło.

– Spróbować dać Owenowi więcej czasu, dać mu szansę. Jest w pani nieprzytomnie zakochany; wszystko, co w nim najlepsze, jest w pani rękach. Jego macocha wyczuła to od pierwszej chwili. I myślała, wierzyła...

– Że potrafię go uszczęśliwić. Czy i teraz tak by pomyślała?

– Teraz... Nie mówię teraz. Ale później? Czas odmienia... zaciera... prędzej, niż pani myśli. Niech pani jedzie, ale zostawi mu nadzieję. Ja też wyjeżdżam... My wyjeżdżamy – zająknął się – za parę tygodni, prawdopodobnie na długo. Może nie spotkamy się tutaj wszyscy razem przez całe lata...

Słuchała w milczeniu, ręce miała złożone na kolanach, spuściła wzrok.

– Dla mnie – rzekła – pan tu będzie zawsze.

– Proszę tego nie mówić, nie! Sytuacje się zmieniają... ludzie też...  
Zobaczy pani!

– Czy pan nie rozumie, że ja nie chcę niczego zmieniać, nie chcę zapomnieć, wymazać. Z początku wydawało mi się, że tego pragnę, ale to był głupi błąd. Przekonałam się, jak tylko pana zobaczyłam... Ja się nie tego boję, że będę tu razem z panem, lecz przebywania z Owenem, tu czy

gdziekolwiek. – Wstała, pochyliła się nad nim z bolesnym uśmiechem. – Chcę zatrzymać pana wyłącznie dla siebie.

Jedyne słowa, jakie mu się nasuwały, były bezradnym potępieniem własnego szaleństwa.

– Biedne dziecko, biedne dziecko – powtarzał tylko na próżno.

Nagle porwał go silny nurt rzeczywistości. Skoczył na równe nogi.

– Cokolwiek się zdarzy, zamierzam odejść, i to na dobre – oświadczył. – Chcę, żeby pani to zrozumiała. Proszę się nie obawiać, znajdę powód. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że muszę odejść.

Wydała okrzyk protestu.

– Odejść? Pan? Czy pan nie rozumie, że w ten sposób sprowadzi na wszystkich cierpienia?

Nie znalazł odpowiedzi. W jej głosie znowu zabrzmiała spokojniejsza nutka.

– Co dobrego przyniesie pańskie odejście? Uważa pan, że zmieni choć trochę moją sytuację? – Patrzyła na niego z narastającym smutkiem. – Nie wiem, jakie uczucia żywił pan do mnie. Co dziwniejsze, tak naprawdę to nigdy nie wiedziałam wiele o tego rodzaju sprawach. Jak pewnie wszyscy. Może to tak jak napić się, kiedy się ma pragnienie? Ja czułam się tak, jakby trzymał mnie pan całą w swojej dłoni...

Pochylił głowę skruszony, ale ona mówiła dalej, niemal radośnie.

– Niech pan ani przez chwilę nie myśli, że jest mi przykro! o     było warte każdej ceny. Popełniłam błąd na samym początku, nie doceniając wagi wydarzeń. Starłam się potraktować sprawę żartobliwie, nazywając ją w duchu „przygodą”. Zawsze marzyłam o przygodzie, pan mi ją zafundował, starałam się naśladować pana postawę, „stosować się do reguł gry” i przekonać samą siebie, że w ten sposób ryzykuję nie więcej niż pan.



No i potem spotkałam pana znowu. Nagle zrozumiałam, że to ja więcej ryzykowałam, ale też więcej wygrałam, o całe niebo. Starłam się odgrodzić od tego, co między nami było, a teraz chcę tę przeszkodę zburzyć. Usiłowałam zapomnieć, jak pan wygląda, a teraz chciałabym zapamiętać pana na zawsze. Pragnęłam nigdy już nie usłyszeć pana głosu, a teraz nie chcę słyszeć żadnego innego. Dokonałam wyboru – i tyle. Miałam pana i pragnę go zatrzymać. – Twarz jej pałała tak samo jak oczy. – Zatrzymać tutaj – zakończyła kładąc rękę na piersi.

Kiedy wyszła, Darrow nadal siedział bez ruchu. Dotychczas przeszłość tkwiła w zakamarkach jego umysłu jak mglista plama, jak chmurka przypominająca płatek róży, oderwana od tarczy zachodzącego słońca. Teraz przerodziła się w ogromną niepokojącą ciemność, którą jego oczy próżno starały się przebić. Cały epizod ledwo majaczył w jego pamięci, może z wyjątkiem nielicznych chwil, kiedy w trakcie rozmowy jakieś zdanie, gest czy intonacja Sophy zapalały nikłe światełko wśród nocy.

Powiedziała: „Nie wiem, jakie uczucia żywił pan do mnie”, i on stwierdził, że także tego nie wie... Pamiętał dobrze, że żadna niebezpieczna czy nawet najbardziej przelotna namiętność nie wchodziła w grę. Pod tym względem jego postawa była nienaganna. Chciał tylko podarować kilka dni beztroskiej przyjemności tej niezwykle oryginalnej i atrakcyjnej istocie; była dość bystra i doświadczona, żeby zrozumieć jego zamiary i oszczędzić mu nudnych wahań czy fałszywej interpretacji. Takie odniósł od początku wrażenie, a jej późniejsze zachowanie je potwierdziło. Okazała się szczerą i uroczą towarzyszką, tak jak tego oczekiwał. Czyżby to jego pierwszego zniecierpliwiły cugle, które sobie nałożył? A może to zraniona próżność szukała balsamu na swoje rany, pragnąc zanurzyć się w uzdrawiającą głębię jej współczucia? W niejasnych wspomnieniach czuł się chyba nieco winny

podobnych pragnień... A przecież w ciągu pierwszych paru dni eksperyment odniósł pełny sukces. Jej radości nie przesłaniały najmniejsze chmury, jego przyjemności nic nie zakłócało. Lecz stopniowo, jak mu się zdawało, cień znużenia zaczynał padać na ich związek. Może dlatego, że kiedy kończyła lekką paplaninę o ludziach, stwierdzał, że nie ma innych zasobów, z których mogłaby czerpać. A może sprawiała to słodycz jej śmiechu czy wdzięczny gest, którym pewnego dnia w lasach Marly zsunęła kapelusz i odrzuciła do tyłu głowę, słuchając kukułki. Albo to, że kiedykolwiek spojrział na nią niespodziewanie, zawsze widział jej oczy skierowane na niego tak, by tego nie zauważył. Może to wszystko razem przybliżyło moment, kiedy żadne słowo nie mogło się wznieść dość wysoko czy zanurzyć się dość głęboko, żeby wyrazić przyjemność, jaką sobie wzajemnie sprawiali, i kiedy naturalną namiastką rozmowy stał się pocałunek...

W sytuacji, kiedy jej wynurzenia zaczęły go irytować i narastało ryzyko niekorzystnych porównań, ten gest przywrócił jej bezpieczeństwo. Gdy ją pocałował, poczuł, że już nie będzie go nudzić. Należała do tych żywiołowych istot, których wzruszenia są całkowicie uzależnione od pulsowania krwi i które tracą wyraz lub stają się sentymentalne, kiedy usiłują zamienić odczucia w słowa. Jego pieśczoła przywróciła jej naturalność i Darrow poczuł się, jakby przytulił do siebie drzewo, które pokryło się kwieciami...

Sam fakt, że nie musiał jej dłużej wysłuchiwać, dodał jej ogromnego uroku. Oczywiście ona nadal do niego mówiła, ale słowa przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie; po prostu pozwalał, żeby jej głos brzmiał jak podkład muzyczny do jego myśli. Sama nie miała w sobie ani krzty poezji, jedynie bezwiednie pobudzała do niej innych; a przecież w chwilach podniecenia wyobraźnia nie zawsze chwyta różnicę...

Leżąc obok niej w cieniu, odczuwał jej obecność jak zaczarowaną ciszę letniego lasu, jak element błogostanu ogarniającego jego zmysły i kojącego zranioną dumę. Wymagał od niej jedynie dotknięcia ręki czy warg i żeby pozwoliła mu tak leżeć przez długie gorące godziny, słuchając śpiewu kosa bijącego w niego jak fontanna. Letni wiatr szumiał w drzewach, a tuż przy nim, pomiędzy gałęziami a rondem jego kapelusza, wiotka biała postać zbierała unoszącą się w powietrzu przedzę radości...

Pamiętał także, jak leżąc wpatrzony w skrawek nieba między wierzchołkami drzew, zauważył płynące chmury. Pomyślał: „Jutro będzie padać”, powietrze wydało mu się cieplejsze, a słońce jaskrawsze na jej włosach... Może gdyby te chmury nie zasnuły nieba, ich przygoda nie miałaby następstw. Ale chmury przyniosły deszcz i następnego ranka, wyglądając przez okno, zobaczył zimną szarą mgłę. Planowali całodzienną wycieczkę Sekwaną do Andelys i Rouen, a teraz, mając przed sobą długie puste godziny, oboje czuli się nieco zagubieni. Mogli, rzecz jasna, wybrać się do Luwru lub Ogrodu Luksemburskiego; ale kiedy oglądał z nią obrazy, z początku wytrwale podziwiała najgorsze płótna, a potem pogrążyła się w tak szczerą obojętność, że nie miał ochoty do powtórzenia tego eksperymentu. Więc wyszli bez celu na zimny, mokry spacer, skręcili pod wyludnione arkady Palais Royal i w końcu zanosło ich do jednej z pustych restauracji, gdzie zjedli samotne i smętne śniadanie, obsługiwani przez mizernego starego kelnera, wyglądającego jak rozbitek, który zrezygnował już z wypatrywania statku... Aż dziwne, jak dokładnie zapamiętał twarz tego kelnera.

Może gdyby nie deszcz, nigdy by do tego nie doszło; ale co za sens rozpamiętywać to teraz? Usiłował skierować myśli na pilniejsze sprawy, ale przez dziwną perwersję skojarzeń wszystkie szczegóły tego dnia narzucały

się z taką natarczywością, że nie było przed nimi ucieczki. Niechętnie odtworzył w myślach długi mokry spacer z powrotem do hotelu po wyjściu z iluzjonu na Bulwarach. Kiedy się skończył nudny film, nadal padało, ale ona uporczywie sprzeciwiała się wzięciu taksówki, a nawet po drodze nalegała, żeby zatrzymywać się pod ociekającymi wodą markizami i zaglądać do smaganych wiatrem pasażerów. W końcu, gdy byli już prawie u celu, posunęła się do tego, żeby namawiać go do pójścia na jakieś przedstawienie, o którym coś tam słyszała, w jakimś teatrzyku na Batignolles. Ale zaprotestował z hamowaną irytacją; zapamiętał, że po raz pierwszy byli na siebie źli i niezbyt skłonni do słuchania wzajemnych sugestii. Nogi miał przemoczone, zmęczyło go to nieustanne łożenie, mdło mu się robiło na myśl o zaduchu nie przewietrzanych sal teatralnych, więc powiedział, że musi wracać, żeby napisać parę listów – no i wrócili do hotelu...

## 27

Darrow nie miał pojęcia, jak długo już siedzi i rozmyśla w samotności, kiedy usłyszał, że Anna bierze za klamkę. Z wysiłkiem wstał i przybrał na jej spotkanie odpowiedni wyraz twarzy. Wziął się w garść, powiedział sobie w duchu: „Muszę się na coś zdecydować”.

Weszła lekkim krokiem. Zauważył natychmiast, że musiało zajść coś nieprzewidzianego i uspokajającego.

– Była u mnie. Przyszła, zastała mnie na tarasie. Odbyłyśmy długą rozmowę i wytłumaczyła mi wszystko. Odniosłam wrażenie, że dotąd jej nie znałam.

Wielkie wzruszenie i serdeczność w głosie Anny powstrzymały

rodzącą się obawę.

– Co wytłumaczyła...?

– To przecież naturalne, że poczuła się dotknięta tą kontrolą, jakiej ją poddano. Och, nie z twojej strony, nie to mam na myśli! Ale sprzeciw pani de Chantelle, sprowadzenie Adelaidy Painter! Powie – działa mi szczerze, że nie chce zawdzięczać męża Adelaidzie Painter... Teraz obawia się, że przykrość, jaką jej sprawiło roztrząsanie sprawy, mogła wpłynąć na jej stosunek do Owena i wywołać u niego te nedorzeczne myśli... Rozumiem dobrze, co musiała przeżywać, i zgadzam się z nią, iż lepiej będzie, jeżeli wyjedzie na krótko. Poczułam się – podsumowała Anna – okropnie gruboskórna i tępa.

– Ty?

– Tak. Potraktowałam ją jak mebel, który tu przysłano, bym sprawdziła, czy będzie pasował do reszty wyposażenia. – W nagłym przyływie entuzjazmu dodała: – Cieszę się, że zdobyła się na to, żeby komuś się z tego zwierzyć.

Jakby czekała, żeby Darrow się z nią zgodził albo zadał następne pytanie. Wreszcie odzyskał głos.

– Więc myślisz, że to nie jest ostateczne zerwanie?

– Mam nadzieję, że nie, nigdy nie miałam większej nadziei! Rozmawiałam krótko z Owenem i wydaje mi się, że zrozumiał, iż powinien pozwolić jej wyjechać nie żądając formalnego przyrzeczenia. Ona jest zdenerwowana... trzeba dać jej możliwość przyjścia do siebie.

– Znów przerwała.

– Na pewno potrafisz mu to wyperswadować – rzekł Darrow.

– Ona mi w tym pomoże, porozmawia z nim, oczywiście przed wyjazdem. Rusza zresztą natychmiast razem z Adelaidą Painter, która jedzie

automobilem do Francheuil, żeby złapać ekspres o pierwszej. Rzecz jasna, ta o niczym nie wie. Po prostu jej się powie, że państwo Farlow zaprosili Sophy.

Darrow milcząco skinął głową, więc ciągnęła dalej:

– Owenowi szczególnie zależy na tym, żeby ani jego babcia, ani Adelaida nie powzięły najmniejszego podejrzenia na temat tego, co zaszło. Konieczność chronienia Sophy pomoże mu się opanować. Wraca już do przytomności, biedny chłopiec, wstydzi się swego głupiego wybuchu. Prosił, żebym to tobie powtórzyła, ale na pewno sam też ci to powie.

Darrow uczynił gest protestu.

– Jeśli o to chodzi, nie warto o tym więcej mówić.

– I więcej myśleć? – Twarz jej się rozjaśniła. – Przymknij mi, że już o tym nie pomyślisz, przymknij, że nie będziesz dla niego zbyt surowy.

Łatwiej mu teraz przyszło odpowiedzieć jej uśmiechem.

– Dlaczego uważasz, że musisz prosić mnie o wyrozumiałość dla Owena?

Zawahała się przez chwilę, odwróciła oczy. Potem znów spojrzała na niego z uśmiechem.

Może dlatego, że jest mi to samej potrzebne.

– Tobie?

– Bo zrozumiałam, że można zadawać sobie tortury czymś nie-realnym.

Darrow poczuł, że jego nerwy się uspokajają. Jej spojrzenie było poważne, a zarazem czułe, głębokie jak jezioro, w którym mógł się zanurzyć i ukryć przed rażącym światłem swojej niedoli. Ogarnęło go wręcz ekstatyczne uczucie, coraz trudniej było mu śledzić jej słowa i układać odpowiedzi; ale nie miało to znaczenia, skoro dalej słyszał jej głos,

delikatnie muskający jego udęczone myśli.

– Czy nie znasz uczucia błogości – ciągnęła dalej – gdy budzisz się z koszmarne snu we własnym przytulnym pokoju i powoli przebiegasz myślą całą tę grozę, nie czując już strachu? Tak właśnie dzieje się ze mną teraz. I dlatego rozumiem Owena... – Przerwała, dotknęła jego ramienia. – Bo mnie też śnił się koszmar!

Odgadując jej myśli, wyjąkał:

– Tobie?

– Wybacz mi i pozwól dokończyć... To ci także pomoże zrozumieć Owena... Zaczęłam zauważać pewne drobne rzeczy... drobne sygnały: twoją niechęć do rozmowy o niej, jej rezerwę w stosunku do ciebie, pewien przymus, którego dawniej nigdy u niej nie zauważaliśmy.

Roześmiała się, on zaś tuląc jej dłonie w swoich zmusił się do pytania:

– A teraz rozumiesz dlaczego?

– Och, oczywiście, i chcę, żebyś śmiał się ze mnie... ze mną! Bo były jeszcze inne sprawy... jeszcze bardziej niedorzeczne... Wczoraj wieczorem na tarasie jej różowe okrycie...

– Różowe okrycie?

Teraz naprawdę nic nie pojmował. Spostrzegła to i zarumieniła się.

– Zapomniałeś o okryciu? Różowe, miała je na sobie, kiedy Owen widział ją w Paryżu. Tak, tak... Byłam aż tak głupia! Dobrze mi śmiać się z tego teraz! Ale powinieneś wiedzieć, że ze mnie będzie zazdrośnica... Śmiesznie zazdrośna kobieta... Muszę cię przed tym ostrzec zawczasu.

Wypuścił jej dłonie, przysunęła się bliżej, wyciągnęła ku niemu ramiona rzadkim u niej gestem poddania.

– Nie wiem dlaczego, ale teraz jestem szczęśliwa, że byłam aż tak głupia.



Usta rozchyliły się w bezgłośnym śmiechu, cień drgających rzęs przesunął się po policzkach. Patrzył na nią przez mgiełkę bólu, widział jej piękno podane mu jak puchar na srebrnej tacy. Ale kiedy się ku niej pochylił, jakby odgrodziła ich ciemność, jej ręce opadły z jego ramion, odsunęła się nagle.

– Ona była wtedy z tobą, tak? – zapytała, a kiedy podniósł na nią wzrok, zawołała: – Och, nie mów „nie”! Spójrz prawdzie w oczy!

Nie mógł wykrztusić słowa, więc przypierała go dalej:

– Nie zaprzeczaj, nie zaprzeczaj! Co mogę sobie wyobrazić, jeżeli zaprzeczysz? Czy nie widzisz, że każdy najdrobniejszy szczegół o tym krzyczy? Owen to widzi, zobaczył to znowu właśnie teraz. Kiedy mu powiedziałam, że ona ustąpiła i chce z nim rozmawiać, zapytał: „Czy to też robota Darrowa?”

Darrow przyjął ten atak w milczeniu. Mógłby mówić, zdobyć się na zdania żartobliwe i zaprzeczające. Nie był nawet pewien, czy w tym momencie nie osiągnęłyby celu, gdyby mógł je wypowiedzieć nie będąc widzianym. Ale zdawał sobie tak dokładnie sprawę z tego, co się rysuje na jego twarzy, jak gdyby przeglądał się w lustrze. Wiedział, że nie może ukryć przed nią tego, co ma na niej wypisane, ani wymazać ze swej duszy płonącego zapisu niedawnych przeżyć. Miał przed oczami druzgocącą namiętność Sophy Viner wraz z aktem, którym ją przypieczętowała.

Anna mówiła spieszenie, gorączkowo, a jemu serce się ścisnęło, gdyż słyszał udrękę w jej głosie.

– Odezwij się wreszcie, musisz coś powiedzieć. Nie chcę cię prosić, żebyś szkodził dziewczynie, ale zrozum, że twoje milczenie wyrządza jej większą krzywdę, niż mogłaby sprawić odpowiedź na moje pytanie. Pozwalasz mi myśleć o niej wszystko co najgorsze! Sama by to pojęła,

gdyby tu była. Doprowadzisz do tego, że ją znienawidzę, ponieważ stwarzasz pozory, że oboje spiskujecie przeciwko nam!

– O, tylko nie to! – Darrow usłyszał swój głos, zanim zdał sobie sprawę, co mówi. – Tak, spotkałem ją w Paryżu – kontynuował po krótkiej przerwie – ale przyrzekłem, że uszanuję jej wolę i nikomu o tym nie opowiem.

Anna pobladła.

– A więc to ona była wtedy w łoży?

– Tak, spędziłem z nią jeden wieczór w teatrze.

– Dlaczego prosiła, żebyś o tym nie mówił?

– Nie chciała, aby wiadano, że ją spotkałem.

– Ale dlaczego jej na tym zależało?

– Bo pokłóciła się z panią Murrett, nagle przyjechała do Paryża i nie życzyła sobie, żeby państwo Farlow się o tym dowiedzieli. Wpadłem na nią przypadkiem, a ona mnie poprosiła, żebym zachował to w tajemnicy.

– Z powodu tej kłótni? Bo wstydziła się swego zachowania?

– Och, nie. Nie miała się czego wstydzić. Ale Farlowowie znaleźli dla niej pracę i wołała zataić, że musiała nagle wyjechać oraz to, jak źle z nią postąpiła pani Murrett. Była w okropnych tarapatach, ta kobieta zatrzymała jej ostatnią pensję. Wiedziała, że to bardzo zmartwi państwa Farlow, i wołała zyskać na czasie, żeby ich do tego przygotować.

Darrow słuchał tych słów, jakby padały z innych ust. Jego tłumaczenie brzmiało dość przekonująco i zdawało mu się, że spojrzenie Anny złagodniało. Odczekała chwilę, jakby chcąc się upewnić, że nie ma on już nic do dodania, po czym rzekła:

– Ale Farlowowie wiedzieli. Powiadomili mnie o wszystkim polecając mi ją.

Splonął, jakby Anna złapała go w sidła.

- Teraz wiedzą, ale wtedy nie wiedzieli.
- Nie ma powodu robić nadal tajemnicy z tego, że cię spotkała.
- To jedyny powód, jaki mogę ci podać.
- A więc pójdę i poproszę ją o to sama.

Odwróciła się i postąpiła parę kroków w kierunku drzwi.

- Anno! – Chciał za nią biec, ale się opanował. – Nie rób tego.
- Dlaczego?
- To do ciebie niepodobne... zbyt małoduszne!

Stała przed nim wyprostowana, blada, ale pod jej opanowaniem wyczuwał kłębiące się wątpliwości i żal.

– Nie chcę wdzierać się w jej sekrety. Ale sprawy nie mogą pozostać w tym stanie. Czy nie lepiej, żebym do niej poszła? Na pewno zrozumie i wyjaśni... Może ma jakieś drobnostki do ukrycia, które mogłyby przerazić państwa Farlow, ale ja nie widziałabym w nich nic złego... – Przerwała próbując zajrzeć mu w oczy. – Pewnie jakiś romans... czyż nie tak? Spotkałeś ją w teatrze z jakimś mężczyzną, ona się przestraszyła i prosiła, żebyś to zachował w sekrecie? Biedne stworzenie, gdybyś wiedział, jak jej współczuję!

- Jeżeli współczujesz, to dlaczego nie dasz jej odejść?

Spojrzała zdziwiona.

- Dać jej odejść, na zawsze?
- Pozostawmy sprawy ich biegowi. W końcu to się dzieje między nią a Owenem.

– Oraz między tobą a mną, a także Effie, jeżeli Owen poślubi Sophy i zostawię z nimi dziecko. Czy nie widzisz, że prosisz o coś, co jest niemożliwe? Jesteśmy wszyscy w to wplątani.

Darrow odwrócił się i mruknął:

– Och, pozwól jej odejść!

– A więc jest tu coś... coś rzeczywiście złego? Była z kimś, kiedy ją spotkałeś? – Przerwała. Darrow widział, że bije się z nowymi myślami.

– Jeżeli tak, to rzeczywiście... Czy nie widzisz – zwróciła się do niego z rozpaczą – że muszę wiedzieć? Już za późno na milczenie. Nie obawiaj się, że cię wydam... Nigdy, przenigdy nie pozwolę nikomu na żadne podejrzenia. Ale muszę znać prawdę i na pewno lepiej będzie dla niej, żebym się jej dowiedziała od ciebie.

Darrow odczekał chwilę, po czym wycedził:

– To, co sobie wyobrażasz, to czyste szaleństwo. W teatrze była ze mną.

– Z tobą? – Darrow widział, że zadrżała, ale opanowała się natychmiast. Patrzyła na niego wyprostowana i nieruchoma, jak ranny, zanim poczuje ból. – Dlaczego oboje robiliście z tego tajemnicę?

– Już powiedziałem, że to nie był mój pomysł. – Rozejrzał się.

– Może bała się, że Owen...

– Ależ nie miała powodu cię prosić, abys mi powiedział, że ją ledwo znasz, że nie widziałeś jej od lat. – Urwała, krew napłynęła jej do policzków i czoła. – Nawet jeżeli były inne powody, tylko jeden mógł sprawić, żeś jej usłuchał...

Zaległa między nimi cisza, choć wydawało się, że pokój nagle wypełniły jakieś głosy. Darrow spojrzał w okno i zauważył, że przedwczorajszy wicher prawie ogołocił wierzchołki lip na dziedzińcu. Anna odsunęła się i oparła łokcie o obudowę kominka, twarz ukryła w dłoniach. Kiedy tak stała, uderzyły go ponownie drobne szczegóły, którymi tak chętnie sycił oczy: rozgałęziające się niebieskie żyłki na wierzchu dłoni,

ciepły cień włosów na szyi, ich kolor – czerń z brązowym połyskiem, jak na skrzydłach niektórych ptaków. Poczuł, że słowa są bezcelowe.

Po chwili uniosła głowę i powiedziała:

– Nie ma sensu, abym z nią znowu rozmawiała. – Nie odpowiedział, więc zwróciła się wprost do niego: – To dlatego odchodzi, tak? Bo kocha ciebie i nie chce z tej miłości zrezygnować?

Darrow czekał. Nie mógł się już uciec do konwencjonalnego zaprzeczenia, nawet gdyby odroczyło wykrycie prawdy. Byłoby to po prostu niegodne. Pod wszystkimi obawami krył się strach przed sprofanowaniem tej chwili.

– Ona ze mnie już zrezygnowała – odezwał się w końcu.

## 28

Kiedy wyszedł z pokoju, Anna nie ruszyła się z miejsca. Stała tak, powtarzając:

– Muszę mu wierzyć. Muszę mu wierzyć.

Chwilę przedtem, zanim uniosła ramiona, żeby go objąć, otuliło ją poczucie całkowitego bezpieczeństwa. Wszystkie złe duchy zwątpienia zostały wyegzorcyzmowane i jej miłość stała się ponownie jasną przystanią, gdzie myśli i uczucia mogły się poruszać z błogą swobodą. Ale kiedy spojrzała na Darrowa i ich oczy się spotkały, wydało się jej, że przenika wzrokiem ruiny jego duszy. Tylko w taki sposób potrafiła to wyrazić. Jakby oboje oglądali tę samą rzecz z dwóch różnych stron i ta, na którą ona patrzyła, była cała światłem i życiem, on natomiast widział cmentarzysko.

Nie mogła sobie teraz przypomnieć, kto z nich pierwszy przemówił ani

co dokładnie zostało powiedziane. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że stoi w drugim końcu pokoju, który nagle zmniejszył się tak bardzo, iż pomimo dzielącej ich odległości czuła jego dotyk. Wydało jej się, że krzyczy do niego: „Ona odchodzi przez ciebie” i czyta z jego twarzy potwierdzenie tych słów.

A więc to jest jego tajemnica, ich tajemnica: spotkał ją w Paryżu i pomógł jej wybrnąć z kłopotów – pewnie pożyczył jej pieniądze – ona się w nim zakochała i kiedy spotkała go ponownie, namiętność wzięła górę.

Anna usiadła i znowu wtuliła się w róg sofy, patrzyła faktom prosto w twarz.

Dziewczyna była w rozpaczliwym położeniu – przerażona, bez grosza przy duszy, oburzona tym, co się stało. Mając do czynienia z kobietą pokroju pani Murrett, mogła się spodziewać dalszych przykrości. Darrow spotkał ją, kiedy była na dnie, uzalił się nad nią, doradził, był dla niej dobry, lecz przyniosło to fatalny, nieunikniony skutek. Tak musiały wyglądać fakty – wywnioskowała Anna – tak się na pozór przedstawiały; tyle zdoła wytrzymać, ale nie ma odwagi sięgać myślą głębiej...

– Muszę mu wierzyć. Muszę mu wierzyć.

Powtarzała te słowa jak zaklęcie. W końcu jego zachowanie było całkiem naturalne: bronił żalostnej tajemnicy dziewczyny do końca. W piersi Anny coś drgnęło, coś głębszego i bardziej do niej pasującego niż zazdrość. Bezpieczna w swoim szczęściu chciałaby pochylić się nad Sophy, podać jej współczującą dłoń... Ale Owen? Jaki będzie w tym udział Owena? Miała obowiązek przede wszystkim wobec niego, powinna była chronić go nie tylko przed poznaniem tajemnicy, ale zwłaszcza przed jej konsekwencjami. Tak, dziewczyna musi wyjechać, to nie ulega wątpliwości, Darrow zrozumiał to od samego początku. Na tę myśl doznała wielkiej ulgi, jakby

powróciło złudzenie wspaniałomyślności, na którą nie mogła się zdobyć.

Teraz potrafiła skoncentrować myśli już tylko na rychłym wyjeździe Sophy, na tym, że w ciągu godziny opuści jej dom. Kiedy już jej nie będzie, łatwiej przyjdzie przekonać Owena, że zerwanie jest definitywne, a nawet w razie potrzeby nakłonić dziewczynę, żeby mu to sama wyperswadowała. Ale Anna była pewna, że nie zajdzie taka potrzeba. Nie ulegało wątpliwości, że Sophy Viner opuszcza Givré bez zamiaru powrotu.

Anna starała się uporządkować myśli, gdy usłyszała nagle głos Owena za drzwiami:

– Mamo!

Rzadko tak do niej mówił. W jego głosie brzmiało coś nowego: ton radosnej niecierpliwości. Szybko odwróciła się do lustra, żeby zobaczyć, z jaką twarzą mu się pokaże, ale zanim zdążyła przybrać odpowiedni wyraz, już był w pokoju i chwycił ją jak sztubak w objęcia.

– Wszystko w porządku! Wszystko w porządku! Tylko dzięki tobie! Zasługuję na najsurowszą karę, i to z całym ceremoniałem. Przeszedłem to już z nią, teraz ty możesz mi nawymyślać od najgorszych. – Uwolnił ją z radosnym śmiechem. – Możesz kazać stać mi w kącie aż do przyszłego tygodnia, a potem pobiegnę się z nią zobaczyć. I powiedziała, że wszystko zawdzięczam tobie!

– Mnie? – Było to pierwsze słowo, na jakie się zdobyła, starając się utrzymać równowagę, kiedy tak z nią wirował szaleńczo.

– Tak, byłaś taka cierpliwa, taka kochana dla niej, no i natychmiast się zorientowałaś, jakim jestem skończonym osłem. – Zdobyła się na uśmiech. Chyba jej się to udało, gdyż Owen cały promieniał. – To wcale nietrudno zauważyć – mówił. – Nie sądzę, żeby potrzebny był mikroskop. Ale byłaś taka mądra, taka nadzwyczajna – zresztą jak zawsze. Byłem szalony w tych



ostatnich dniach, po prostu szalony, mogliście obie się ode mnie odwrócić. Ale teraz już wszystko w porządku!

Odsunęła się lekko, starając się utrzymać uśmiech na ustach, żeby nie zauważył ani cienia tego, co się za nim kryło. Teraz rzeczywiście wypadało być i mądrą, i nadzwyczajną.

– Tak się cieszę, mój drogi, tak się cieszę. Żebyś tylko zawsze tak o mnie myślał... – Zamilkła, nie bardzo wiedząc, co mówi, przerażona, że własnymi rękami wiąże supeł, który uznała już za rozplątany. Wyczuwała, że on ma jeszcze coś do powiedzenia, coś, co trudno mu z siebie wydobyć, ale co musi bezwzględnie wyrazić.

Chwytał ją za rękę, przyciągnął do siebie i zabawnie marszcząc czoło, dodał:

– Posłuchaj, gdyby także Darrow chciał mnie nazwać skończonym osłem, nie powstrzymuj go!

Powróciło ostre odczucie głównego niebezpieczeństwa: musi wobec niego zachować tajemnicę, nawet kosztem swych starganych nerwów.

– Och, wiesz, on nie zawsze czeka na polecenia. – W sumie zabrzmiało to lepiej, niż się spodziewała.

– Chcesz powiedzieć, że już mnie tak nazwał? – Przyjął ten fakt z najradośniejszym śmiechem. – Cóż, to mi oszczędza mnóstwa kłopotów. Teraz możemy przejść do porządku dziennego. – Przerwał i spojrzał na zegar. – Sophy i Adelaida wyruszają za jakąś godzinę; chyba już w pośpiechu połykają po kanapce. Czy zejdiesz, aby się z nimi pożegnać?

– Tak, oczywiście.

Istotnie, podczas gdy mówił, narastała w niej silna potrzeba jeszcze jednego spotkania z Sophy Viner. Myśl ta budziła głęboki niesmak. Anna wzdragła się przed rozmową z Sophy, dopóki nie przebije się przez własne

dylematy. Ale nie ulegało wątpliwości, że od chwili rozstania przed niespełną godziną sprawy przybrały inny obrót. Sophy

Viner prawdopodobnie przemyślała na nowo decyzję spokojnego, lecz definitywnego zerwania z Owenem i na ich drodze znowu stało tajemnicze zagrożenie. Niejasne impulsy obudziły opór Anny.

Poczuła, że Owen dotyka jej ramienia.

– Idziesz?

– Tak... tak... za chwilę.

– O co chodzi? Wyglądasz dziwnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem. Jesteś zaskoczona... niepewna.

W jego oczach widziała się jak w lustrze.

– Czyżby? Nic dziwnego, urządziłeś nam wszystkim emocjonujący ranek.

Nie ustępował.

– Jesteś bardziej zdenerwowana teraz, kiedy już nie ma po temu powodu. Co się, na Boga, stało od naszego ostatniego spotkania?

Rozglądał się po pokoju, jakby szukając wyjaśnienia jej stanu, więc w obawie, że mógłby się domyślić, odparła:

– Jestem po prostu trochę zmęczona. Może poprosisz Sophy, żeby przyszła do mnie na górę?

Czekając usiłowała wymyślić, co powie, kiedy dziewczyna przyjdzie. Nigdy tak dokładnie nie zdawała sobie sprawy, że nie jest zdolna do kręctw i fałszu. Brakowało jej twardej lekcji doświadczenia, a instynktowna pogarda dla wszystkiego, co było mniej jasne i czyste niż jej sumienie, ustrzegła ją od nauczenia się czegokolwiek o zawłościach i sprzecznościach w innych sercach. Mówiła sama do siebie: „Muszę

wykryć... ”, jednak wszystko w niej wzdragało się przed sposobami, do jakich musiałaby się uciec...

Sophy Viner przyszła prawie natychmiast, ubrana do podróży, z małą torbą na rękę. Była nadal przeraźliwie blada, jednak dziwnie rozjaśniona, co Anna spostrzegła ze zdziwieniem. A może patrzyła na nią innymi oczami, po raz pierwszy nie jak na guwernantkę Effie, nie jak na narzeczoną Owena, lecz jak na wcielenie owego nieznanego zagrożenia, czającego się w najskrytszych myślach każdej zakochanej kobiety? W każdym razie, nagle nabrawszy dystansu, zauważyła, że Sophy się wdzięczy, jakby chciała ją usidlić, czego dotąd nie dostrzegała.

Wskazała jej miejsce na sofie obok siebie.

– Prosiłam panią tu na górę, żebyśmy mogły pożegnać się spokojnie

– wytłumaczyła. Czuła, że wargi jej drżą, ale starała się utrzymać ton przyjaznej naturalności.

Jedyną odpowiedzią dziewczyny był słaby uśmiech wyrażający zgodę i Anna, stropiona jej milczeniem, ciągnęła dalej:

– A więc zdecydowała się pani nie zrywać zaręczyn?

Sophy Viner zdumiona uniosła oczy. To obcesowe pytanie musiało najwidoczniej dziwnie zabrzmieć w ustach tak gorącego sprzymierzeńca jak pani Leath.

– Myślałam, że pani sobie tego życzy – powiedziała.

– Czego sobie życzę? – Serce Anny zabiło mocniej. – Oczywiście życzę sobie tego, co wydaje się najlepsze dla Owena... To naturalne, musi pani zrozumieć, że ten wzgląd jest dla mnie najważniejszy...

Sophy przyjrzała się jej z uwagą.

– Przypuszczałam, że tylko on się dla pani liczy.

Szorstkowość repliki wzmogła drzemiącą w Annie niechęć.

– Tak jest – odparła tonem tak ostrym, że zadziwił ją samą. Czy tak się odzywała kiedykolwiek do kogoś? Przeraziła ją ta nowo odkryta cecha charakteru. Czując nadal na sobie zdziwione spojrzenie Sophy, kontynuowała: – Nagłość tej zmiany oczywiście mnie zadziwiła. Przed rozstaniem ustaliłyśmy, że zastrzega sobie pani decyzję...

– Tak.

– A teraz?

Anna bezskutecznie czekała na odpowiedź. Nie rozumiała postawy tej dziewczyny, ostrza ironii jej krótkich wypowiedzi, podjętego wyraźnie z premedytacją postanowienia, żeby cały ciężar próby złożyć na rozmówcę. Anna poczuła potrzebę wzniesienia ich kontaktów ponad niski poziom lekceważenia i nieufności. Popatrzyła błagalnie na Sophy.

– Czy nie lepiej, żebyśmy porozmawiały całkiem szczerze? Ta zmiana z pani strony wprawia mnie w zakłopotanie. Nie powinno to pani dziwić. Owszem, prosiłam, aby nie zrywała pani z Owenem zbyt ostro, a zrobiłam to, proszę mi wierzyć, zarówno dla dobra pani, jak i Owena. Chciałam dać pani czas na przeanalizowanie przeszkód, które wyrosły pomiędzy nią a Owenem. Sądziłam, że nie postawi pani ostatecznego kroku zbyt lekkomyślnie, że nie zażąda od Owena więcej, niż może mu sama dać. Ale wobec zmiany decyzji muszę zadać pytanie, które, jak sędzę, pani też by zadała. Czy jest jakiś powód, dla którego nie chce pani wyjść za Owena?

Urwała, bez tchu, z oczami utkwionymi w płonąca twarz Sophy.

– Powód? Co pani ma na myśli?

Anna nadal patrzyła na nią z powagą.

– Czy kocha pani kogoś innego? – zapytała.

W spojrzeniu Sophy dostrzegła najpierw zdziwienie, potem jakby ulgę. Wreszcie dziewczyna odparła z wymówką:

– Och, mogła pani z tym zaczekać!

– Zaczekać?

– Dopóki nie wyjadę, nie znajdę się poza domem. Powinna pani była wiedzieć... odgadnąć. – Jej oczy znowu spoczęły na Annie. – Ja chciałam tylko, żeby miał nieco dłużej nadzieję, żeby niczego nie podejrzewał. Rzecz jasna, że nie mogę za niego wyjść.

Anna stała bez ruchu, oniemiała, tak silnym ciosem było to wyznanie. Drżała nie tyle z irytacji, ile ze współczucia. Ale było ono tak przemieszane z innymi odczuciami, bardziej mrocznymi, że nie potrafiła go wyrazić słowami i obie kobiety patrzyły na siebie w milczeniu.

– Lepiej już pójde – wyszeptała wreszcie Sophy z pochyłoną głową.

Te słowa wywołały u Anny odruch skruchy. Młoda twarz Sophy wyrażała lęk przed zagrożeniem i rozpacz. Jakie myśli musiały ją nurtować? Niemożliwe, żeby rozstały się w takim nastroju.

– Chcę, żeby pani wiedziała, że nikt mi nic nie powiedział... To ja...

Sophy spojrzała na nią.

– To znaczy, że pan Darrow nic pani nie powiedział? No pewnie! Chyba pani nie przypuszcza, że ja go o to posądzam? Pani to po prostu wykryła, ja wiedziałam, że tak będzie. Na pani miejscu domyśliłabym się prędzej.

Wypowiedziała te słowa z prostotą, bez ironii czy emfazy, ale przeszyły one Annę jak mieczem. „Tak, dziewczyna to przewidziała, miała przecucia, których ja nie miałam”. Poczowała lekką zazdrość o tę gorzką, przedwczesną wiedzę.

– Tak mi przykro... tak przykro – wyszeptała.

– Takie rzeczy się zdarzają. Teraz już pójde, chciałabym pożegnać się z Effie.

– Och! – Annie wyrwał się okrzyk. – Nie w ten sposób, nie trzeba! Czuję się... czuję się tak okropnie, jakbym to ja panią wypędzała.

– Nikt mnie nie wypędza. Musiałam odejść – usłyszała w odpowiedzi.

Znów zapadło milczenie, podczas którego odruchy wspaniałomyślności walczyły w duszy Anny ze zwątpieniem i obawami. Wreszcie spojrzała Sophy prosto w twarz.

– Tak, pani musi odejść – zaczęła – ale później... po jakimś czasie... kiedy wszystko ucichnie... kiedy zniknie przeszkoda stojąca na drodze pani małżeństwu z Owenem... – Zamilkła na chwilę. – Nie chciałabym, żeby pani pomyślała, że to ja stanowią tę przeszkodę...

– Pani? – Sophy znów się zarumieniła, potem pobladła. Usiłowała mówić, ale nie potrafiła wykrztusić słowa.

– Tak! To nieprawda, co powiedziałam przed chwilą, że myślę tylko o Owenie. Jest mi przykro, strasznie przykro także i ze względu na panią. Wiem, jak ciężkie miała pani życie, moje natomiast... moje jest takie pełne... Szczęśliwe kobiety potrafią więcej zrozumieć. – Anna zbliżyła się i dotknęła ręki dziewczyny. Zaczęła znów mówić, wlewając całą duszę w urywane zdania. – Teraz jest okropnie... Nie widzi pani przed sobą żadnej przyszłości... Ale jeżeli pomału... pani wie najlepiej... jest pani taka młoda... w pani wieku kłopoty mijają. Jeżeli nie ma powodu, prawdziwego powodu, dla którego nie może pani poślubić Owena, chciałabym, żeby nie stracił nadziei... Pomogę mu ją utrzymać... jeżeli pani się zgodzi...

Im bardziej nalegała, tym mocniej jej ręka zaciskała się na dłoni Sophy, ale nie wyczuwała wzajemności. Dziewczyna pozostała niema i Annę przeraził kamienny wyraz jej twarzy. „Przypuszczam – pomyślała – że jestem tylko w połowie kobietą, albowiem nie chcę, żeby moje szczęście ją zraniło”. Głośno zaś powiedziała:

– Jeżeli tylko pani mnie zapewni, że nie ma żadnej przeszkody...

Sophy milczała. Nagle, jak podcięta, pochyliła się do ręki obejmującej jej dłoń i przytuliła do niej wargi z rozpaczliwym łkaniem; łzy lały się bez ustanku, obficie, jakby dotyk Anny wyzwolił je z jakiegoś głębokiego źródła bólu. A kiedy Anna, wylękniona, pochyliła się nad nią z okrzykiem litości, dziewczyna wstała i odwróciła się.

– A więc odchodzi pani na dobre? – Sophy unikała jej spojrzenia.

– Och! – wykrzyknęła Anna i odwróciła twarz.

Sophy przeszła przez pokój i zatrzymawszy się w progu zawołała:

– Ja sama tego chciałam, sama wybrałam! Był dla mnie dobry, nikt nigdy nie był taki dobry.

Szczęknięta klamka. Anna zrozumiała, że Sophy wyszła.

## 29

„Za parę godzin i on wyjedzie, nie muszę go przedtem widzieć”. Taka była jej pierwsza myśl. Nie mogła sobie wprost wyobrazić, aby miała spojrzeć mu w twarz i słuchać go. Ale już następna chwila przyniosła chęć konfrontacji. Sama nie wiedziała, co pragnie z niego wydobyć – przyznanie się, zaprzeczenie, usprawiedliwienie... cokolwiek, co otworzyłoby drogę ujścia dla jej hamowanych obaw.

Powiedziała Owenowi, że jest zmęczona, i to wydawało się wystarczającym usprawiedliwieniem, żeby pozostać na górze, kiedy przed bramę zajechał automobil i panna Painter z Sophy Viner wsiadły do niego. Także do pani de Chantelle wysłała pokojówkę z wiadomością, że nie zejdzie na dół aż po śniadaniu. Wyciągnęła się na sofie



i zapatrzyła w ciemność...

Bywała już nieszczęśliwa i wizje dawnych utrapień tłoczyły się jak wygłodniałe duchy wokół nowych cierpień. Powracała pamięcią do rozczarowań młodości: do nieudanego małżeństwa i straconych lat, które po nim nastąpiły. Nieodwracalność tych wyrzeczeń sprawiała jej torturę, ale zdawała sobie z nich sprawę, znosiła je refleksyjnie i ze smutkiem. Teraz zaś cierpiała jak zranione zwierzę, ślepo, z furją

i dzikim pragnieniem, żeby okropny ból ustał.

Usłyszała, że pokojowa puka do drzwi, wtuliła twarz w poduszki

i nie odpowiadała. Pukanie jednak trwało dalej i wpojona jej dyscyplina nakazała podnieść głowę, przybrać odpowiedni wyraz twarzy i wyciągnąć rękę po przyniesiony bilecik. Darrow pytał, czy może się z nią zobaczyć. Odpowiedziała natychmiast głosem słabym

i pustym:

– Poproś pana Darrowa na górę.

Pokojowa zapytała, czy najpierw poprawić jej fryzurę, lecz Anna odpowiedziała, że nie. Kiedy jednak drzwi się zamknęły, wstała, przejrzała się w lustrze wiszącym nad kominkiem i przyglądała włosy rękami. Oczy jej płonęły, była zmęczona, mizerna. Nie zauważyła żadnej innej zmiany w swoim wyglądzie i nawet się zdziwiła, że w takiej chwili jej ciało nie przybrało piętna wewnętrznych przeżyć; jakby była posągami czy obrazem.

Pokojowa otworzyła drzwi, żeby wpuścić Darrowa, który zatrzymał się w progu, jakby czekając, aż Anna przemówi. Był niezwykle blady, ale ani zawstydzony, ani zmieszany. Aż pomyślała w duchu z perwersyjnym uznaniem: Jest tak samo dumny jak ja”.

– Chciałeś się ze mną widzieć? – zapytała.

– Oczywiście – odparł z powagą.

– Nie trzeba, to bezcelowe. Wiem wszystko. Cokolwiek powiesz – nie będzie mieć znaczenia.

Usłyszawszy to szczere oświadczenie, zbladł jeszcze bardziej. Jego oczy, nieustraszenie w nią wpatrzone, zdradzały cierpienie.

– Odbierasz mi więc prawo głosu? – Czekał chwilę na odpowiedź, po czym dodał: – Nawet nie wiem, co masz na myśli mówiąc „cokolwiek”.

– Och, cóż jeszcze można dodać! Wiem dostatecznie dużo. Błagałam ją, żeby zaprzeczyła, ale nie mogła... Nie mamy sobie już nic do powiedzenia. – Głos jej się załamał. Powrócił zwierzęcy strach, niemy krzyk bólu.

Darrow trzymał głowę wysoko, nie odwracał oczu.

– Musi być, jak sobie życzysz, a jednak to do ciebie niepodobne... ten strach.

– Strach?

– Przed wyjaśnieniem, zmierzeniem się z faktami.

– Nie mam czego wyjaśniać. Najwyżej ty...

– Właśnie o to proszę. – Znów zamilkł. – Czy nie zechciałabyś mi powtórzyć, co ci mówiła panna Viner?

– Och, ona jest wspaniałomyślna w najwyższym stopniu.

Odczuła fizyczny ból. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo Sophy musiała go kochać, żeby się zdobyć na taki gest pomimo wspomnień, które na pewno ich łączyły.

– Idź już, idź! To zbyt okropne! Dlaczego muszę cię oglądać? – wyjąkała podnosząc ręce do oczu.

Z twarzą ukrytą w dłoniach czekała na trzask zamykanych drzwi, ale Darrow nie zrobił najmniejszego ruchu. Poczowała się urażona: jego obecność była zniewagą dla jej rozpacz, upokorzeniem dla jej dumy. Dziwne, że

czekał, aż mu to powie.

– Chcesz, żebym wyjechał z Givré? – zapytał w końcu. Nie otrzymawszy odpowiedzi, kontynuował: – Oczywiście postąpię tak, jak sobie życzysz. Ale jeżeli teraz odejdę, czy nigdy już cię nie zobaczę?

Ton był stanowczy, jego duma przeciwstawiała się jej dumie. Zawahała się.

– Musisz zrozumieć, że to bezcelowe...

– Pragnę zwrócić uwagę, że odprawiasz mnie nie wysłuchawszy.

– Jak to? Wysłuchałam was oboje.

– Ale ja chcę porozmawiać tylko o Owenie.

– O Owenie?

– Tak, gdybyśmy mogli w jakiś sposób oszczędzić mu...

Opuściła ręce i spojrzała na niego z lękiem. Wydawało się, że minęły całe wieki od jej rozmowy z Owenem.

– Czy nie rozumiesz – kontynuował Darrow – że jeżeli teraz mnie odprawisz...

– Tak, rozumiem. – Zapadło między nimi długie milczenie. W końcu odezwała się bardzo cicho: – Nie chcę, żeby ktokolwiek cierpiał tak jak ja.

– Owen wie, że wyjeżdżam jutro – rzekł Darrow. – Wszelka zmiana planów naprowadzi go na myśl...

Tak, dotarła do niej żelazna logika jego słów, ogarnęło ją przerażenie. Sądziła, że potrafi opanować swój smutek i spokojnie patrzeć na Darrowa, mając pewność, że to ich ostatnie spotkanie, że kiedy opuści jej pokój, ustaną obawy, iż ujrzy go znowu; nie będzie się bała, że jego bliskość, jego spojrzenie i głos osłabiają jej opór. Ale odwaga opuściła ją na myśl, że muszą konspirować, zachowywać pozory dla dobra Owena, udawać harmonię i okazywać radość. Trwanie przy boku Darrowa w pozornej zażyłości i

zgodzie przez następne dwadzieścia cztery godziny wydawało się trudniejsze niż życie bez niego do końca dni. Zawiodły ją siły, rzuciła się na sofę, ukryła twarz w poduszkach.

– Anno – usłyszała obok jego głos – porozmawiajmy spokojnie. Nie godzi się poddawać lękom.

Czułe słówka by ją obraziły, ale ten apel o odwagę trafił do jej serca.

– Nie mam nic na swoją obronę – mówił. – Fakty są dostatecznie przygnębiające, ale w końcu chciałbym, żebyś je ujrzała w obiektywnym świetle. Przede wszystkim pragnę, żebyś poznała prawdę o panie Viner...

Na dźwięk tego nazwiska krew napłynęła Annie do twarzy. Uniosła głowę, spojrzała na niego.

– Skąd miałabym wiedzieć o niej coś więcej, niż sama mi powiedziała? Nie chcę nigdy więcej o niej słyszeć.

– Właśnie dlatego proszę cię, pozwól podać mi fakty tak, jak się one przedstawiają, a nie jak zapewne wyobrażasz je sobie. Zrób to w imię współczucia dla tej kobiety.

– Już mówiłam, że nie myślę o niej bez współczucia. Ja w ogóle nie chcę o niej myśleć.

– Dlatego powiedziałem, że odczuwasz strach.

– Ja?

– Tak. Zawsze twierdziłaś, że chcesz brać życie takim, jakie jest, bez lęku i hipokryzji; a przecież nie zawsze bywa ono przyjemne.

– Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: – Nie myśl, że chcę się usprawiedliwiać. Nie powiem ani słowa, które by umniejszyło moją winę. W ogóle nie zamierzam mówić o sobie. Nawet gdybym chciał, i tak nie mogę sprawić, żebyś zrozumiała, bo sam nic nie rozumiem, kiedy patrzę wstecz. Osądź mnie sprawiedliwie – masz do tego prawo; proszę

tylko o wspaniałomyślność wobec panny Viner.

Stała cała drżąca.

– Możesz być dla niej tak wspaniałomyślny, jak tylko zechcesz.

– Owszem, dałaś mi to wyraźnie do zrozumienia. Ale cokolwiek bym dla niej zrobił, nawet w połowie nie będzie to tyle warte co twoje zrozumienie.

– Nic nie możesz dla niej zrobić? A gdybyś ją poślubił?

Jego twarz przybrała twarde wyraz.

– Nie potrafiłabyś jej życzyć gorszego losu!

– Ale pewno tego się spodziewała... na to liczyła... – Nie odpowiadał, więc ciągnęła dalej: – Czymże ona jest? Czym ty jesteś? To zbyt okropne! W drodze tutaj... do mnie... – Łzy zaczęły ją dławić, więc zamilkła.

– Tak właśnie było – powiedział bez ogródek.

Spojrzała na niego.

– To było w drodze do ciebie, po kilku odroczeniach z twojej inicjatywy. Ostatecznie zawróciłaś mnie jednym słowem, bez wyjaśnienia. Czekałem na list, nie nadszedł. Nie mówię tego, żeby się usprawiedliwić, po prostu usiłuję ci wytłumaczyć, że czułem się dotknięty, zawiedziony i dezorientowany. Myślałem, że chcesz ze mną zerwać. I nagle trafiłem na kogoś, kto mi współczuł, chciał być pomocny. W taki sposób to się zaczęło, przysięgam. Reszta była chwilowym szaleństwem... błyskiem oszołomienia... Od tamtej chwili nigdyśmy się nie spotkali.

Anna patrzyła na niego zimno.

– Mówiąc to opisałeś ją dokładnie.

– Tak, jeżeli mierzysz ją konwencjonalnymi standardami, a przecież zawsze twierdziłaś, że tego nie uznajesz.

– Konwencjonalne standardy! Dziewczyna, która... – Powstrzymał ją

przyływ nieomal fizycznego wstępu. Nagle wybuchnęła: – Zawsze uważałam ją za awanturnicę!

– Zawsze?

– To znaczy nie zawsze... ale odkąd przyjechałeś.

– Ona nie jest awanturnicą.

– Chcesz powiedzieć, że postępuje według jakichś nowych teorii?

– Och, nie myśl, że ona dorabia do tego jakąś teorię.

– A więc nie ma nawet takiego usprawiedliwienia?

– Jej usprawiedliwieniem jest samotność, niedola, przykrości

i upokorzenia, których taka kobieta jak ty nie może się nawet domyślać.

Nie ma niczego do wspomniania oprócz obojętności

i nieżyczliwości ludzi, niczego nie może się spodziewać oprócz kłopotów.

Widziała, że mi jej żal, i to ją wzruszyło. Zbyt wysoko mnie oceniła – wpadła w przesadę. Powinienem był dostrzec niebezpieczeństwo, ale go nie zauważyłem. Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłem.

Anna słuchała go w milczeniu, z przykrością. Każde jego słowo rzucało jaskrawe światło na ich przeszłość. Przybył do niej z otwartą twarzą i czystym sumieniem po tym, co się stało! Jeżeli jego bezpieczeństwo polegało na fałszu, było to okropne. Jeśli oznaczało, że zapomniał – tym gorzej. Miała ochotę zatkać uszy, zakryć oczy, usunąć każde skojarzenie ze światem, w którym mogły się dziać takie rzeczy; a jednocześnie dręczyło ją pragnienie, żeby się dowiedzieć czegoś więcej, żeby lepiej zrozumieć, czuć się bardziej doświadczoną w sprawach stanowiących tak ważną część ludzkiego życia. Co miał na myśli mówiąc o „chwilowym szaleństwie” czy „błysku oszołomienia”? Jak ludzie wdają się w takie przygody, jak się z nich wydostają bez widoczniejszych śladów wewnętrznego spustoszenia? Wyobraźnia wzdragała się przed wizją takiej nagłej poniżającej poufałości;

miała wrażenie, że jej myśli już na zawsze pozostaną zbrukane...

– Przysięgam – usłyszała słowa Darrowa – że to było po prostu tak. Nic więcej.

Zadziwiło ją jego opanowanie. Jak dobrze wiedział, co trzeba mówić. Niewątpliwie mężczyźni często uciekają się do takich tłumaczeń, wyuczyli się tych formułek na pamięć. Ogarnęło ją wielkie zmęczenie. Od płomiennej udręki przeszła do bezbarwnego, zimnego świata, w którym wszystko, co ją otacza, wydawało się jednakowo obojętne i dalekie. Przez chwilę po prostu przestała cokolwiek odczuwać.

Zdała sobie sprawę, że Darrow czeka na jakąś odpowiedź, ale jej umysł był jak zaparowane lustro. Wreszcie rzuciła:

– Nie jestem pewna, czy zrozumiałam twoje słowa.

– Nie, nie zrozumiałaś – odparował z nagłą goryczą, a w jego ustach to oskarżenie zabrzmiało jak obelga.

– Wcale nie chcę rozumieć takich rzeczy.

Odpowiedział niemal ostro:

– Nie lękaj się... nie musisz nigdy się bać...

Przez chwilę patrzyli na siebie jak wrogowie. Gdy się zbliżył, łyzy zaczęły ją dławić.

– Uważasz, że nic nie czuję, że jestem gruboskórna?

– Nie, szybujesz zbyt wysoko... jesteś zbyt delikatna... to dla ciebie zbyt odległe sprawy.

Przerwał, jakby zdając sobie sprawę, że to, co powie, będzie nadto błahe, i znowu przez krótki czas przyglądali się sobie jak wrogowie, jakby zapomnieli tych nielicznych słów, których się nawzajem od siebie nauczyli.

Darrow przerwał milczenie.

– Wszystko przemawia za tym, abym został do jutra, ale nie będę ci



się narzucał, nie musimy spotykać się sam na sam. Chcę jeszcze tylko się upewnić co do twoich życzeń. – To krótkie zdanie wypowiedział podniesionym głosem, jak gdyby podsumowywał wyniki jakiejś służbowej konferencji.

Anna spojrzała na niego półprzytomnie.

– Moich życzeń?

– Co do Owena.

– Żeby się nigdy nie spotkali – oświadczyła.

– Nie wydaje się, by mogło to nastąpić. Mam jednak na myśli, że od ciebie zależy oszczędzenie mu...

Odpowiedziała stanowczo:

– Nigdy się nie dowie.

Znów zapadło milczenie. Wreszcie Darrow powiedział:

– A więc to jest pożegnanie.

Słyszac to słowo zrozumiała, dokąd ich prowadzą te ulotne chwile. Urazę i oburzenie zastąpiła świadomość, że oto stoi przed nią tak blisko, iż wystarczy wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć, i że w następnej chwili to miejsce będzie już puste.

Poczuła śmiertelne znużenie. Pod wpływem tchórzliwego impulsu chciała krzyknąć, żeby został, zapragnęła paść w jego objęcia, znaleźć w nich schronienie przed nieznośną udręką, której ją poddał. Ale ta wizja sprowokowała inną myśl: „Nigdy nie doświadczę tego, czego doświadczyła ta dziewczyna...” – i nawrót dumy rzucił ją znowu na pastwę udręki.

– Do widzenia – powiedziała przerażona, że Darrow wyczyta wszystko z jej twarzy.

Stała bez ruchu, z wysoko podniesioną głową, patrząc, jak idzie ku drzwiom. Po chwili opuścił pokój.

## *Część piąta*

### *30*

Trzy dni później Anna Leath siedziała w salonie Adelaidy Painter przy ulicy Matignon.

Spiesznie wyruszywszy rankiem ze wsi, przybyła do Paryża o pierwszej i w kilka minut później znalazła się u panny Painter. Nie zważając na łagodne protesty zasuszonego, drobnego służącego, poszła prosto do jadalni, gdzie przyłapała przyjaciółkę przy dziwnym posiłku, złożonym z zimnej baraniny i lemoniady. Z miejsca wyłożyła powód swojej podróży i panna Painter, gotowa jak zawsze do akcji, wybiegła natychmiast w kapeluszu i bucikach, zostawiając gościa w pustym, nie ogrzanym salonie, z nie zdejmowanymi nigdy pokrowcami i opuszczonymi żaluzjami.

W tych nieprzytulnych ciemnościach Anna spędziła samotnie blisko dwie godziny. Zarówno ciemności, jak i samotność były teraz jej sprzymierzeńcami. Podczas długich medytacji po raz pierwszy mogła przebić się przez mrok i zamieszanie, które zawładnęły jej umysłem. Próby wytyczenia nowej drogi wydawały się beznadziejną walką z ciężką chorobą. W Givré popadła w apatię i odrętwienie, jej duszę przeszywały od czasu do czasu wściekłe napady bólu; ale cierpiąca czy odrętwiała była jednakowo odległa od prawdziwego życia i aktywności.

Dopiero odkrycie, że tego właśnie ranka Owen bez zapowiedzi wyjechał do Paryża, zmusiło ją do działania. Strach przed konsekwencjami

tej nagłej ucieczki obudził w niej poczucie odpowiedzialności. Z chwilą gdy postanowiła podążyć za pasierbem, jej umysł zaczął znowu pracować gorączkowo i kapryśnie. W pociągu była tak podniecona, tak zaabsorbowana tym, co mogło ją czekać, że ani na chwilę nie potrafiła przerwać rozważania najgorszych ewentualności. Nie – wrażliwość panny Painter przywróciła jej równowagę; czekając na powrót gospodyni, uspokoiła stargane nerwy.

Jakoś udało jej się przetrwać te dwadzieścia cztery godziny do wyjazdu George'a Darrowa. Pod tym względem stanęła na wysokości zadania. Ze spokojną twarzą wypełniała zwykle obowiązki i nawet nie musiała unikać go zbyt ostentacyjnie. Wreszcie nazajutrz przed świtem usłyszała zza opuszczonych żaluzji, że wyruszył na stację, by udać się do Paryża, a stamtąd ekspresem do Calais.

Fakt, że odjechał tak zwyczajnie, postawił ją wobec nieubłaganej rzeczywistości. Odjechał, nie wróci; jej życie skończyło się właśnie wtedy, kiedy miało się zacząć. Mężczyzna, który opuścił jej dom o jesiennym brzasku, nie był tym, którego kochała. Był obcym, z którym nie łączyła jej żadna wspólna myśl. Okropne, że miał twarz i głos jej przyjaciela. Dopóki przebywał z nią pod jednym dachem, gestem lub spojrzeniem mógł przerzucić most nad przepaścią, która ich dzieliła. Niewątpliwie zawiniła jej przesadna wrażliwość: bała się zniewolenia. Dzień czy dwa wcześniej przypuszczała, że jej najistotniejszą cechą jest poczucie honoru; często bawiła ją trywialność ludzkich postępów. Ale okazało się, że z niektórymi z nich nie mogła się pogodzić; ceniła ponad wszystko działanie w dobrej wierze i zachowanie przyzwoitości.

Przypuszczała, że po wyjeździe Darrowa znajdzie oparcie w tych ideałach. Wierzyła w możliwość oddzielenia obrazu człowieka, za jakiego

go miała, od tego, jakim był. Ale teraz zaczęło do niej docierać, że ci dwaj mężczyźni to w rzeczywistości jeden i ten sam; Darrow, którego uwielbiała, był zrośnięty z tym, do którego czuła odrazę. Toteż nasunął się jej nieunikniony wniosek, że obaj muszą odejść i zostawić ją samą, pozbawioną wspomnień.

Teraźniejszość jednak była aż nadto wypełniona. Jeśli chciała pamiętać o Owenie, musiała przestać myśleć o sobie. Jaki bodziec, jakie obawy pchnęły go tak nagle do Paryża? I dlaczego uznał za niezbędne ukryć przed nią tę podróż? Kiedy Sophy Viner wyjeżdżała, ustalili, że ma czekać na jej wezwanie, i wydawało się niemożliwe, żeby złamał obietnicę i szukał jej bez upoważnienia. Chyba że intuicja zakochanego ostrzegła go przed nowym zagrożeniem. Anna przypomniała sobie, jak szybko wyczytał z jej twarzy trwogę, kiedy wpadł z powrotem do salonu z nowiną, że panna Viner przyrzekła mu spotkanie w Paryżu. Jego podejrzenia musiały być uśpione tylko w połowie i skoro ona i Darrow grali komedię, on także musiał. Myśl, że żyli wszyscy jak wrogowie, którzy szpiegują się nawzajem, urągała zasadom prostolinijności, którym dotąd hołdowała. Straszliwie zatęskniła za tymi nudnymi dniami, kiedy mogła kroczyć z wysoko uniesioną głową, nie obawiając się niczyich spojrzeń.

Przybyła do Paryża nie bardzo zdając sobie sprawę, jakiego niebezpieczeństwa się obawia, ani jak mu zapobiec. Jeżeli Owen zamierzał się spotkać z panną Viner – a jaki inny plan mógł mieć? – to na pewno już są razem i jest za późno na interwencję. Annie przychodziło na myśl, że to nie Paryż był docelowym punktem; że prawdziwym powodem opuszczenia Givré było ściganie Darrowa w Londynie, żeby wydobyć z niego prawdę. Ale nawet jej podekscytowanej wyobraźni wydawało się to nieprawdopodobne. Ona i Darrow do ostatniej chwili tak idealnie

zachowywali fałszywą harmonię, że cokolwiek Owen przypuszczał, nie ryzykowałby żadnych działań na podstawie swoich podejrzeń. Jeśli nadal pragnął wyjaśnień, prawie na pewno żądałby ich od Sophy Viner, toteż Anna wysłała pannę Painter na jej poszukiwania.

Błogosławioną ucieczką od własnych dylematów umożliwiła jej nieświadomość Adelaidy. Mogła absolutnie polegać na tym, że panna Painter nie sięgnie myślą poza wyznaczone granice, a zarazem będzie uparcie działać według wskazówek, jakich się jej udzieli. Była jak dobrze wytresowany pies myśliwski, którego zainteresowanie zdobyczą wygasa z chwilą złożenia jej u stóp pana. Anna wytłumaczyła, że nagły wyjazd Owena nasunął jej obawę, iż między nim a panną Viner nastąpiło nowe nieporozumienie, i doszła do wniosku, że lepiej będzie, jeśli za nim pojedzie. Dodała spieszenie, że nie życzy sobie widzieć Sophy, tylko – jeśli to możliwe – dowiedzieć się od niej, gdzie jest Owen. Panna Painter wystartowała otrzymawszy te zwięzłe instrukcje, ale ponieważ była kobietą o licznych obowiązkach, dała swemu gościowi do zrozumienia, że musi jeszcze odwiedzić przyjaciółkę, która właśnie przyjechała z Bostonu, a potem dostarczyć innej krajance na wychodźstwie żurawiny i firmowe gruszki z amerykańskiego sklepu kolonialnego na Polach Elizejskich.

Chwile mijały i Anna coraz bardziej bała się powrotu panny Painter. Zdawała sobie bowiem sprawę, że każda przyniesiona przez nią wiadomość musi pociągnąć za sobą konieczność nowej decyzji. Co powie Owenowi, kiedy go odnajdzie? Co może powiedzieć, nie zdradzając tej jedynej tajemnicy? Oddałaby życie, żeby się przed nim nie zdradzić. „Oddałaby życie” – te słowa zakrawały na szyderstwo, gdyż nawet najgorszemu wrogowi nie życzyłaby tego daru. Nie chciałyby, żeby Sophy Viner przeżywała takie chwile, jakie ona przeżywa teraz...

Starala się nie uogólniać wniosków, płynących z rozmyślań nad postawą dziewczyny. Nie, życie wcale nie jest takie. Przygoda Sophy była tylko ohydny przypadkiem i nie mogła przywieść Anny do zwątpienia we wzniosłe chwile, które przeżyła. Zaznała miłości, o jakiej marzyła, i chciała dalej w nią wierzyć, piastować myśl, że jest jej godna. To, co się przydarzyło, było groteskowe, nędzne i nikczemne, ale ona sama nigdy nie da zrobić z siebie pośmiewiska, które los zamierzał jej zgotować...

Dotąd nie umiała myśleć o Darrowie z rozwagą, ale wciąż sobie powtarzała: „To także przyjdzie z czasem”. Postanowiła nawet, że nie pozwoli, aby cierpienia, których doznaje, wypaczyły jego wizerunek. Gdy tylko będzie w stanie, spróbuje wybrać i zapamiętać pojedyncze cechy, które w nim lubiła. Żadne duchowe ćwiczenie, nakazane dyscypliną pobożności, nie mogło być większą udręką, ale Annę pociągało właśnie nowe cierpienie. Pragnęła, aby wyczerpało ją do końca...

### 31

Wzdrygnęła się słysząc, jak panna Painter wkłada klucz do zamka. Była nadal pełna obaw i każda chwila wydawała się nieść zagrożenie.

Nastąpiła krótka cisza, po czym w hallu dały się słyszeć głosy. Wreszcie potężna dłoń panny Painter ujęła za klamkę.

Anna wstała na jej widok.

- Pani go znalazła?
- Znalazłam Sophy.
- A Owen? Widziała go?
- Ona jest tu, w hallu. Chce z panią mówić.
- Tutaj? Teraz? – Annie zabrakło słów.

– Przyjechała razem ze mną – kontynuowała panna Painter bez-namiętnie. – Kierowca był niegrzeczny, zanotowałam jego numer.

– Zaczęła grzebać w opasłej czarnej torbie.

– Och, nie mogę! – wybuchnęła Anna, ale się opanowała, gdyż uświadomiła sobie, że jeśli zdradzi się z niechęcią do rozmowy z Sophy, zaryzykuje wyjawienie czegoś znacznie gorszego.

– Pomyślała, że może jest pani zbyt zmęczona, żeby ją przyjąć. Nie wejdzie, dopóki się nie upewnię.

Anna szybko złapała oddech. Przemknęło jej przez myśl, że Sophy na pewno nie zrobiłaby tego kroku, gdyby nie zdarzyło się coś ważnego.

– Niech pani ją prosi – powiedziała.

Już w progu panna Painter odwróciła się i poinformowała, że ma zamiar udać się natychmiast na policję i zameldować o arogancji kierowcy, po czym wyszła wpuszczając Sophy Viner.

Wystarczyło spojrzenie na twarz dziewczyny, żeby stwierdzić, iż przyszła tu niechętnie, jednak z silnym postanowieniem. Anna zawstydzila się swego tchórzostwa. Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu, jak gdyby ich myśli były opakowane zbyt grubo, żeby wydostać się na wierzch. Wreszcie Anna odezwała się głosem, z którego starała się usunąć wszelką surowość.

– Pani wie, gdzie przebywa Owen. Powiedziała mi o tym panna Painter.

– Tak, i to jest właśnie powód, dla którego prosiłam o to spotkanie

– odparła Sophy z prostotą i bez wahania.

– Sądziłam, że on coś pani obiecał – wtrąciła Anna.

– Tak, ale złamał obietnicę. Pomyślałam, że powinnam o tym panią poinformować.



– Dziękuję – rzuciła Anna jakby od niechcenia. – Opuścił Givré dzisiaj rano bez słowa. Pojechałam za nim, bo się zlekłam...

– Pani się zlekła, że on odgadł? Tak...

– Co pani ma na myśli? Co odgadł?

– Że pani wie coś, czego on nie wie... coś, co sprawia, że pani jest rada z mego odjazdu.

– Och – jęknęła Anna. Jeżeli pragnęła więcej bólu, to go miała.

– Powiedział to pani? – zapytała drżącym głosem.

– Nie powiedział, bo się z nim nie widziałam. Poprosiłam panią Farlow, żeby go odprawiła. Ale napisał, z czym do mnie przyjechał, i właśnie o to chodzi.

– Biedny Owen! – Głos Anny się załamał. Z całej gmatwaniny przykrości wynurzył się ból Owena.

– No i chciałam panią prosić – kontynuowała Sophy – żeby pozwoliła mi pani się z nim zobaczyć, gdyż – dodała tym dziwnie stanowczym tonem – nie zamierzam tego zrobić bez pani zgody.

– Zobaczyć się z nim? – Anna usiłowała pozbierać rozproszone myśli.

– W jakim celu? Co pani ma mu do powiedzenia?

– Chcę mu powiedzieć prawdę – odparła Sophy Vinter.

Obie kobiety patrzyły na siebie i twarz Anny okryła się purpurą.

– Nie rozumiem – wyjąkała.

Sophy odczekała chwilę, po czym ścisząc głos oświadczyła:

– Nie chcę, żeby myślał o mnie gorzej, niż trzeba...

– Gorzej?

– Tak, żeby myślał to, co pani teraz o mnie myśli... Chcę, żeby dokładnie się dowiedział, co się stało... A potem zamierzam go pożegnać.

Anna usiłowała opanować zdumienie i zmieszanie. W głębi duszy się

wzruszyła.

– A czy to nie będzie dla niego gorsze?

– Usłyszeć prawdę? W każdym razie tak będzie lepiej dla pani i pana

Darrowa.

Na dźwięk tego nazwiska Anna szybko podniosła głowę.

– Mam na uwadze tylko mojego pasierba!

Dziewczyna obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

– Nie zamierza pani... nie chce chyba z nim zerwać?

Anna zacisnęła wargi.

– Nie uważam, żeby rozmowa o tym na coś mogła się przydać.

– Och, wiem! To moja wina, nie potrafię wyrazić tego, co chciałabym pani powiedzieć. Nie umiem dobierać słów. Obawa przed tym, że panią urażę, sprawia, że się wikłam. Dlatego wtedy nic nie mogłam powiedzieć... nie mogłam pani niczego wyjaśnić... Ale teraz muszę, nawet gdyby pani miała mnie znienawidzić. – Podeszła bliżej, jej drobna postać błagalnie pochyliła się do przodu. – Proszę mnie wysłuchać. To straszne, co pani powiedziała. Jak pani może mówić o nim takim tonem? Czy pani nie rozumie, że dlatego odeszłam, żeby on nie musiał pani utracić?

Anna popatrzyła na nią zimno.

– Czy pani mówi o panu Darrowie? Nie wiem, czemu pani uważa, że jej odejście czy pozostanie może w jakikolwiek sposób wpłynąć na nasze stosunki.

– Chce pani powiedzieć, że z niego zrezygnowała ze względu na mnie? Jak pani mogła? Pani go naprawdę nie kocha! Chociaż – dodała nagle – gdyby tak było, to bardziej by mnie pani żałowała.

– Bardzo pani żałuję. – Anna czuła, jak gdyby żelazna pięść na jej sercu trochę rozluźniła ucisk.

– No to dlaczego nie chce pani mnie wysłuchać? Nie chce pani zdobyć się na wysiłek, żeby mnie zrozumieć? Wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż pani sobie wyobraża!

– Ja nigdy pani nie osądzałam.

– Nie myślę o sobie. On panią kocha.

– Sądziłam, że pani przyszła, żeby rozmawiać o Owenie.

Sophy jakby jej nie słyszała.

– On nigdy nie kochał nikogo innego. Nawet przez tamtych parę dni... wiedziałam cały czas... jemu nigdy na mnie nie zależało.

– Proszę nic więcej nie mówić – przerwała Anna.

– Wiem, musi się to pani wydawać dziwne, że tak się rozgadałam. Ja panią szokuję, urażam, uważa mnie pani za bezwstydną. Taka jestem, ale nie w tym sensie, jak pani się wydaje. Nie wstydzę się, że go kocham, nie, i nie wstydzę się, że to pani powiedziałam. Dlatego że to usprawiedliwia i mnie, i jego. Och, proszę pozwolić mi powiedzieć, jak to się stało. Jemu zrobiło się mnie żal, dostrzegł, że mi na nim zależy. Wiedziałam, że nigdy nie czuł nic ponadto. Nietrudno było zauważyć, że myślami jest przy kimś innym. Rozumiałam, że to potrwa tylko tydzień... Nigdy nie powiedział ani słowa, żeby mnie oszukać, nie wprowadził w błąd... Chciałam być szczęśliwa jeden jedyny raz i nie śniło mi się, że robię mu tym krzywdę!

Anna nie mogła mówić. Prawie nie rozumiała znaczenia słów Sophy, odbierała tylko ich tragiczny bezład, jednak zdawała sobie sprawę, że stoi wobec tak intensywnej namiętności, jakiej nigdy nie było dane jej odczuć.

– Żal mi pani. – Zamilkła na chwilę. – Ale dlaczego mi to pani opowiada? – Po następnej pauzie zawołała: – Nie miała pani prawa dopuścić do tego, żeby Owen się w pani zakochał!

– Tak, to był błąd. Zwłaszcza po tym wszystkim, co się wydarzyło.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, myślę, że mogłabym dać Owenowi szczęście. Byliście wszyscy tak dla mnie dobrzy, a ja tak bardzo chciałam z wami zostać! Przypuszczam, że pani powie: tym gorzej, bo śmiałam marzyć, iż mam do tego prawo... Ale to jest teraz bez znaczenia, nie zobaczę już Owena, chyba że za pani pozwoleniem. Chciałabym móc mu powiedzieć to, co usiłowałam wytłumaczyć pani, ale pani wie lepiej, odczuwa wszystko subtelniej. Tylko musi mu pani pomóc, jeżeli ja nie dam rady... Jemu bardzo zależy... to go zrani...

Anna zadrżała.

– Tak, wiem. Co mogę zrobić?

– Może pani wrócić prosto do Givré. Tak by Owen nigdy się nie dowiedział, że pani za nim pojechała. – Sophy wyciągnęła zaciśnięte dłonie. – I może pani posłać po pana Darrowa, niech wraca. Owen musi nabrać przekonania, że się mylił, a przecież nic innego go nie przekona. Potem ja znajdę jakiś pretekst, obiecuję to pani! Ale wcześniej musi sam nabrać pewności, że dla niego nic się nie zmieniło.

Anna stała bez ruchu, bezsilna wobec żarliwości dziewczyny.

– O, czy nie mogę pani wzruszyć?! Pewnego dnia pani zrozumie! – Sophy błagała z oczami pełnymi łez.

Na ten widok Annę ścisnęło za gardło. Okowy na jej sercu znów się rozluźniły. Chciała znaleźć słowo, ale nie potrafiła, wszystko to było zbyt mroczne, zbyt gwałtowne. Spojrzała na dziewczynę bez słowa.

– Wierzę pani – odezwała się nagle, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Od panny Painter udała się do swojego mieszkania. Pokojówka, która się nim opiekowała, została wcześniej powiadomiona o jej przybyciu, otworzyła więc pokoje i rozpała ogień na kominku. Anna zamknęła się w sypialni. Było jej zimno, czuła się osłabiona. Zdjęła kapelusz i płaszcz, uklękła przed kominkiem i wyciągnęła ręce do ognia.

Przynajmniej pod jednym względem zgadzała się z Sophy Viner. Szaleństwem byłoby tropienie Owena i rzeczywiście powinna wrócić do Givré przed nim. Ale wieczorem odchodził tylko jeden pociąg osobowy i do Francheuil przybywał dopiero o północy; gdyby nim pojechała, dałaby pani de Chantelle pretekst do nie kończącej się gadaniny. Swój wyjazd do Paryża tłumaczyła potrzebą znalezienia nowej guwernantki dla Effie, toteż całkiem naturalne byłoby odłożenie powrotu do następnego ranka. Dostatecznie dobrze znała Owena, żeby mieć pewność, iż podejmie jeszcze jedną próbę spotkania z panną Viner, a jeśli to mu się nie uda, znowu będzie pisał i czekał na odpowiedź. Nie istniało zatem prawdopodobieństwo, że znajdzie się w Givré wcześniej niż nazajutrz wieczorem.

Doznała ulgi, że nie musi natychmiast wyjeżdżać, i wreszcie zrozumiała, jak bardzo jest zmęczona. Pokojowa zaproponowała filiżankę herbaty. Ale Anna odmówiła, nie chcąc widzieć nikogo, chociaż od rana nie miała nic w ustach oprócz kanapki kupionej w bufecie kolejowym. Była nawet zbyt osłabiona, żeby wstać, więc tylko wyciągnęła ręce, przysunęła bliżej fotel stojący obok kominka i oparła głowę o poduszki. Stopniowo ciepło ognia zaczęło przenikać do jej żył, ciężar na sercu zelżał, ogarnęło ją pogodne rozmarzenie. Wydawało się jej, że siedzi w swoim saloniku, że Darrow jest obok. Obejmuje ją ramieniem, odchyła głowę i zagląda jej w

oczy. „Ze wszystkich twoich fryzur tę właśnie lubię najbardziej” – mówi.

Kłoda w kominku opadła. Anna się wzdrygnęła; w sercu czuła ciepło, na ustach miała uśmiech. Kiedy się rozejrzała i zorientowała, gdzie się znajduje, błogostan znikł. Ukryła twarz w dłoniach i zanosła się szlochem.

Wreszcie spostrzegła, że zapada zmierzch, więc wstała sztywno, zaczęła wyjmować rzeczy z torby i rozstawiać je na toaletce. Nie chciała zapalać światła, snuła się w ciemności, po omacku znajdując potrzebne przedmioty. Czuła się tak bardzo wyobcowana, jakby przekazała swoją świadomość komuś obcemu, zupełnie obojętnemu wobec jej myśli i gestów...

Nagle usłyszała ostry dzwonek i z bijącym sercem stanęła pośrodku pokoju. Był to telefon w jej garderobie, niewątpliwie od Adelaidy Painter. A może Owen się dowiedział, że jest w mieście? Na tę myśl wpadła w panikę, otworzyła drzwi i potykając się przeszła przez ciemne pokoje do aparatu. Przyłożywszy słuchawkę do ucha, usłyszała głos Darrowa.

– Czy pozwolisz mi przyjść? Właśnie wróciłem, musiałem wrócić, i panna Painter powiedziała mi, że jesteś tutaj.

Ogarnęło ją drzenie, bała się, że je wyczuje w jej głosie. Nie wiedziała, co odpowiada.

– Nie słyszę – rozległo się w aparacie.

– Tak! – zawołała i odłożyła słuchawkę, po czym znowu ją chwyciła, ale jego już nie było. Nie miała pewności, czy jej „tak” do niego dotarło.

Usiadła w fotelu nasłuchując. Dlaczego powiedziała, że go przyjmie? Co zamierza mu powiedzieć, kiedy przyjdzie? Gdy tak siedziała, chwilami miała wrażenie, że on jest tutaj; zamykała oczy i czuła uścisk jego ramion. Ale potem przytomniała cała drżąca. Minęło wiele czasu i w końcu pomyślała: „Nie przyjdzie”.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi, więc wstała, zziębnięta i rozdygotana. Pomyślała: „Czy on sobie wyobraża, że jego wizyta cokolwiek zmieni?” – i ruszyła, żeby powiedzieć pokojowej, iż nie może go przyjąć.

Otworzyła drzwi i zobaczyła go w salonie. Pokój był zimny, bez ognia na kominku. Ostre światło kinkietów padało na meble w pokrowcach i białe osłony portier. Stał blady i nachmurzony, między brwiami miał zmarszczkę świadczącą o zmęczeniu. Zdała sobie sprawę, że w trzy dni odbył podróż z Givré do Londynu i z powrotem. Wydawało się nie do wiary, że wszystko, co na nią spadło, zmieściło się w zaledwie trzech dniach!

– Dziękuję – powiedział, kiedy weszła.

Odrzekła:

– Przypuszczam, że byłoby lepiej...

Podszedł i wziął ją w ramiona. Broniła się lekko, przepełniona obawą, że się załamie, ale on tylko przytulił ją mocno, jak gdyby ją odnalazł po długich poszukiwaniach. Słyszała jego przyspieszony oddech, jakby wydobywający się z jej własnej piersi, tak mocno ją tulił. I w końcu to ona uniosła głowę i przyciągnęła ku sobie jego twarz.

Wyswobodziła się z objęć, odeszła i usiadła na sofie w drugim końcu pokoju. W lustrze wiszącym pomiędzy osłoniętymi oknami zobaczyła swój zmięty strój podróżny i bladą twarz pod rozwichrzonymi włosami.

Odzyskała głos i zapytała, w jaki sposób zdołał wyrwać się z Londynu. Odparł, że jakoś się udało to załatwić, i zauważyła, że nie za bardzo zważa na jej słowa.

– Musiałem się z tobą zobaczyć – oznajmił i zbliżył się, żeby usiąść obok niej.

– Tak, musimy pomyśleć o Owenie.



– Ach, Owen!

W uszach brzmiała jej prośba Sophy Viner, aby pozwoliła Darrowowi wrócić do Givré i przekonać Owena o niedorzeczności jego podejrzeń. Ta sugestia była oczywistym absurdem. Nie mogła prosić Darrowa, żeby wziął udział w takim oszustwie, nawet gdyby zdobyła się na nieludzką odwagę i odegrała w tym swoją rolę. Nagle poczuła bezsens jakiegokolwiek próby odbudowania obróconego w gruzy świata. Wszak to było bezcelowe, a każda chwila spędzona z Darrowem stawała się czystym bólem...

– Przyszedłem, żeby porozmawiać o sobie, nie o Owenie – usłyszała jego głos. – Kiedy mnie odprawiłaś, zrozumiałem, że tamtego dnia nie mogło być inaczej. Ale też niemożliwe, żebyśmy się rozstali w taki sposób. Jeżeli mam cię stracić, musisz znaleźć lepszy powód.

– Lepszy?

– Tak, głębszy, wynikający z zasadniczej niezgody między nami. A o niej wbrew pozorom nie może nawet być mowy. Chciałbym, żebyś to właśnie zrozumiała i miała odwagę przyznać.

– Gdybym to tak oceniała, miałabym odwagę.

– Ależ ty ją masz. Dlatego tu jestem.

– Tylko że ja tego tak nie widzę – ciągnęła dalej ze smutkiem.

– A więc to bezcelowe, prawda? I okrutne. – Chciał coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu. – I nigdy tego nie zrozumiem, nigdy!

Popatrzył na nią.

– Pewnego dnia zrozumiesz, potrafisz wyczuć wszystko...

– Pomyślałabym raczej, że tu chodzi o brak wycucia...

– Chcesz powiedzieć, że z mojej strony? – Patrzył na nią śmiało.

– Owszem, przyznaję ze wstydem... Gdybyś żyła trochę dłużej, przekonałabyś się, jakimi skomplikowanymi, zbląkanymi istotami jesteśmy,

jacy ślepi i oszołomieni bywamy nawet wtedy, kiedy powraca nam wzrok i przytomność, jaką pracę musimy wykonać, żeby poskładać kawałek po kawałku cenną rzecz, którą bezwiednie rozbiliśmy. Życie jest właśnie nieustannym sklejaniami potrzaskanych części.

Spojrzała na niego przenikliwie.

– Właśnie tak to czuję i ty powinienesz także...

Wstał, powstrzymał ją gestem.

– Nie, nie mów tego, co zamierzałaś powiedzieć. Mężczyźni nie rezygnują tak łatwo z życia. Jeżeli nie pragniesz mojego, należy ono do mnie i mogę z nim zrobić, co uznaję za najlepsze.

– Jak może stać się dla ciebie „najlepsze” coś, co zostało zbudowane z czyjegoś „najgorszego”?

Usiadł z powrotem.

– Nie wiem! – jęknął. – Wydawało się, że to taka nieważna, powierzchowna sprawa, no i osiadłem na mieliźnie właśnie przez jej powierzchowność. Widzę jej całą potworność tak samo jak ty. Tyle że ja dostrzegam nieco jaśniej rozmiar mego błędu. Nie jest aż tak czarny, jak sobie wyobrażasz.

Odrzekła cicho:

– Myślę, że nigdy nie zrozumiesz, ale ona chyba cię kocha...

– Tego właśnie się wstydzę! Że nie odgadłem, że nie uciekłem w porę. Mówisz, że nigdy nie zrozumiesz, ale właściwie dlaczego? Czy to jest powód do dumy, że się tak mało wie o impulsach, które nami kierują? Gdybyś wiedziała, ile niecznych czynów można popełnić nie budząc zgorszenia, może wtedy byś mnie nie potępiała.

– Ja cię nie potępiam. – Nie była już w stanie się powstrzymać. Zaczęła krzyknąć: – Ja rozumiem! Zawsze rozumiałam.

Zdawała sobie bowiem w głębi duszy sprawę z doznań tak różniących się od jej romantycznych pojęć, że czuła rozdźwięk między ciałem a duszą. Gdzieś wyczytała, iż w starożytnym Rzymie nie pozwalano niewolnikom nosić odróżniających ich szat, żeby nie mogli się wzajemnie rozpoznawać i dowiadywać o swojej liczebności i sile. Tak samo po raz pierwszy odnajdywała w sobie instynkty i pragnienia, które dotychczas, nieme i nie zauważone, rozbiegały się na wszystkie strony po zawiłych ścieżkach jej umysłu, a teraz nawoływały się okrzykiem buntu.

– Nie wiem, co mam myśleć! – wybuchnęła. – Mówisz, jakbyś nie wiedział, że cię kocha. Ale teraz wiesz! Czy to nie wskazówka, jak możesz poskładać rozbite kawałki?

– Poważnie sądzisz, że tak się stanie, jeżeli poślubię jedną kobietę, chociaż pragnę innej?

– Och, nie wiem... nie wiem... – Mając świadomość własnej słabości, usiłowała się uzbroić przeciw jego argumentom.

– Owszem, wiesz! Często rozmawialiśmy o tych sprawach, o grozie bezcelowych ofiar. Jeżeli mam zmazać winę, odpokutować, to nie w ten sposób, lecz mówiąc ci to, co teraz usłyszałaś...

Nie zdobyła się na odpowiedź.

W ciszy rozległ się nagle dzwonek u drzwi. Anna skoczyła na równe nogi. – To Owen! – zawołała.

– Owen jest w Paryżu?

Szybko wytłumaczyła mu szeptem, czego się dowiedziała od Sophy Viner.

– Czy mam odejść? – zapytał Darrow.

– Tak... nie... – Podeszła do drzwi jadalni, żeby go wyprowadzić, ale nagle odwróciła się. – To może być Adelaida.

Słyszeli, jak otwierają się drzwi wejściowe, i po chwili do pokoju wszedł Owen. Był blady, podekscytowany; kiedy zwrócił oczy na Darrowa, Anna zauważyła w nich błysk zdziwienia. Zrobił powitalny gest i podszedł do macochy z przesadnie zuchowatą miną.

– Ach, uciekinierka! Wpadłem na wszechwiedzącą Adelaidę i dowiedziałem się od niej, że wyjechałaś nagle i w sekrecie... – Stał pomiędzy Anną a Darrowem, napięty, niebezpiecznie podniecony.

– Przyjechałam, żeby się spotkać z panem Darrowem – odparła Anna.  
– Przedłużono mu urlop, wraca ze mną.

Słowa te wyrwały się jej bezwolnie, a jednak odczuła silny powiew swobody, kiedy je wypowiedziała.

Napięcie w twarzy Owena zmieniło się w pełne niedowierzania zaskoczenie. Spojrzał na Darrowa.

– Miałem szczęście... kolega, którego żona zachorowała... natychmiast wróciłem... – usłyszała strzępy rzeczowego tłumaczenia Darrowa.

Jego opanowanie pomogło jej się uspokoić. Uśmiechnęła się do Owena.

– Wrócimy wszyscy razem jutro rano.

I ujęła go pod ramię.

## 33

Owen Leath nie pojechał z macochą do Givré. W odpowiedzi na jej sugestię oznajmił, że ma zamiar pozostać jeszcze dzień czy dwa w Paryżu.

Anna wyruszyła sama pierwszym porannym pociągiem. Darrow miał przybyć do niej po południu.

Kiedy Owen opuścił ich poprzedniego wieczora, Darrow czekał chwilę

na słowa Anny, ale ponieważ milczała, zapytał, czy naprawdę chce, żeby wrócił do Givré. Bez słowa skinęła głową, on zaś dodał:

– Wiesz dobrze, że chociaż jestem gotów zrobić wiele dla Owena, to jednak nie mogę tam wrócić, żebyś mnie znowu odprawiła.

– Nie, nie!

Podszedł bliżej, popatrzył na nią, ona też się przysunęła. Wszelkie obawy opadły z niej, kiedy ją objął. Uczucie nie było podobne do żadnego innego, jakiego doznała wcześniej: łączyło w sobie zmieszanie z tajemnym wstydem i urazą, a równocześnie było bogatsze, głębsze, zniewalające. Odchyliła głowę, zamknęła oczy upojona jego pocałunkami. Wiedziała teraz na pewno, że nigdy z niego nie zrezygnuje.

Niemniej jednak poprosiła go rankiem, żeby pozwolił jej jechać samej do Givré. Chciała mieć czas na przemyślenia. Była przekonana, że to, co się stało, było nieuniknione, że ona i Darrow należeli do siebie i że to on miał rację mówiąc, iż żadne minione szaleństwo nie może ich rozdzielić. Uczucia, którymi go darzyła, tylko przybrały na sile. Kiedy go nie widziała, była niespokojna, miała wrażenie, że jest niepełna, uzależniona od namiętności, co do pewnego stopnia kolidowało z jej oceną własnego charakteru.

Świadomość zmiany, która w niej zaszła, sprawiła, że Anna chciała być sama. W trakcie podróży starała się przeanalizować całą sprawę w świetle ostatnich wydarzeń. Wydawało się jej, że doświadczyła jakiejś ogniowej inicjacji, z której wyszła przerażona i roztrzęsiona, ale tuląc do piersi magiczny talizman. Sophy Viner wykrzyknęła do niej: „Pewnego dnia pani zrozumie!”, Darrow użył podobnych słów. Przypuszczała, iż mieli na myśli to, że kiedy zbada zawilgości i mroki własnego serca, jej sąd o innych będzie mniej kategoriyczny. Cóż, teraz poznała słabość i siłę, o jakich jej się

nie śniło, rozdźwięk i jeszcze głębszą zgodność między myślami a ślepym pożądaniem.

Z niepokojem wracała do sprawy Owena. Cios, jaki miał na niego spaść, przynajmniej nie będzie wyglądał na zadany jej ręką. Wyjdzie na to, że zerwanie z Sophy spowodowała jedna ze zwykłych w takich wypadkach przyczyn. Chociaż ją stracił, nic nie zatruje wspomnienia o niej.

O Sophy Viner myślała z mieszaniną antypatii i zaufania. W jej postępowaniu odnajdywała pokrewne bodźce, do których sama wolałaby się nie przyznawać. To poniżało jej dumę. Ale jaka w gruncie rzeczy była ta dziewczyna? Wydawała się pozbawiona skrupułów, a zarazem niezwykle subtelna. Oddała się Darrowowi i ukryła ten epizod przed Owenem, mając nie większą świadomość upadku niż najpospolitsza ladacznica, a jednak natychmiast posłuchała głosu serca, kiedy nakazało jej rozłączyć się z jednym mężczyzną dla dobra drugiego.

Anna usiłowała sobie wyobrazić, czym musiało być życie Sophy: jakie doświadczenia, jakie wtajemniczenia ją ukształtowały. Ale nie była przygotowana na to, aby unieść wszystkie zasłony. Patrzyła wstecz na swoje małżeństwo i jego bezbarwna jednostajność przybierała kształt niezwyklej wstrzemięźliwości i ładu. Ze zdumieniem stwierdziła, że nie poświęciła ani jednej myśli przeszłości swego męża; nigdy się nie zastanawiała, co robił i dokąd chodził, kiedy był z dala od niej. Gdyby ktoś ją zapytał, o czym według niej myśli, kiedy są osobno, natychmiast odpowiedziałaby, że o swoich tabakierkach. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógł mieć pasje, zainteresowania, zajęcia, o których nic nie wiedziała. A przecież jeździł dość regularnie do Paryża pod pretekstem aukcji i zwiedzania wystaw albo na konferencje ze sprzedawcami i kolekcjonerami. Starła się wyobrazić go sobie, jak idzie – wyprostowany, nienagannie ostrzyżony, wyszczotkowany,

sztucznie uprzejmy – jakąś zaciszną ulicą i rozgląda się wokół, zanim zniknie w jednej z bram. Teraz zrozumiała, że była dla niego oziębła, więc najprawdopodobniej szukał kompensaty. Wszyscy mężczyźni są tacy i najpewniej jej naiwność bawiła go setnie.

Robiąc z Frasera Leatha Don Juana, z ironią stwierdziła, że po prostu stara się w ten sposób usprawiedliwić Darrowa. Chciała wierzyć, że wszyscy mężczyźni są „tacy”, dlatego że „taki” był Darrow; chciała usprawiedliwić akceptację tego faktu, przekonując siebie samą, że tylko dzięki ustępstwom kobiety takie jak ona mogą liczyć na zachowanie tego, czego nie chcą oddać. Najpierw zdjął ją gniew na własną ślepotę, a potem na rozpaczliwe usiłowanie odzyskania wzroku. Dlaczego wymusiła na Darrowie prawdę? Gdyby tylko powstrzymała język, nie musiałyby niczego wiedzieć. Sophy Viner zerwałyby zaręczyny, Owena wysłano by w podróż dookoła świata, a jej własne marzenie pozostałoby nie zburzone. Ale ona drążyła, nalegała, brała w krzyżowy ogień pytań i nie ustąpiła, dopóki nie wydobyła tajemnicy na światło dzienne. Była jedną z tych nieszczęsnych kobiet, które zawsze podejmują błędne wysiłki, zawsze o tym wiedząc... Czyżby to ona, Anna Leath, tak siebie odmalowała? Odzegnała się od tej myśli jak od diabelskiej pokusy i ogarnęło ją gorące pragnienie powrotu do dawnego stanu wyzbytej strachu niewiedzy. Gdyby w tym momencie mogła powstrzymać Darrowa od przyjazdu za nią do Givré, chętnie by to zrobiła...

Ale on przyjechał i na jego widok opadło zdenerwowanie, poczuła się na nowo bezpieczna, zrehabilitowana. Przybył o zmroku, wyjechała na jego spotkanie. Chciała zobaczyć go jak najprędzej, gdyż odgadła, widząc siebie w innym świetle, że jedynie jego obecność może jej przywrócić trzeźwą ocenę sytuacji.

Kiedy opuścili miasto i wyjechali automobilem na szosę, ujął jej rękę i



ucałował. Przytuliła się do niego i wyczuła przebiegający pomiędzy nimi prąd. Była mu wdzięczna, że nic nie mówi i że nie oczekuje od niej słów. Powiedziała sobie w duchu: „On nigdy nie popełnia błędu, zawsze wie, jak postąpić”, po czym zrodziło się podejrzenie, że niewątpliwie dzieje się tak dlatego, że często bywał w podobnych sytuacjach. Myśl, że jego takt wynikał z zawodowego doświadczenia, napełniła ją obrzydzeniem. Nieznacznie się od niego odsunęła. Nie uczynił ruchu, żeby ją przytulić mocniej, więc natychmiast przyszło jej do głowy, że i to także było wykalkulowane. Siedziała obok niego zastygła w zmartwieniu, że odtąd będzie przykładała taką miarkę do każdego jego spojrzenia czy gestu.

Żadne z nich nie odezwało się słowem, dopóki automobil nie skręcił pod ciemne arkady alei i nie zobaczyli migających na jej końcu świateł Givré. Wtedy Darrow położył rękę na jej dłoni i powiedział:

– Wiem, kochana.

Jej zawziętość prysła. „Cierpi tak jak ja” – pomyślała i na chwilę napięcie, jakie między nimi zapanowało, jakby ich przybliżyło, zamiast pogрузić w ponurych myślach.

Jak cudownie wracać do Givré razem z nim! Stary dom przyjął ich swoją łagodną ciszą. Miała znów uczucie, że z koszmarne go snu przenosi się do bezpiecznych, dobrze znanych miejsc. Chyba niemożliwe, żeby te zaciszne pokoje, pełne przedmiotów powoli gromadzonych, świadczących o wymyślnych gustach, mogły stać się sceną tragicznych zdarzeń. Myśl o nich rozplynęła się w mroku nocy z chwilą zaryglowania drzwi.

W dębowym salonie zastali przy podwieczorku panią de Chantelle i Effie. Dziewczynka, spostrzegłszy Darrowa, wybiegła mu na powitanie i triumfalnie wróciła na jego ramieniu. Anna patrzyła na nich z uśmiechem. Wiedziała, że Effie przy całym swoim wdzięku nie szafowała względami,

więc obdarzając nimi Darrowa, przyjęła go do kółka, w którym dotąd królował Owen.

Przy stole Darrow wytłumaczył pani de Chantelle, dlaczego tak nagle wrócił z Londynu. Gdy tam przybył, okazało się, że sekretarza, którego miał zastąpić, zatrzymała choroba żony. Ambasador, wiedząc, że Darrow ma naglące powody, żeby wrócić do Francji, natychmiast zaproponował mu wyjazd do Givré, gdzie miał czekać na wezwanie. Wsiadł więc do najbliższego pociągu, nawet nie zawiadamiając telegraficznie o tej zmianie. Mówił naturalnie, swobodnie, jak zwykle spokojnym głosem, biorąc z rąk Effie filiżankę herbaty i częstując się ciastem, które mu podała. Od czasu do czasu się pochylał, żeby pogłaskać drzemiącego teriera. Anna, słuchając jego tłumaczeń, nagle zadała sobie pytanie, czy aby są one prawdziwe.

Było to, rzecz jasna, absurdalne. Nie miał żadnego powodu, żeby wymyślić bajeczkę o swoim powrocie. Ale wyglądał i mówił w taki sam sposób jak wtedy, kiedy odpowiadał na jej dociekliwe pytania o Sophy Viner. Drgnęła ze strachu na myśl, że nigdy już nie zdoła stwierdzić, czy mówi on prawdę, czy nie. Była pewna, że ją kocha, i mniej obawiała się jego nieszczerości niż własnej nieufności. Złękła się, że to może zatruć jej miłość, ale zaraz przemknęło jej przez myśl, że stopniowo staną się sobie tak bliscy, że nie będzie już między nimi miejsca na jakiegokolwiek wątpliwości. Te jednak już się zrodziły, w jednej chwili ukołysane do snu, w drugiej dręcząco żywotne. Kiedy zjawiała się niania po Effie, dziewczynka ucałowała babcię i usadowiła się na kolanach Darrowa, żądając kategorycznie, żeby ją zaniósł do łóżka. Anna zaprotestowała ze śmiechem, ale zaraz pomyślała z przykrością: „Czy mogę dać jej ojca, którego posądzam o takie rzeczy?”

Rozważania o Effie i obowiązkach wobec niej stanowiły zasadniczy

powód wahań Anny po ponownym spotkaniu się z Darrowem w Anglii. Jej własne uczucia były tak jasne, że gdyby nie te skrupuły, bez zwłoki powierzyłaby mu swój los. Dopóki go nie spotkała powtórnie, nigdy nie myślała o ponownym małżeństwie, lecz gdy nagle wyłoniła się taka możliwość, miała przez chwilę obawę, że to zdezorganizuje całe życie, które zaplanowała dla siebie i swego dziecka. Nie rozmawiała o tym z Darrowem, gdyż uważała, że najpierw musi uporać się z problemem we własnym sumieniu. Nie chodziło wówczas o to, czy nadaje się on na opiekuna jej dziecka, nie bała się także, że jej miłość do niego pozbawi Effie bodaj najmniejszej cząsteczki czułości, ponieważ miłość nie jawiła się jej jako coś wymiernego, co może się wyczerpać, lecz jako skarb stale odnawiany. Uważała tylko, że nie ma prawa wprowadzić do swego życia jakichkolwiek zajęć czy obowiązków, które mogłyby odebrać Effie bodaj część przeznaczonych dla niej czasu czy uszczuplić bliskość ich codziennych kontaktów.

Podjęła w tej sprawie decyzję, ale teraz stanęła twarzą w twarz z nowym problemem. Z całą pewnością dla kobiety w jej wieku nie istniał żaden powód, dla którego miałyby się odgrodzić od świata i poświęcić wyłącznie wychowaniu córki; ale były wszelkie powody, żeby nie wychodzić za mąż za człowieka, któremu nie wierzyła bez zastrzeżeń.

## 34

Zbudziwszy się następnego ranka z lekkim sercem, przypomniawszy sobie, jak po ostatniej nocy w Givré, trzy doby temu, ocknęła się przerażona, że całe jej życie zapada się w ciemną otchłań. Teraz znowu byli oboje z Darrowem pod jednym dachem i samo to wystarczyło, aby rozpędzić

czyhające strachy. Chciało się jej śmiać ze skrupułów, które żywiła poprzedniego wieczora: kiedy je sobie przypominała, zdały się należeć do dawnego, nieświadomego i bojaźliwego okresu, gdy bała się spojrzeć życiu w twarz i była ślepa na tajemnice i sprzeczności ludzkiego serca, ponieważ jej własne jeszcze się przed nią nie odsłoniło. Darrow powiedział:, byłaś stworzona do tego, żeby wszystko odczuwać”, a to jest na pewno czymś lepszym niż osądzanie.

Zeszła na dół. Darrow siedział już w dębowym salonie z Effie i panią de Chantelle; do bezpieczeństwa, jakie zawsze zapewniała jego obecność, dołączyła się ulga, że nie musi mówić o tym, co między nimi zaszło. A jednak to coś nie zniknęło i w obawie przed nadaniem mu bardziej uchwytnego kształtu starała się wymyślać preteksty, żeby zatrzymać córeczkę przy sobie. Kiedy zaś niania ją zabrała, znalazła wymówkę, że musi odprowadzić teściową do purpurowego salonu. Ale poufna rozmowa z panią de Chantelle sprowadzała się do szczegółowego omawiania planów: ustalania daty ślubu, decyzji, skąd lepiej wypłynąć, z Londynu czy Lizbony, wynajęcia stosownego domu w nowym miejscu zamieszkania. Anna z trudem znosiła nawet pobieżne szkicowanie przyszłości, a przecież pozostawały jeszcze projekty Owena.

Babcia, nie podejrzewając rzeczywistych przyczyn wyjazdu Sophy Viner, uznała za „najzupełniej stosowne”, żeby młoda dziewczyna, przygotowując się do ślubu, schroniła się pod opiekę starych przyjaciół. Wyjazd Sophy w gruncie rzeczy wywarł tak korzystne wrażenie na pani de Chantelle, że po raz pierwszy skłonna była omawiać plany Owena, a ponieważ każdy ludzki postępek widziała w kategoriach towarzyskich i domowych, Anna z konieczności musiała odbyć dwie rundy tych rozmów. Doznała chwilowej ulgi, kiedy zjawił się Darrow, ale jego przybycie

posłużyło tylko za pretekst do skierowania rozmowy z powrotem na ich przyszłość i Annę znowu przeszył ból, kiedy mówił o tym spokojnie i klarownie. Co takie opanowanie mogło oznaczać? Obojętność czy nieszczerłość? Jej myśli ciągle krążyły wokół tego problemu, obawiała się zarówno jednej ewentualności, jak i drugiej.

Postanowiła postępować, jak gdyby nic się nie stało: wyjść za mąż za Darrowa i nigdy nie pozwolić, aby wdarła się między nich świadomość przeszłości. Zaczynała jednak pojmować, że jedynym sposobem na oderwanie się raz na zawsze od tego, co nie dało się naprawić, było ponowne wspólne rozważenie sprawy. Z chwilą kiedy to postanowienie w niej zakiełkowało, nabrało takiej mocy, że zaczęła żałować obiecania Effie popołudniowej przejażdżki. Ale nie umiała wymyślić żadnego pretekstu, żeby się z tego wycofać, toteż wkrótce po śniadaniu pojechali we troje automobilem, żeby pokazać Darrowowi słynne w tym regionie zamczysko. Podczas wyprawy Anna nie umiała odgadnąć, czy obecność Effie bardziej zmusza do opanowania jego czy ją. Był w niezmaconym dobrym humorze i wyrażał się z uznaniem o zwiedzanym zamku, Anna zauważyła jedynie, że kiedy myślał, iż nikt na niego nie patrzy, jego twarz poważniała, a odpowiedzi padały mniej spontanicznie.

W drodze powrotnej, dwie czy trzy mile przed Givré, nagle zaproponowała, żeby poszli pieszo przez las ciągnący się wzdłuż parku. Darrow zgodził się, więc wysiedli i odesłali Effie do domu automobilem. Droga prowadziła przez spokojny lesisty krajobraz, płaski jak wyblakły gobelin, ale z plamami żywego szmaragdu tu i ówdzie pomiędzy brązami i ochrami. Prześwietlone szare powietrze dodawało życia gasnącym barwom i powlekało mgłą odległe partie krajobrazu. Anna wyobrażała sobie, że bez świadków łatwiej będzie mówić, ale gdy stapała u boku Darrowa po grubej

warstwie mchu, słowa znowu jej uciekły. Nie sposób było przełamać czaru spokojnej radości, którą dawała jego obecność, a kiedy pytał o dopiero co obejrzone zamczysko, odpowiadała i czekała na następne pytania... Nie, stanowczo nie była w nastroju do rozmowy, nawet dokładnie nie wiedziała, co chciała mu powiedzieć.

Taka sytuacja powtórzyła się parokrotnie w ciągu tego dnia, a także następnego. Kiedy przebywali osobno, Anna w myśli zadreślała go apelami i pytaniami, formułowała z żarliwą klarownością każdy punkt wyimaginowanych argumentów. Ale gdy tylko zostawała z nim sama, coś głębszego od rozumowania i subtelniejszego od nieśmiałości paraliżowało ją, a wtedy nad pragnieniem rozmowy dominował niepokój, który sprawiał, że jego spojrzenia, słowa czy dotyk trafiały do niej jak przez mgłę fizycznego bólu. Ten bezwład przerywały napady sprzeciwu, ale gdy byli osobno, znowu zaczynała układać przemówienia.

Wiedziała dobrze, że będąc z nią musiał zdawać sobie sprawę z jej wewnętrznej rozterki; miała jednak nadzieję, że sama rozpędzi czary jakimś wyzwajającym zdaniem. Wreszcie zrozumiała, że Darrow uznał bezskuteczność słów i postanowił traktować jej zachowanie, jak gdyby nic się nie zdarzyło. I znów w myślach oskarżała go o gruboskórność, a jej wyobraźnię oblegały dręczące wizje... Czy takie rzeczy zdarzały mu się już wcześniej? Jeżeli ten epizod był pojedynczym przypadkiem, „chwila szaleństwa i obłądu”, mogła to zrozumieć, a przynajmniej podjąć próbę zrozumienia, gdyż w pewnym punkcie jej wyobraźnia zawsze zawracała z drogi; ale jeśli to było ogniwo w łańcuchu podobnych doświadczeń, myśl o nich uwłaczała całej jej przeszłości...

Effie, pozbawiona tymczasowo guwernantki, dostała pozwolenie jadania kolacji na dole i tego wieczoru, kiedy Darrow wrócił, Anna



zatrzymała córeczkę jeszcze długo, chociaż niania dawała znaki od drzwi salonu. Wreszcie dziecko zabrano i Anna zaproponowała grę w karty, a kiedy rozrywka powoli zbliżała się do końca, życzyła Darrowowi dobrej nocy i poszła na górę za panią de Chantelle. Ale teściowa nigdy nie zarywała wieczoru i nazajutrz – z miłą intencją zostawienia Anny i Darrowa samych – pożegnała się z nimi wcześniej niż zazwyczaj.

Anna siedziała milcząca, nasłuchując drobnych, sztywnych kroczków przemierzających hall i ginących w oddali. Pani de Chantelle złamała swój tamborek, Darrow zaofiarował się go naprawić. Przysunął krzesło bliżej stołu z lampą. Anna obserwowała go, jak siedzi z pochyloną głową i ściągniętymi brwiami, usiłując dopasować połamane części. Jego widok, pochłoniętego taką pracą, nadał zacisznemu pokojowi intymność, napełnił go ciepłą rodzinną atmosferą. Nagle uderzyło ją, że przecież zupełnie nie zna myśli mężczyzny, który siedzi obok niej tak, jak siedziałby małżonek. Światło lampy padało na jego białe czoło, na zdrową smagłość policzków, na wierzch smukłych opalonych dłoni. Przyglądając się jego rękom, miała złudzenie żywego dotyku i powiedziała sobie w duchu: „Tamta kobieta siedziała i patrzyła na niego tak jak ja to robię teraz. Poznała go, jak ja go nigdy nie znałam... Może on o tym teraz myśli. A może zapomniał całkowicie, jak ja zapomniałam wszystko, co się wydarzyło, zanim on przybył”.

Wyglądał młodo, był aktywny, naładowany siłą i energią, nie sprawiał wrażenia malkontenta. Jakie miała atuty, żeby go zatrzymać czy zadowolić? Kochał ją teraz, co do tego nie miała wątpliwości, ale czy mogła liczyć na to, że go utrzyma? Byli tak zbliżeni wiekiem, że Anna już czuła się starsza od niego. Do tej pory różnica nie była widoczna, przynajmniej zewnętrznie do siebie pasowali, ale choroba czy zmartwienie szybko mogły to



przekreślić. Pomyślała z goryczą: „On się nie zestarzeje, bo nie przeżywa tak silnie, za to ja się zestarzeję...”

A jeśli przestanie mu się podobać, co wtedy? Czy ma w zwyczaju dotrzymywać złożonej przysięgi? Jakie wyznawał ideały, jakie miał przekonania w takich sprawach? Ale co ją obchodzą jego ideały czy przekonania. Niewątpliwie teraz ją kocha i wierzy, że nadal będzie kochał, no i miała pewność, że jego lojalność oprze się wszelkim zmianom. Chciała wiedzieć nie to, co on myśli teraz, ale co nim pokieruje lub go powstrzyma w krytycznej chwili. Nie miała zaufania do swoich talentów, była pewna, że ich nie posiada. I gdyby jakiś czarodziej chciał obdarzyć ją nimi teraz, wiedziała, że odrzuciłaby taki prezent. Nie mogłaby pragnąć takiej miłości, do której trzeba zmuszać.

Darrow odłożył tamborek, obszedł pokój i usiadł obok niej. Wyczuwała, że ma jej coś szczególnego do powiedzenia.

– Wiem, że zostanę wezwany lada dzień – zaczął. Nie odpowiedziała, więc ciągnął dalej: – Zanim opuszczę Givré, powiedz mi, kiedy mam po ciebie przyjechać.

Po raz pierwszy od chwili powrotu zrobił tak bezpośrednią aluzję do daty ich ślubu. Ale zamiast odpowiedzi usłyszał ostre słowa:

– Jest coś, o czym musisz wiedzieć. Wtedy w Paryżu widziałam się z panną Viner.

Zaskoczenie było tak wielkie, że poczerwieniał.

– Wezwałaś ją?

– Nie, dowiedziała się od Adelaidy, że jestem w Paryżu, i przyszła. Przyszła, żeby mnie ponaglić do poślubienia ciebie. Uważam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Darrow wstał.

– Cieszę się, że mi to powiedziałaś.

Robił widoczny wysiłek, żeby się opanować. Wodziła za nim oczami, kiedy się oddalał.

– Czy to wszystko? – zapytał po chwili.

– Wydaje mi się, że to ważna sprawa.

– Ona mnie też o to prosiła. – Głos jego zdradzał wielkie poruszenie i Annę przeszły strzała zazdrości.

– To dla twego dobra, wiem. – Nie odpowiedział, więc dodała:

– Była niesłuchanie wspaniałomyślna... Dlaczego nie mamy o tym mówić?

Pochyliła głowę, ale spod opuszczonych rzęs obserwowała jego twarz.

– Ja się nie uchylam od rozmowy na ten temat.

– Mam na myśli rozmowę o niej. Wydaje mi się, że gdybym mogła z tobą o niej porozmawiać, wiedziałabym lepiej...

Urwała zmieszana, kiedy zapytał:

– Cóż takiego chciałabyś lepiej wiedzieć?

Zarumieniła się. Jak mogła zwierzyć się jemu z tego, czego nie śmiała wyznać przed samą sobą? Nie istniało nic, czego by nie chciała wiedzieć, nie było załamka czy rysy na jego tajemnicy, których nie pragnęłyby przeniknąć swoją pobudzoną wyobraźnią. Powstrzymywała ją tylko lojalność wobec Sophy Viner.

Podniosła na niego oczy.

– Chciałam tylko wymówić jej imię. Niesłusznie postępujemy, jakbyśmy się go bali. Gdybym rzeczywiście się go bała, musiałabym z ciebie zrezygnować – stwierdziła.

Pochylił się nad nią, przygarnął do siebie.

– Nie możesz już ze mnie zrezygnować.

Pozwoliła przytulić się mocno, nic nie mówiąc, ale dawna obawa znów stanęła między nimi i wyraziła się w okrzyku, który wyrwał się z jej ust:

– Co na to poradzę, że tak strasznie się boję!

## 35

Nazajutrz strach nie opuścił Anny. Zrozumiała, że musi się wydobyć z odrętwienia, w które się powoli zapadała, i powiedzieć Darrowowi, że nie może zostać jego żoną.

Ta świadomość nawiedziła ją podczas nocy, kiedy wśród łez zawiedzionej namiętności patrzyła wstecz na swoje życie. Miała przed oczami swój jedyny romans w całym jego ubóstwie, najtańszą z tanich przygód, najżałośniejszy z sentymentalnych błędów. Wodziła wzrokiem po pokoju, po tym pokoju, gdzie przez tyle lat serce mogło bić spokojnie, ale myśli krążyć żywo, i widziała siebie, jak w przyszłości drży z natłoku niskich podejrzeń, kompromisów i ustępstw, do których nikomu nie może się przyznać. Nagle zrozumiała, że Sophy Viner wybrała lepszą rolę: pewne wyrzeczenia mogą wzbogacać, natomiast posiadanie może zostawić po sobie pustynię.

Namiętne reakcje instynktu walczyły z wysiłkiem woli. Dlaczego przeszłość czy przyszłość miały cokolwiek wymuszać, kiedy terażniejszość tak bezpiecznie spoczywała w jej rękach? Dlaczego w obłędzie oddawać to, czego ta druga w końcu nigdy nie dostanie? Zmysł ironii podszeptował, że jeśli odprawi Darrowa, to nie do Sophy Viner, lecz do pierwszej kobiety, która się nawinie, tak jak w podobnej sytuacji Sophy napotkała... Ale sam fakt, że mogła coś takiego o nim pomyśleć, odrzucał ją całą drżącą na przeciwległy biegun. W wyobraźni zobaczyła siebie, jak stopniowo poddaje

się takiej koncepcji życia i miłości, zobaczyła Effie wyrastającą pod wpływem kobiety, w jaką się przeobrazi, i odwróciła oczy od wizji takiego upokorzenia...

Jedli śniadanie, kiedy nadeszła wiadomość, której Darrow się spodziewał. Podał telegram Annie. Dowiedziała się z niego, że ambasador w drodze na kurację w Niemczech zatrzyma się w Paryżu i następnego wieczora życzy sobie odbyć z nim konferencję przed powrotem do Londynu. Tak ją zdenerwowała myśl, iż nadszedł decydujący moment, że po skończonym śniadaniu wysunęła się na taras i poszła do ogrodu. Dzień był pochmurny, w powietrzu unosił się ciężki zapach gnijących liści. Anna snuła się bez celu po ogołoconym parku, kierując kroki na te ścieżki, którymi szła z Darrowem podczas ich pierwszego spaceru nad rzekę. Była pewna, że nie będzie za nią gonił, że odgadnie, dlaczego chciała być sama. Niekiedy odczucie samotności ogarniało ją ze zdwojoną siłą na myśl, że on czyta w jej sercu, ona zaś nie wie, co on przeżywa.

Błąkała się przeszło godzinę, wróciła do domu i zobaczyła Darrowa przy biurku w gabinecie Owena. Usłyszał jej kroki, podniósł wzrok, odwrócił się w fotelu, ale nie wstał. Oczy ich się spotkały, jego spojrzenie było jasne, wesołe. Stos papierów wskazywał na to, że załatwia jakąś urzędową korespondencję. Zadziwiło ją, że potrafi tak całkowicie poświęcić się swoim obowiązkom, i z ironią pomyślała, że takie oddanie świadczy o jego wyższości. Ale kiedy się zbliżyła, stanął jej nagle przed oczami Owen obserwujący z zewnątrz, w jesiennym zmroku, Darrowa i Sophy, jak patrzą na siebie z przeciwnych stron oświetlonego lampą biurka... Ten obraz był tak żywy, że zabrakło jej tchu, jakby otrzymała cios; aż usiadła bezradnie na kanapie wśród stosu książek. Wyraźnie zrozumiała w tym momencie, że to koniec. „Jeżeli się do mnie odezwie, powiem mu...” – pomyślała.

Darrow odłożył pióro i popatrzył na nią chwilę w milczeniu, po czym wstał i zamknął drzwi.

– Muszę jechać jutro rano – powiedział siadając obok niej.

Mówił serio, z lekkim odcieniem smutku. Pomyślała: „On wie, co ja przeżywam...” – i to sprawiło, że poczuła się mniej osamotniona. Z jego twarzy była powaga, a zarazem czułość; po raz pierwszy dotarło do niej, że i on cierpi.

Nie wątpiła, że musi z niego zrezygnować, ale nie mogła powiedzieć mu o tym teraz. Wstała ze słowami:

– Zostawiam cię z twoją korespondencją.

Nie zaprotestował, po prostu zapytał:

– Masz zamiar się przejść?

I nagle przyszło jej do głowy, żeby pójść razem nad rzekę, po raz ostatni pozwolić sobie na ten tragiczny luksus, i usiąść przy nim w pawilonie. „Może tam będzie mi łatwiej mu to powiedzieć” – pomyślała. Kiedy wracali do domu ze spaceru, okazało się, że wcale nie było łatwiej, ale decyzja, że uczyni to, zanim on wyjedzie, napełniła ją złudnym spokojem. Krążąc wokół tematu, od którego krew napływała im do twarzy, uporczywie poruszali inne sprawy, lecz Annie wydało się, że ich myśli nigdy nie były sobie bliższe niż w tej godzinie, kiedy ich serca były tak dalekie od siebie.

Pierwszy raz ujrzała jasno, czym będzie jej życie bez tego mężczyzny. Zobaczyła siebie wypełniającą codzienne obowiązki i to, co je dotychczas rozjaśniało i ożywiało, wydało jej się martwe i daremne. Mogła się całkowicie poświęcić wychowaniu córki, jak inne matki, które знаła, ale podejrzewała, że musiały się one żywić nagromadzonymi wspomnieniami szczęścia. Sama go nie zaznała i jej wygłodzona młodość nadal domagała

się swojej daniny.

Idąc na górę, żeby się przebrać do obiadu, pomyślała: „To mój ostatni wieczór z nim i zanim się pożegnamy, powiem mu”.

Odroczenie miało swoje powody: Darrow dał jej do zrozumienia, że bardzo się boi próżnych słów i unika bezowocnych dyskusji. Musiał być świadomy tego, co się dzieje w jej duszy od jego powrotu, a jednak kiedy usiłowała mu to wyjawić, unikał jej wyznania. Przyjęła linię postępowania, którą wytyczył, lecz oto zbliżał się moment końcowy, ona zaś jeszcze nic nie powiedziała...

Wydawało się, że wreszcie nadeszła odpowiednia chwila, kiedy po obiedzie pani de Chantelle wstała od stołu i udała się do siebie. Zdążyła tylko pożegnać Darrowa, którego nie spodziewała się zobaczyć rano, i jej uprzejma aluzja do jego rychłego powrotu zabrzmiała w uszach Anny jak głos przeznaczenia.

Przez cały czas siąpił zimny deszcz, poszli więc po obiedzie do dębowego salonu, gdzie było cieplej i przytulniej, odgradzając się od nie ogrzanych komnat. Jesienny wiatr dmący od rzeki napełniał dom jękiem smutku i rozstania, Anna i Darrow siedzieli w milczeniu, jakby bojąc się naruszyć otulającą ich ciszę. Samotność, blask ognia, harmonia miękkich zasłon i starych obrazów rozsnuwały wokół czar bezpieczeństwa i Anna czuła w sercu przytłumione bicie nie wygasającego szczęścia. Jak mogła myśleć, że ostatnia chwila będzie odpowiednia do tej rozmowy? Przecież właśnie teraz połączyły się wszystkie rozproszone cuda jej marzeń.

Darrow nadal stał przy zamkniętych drzwiach. Anna czuła, że na nią patrzy, ale nie ruszała się z miejsca, gardząc uciekaniem się do wykrętnych słów czy gestów. Chciała, żeby widząc ją po raz ostatni, zabrał ze sobą jej obraz takiej, jaka dla niego była.

Przeszedł przez pokój i usiadł na sofie. Chwilę milczeli oboje, po czym Darrow się odezwał:

– Najdroższa, dzisiaj wieczorem muszę otrzymać odpowiedź.

Wyprostowała się. Doznała wstrząsu słysząc, jak wypowiada jej własne słowa.

– Dziś wieczorem?

– Muszę jechać pierwszym pociągiem. Rano będziemy mieli dla siebie tylko chwilę.

Ujął jej rękę. Powtarzała sobie w duchu, że musi ją uwolnić, gdyż inaczej nie będzie w stanie wykrztusić tego, co miała mu do powiedzenia. Ale zdecydowała się nie poddawać słabości. Aż do końca pozwoli trzymać się za rękę, będzie patrzeć mu w oczy, w ich ostatniej wspólnej godzinie nie ulęknie się presji miłości.

– Powiesz mi dziś wieczorem, kochana – nalegał łagodnie i to dało jej siłę, żeby mówić.

– Jest coś, o co muszę cię zapytać – zaczęła i natychmiast stwierdziła, że jej słowa w najmniejszym stopniu nie oddają tego, co zamierzała mu powiedzieć.

Siedział nieruchomo, w oczekiwaniu, ona zaś przyciskała go do muru:

– Czy takie rzeczy często przytrafiają się mężczyznom?

Przytulny pokój długo odbijał echem pytanie. Nie patrzyła na niego,



więc uwolnił jej rękę i wstał.

– Nie wiem, co się przytrafia innym mężczyznom. Mnie to się nigdy dotąd nie zdarzyło...

Zwróciła na niego spojrzenie. Poczowała się jak wędrowiec na karłowatej ścieżce pomiędzy skałą a przepaścią: nie mając żadnego wyboru, musi iść do przodu.

– Czy to... czy to się zaczęło... zanim spotkałeś ją w Paryżu?

– Nie, po tysiącokroć nie! Zrelacjonowałem ci fakty tak, jak one wyglądały!

– Wszystkie?

Odwrócił się do niej gwałtownie.

– Co masz na myśli?

W gardle jej zaschło, w skroniach pulsowało.

– Mam na myśli ją... Może wiedziałeś... wiedziałeś o niej coś przedtem...

Urwała. W pokoju zaległa cisza. Kłoda upadła w kominku i rozrzuciła snop iskier.

Darrow powiedział dobitnie:

– Nie wiedziałem nic... Absolutnie nic.

Otrzymała odpowiedź na nurtujące podejrzenia; zgasła ostatnia, wstydliwie ukrywana nadzieja. Siedziała bezradna, pogrążona w rozpacz.

Zbliżył się do kominka i pchnął nogą przełamany kloc. Strzelił płomień i w jego świetle zobaczyła pobladłą twarz Darrowa, ściągniętą bólem.

– Czy to już wszystko? – zapytał.

Skinęła lekko głową.

Podszedł do niej wolno.

– A więc to ma być pożegnanie?

Znowu leciutko przytaknęła. Nie zrobił najmniejszego wysiłku, żeby się do niej bardziej zbliżyć czy jej dotknąć.

– Rozumiesz, że ja już tu nie wrócę?

Patrzył na nią. Usiłowała odpowiedzieć spojrzeniem, ale łzy przesłaniały jej oczy i w obawie, że to zauważy, wstała i odeszła dalej. Nie podążył za nią. Stała tyłem do niego, wpatrzona w wazon z goździkami na stoliku pełnym książek. Łzy powiększały wszystko, na co padał jej wzrok; prążkowane płatki goździków, ich postrzępione końce i delikatne karbowane pręciki wydawały się ogromne i żywe. Zauważyła wśród książek tomik wierszy, które jej przysłał z Londynu, i usiłowała sobie przypomnieć, czy było to przed czy po...

Czuła, że on czeka na jej słowo, i wreszcie odwróciła się w jego stronę.

– Zobaczymy się jutro przed twoim wyjazdem...

Nie odpowiedział.

Ruszyła ku drzwiom, otworzył je przed nią. Ujrzała jego rękę na klamce, sygnet w srebrnej oprawie na palcu. Zrozumiała, że to koniec wszystkiego...

Szli przez salon – parawany i serwantki rzucały nikłe cienie – potem wkroczyli razem na schody. W końcu galerii lampa kładła blaski na obraz batalistyczny wiszący na ścianie.

Na podeście Darrow się zatrzymał. Jego pokój był zaraz za schodami.

– Dobranoc – powiedział i wyciągnął rękę.

Kiedy Anna podała mu swoją, nerwy nie wytrzymały. Walczyła ze łzami i wyszła z tego zwycięsko. Lecz żeby ukryć zdenerwowanie, oparła się o niego i przytuliła twarz do jego ramienia.

– Dobrze już, dobrze – starał się ją uspokoić.

Jej nierówny oddech rozlegał się w ciszy uspiętego domu. Ścisnęła wargi, ale nie mogła opanować nerwowego pulsowania w gardle. Darrow otoczył ją ramieniem, otworzył drzwi do swego pokoju i wprowadził ją przez próg. Pulsowanie w gardle ustało, ale wiedziała, że powróci, gdy tylko spróbuje mówić.

Darrow odszedł i oparł się o kominek. Lampa pod czerwonym abażurem rzucała światło na książki i papiery, na fotel przy kominku i rozłożone na toalecie przybory. Na palenisku żarzyło się polano, było ciepło i lekko pachniało dymem. Po raz pierwszy znalazła się w pokoju, w którym on mieszkał, pośród jego osobistych rzeczy i śladów jego pobytu. Każdy przedmiot tutaj zdawał się zawierać cząsteczkę jego samego; mogła prześledzić intymne szczegóły jego obecności. Nagle przeszła ją myśl: „Tu właśnie poznał Sophy Viner” – i z bezlitosną precyzją wyobrażała sobie ich w takiej scenie. Czy zabrał dziewczynę do hotelu... chyba tam ludzie idą w takich przypadkach? Gdziekolwiek byli, otaczała ich nocna cisza, a używane przez niego przedmioty leżały porozrzucane po pokoju... Anna, zawstydzona uporczywością tej zniechęcającej wizji, poderwała się w odruchu ucieczki, ale powstrzymała ją fala innych uczuć. Stała więc z opuszczoną głową.

Widząc to Darrow zrobił krok do przodu, czekał, że się z nim<sup>1</sup> pożegna. Było jasne, że nie miał żadnych innych zamiarów, i ten fakt jakoś dziwnie ją upokorzył. „Dlaczego nie?... Dlaczego nie?” – coś w niej szeptało, jakby jego wyrozumiałość dla jej dumy zawierała lekceważenie innych cech, których dotąd w niej nie odkrył.

– A więc rano? – usłyszała jego głos.

– Tak, rano – powtórzyła.

Stała nadal w tym samym miejscu, rozglądając się błędnym wzrokiem po pokoju. Raz jeden, zanim się rozstaną – ponieważ rozstać się musieli –

pragnęła być dla niego wszystkim tym, czy była Sophy Viner. Stała, jakby wrosła w podłogę, niezdolna znaleźć słowa czy gestu, który by wyraził jej pragnienie. Zrozpaczona swoją bezradnością pomyślała: „Czyżbym nie czuła tego co inne kobiety?”

Wzrok jej padł na portfel, który mu podarowała. Brzegi miał zniszczone od tarcia o jego kieszeń, był wypchany nadmiarem papierów. Zastanowiło ją, czy nosi w nim jej listy, więc wyciągnęła rękę i dotknęła go.

Wszystko, co oboje kiedykolwiek odczuli czy ujrzeli, spotkania słów i spojrzeń, wspólnota milczenia, zadrzało w niej od tego dotyku. Przypomniała sobie zdania, które wypowiadał: odkrywały one nowe horyzonty, jego zachowanie było powietrzem, którym oddychała. Ciepło jej dziewczęcej miłości nabierało zaru od tych myśli, serce kołysało się jak łódka na fali wspomnień. „To dlatego, że go kocham na zbyt wiele sposobów” – pomyślała i powoli obróciła się ku drzwiom.

Zdawała sobie sprawę, że Darrow nadal ją obserwuje spod oka, ale nie ruszył się i nie przemówił, dopóki nie stanęła w progu. Wtedy podbiegł i chwycił ją w objęcia.

– Nie dzisiaj, nie mów mi, że dzisiaj wieczorem – szepnął.

Odsunęła się od niego przymykając na chwilę powieki, a kiedy wolno je otworzyła, zalała ją powódź światła w jego oczach.

## 37

Następnego dnia Anna i Darrow siedzieli sami w przedziale pociągu jadącego do Paryża.

Anna zajęła najdalszy kącik i położyła bagaż na siedzeniu obok. Nagle zdecydowała się towarzyszyć mu do Paryża i nawet namówiła go na

późniejszy pociąg, żeby mogli odbyć tę podróż razem. Bardzo pragnęła z nim być, ogarniał ją śmiertelny strach na myśl, że mogłaby go stracić z oczu bodaj na chwilę. Kiedy wyskoczył z pociągu i pobiegł wzdłuż peronu, żeby kupić dla niej jakieś pismo, złękła się, jakby miała go już nigdy nie zobaczyć. Drżała na wspomnienie przygnębienia, w jakim się pogrążyła podczas ostatniej podróży do Paryża, kiedy sądziła, że ich rozłąka została przesądzona. A jednak wolała, żeby siedział w drugim kącie przedziału, i kiedy pociąg ruszył ze stacji, wyciągnęła z torby listy, które zabrała wychodząc z domu, i zaczęła je przeglądać, tak żeby nie mógł widzieć jej oczu.

Teraz należała do niego; nie mogło być już mowy o poświęcaniu się dla dobra Effie czy jakiegokolwiek abstrakcyjnej koncepcji obowiązków. Oczywiście Effie nie powinna ucierpieć: za szczęście żony Anna zapłaci podwójnym oddaniem matki. Nie zwalczyła swoich skrupułów, ale chwilowo ich głosy zagłuszał radosny zew.

Otwierając listy miała świadomość, że Darrow się jej przypatruje; wolno podniosła wzrok i zachłysnęła się namiętą czułością bijącą z jego oczu. Spłonęła rumieńcem i żeby to ukryć, powróciła do listów. Twarz jej się rozjaśniła na widok koperty zaadresowanej ręką Owena.

Nagle serce zaczęło jej walić w piersi. Była w nastroju, kiedy wszystko wydaje się złowieszcze. Co Owen miał jej do zakomunikowania? Zapisana była tylko pierwsza strona, na której po prostu donosił, że w towarzystwie rodaka studiującego w Akademii Sztuk Pięknych wyjeżdża do Hiszpanii nazajutrz po południu.

„A więc się z nią nie widział” – było jej pierwszą myślą i ogarnęło ją dziwne uczucie upokorzenia, a zarazem ulgi. Dziewczyna dotrzymała słowa, postąpiła według wytyczonej przez siebie linii, Anna natomiast zawiodła w

tej próbie. Nie robiła sobie za to wyrzutów, wolałaby jednak, żeby rozbieżność między tym, co jej powiedziała, a tym, jak postąpiła, była mniejsza. Dziwnie ją irytowało, że Sophy była znacznie pewniejsza od niej, iż dotrzyma swego przyrzeczenia.

Anna podniosła oczy i stwierdziła, że Darrow zagłębił się w lekturze gazety. Wydawał się spokojny, prawie obojętny na jej obecność. „Czyżbym tak prędko miała mu spowszednieć?” – zastanawiała się z lekką zazdrością. Siedziała sztywno, z oczami utkwionymi w jego twarz, pragnąc, by jej wzrok posiadał taką samą siłę przyciągania jak jego. Była zaskoczona, a równocześnie zawstydzona, wykryciem nowego elementu swej miłości: jakby podejrzliwej, tyranizującej czułości, pozbawionej wszelkiej pogody. Wreszcie spojrzał na nią, otoczył ją jego uśmiech, poczuła, że każdym włókienkiem należy do niego tak całkowicie i nierozzerwalnie, iż daremna byłaby nawet myśl o innym losie.

Żeby nabrać kontenansu, podała mu list Owena. Wziął go, zaczął czytać i twarz mu spoważniała. Zdenerwowana czekała na jego spojrzenie.

– To dobry pomysł, najlepsze, co mogło się zdarzyć – rzekł z leciutkim odcieniem przymusu w głosie.

– O, tak – przytaknęła skwapliwie.

Zdawała sobie sprawę, że oboje odczuli w duchu pewną ulgę. Oboje byli szczęśliwi, że Owen wyjeżdża i przez jakiś czas nie będzie go między nimi. Uznała jednak za straszne, że taki ogrom jej szczęścia miał się składać z ukrywanych uczuć...

– Zobaczę się z nim dziś wieczorem – powiedziała. Chciała, żeby Darrow wiedział, iż nie boi się spotkania z pasierbem.

– Tak, naturalnie, może zechce zjeść z tobą obiad.

Te słowa zabrzmiały dziwnie drętwo. Darrow miał powitać am-

basadora na dworcu i prawdopodobnie spędzić z nim resztę wieczoru. Anna wiedziała, jak bardzo go martwi, że będzie musiał zostawić ją samą. Ale jak mógł mówić tak niedbałym tonem o jej ewentualnym obiedzie z Owenem? Ściszym głosem powiedziała:

– Obawiam się, że on jest okropnie nieszczęśliwy.

Odpowiedział z nutką irytacji:

– Podróż będzie dla niego najlepszym lekarstwem.

– Tak, ale czy nie czujesz... – urwała. Wiedziała, jak bardzo nie lubi powracać do spraw nieodwracalnych, lecz strach przed popełnieniem czy powiedzeniem czegoś niewłaściwego miał dla niej odcień służalczości, przeciw której buntowała się jej duma.

Darrow nie usiłował nawet nalegać, by dokończyła zdanie. Oddał jej list Owena i wrócił do swojej gazety. Kiedy po kilku minutach oderwał od niej wzrok, jego jasne spojrzenie i ciepły uśmiech przywróciły Annie pogodniejsze myśli.

Pociąg wjeżdżał właśnie na stację i po chwili ich przedział wypełnili zwykli pasażerowie, zaabsorbowani lokowaniem pękatek bagaży. Wraz z ich napływem Anna poczuła zaborczą dumę zakochanej kobiety, którą obcy ludzie rozdzielają z najdroższym. Poprosiła Darrowa o otwarcie okna, umieszczenie jej torby na półce i zwinięcie dywanika w charakterze podpórki pod stopy. Kiedy krzątał się spełniając jej prośby, zauważyła wiele oddania w sposobie, w jaki pochylał się nad nią i spoglądał w oczy. Wrócił na miejsce i patrzyli na siebie jak kochankowie uśmiechający się do swojej cudownej tajemnicy.

Przed powrotem do Givré Anna proponowała Owenowi, żeby się przeniósł do jej apartamentu, ale on wolał pozostać w hotelu, do którego odesłał swój bagaż, więc po przybyciu do Paryża postanowiła go tam zaraz



odwiedzić. Spieszyło się jej, chciała mieć to spotkanie za sobą, toteż ucieszyła się, że Darrow musi ją opuścić na dworcu, gdyż umówił się ze zwierzchnikiem w ambasadzie. Chcąc go zatrzymać jak najdłużej poza domem, wspomniała o pilnej wizycie u krawcowej oraz długiej liście poleceń otrzymanych od pani de Chantelle.

– Zobaczmy się jutro rano – powiedziała, lecz on odparł z uśmiechem, że na pewno znajdzie czas, aby wstąpić do niej na chwilę, wracając ze spotkania z ambasadorem. Wsadził ją do taksówki, wsunął głowę przez okno i pocałował w usta.

Spiekła raka jak dziewczynka, myśląc na pół z irytacją, na pół z radością: „Wczoraj by tego nie zrobił... ” Dziesiątki ledwo widocznych zmian w jego wyglądzie i zachowaniu zsumowały się w tym chłopięcym geście. „Przecież jestem z nim zaręczona” – pomyślała i ubawiła ją absurdalność tych słów. W następnej chwili z niejakim wyrzutem przypomniała sobie okrzyk Sophy Viner: „Wiedziałam przez cały czas, że jemu nie zależy! ”

– Biedactwo, biedactwo... – wyszeptała.

W hotelu z niepokojem czekała na portiera, który poszedł szukać Owena. Wrócił z wiadomością, że pan Leath jest u siebie i prosi, aby przyszła. Idąc przez hall zauważyła na podłodze jego walizkę z nalepką wyjazdową.

Owen siedział przy biurku plecami do drzwi i pisał. Wstał, a ponieważ okno miał za plecami, w mroku dżdżystego popołudnia jego rysy były słabo widoczne.

– Kochany, więc naprawdę wyjeżdżasz? – zapytała zatrzymując się z wahaniem w progu.

Podsunał krzesło. Usiedli czekając, kto odezwie się pierwszy.

Wreszcie padło banalne pytanie o jego towarzysza podróży, spokojnego, nieśmiałego i inteligentnego młodzieńca, który kiedyś odwiedził Givré. Trochę ją dziwiło, że wybrał tego zamkniętego w sobie kolegę zamiast kogoś bardziej towarzyskiego, ale powiedziała tylko:

– Tak się cieszę, że Fred Rempson może z tobą jechać.

Owen odparł tym samym tonem i przez kilka minut ich rozmowa ciągnęła się wypełniona jałowymi komunałami. Anna zauważyła, że Owen, gotów dzielić się z nią swoimi planami, starannie unikał pytań na temat jej własnych. Z jego aluzji wynikało niezbitcie, że zamierza przebywać przez dłuższy czas poza domem, nawet prosił ją o wydanie poleceń, aby zapakowano i wysłano mu trochę zimowych ubrań, które zostawił w Givré. Korzystając z okazji poinformowała go, że zamierza wrócić do domu za dwa, trzy dni i natychmiast zajmie się tą sprawą. Dodała:

– Przyjechałam z George'em, który wyjeżdża jutro do Londynu.

Chciała w ten sposób dać Owenowi szansę porozmawiania o jej ślubie. Ale on przyjął te słowa bez komentarza i imię „George” nadal dźwięczało w jej uszach jak coś dla nich niezwykłego.

W pokoju było prawie ciemno, więc wstała i rozejrzała się za kontaktem.

– Ledwo cię widzę, mój drogi – rzekła.

– Och, nie, nie znoszę światła! – zawołał Owen chwytając ją za przegub i sadzając z powrotem na krześle. Zaśmiał się nerwowo i dodał: – Razi mnie światło. To newralgia. Przypuszczam, że wszyskiemu winien ten wstrętny deszcz.

– Tak, dobrze co zrobi pobyt w Hiszpanii.

Zapytała, czy ma lekarstwa zapisane mu przy poprzednim ataku, a gdy odpowiedział, że nie wie, gdzie je podział, zaproponowała, że pójdzie do

apteki. Skwapliwie podchwyciła okazję oddania mu drobnej przysługi.

– Naprawdę? – rzekł. – Bardzo ci dziękuję.

Doznał ulgi znalazłszy pretekst, żeby jej dłużej nie zatrzymywać. Naturalniej wypadłoby, gdyby powiedział, że nie chce żadnych lekarstw i że za chwilę dolegliwości ustaną. Zrozumiała, że uważał za bezcelowe dalsze przedłużanie rozmowy. Jego twarz wydawała się w półmroku białą plamą, ale Anna domyśliła się, jak bolesny musi mieć wyraz. „On wie... on wie...” – powtarzała sobie w duchu, zastanawiając się, czy poznał prawdę przez przypadek, czy też intuicyjnie.

Owen także wstał. Wyraźnie czekał na jej wyjście.

– Wrócę za kilka minut... – rzuciła od drzwi.

– Nie wchodź już na górę... – Urwał zażenowany. – Chcę powiedzieć, że możesz mnie tu nie zastać. Muszę wyjść, zajrzeć do Rempsona i omówić z nim ostatecznie parę drobiazgów.

Zatrzymała się w progu, serce w niej zamarło. A więc on uważał to za pożegnanie. Nawet jej nie spytał, kiedy ma zamiar wziąć ślub.

– Owenie! – zawołała i zwróciła się w jego stronę.

Stał przed nią w milczeniu.

– Nie powiedziałeś mi, na jak długo chcesz wyjechać.

– Na jak długo? Widzisz... to jest raczej niepewne... Wiesz, że nie cierpię ścisłych dat.

Chciała zapytać: „Czy będziesz na moim ślubie? ”, ale nie zdołała wykrztusić tych słów. Wyszeptała tylko:

– Za sześć tygodni ja także wyjadę...

On zaś, jak gdyby oczekiwał tej wiadomości i przygotował odpowiedź, odrzekł:

– Do tego czasu prawdopodobnie wrócę...

– W każdym razie nie żegnam się jeszcze – rzuciła czując, że łzy napływają jej do oczu.

– Nie, nie, raczej nie – potwierdził, ale nie uczynił najmniejszego gestu, więc podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Ale napiszesz do mnie, prawda?

– Oczywiście, oczywiście!

Jej dłonie ześlizgnęły się do jego rąk i przez chwilę tak stali, milcząc, w ciemności. Wreszcie Owen z wymuszonym śmiechem powiedział:

– Rzeczywiście czas zapalić światło.

Przekręcił kontakt jedną ręką, drugą otworzył drzwi. Wyszła, nie mając odwagi się odwrócić, gdyż jego oświetlona twarz mogłaby jej powiedzieć to, co bała się usłyszeć.

## 38

Anna pojechała do apteki po lekarstwo dla Owena. Po drodze zatrzymała swoją taksówkę przed księgarnią, z której wyszła obładowana literaturą. Wiedziała, co zainteresuje Owena i co chciałby przeczytać, toteż dokonała wyboru spośród najnowszych publikacji z szybkością wytrawnego czytelnika. Ale gdy jechała do hotelu, pomyślała z ironią, że oto dodaje duchowych panaceów do fizycznych. Było coś groteskowego, zakrawającego na kpiny w ofiarowaniu starannie wybranej literatury komuś, kto wyruszał w taką podróż. „On wie... On wie...” – nie ustawała powtarzać w duchu i wręczywszy portierowi paczuszkę z apteki, odeszła nie zostawiając książek.

Udała się do swego apartamentu, gdzie pokojówka zdążyła rozpalić ogień na kominku i przysunąć stolik podwieczorkowy do paleniska. Ulewa

biła w nie osłonięte okna i Anna pomyślała o Owenie, który niebawem miał jechać w tym deszczu na dworzec, sam na sam ze swoimi gorzkimi myślami. Zawsze była dumna z tego, że w trudnych chwilach szukał jej pomocy, teraz zaś, w tej najtrudniejszej godzinie, była jedyną istotą, do której nie mógł się zwrócić. Odtąd będzie pomiędzy nimi zawsze wyrastała ściana milczenia nie do pokonania... Wyteżała zbolale myśli, żeby odgadnąć, w jaki sposób prawda do niego dotarła. Czyżby spotkał się z Sophy i ta mu o wszystkim powiedziała? Ale po co udawać, że się zna ostateczną odpowiedź, skoro każde ich tchnienie przez ostatni tydzień nasycone było tajemnicą? Patrząc wstecz na okres od pierwszego przyjazdu Darrowa do Givré, nie przypominała sobie ani jednej chwili, w której rozmawialiby ze sobą swobodnie. Niczego też nie odkryli przypadkowo. Prawda wyszła na jaw dzięki swojej neodpartej presji i Annę zaskoczyło istnienie ukrytych mocy, chaos przyciągania i odpychania. Patrzyła z melancholijną drwiną na swoją dawną koncepcję życia jak na coś w rodzaju jasno oświetlonych i starannie wysprzątanym przedsiomków ciemnych obszarów, o których nie trzeba wiedzieć. Ale oto się ujawniły te ciemne obszary w jej własnej duszy i odtąd zawsze będzie musiała je mijać, żeby dotrzeć do najbardziej ukochanych istot!

Siedziała przy nie tkniętym podwieczorku, gdy usłyszała w hallu głos Darrowa. Zerwała się powtarzając w myśli: „Muszę mu powiedzieć, że Owen wie...” – ale kiedy drzwi się otworzyły i zobaczyła jego twarz, rozświetloną tym samym uśmiechem chłopięcego triumfu, na nowo poczuła bezcelowość słów. Czyżby on kiedykolwiek przypuszczał, że Owen się dowie? Prawdopodobnie doświadczenie od dawna mu powiedziało, że wszystko, co zaszło, było nieuniknione, więc i myśl o tym wyraźnie mu nie ciążyła.

Był już w wieczorowym ubraniu.

– Ambasador bierze udział w jakimś oficjalnym przyjęciu, więc jestem wolny – oświadczył wchodząc. – Dokąd pójdziemy na kolację?

Anna wyobrażała sobie, że spędzi samotny wieczór z ponurymi myślami, i szansa, że może je od siebie odepchnąć na kilka najbliższych godzin, sprawiła jej natychmiastową ulgę. Już ich serca zaczęły bić w zgodnym rytmie, a kiedy się do siebie uśmiechali, pomyślała: „Nic nie może tego zmienić: należę do niego”.

– Gdzie zjemy kolację? – ponowił wesoło pytanie.

Wymieniła znaną restaurację, o której kiedyś jej wspominał. Ale ledwo wymówiła tę nazwę, przez jego twarz przemknął lekki cień i natychmiast przyszło jej do głowy: „To właśnie tam z nią był!”

– Nie, nie tam – poprawiła się i teraz już była pewna, że się zarumienił.

– No, to dokąd byś chciała?

Odnutowała, że nie zapytał o powód tej zmiany, i to ją przekonało, że odgadła prawdę i że on o tym wie. „Zawsze będzie wiedział, o czym myślę, i nigdy nie odważy się mnie zapytać” – stwierdziła. Czuła, że nie tylko pomiędzy nią a Owenem wyrosła ściana nie do pokonania. Taka sama szklana ściana milczenia oddzielała ją także od Darrowa. Mogli śledzić wzajemnie swoje najdrobniejsze gesty, ale wiedzieli, że nigdy przez nią nie przeniknie żaden dźwięk...

Pojechali do restauracji na Bulwarach i tutaj, w zacisznym kąciku wśród ciasno ustawionych stolików, świadomość niedomówień między nimi stopniowo przestała ją gnębić. Był taki niefrasobliwy i przystojny, tak szczerze z niej dumny, tak otwarcie szczęśliwy, że jakiegokolwiek inne sprawy przestawały istnieć w jego obecności. Dowiedział się, że ambasador spędzi

dwa dni w Paryżu, i dlatego jego wyjazd do

Londynu został odłożony. Był uradowany, że będzie miał dla niej kilka godzin więcej, więc przestawała się zastanawiać, czy ta jego radość nie oznacza czasem braku wrażliwości. Zdając sobie sprawę z jego wpływu na jej nastroje, stwierdziła nie bez dumy, że i od niej zależy jego humor.

Zasiedzieli się przy owocach i kawie, a kiedy wstali szykując się do wyjścia, Darrow zaproponował teatr, gdyż mogli jeszcze zdążyć na drugą część programu w którymś z mniejszych teatrzyków.

Kiedy sprawdził godzinę, Annie przyszedł na myśl Owen. Zobaczyła oczami duszy pociąg mknący wśród burzy, a w kącie kołyszącego się przedziału bladą twarz pasierba, niewyraźną, jak wtedy w deszczowym półmroku. To straszne, że trzeba ciągle płacić za swoje szczęście!

Darrow poprosił o gazetę teatralną, zajrzał do niej, po czym podniósł wzrok na Annę.

– Słyszałem, że druga sztuka w Athénée jest zabawna.

Anna miała już na końcu języka zgodę, ale przeszło ją podejrzenie, czy to właśnie nie w tym teatrze Owen spotkał Darrowa z Sophy Viner. Nawet nie była pewna, czy wymienił nazwę teatru, ale ta ewentualność wystarczyła, żeby niebo nad jej głową okryły chmury. Mierziła ją myśl, że miała towarzyszyć Darrowowi w miejscach, gdzie bywał z tą dziewczyną. Starła się wyperswadować to sobie, a nawet z gorzką ironią upomniała się, że przecież nawet w objęciach Darrowa Sophy Viner była przed nią; a jednak nie mogła się otrząsnąć z niemądrej obawy, że trafi z nim do jednego z lokali jego paryskiej przygody.

Powiedziała, że jest zbyt zmęczona, więc pojechali do domu. Przy schodach odwróciła się do niego, żeby życzyć mu dobrej nocy, ale on jakby nie dostrzegł tego gestu i poszedł za nią na górę.



– To o wiele lepsze niż teatr – stwierdził, gdy się znaleźli w salonie.

Przeszła przez pokój i pochyliła się, żeby poprawić płonące drwa w kominku. Wiedziała, że on się do niej zbliża, że za chwilę ściągnie z jej ramion płaszcz i przytuli wargi do jej karku, tuż pod zaczesanymi do góry włosami. To był jego przywilej i jakkolwiek upominał się o niego z szacunkiem i czułością, w radosnej swobodzie jego zachowania zaznaczyła się różnica: upominał się o swoje prawa.

„Po teatrze tak właśnie wrócili do domu” – pomyślała. W tej samej chwili poczuła jego ręce na swoich ramionach i cofnęła się.

– Nie, nie! – zawołała naciągając na siebie płaszcz. Po jego zdziwionej minie poznała, że jej twarz musiała wyrażać ból.

– Anno! Co, na Boga, z tobą się dzieje?

– Owen wie! – wybuchnęła z ukrytą chęcią szukania usprawiedliwienia.

W zachowaniu Darrowa nastąpiła zmiana.

– Czy on ci to powiedział? Co mówił?

– Nic! Wywnioskowałam z tego, czego nie powiedział.

– Odbyłaś z nim po południu rozmowę?

– Tak, parominutową. Zorientowałam się, że on nie życzy sobie, żebym dłużej przy nim była.

Osunęła się na fotel, skuliła, nadal w płaszczu na ramionach.

Darrow nie kwestionował jej domniemań. Zauważyła, że nie wyraził zdziwienia. Usiadł nie opodal, obracając w palcach pudełko cygar, które wydobył z kieszeni, kiedy weszli. Wreszcie odezwał się:

– Czy widział się z panną Viner?

Drgnęła na dźwięk tego nazwiska.

– Nie... nie sądzę... jestem pewna, że nie.

Siedzieli w milczeniu, nie patrząc na siebie. Wreszcie Darrow wstał, przeszedł się po pokoju. Wrócił, stanął przed nią i spojrzał jej w oczy.

– Uważam, że powinnaś mi powiedzieć, co zamierzasz robić.

Podniosła głowę i odwzajemniła jego spojrzenie.

– Nic, co mogłabym zrobić, nie uratuje Owena.

– Ale tak dłużej być nie może. – Przerwał, jak gdyby ważąc słowa.

– Budzę w tobie wstręt! – zawołał.

Wstała powstrzymując szloch.

– Nie, nie!

– Biedne dziecko, gdybyś mogła widzieć swoją twarz!

Podniosła ręce, jakby chcąc się nimi zasłonić i odwróciwszy się od niego, pochyliła głowę nad kominkiem. Wiedziała, że on stoi tuż – tuż, nie usiłując jej dotknąć ani podejść bliżej.

– Wiem, że czujesz tak jak ja – powiedział cicho – iż należymy do siebie i nic nie może tego zmienić. Ale opętały cię inne myśli i nie jesteś w stanie się ich pozbyć. Kiedy mnie widzisz, zaraz cię nachodzą... Łączysz mnie z postępkami, do których masz odrazę... Byłaś niesłychanie wspaniałomyślna. Dałaś mi wszelką szansę, jaką może dać kobieta, ale jeśli masz z tego powodu tylko cierpieć, jaki to ma sens?

Odwróciła się do niego, z twarzą mokrą od łez.

– Nie tylko cierpień zaznałam...

– O, nie! Wiem... Były momenty... – Ujął jej dłoń i podniósł do warg.

– Pozostaną ze mną do końca życia. Ale nie mogę patrzeć na to, że płacisz za nie taką cenę. Nie jestem wart tego, co one cię kosztują.

Nie odrywała od niego załzawionych oczu. Nagle padło pytanie:

– Czy to do Athenee zabrałeś ją tamtego wieczora?

– Anno! Anno!

– Tak, chcę wiedzieć teraz, chcę wiedzieć wszystko. Może to pozwoli mi zapomnieć. Powinnam była prosić cię wcześniej, żebyś mi powiedział. Dokądkolwiek idziemy, wyobrażam sobie, że byłeś tam z nią... Widzę was razem, chcę wiedzieć, jak to się zaczęło, dokąd poszliście, gdzie ją pożegnałeś... Nie mogę dłużej błądzić w ciemnościach.

Nie wiedziała, co wyzwoliło jej namiętny wybuch, ale poczuła się lżejsza, wolniejsza, jak gdyby zły urok wreszcie został odczyniony.

– Chcę wiedzieć wszystko – powtarzała. – To jedyny sposób, żebym zapomniała.

Darrow pozostał w miejscu, z rękami założonymi za piersi, wzrokiem wbitym w podłogę, nieruchomy. Czekala, wpatrzona w jego twarz.

– Nie powiesz mi?

– Nie.

Krew uderzyła jej do głowy.

– Nie powiesz? Dlaczego?

– Gdybym powiedział, sądzisz, że byś zapomniała?

– Och – jęknęła i odwróciła się.

– Sama widzisz, że to niemożliwe – ciągnął dalej. – Popelniłem coś, do czego czuję wstręt, i żebym to odpokutował, żadasz ode mnie, bym popelnił to powtórnie. Jakiego rodzaju satysfakcję może ci to dać? Powstałoby między nami coś nie do naprawienia.

Oparła łokcie o kominek i ukryła twarz w dłoniach. Czula, że odrzuca ostatnią nadzieję na szczęście, ale nie mogła nic poradzić, niczego wymyślić, co by je uratowało. Ogarnęła ją wątpliwość: „Czy osiągnę spokój, jeżeli z niego zrezygnuję?” I przypomniala sobie pełne rozpaczny dni po tym, jak go odprawiła, i zrozumiała, jak płonna była ta nadzieja. Łzy napływały jej do oczu i ściekały między palcami.

– Do widzenia – usłyszała jego głos i kroki oddalające się ku drzwiom.

Usiłowała podnieść głowę, ale przytłaczał ją ciężar rozpacz. Powiedziała sobie w duchu: „To koniec... on nie będzie mnie znowu przekonywał... ” Dalej jednak stała jak wryta, nie czując nieuchronnego upływu czasu. Nagle więzy, które ją krępowały, opadły, uniosła głowę i zobaczyła go w drzwiach.

– Ależ on jest mój, mój i niczyj więcej!

Twarz miał zwróconą ku niej i jedno spojrzenie w jego oczy wymiotło wszelki strach. Nie mogła zrozumieć, co ją pchnęło do tego bezsensownego okrzyku, i nic oprócz zabójczej słodczy miłości nie liczyło się już na świecie.

## 39

Nazajutrz Anna obudziła się z upokarzającym wspomnieniem wczorajszego wieczoru.

Darrow miał rację twierdząc, że ich ofiara nikomu na nic się nie zda. Jednak coś jej mówiło, że pewne zobowiązania nie podlegają standardowym ocenom. W każdym razie winna była zarówno jego dumie, jak i swojej powstrzymanie się od takich scen. Wszak kiedy dał jej szansę uwolnienia się, wszystko zniknęło z jej myśli, pozostał tylko ślepy strach przed utraceniem go. Zrozumiała, że oboje byli tak głęboko i nierozłącznie ze sobą związani, jak dwa drzewa o splatających się korzeniach.

Przez dłuższy czas zastanawiała się nad swoją sytuacją, zdając sobie sprawę, że jedyne wyjście z niej mogła stworzyć jakaś zewnętrzna szansa.

Powoli pewna idea zaczęła zarysowywać się w jej umyśle. Jedyne Sophy Viner mogła ją uratować, tylko ona mogła jej przywrócić utraconą pogodę ducha. Musi odnaleźć tę dziewczynę i powiedzieć jej, że zrezygnowała z Darrowa. Kiedy zdobędzie się na taki krok, spali za sobą mosty i z konieczności będzie musiała iść przez życie samotna.

Każdy pretekst do działania był czymś w rodzaju środka uspokajającego, wysłała więc pokojówkę do państwa Farlow z bilecikiem, w którym pytała, czy panna Viner zechce ją przyjąć. Długo trwało, nim pokojowa wróciła, a kiedy się wreszcie pokazała, trzymała w ręku kartkę z odpowiedzią popartą ustną wiadomością, że panna Viner wyprowadziła się przed paroma dniami i zatrzymała wraz ze swoją siostrą w hotelu w pobliżu placu Gwiazdy. Pokojówka dodała, że pani Farlow tłumaczyła się, iż plany panny Viner nie były sprecyzowane,

i robiła pewne trudności z udzieleniem tej informacji. Anna domyśliła się, że Sophy opuściła dom przyjaciół prosząc o zachowanie w tajemnicy jej adresu, zapewne aby uniknąć spotkania z Owenem. „Ona wytrwała w postanowieniu, a ja nie” – ten wniosek pobudził Annę na nowo do działania.

Darrow zapowiedział, że przyjdzie tuż po śniadaniu, a ponieważ pora była już dość późna, więc Anna, nadal nie dowierzając swojej wytrwałości, postanowiła udać się natychmiast pod adres podany przez panią Farlow. W drodze usiłowała sobie przypomnieć, co słyszała o siostrze panny Viner, ale poza entuzjastycznymi opisami Sophy zapamiętała tylko mętne aluzje pani Farlow do jej artystycznych talentów i matrymonialnym perypetii. Darrow wspomniał o niej tylko raz, i to bardzo zwięźle, jako o osobie ogromnie troszczącej się o Sophy, ale nie mogącej być dla niej podporą z racji licznych podróży. Anna zastanawiała się, jakie zrzędzenie losu zawiodło Sophy pod skrzydła siostry. Pani Farlow mówiła o niej jako o

znakomości (Anna nie mogła sobie przypomnieć, w jakiej dziedzinie), ale ta kobieta miała cały legion takich znakomości, nagryzmołone zaś na kawałku papieru nazwisko – McTarvie – Birch – nie nasuwało żadnych skojarzeń.

Czekając w obskurnym westybulu hotelu „Chicago”, Anna obmyśliła tak dokładny plan tego, co zamierzała powiedzieć Sophy Viner, że miała złudzenie, iż ta już przed nią stoi. Opuściła ją cała odwaga, kiedy portier wrócił z wiadomością, że panny Viner już nie ma w hotelu. Anna, nie dowierzając własnym uszom, zapytała, czy to znaczy, że młoda dama po prostu wyszła na jakiś czas, ale on odparł, że wczoraj wyjechała. Nie miał dla niej żadnej informacji i po chwili wahania Anna posłała go znowu, żeby zapytał, czy pani McTarvie – Birch zechce ją przyjąć. Przeszło jej przez myśl, że panna Viner zapewne zobowiązała siostrę do takiej samej dyskrecji jak panią Farlow i że osobisty kontakt z panią Birch może dać nieco pomyślniejsze wyniki.

Minęła kolejna chwila oczekiwania, zanim portier ukazał się z przychylną odpowiedzią, i wreszcie ciasna i szarpiąca winda uniosła ją przez szereg wytartych podestów.

Gdy dotarła do ostatniego, portier poprowadził ją długim korytarzem, gdzie unosił się stęchły zapach bagaży przewożonych okrętem. Znalazła się przed drzwiami, zza których dobiegł silny odór tytoniu wraz z odgłosami hamowanej kłótni. Kiedy zastukała, zapadła cisza. Po minucie czy dwóch drzwi otworzył przystojny młody mężczyzna, którego potargane włosy i zmięte ubranie świadczyły o tym, że przed chwilą wylegiwał się na kanapie pełnej skotłowanych poduszek. Ta kanapa, fortepian z koszem zwiędłych róż, puszką biskwitów i pusta taca po śniadaniu wypełniały prawie cały wąski salonik. W przeciwległym rogu siedział drugi mężczyzna, mały,

śniady, skromny, i przyglądał się podszewce swego kapelusza.

Anna zatrzymała się niepewna, ale kiedy wymieniła nazwisko pani Birch, młody mężczyzna grzecznie zaprosił ją do środka, rzucając jednocześnie zniecierpliwione spojrzenie na niemego obserwatora w głębi pokoju.

Ten ostatni, podniósłszy oczy, okrągłe i wyłupiaste, wbił je nie w gospodarza, lecz w Annę, i przyglądał się jej przez chwilę badawczo. Jego spojrzenie mówiło, że została dokładnie skatalogowana i oszacowana, a kiedy w końcu wstał i ruszył do drzwi, odniosła wrażenie, że ją zaakceptował jako pewniejszą gwarancję, niżli się spodziewał. W progu wymienił z gospodarzem porozumiewawcze spojrzenie, wymowne i szybkie, i ta krótka scena tak wiele powiedziała Annie, że nie zdziwiła się, kiedy gospodarz, przysuwając bliżej fotel, zaproponował jej papierosa. Na grzeczną odmowę oświadczył, że on owszem, chętnie, jeśli ona nie ma nic przeciwko temu, a kiedy szukając zapalek grzebał najpierw w kieszeniach, a potem wśród zdjęć i listów piętrzących się na wąskim obramowaniu kominka, odważyła się zapytać ponownie o panią Birch.

– Chwileczkę. – Uśmiechnął się. – Zdaje mi się, że jest tam właśnie masażysta. – Mówił gładką angielszczyzną, która tak jak spojrzenie jego długorzęsych oczu i gotowość czarującego uśmiechu wskazywała na długi trening we wszelkiego rodzaju usługach. Wreszcie znalazł zapalniczki na podłodze przy sofie, zapalił papierosa i z powrotem opadł na poduszki. Gdy Anna przeprosiła za niepokojenie pani Birch, usłyszała, że nic nie szkodzi, ona zawsze każe wszystkim czekać.

Owiani kłębamii papierosowego dymu przez pewien czas dalej gawędzili, aż wreszcie Anna znów upomniała się o widzenie z panią Birch. Wtedy wstał ze swojego kącika z lekkim wzruszeniem ramion



i mrużąc: „Ona jest zupełnie beznadziejna” – wyszedł przez wewnętrzne drzwi.

Anna nadal się zastanawiała, jakim zbiegiem okoliczności wielokrotnie zamężna Laura zdobyła takiego partnera, kiedy ten wrócił z wiadomością.

– Ona jest gotowa, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, że zastanie ją w łóżku.

Odsunął się, żeby przepuścić Annę. Znalazła się w ciemnym, nieporządnym, nie przewietrzonym pokoju, z czerwoną zasłoną upiętą na jedynym oknie. Ujrzała kobietę z grzywą gęstych jasnych włosów i odsłoniętym dekoltem, uśmiechającą się do niej z purpurowego łóżka, na którym poniewierał się ogromny puszek do pudru.

– Nie ma mi pani za złe, prawda? On tak okropnie dużo kosztuje, że nie mogę sobie pozwolić na odprawienie go – tłumaczyła pani Birch, wyciągając obficie upierścienioną rękę. Nie rozwiała niepewności Anny, czy wspomnianą osobą miał być jej masażysta, czy też mąż.

Zanim Anna cokolwiek odpowiedziała, pod czerwoną kapą zaczęła się konwulsyjna szamotanina i z pościeli wynurzył się następny puszek do pudru. Rzucił się na gościa, wydając masę dźwięków podobnych do wystrzałów lilipuciego szampana.

Pani Birch wychyliła się do przodu i wysapała:

– Jeżeli tylko da mu pani karmelka... tutaj, z tego pudełeczka na toaletce... To jedyna rzecz, która go może powstrzymać...

Anna dała okup napastnikowi, który schował się ze zdobyczą pod kanapę. Jego pani odchyliła się do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

– Czy to nie piękność? Dał mi go książę w Nicei, ale on jest absolutnie okropny! – wyznała z promienną poufałością.

W różowym półmroku zasłonek Anna ze zdumieniem zauważyła jej

dziwne podobieństwo do Sophy Viner, nasuwające myśl o tym, czym może stać się młodsza siostra z upływem lat, nawet uciekając się do pudru. Większa, jaśniejsza i mocniej zbudowana pani Birch miała spojrzenia i ruchy niepokojąco przypominające to, co w dziewczynie miało najwięcej świeżości i uroku. Kiedy kładła na kanapie obnażone pulchne ramię, jakby odsuwała welon z mrocznych obszarów rodzinnej historii.

– Proszę usiąść, jeżeli znajdzie się gdzieś miejsce – zapraszała serdecznie, a kiedy Anna siadła na brzeжку zawieszzonego różnorodnymi łaskami krzesła, dodała: – Moje śpiewanie zabiera mi tak dużo czasu, że nie mam jak zrzucić z siebie tego tłuszczu. To najgorsza wada zawodu artysty.

Anna wymruczała, że rozumie, i rzekła:

– Mam nadzieję, że nie sprawiłam pani kłopotu swoją wizytą. Powiedziałam panu Birchowi...

– Panu jak? – zapytała leżąca piękność i wykrzyknęła: – Ach, Jimmy'emu! – Roześmiała się cichutko, raczej do siebie niż do Anny.

Ta mówiła dalej z ożywieniem:

– Dowiedziałam się od pani Farlow, że pani siostra zamieszkała z panią, i odważyłam się przyjść do hotelu, żeby zapytać, kiedy będę miała okazję ją zobaczyć.

Pani McTarvie – Birch odchyliła głowę i popatrzyła przenikliwie:

– Chce pani powiedzieć, że ten idiota przy drzwiach pani nie uprzedził? Sophy wyjechała wczoraj wieczorem.

– Wczoraj wieczorem? – powtórzyła jak echo Anna. Ogarnął ją nagły strach. Czy to możliwe, żeby dziewczyna wystrychnęła ich wszystkich na dudka i uciekła z Owenem? Myśl wydawała się absurdalna, ale tak nią zawładnęła, że z trudem mogła opanować drżenie warg, kiedy wyrzekła: –

Portier mi mówił, ale pomyślałam, że może się myli. Pani Farlow chyba sądziła, że ją tu zastanę.

– To wszystko stało się tak szybko, że prawdopodobnie nie zdążyła zawiadomić Farlowów. Otrzymała depezę od pani Murrett dopiero wczoraj, w pośpiechu wrzuciła do walizki swoje rzeczy i pędem...

– Pani Murrett?

– No tak, Sophy jedzie do Indii z panią Murrett, mają się spotkać w Brindisi – oznajmiła siostra ze spokojnym uśmiechem.

Anna siedziała bez ruchu, obrzucając spojrzeniem niechlujny pokój, czerwone łoże i wulgarną twarz na poduszkach.

Pani McTarvie – Birch ciągnęła swą relację:

– Wiosną miała z nią okropną awanturę, przypuszczam, że pani o tym słyszała, ale poradziłam Sophy, żeby puściła to w niepamięć, jeżeli starsza pani chce... Oczywiście, będąc artystką, nie mogę jej trzymać przy sobie...

– Oczywiście – przytaknęła Anna mechanicznie.

Poprzez zamęt w głowie ledwo do niej docierało, że pani Birch kontynuuje wyjaśnienia.

– Naturalnie, ja tak całkiem nie aprobuję jej powrotu do tej okropnej baby. Powiedziałam jej tyle, ile mogłam... Powiedziałam, że jest wariatką, żeby rzucać taką pracę jak u pani. Ale Sophy to niespokojny duch, zawsze taka była, i wbiła sobie do głowy, że będzie podróżować...

Anna wstała, daremnie szukając jakiejś formułki grzecznościowej na pożegnanie. Odsunęła krzesło, co wzbudziło wrogość drzemiącą w białym psie, który zagłuszył dalsze zwierzenia swojej pani nowym wybuchem hysterii. Poprzez ten hałas Anna wykrztusiła niedosłyszalne słowa pożegnania i pani Birch, której udało się chwilowo unieszkodliwić swego pieszczołka nakrywając go poduszką, zawołała:

– Proszę mnie znów odwiedzić! Bardzo chciałabym dla pani zaśpiewać!

Anna mruknęła podziękowanie i poszła do drzwi. Kiedy je otwierała, usłyszała, jak pani domu wrzeszczy:

– Jimmy! Słyszysz mnie, Jimmy Brance? – A nie otrzymawszy odpowiedzi, dorzuciła: – Proszę mu powiedzieć, żeby poszedł i sprowadził dla pani windę!

TTLRR